

SARAI WALKER

DIETOLAND



DIETOLAND

SARAI WALKER

Przełożyła: Agnieszka Walulik

BUCHMANN

Tytuł oryginału: *Dietland*

Copyright © 2015 by Sarai Walker

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVIII

Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Walulik, MMXVIII

Wydanie I

Warszawa MMXVIII

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[W głąb króliczej nory](#)

[Alicia i Plum](#)

[Wypij mnie](#)

[Pod ziemią](#)

[Zjedz mnie](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

Dla moich rodziców, którzy we mnie wierzyli,
i dla moich przodków, które nie zawsze mogły przemawiać własnym głosem

Najpierw jednak odczekała parę minut, aby zobaczyć, czy się już nie będzie dalej zmniejszała. Szczerze mówiąc, obawiała się trochę tego. „Mogłoby się to skończyć w taki sposób, że stopniałabym zupełnie niczym świeczka. Ciekawe, jak bym wtedy wyglądała”.

Lewis Carroll, *Alicja w Krainie Czarów*, tłum. Antoni Marianowicz

W głąb króliczej nory

Była późna wiosna, koniec pachnącego szalonym, zielonym bzem maja, kiedy zorientowałam się, że śledzi mnie jakaś dziewczyna. Zakradła się do mojej świadomości niczym rozmyty obraz, który nagle się wyostrza. Dziwnie wyglądała: nosiła czarne glany z rozwiązanymi sznurówkami, a do tego zawsze rajstopy w jaskrawych owocowych odcieniach jak z torebki landrynek. Nie wiedziałam, czemu za mną chodzi. Gdziekolwiek poszłam, zawsze ktoś się na mnie gapił, ale to było coś innego. Dla tej dziewczyny stanowiłam nie przedmiot drwin, tylko zainteresowania. Obserwowała mnie, a potem zapisywała coś w czerwonym notesie na spirali.

Po raz pierwszy zwróciłam na nią uwagę w kafejce. Tam właśnie zazwyczaj pracowałam; siadywałam z laptopem przy stoliku w głębi i odpowiadałam na wiadomości od nastolatek. „Kochana Kitty, zrobiły mi się rozstępy na piersiach, proszę, pomóż”. Nie było im końca i zazwyczaj spędzałam tam długie godziny, popijając kawę albo miętę i udzielając porad, do których udzielania nie miałam żadnych kwalifikacji. Przez trzy lata ta kawiarnia była całym moim światem. Nie potrafiłam pracować w domu, uwięziona w czterech ścianach, gdzie nic nie odrywało mnie od ciągłego refrenu: „Kochana Kitty, Kochana Kitty, proszę, pomóż”.

Któregoś popołudnia podniosłam głowę znad układanej właśnie wiadomości i zobaczyłam przy stoliku obok tę dziewczynę. Przytupywała niecierpliwie nogą w limonkowozielonych rajstopach, a zmiętą płócienną torbę rzuciła na krzesło naprzeciwko siebie. Zdałam sobie sprawę, że już ją widziałam. Rano siedziała na schodkach przed moim budynkiem. Miała długie ciemne włosy. Odwróciła się, żeby na mnie spojrzeć – dobrze to pamiętałam. Nasze oczy się spotkały. W następnych miesiącach, kiedy jej twarz zaczęła się pojawiać w prasie i w telewizji, często przypominałam sobie tamten moment – spojrzenie przez ramię, oczy błyszczące w grubych obwódkach czarnego eye-linera.

Gdy raz zwróciłam na nią uwagę, zaczęłam ją zauważać również w innych miejscach. Kiedy wychodziłam ze spotkania Strażników Wagi, opierała się o drzewo po drugiej stronie ulicy. W supermarkecie widziałam, jak czytała informacje o wartościach odżywczych na puszcze fasoli. Chodziłam ciasnymi alejkami sklepu, przemierzałam kaniony kolorowych kartoników i puszek, a ona podążała za mną i gdy tylko się na nią oglądałam, wrzucała do koszyka pierwszy z brzegu artykuł (cynamon albo gaz do zapalniczek).

Przywykłam do tego, że ludzie się na mnie gapili, kiedy zajmowałam się swoimi sprawami, ale zawsze robili to z obrzydzeniem. Nie przyglądali mi się uważnie, jak ta dziewczyna. Zazwyczaj usiłowałam wtopić się w tłum, co nie było łatwe, lecz kiedy ona mnie obserwowała, czułam się, jakby ktoś ściągnął ze mnie kołdrę i pozbawił możliwości okrycia się, tak że trzęsłam się z zimna w samych majtkach.

Któregoś wieczoru, kiedy wracałam do domu, wyczułam za sobą jej obecność, więc odwróciłam się, żeby się z nią skonfrontować.

– Śledzisz mnie?

Dziewczyna wyjęła z uszu małe białe słuchawki.

– Proszę? Możesz powtórzyć?

Nigdy dotąd nie słyszałam jej głosu. Spodziewałam się, że będzie wysoki i piskliwy, lecz ona mówiła z dużą pewnością siebie.

– Czy ty mnie śledzisz? – powtórzyłam, tym razem już nie tak śmiało.

– Czy ja cię śledzę? – Wydawała się rozbawiona. – Przepraszam, ale nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

Wyminęła mnie i ruszyła dalej chodnikiem, uważając na korzenie drzew, które przepchnęły się przez beton.

Patrzyłam, jak odchodzi, nie zdając sobie jeszcze sprawy, kim była: posłańcem z innego świata, który miał wybudzić mnie ze snu.

Kiedy myślę o swoim ówczesnym życiu, tym *dawnym*, wyobrażam sobie, że spoglądam na nie z góry jak na zamkniętą w pudełku dioramę – oto moja okolica, a ja to ubrana na czarno figurka. Moja codzienność zamykała się w promieniu pięciu przecznic od domu i tak było już od lat: poruszałam się na linii pomiędzy mieszkaniem, kawiarnią a Strażnikami Wagi. Moją egzystencję wytyczały bardzo ciasne współrzędne i to mi odpowiadało. W tamtych czasach myślałam o sobie jak o pustym konturze, który czeka, aż coś go wypełni.

Z zewnątrz, dla kogoś takiego jak ta dziewczyna, mogłam się wydawać smutna, ale wcale taka nie byłam. Codziennie zażywałam trzydzieści miligramów antydepresantu Y... Brałam go od ostatniego roku studiów. Przeżyłam wtedy incydent z pewnym chłopakiem. W tygodniach po Bożym Narodzeniu wpadłam w mroczną spiralę; cały czas przesiadywałam w bibliotece, udając, że się uczę. Biblioteka mieściła się na siódmym piętrze. Któregoś dnia stanęłam pod oknem i wyobraziłam sobie, że skaczę i ląduję na śniegu, gdzie upadek nie bolałoby aż tak bardzo. Zobaczyła mnie jedna z bibliotekarek (dopiero później powiedziano mi, że płakałam) i wezwała uczelnianego lekarza. Wkrótce potem przepisano mi leki. Do Vermontu przyleciała moja matka. Razem z doktorem Willoughbym (staruszkim o siwych włosach, w kolorowych szklach i z przebarwionym zębem) uznali, że powinnam chodzić na terapię i brać Y... Tabletki wyeliminowały smutek i zastąpiły go czymś innym – nie radością, raczej czymś w rodzaju stłumionego jednostajnego szumu słabego sygnału radiowego, którego nie dało się ani podkreślić, ani przyciszyć.

Minęło wiele lat od zakończenia studiów i terapii. W tym czasie zdążyłam się przenieść do Nowego Jorku. Nadal jednak zażywałam Y... Mieszkałam przy Swann Street na Brooklynie, na drugim piętrze starej kamienicy. Mieszkanie było długie i wąskie, ciągnęło się na przestrzał przez cały budynek, miało polerowaną podłogę z jasnego drewna i wykuszowe okno, które wychodziło na ulicę. Takie lokum, i to w popularnej okolicy, zdecydowanie nie leżałoby w zasięgu moich możliwości finansowych, ale właścicielem był kuzyn matki, Jeremy, który obniżył dla mnie czynsz. Pozwoliłby mi tam mieszkać i za darmo, gdyby matka nie wtrąciła się z żądaniem, żebym coś mu płaciła, lecz i wtedy wyznaczył niewielką kwotę. Jeremy pracował jako reporter w „Wall Street Journal”. Po śmierci żony rozpaczliwie chciał się wynieść z Nowego Jorku, a zwłaszcza z Brooklynu,

bo ta dzielnica kojarzyła mu się z jego stratą. Redakcja wysłała go najpierw do Buenos Aires, a potem do Kairu. Apartament miał dwie sypialnie i Jeremy zostawił w jednej z nich swoje rzeczy, ale nie zapowiadało się, żeby kiedykolwiek miał zamiar po nie wrócić.

W mieszkaniu na Swann Street nieczęsto pojawiali się goście. Raz na rok przyjeżdżała w odwiedziny matka. Czasami wpadała też z wizytą moja przyjaciółka Carmen, choć przeważnie widywałam się z nią w kawiarni. Po rozpoczęciu swojego prawdziwego życia zamierzałam zdobyć więcej przyjaciół, urządzać prozowane kolacje i częściej zapraszać ludzi na noc, ale w tamtych czasach nie żyłam jeszcze naprawdę.

Kiedy dzień po konfrontacji z tamtą dziewczyną wyszłam na ulicę, rozejrzałam się w obie strony, lecz nigdzie jej nie zobaczyłam. Ruszyłam, szczęśliwa, że nikt za mną nie idzie. Czekał mnie dzień pracy w kawiarni, ale najpierw wybierałam się na spotkanie Strażników Wagi, dokąd miałam zamiar dotrzeć okreśną drogą, żeby uniknąć chłopaków sterczących na rogu mojej ulicy, którzy często wołali za mną różne nieprzyjemne rzeczy.

Spotkania Strażników Wagi odbywały się w pomieszczeniu pod kościołem przy Drugiej Ulicy. Szary jak kamień kościółek mieścił się pomiędzy pralnią chemiczną a siłownią. Jego witrażowe okno miało kształt stokrotki. Weszłam do środka i ruszyłam spiralnymi schodami do piwnicy, gdzie przy drzwiach powitała mnie ta sama co zawsze kobieta z podkładką na notatki w ręce.

– Dzień dobry, Plum – powiedziała i skierowała mnie na wagę. – Sto trzydzieści siedem i pół – szepnęła, a ja się ucieszyłam, że ważę o kilogram mniej niż w zeszłym tygodniu.

Przy stoliku pod drzwiami wpisałam się na listę i odebrałam przepisy na ten tydzień, spiesząc się, żeby wyjść przed rozpoczęciem spotkania. Zapisalam się do Strażników Wagi lata temu i nie musiałam uczestniczyć w tych sesjach; nawet gdybym nigdy więcej nie wzięła w nich udziału, i tak na łożu śmierci potrafiłabym wyrecytować wszystkie zasady programu.

Na te poranne spotkania przychodziły tylko kobiety; większość z nich była nieco starsza ode mnie. Podrzucały na kolanach niemowlęta albo kilkuletnie dzieci. Były kluchowate po przebytych ciążach, ale nie otyłe. W ich towarzystwie czułam się o wiele większa – i o wiele młodsza. Miałam prawie trzydzieści lat, ale odnosiłam wrażenie, że w porównaniu z nimi jestem jedną z nastolatek, które pisały do Kitty. Otoczona kobietami prowadzącymi dorosłe życie, takie, jakie według mnie również powinnam prowadzić, czułam się zawieszona w czasie, niczym jakieś stworzenie pływające w słoiku

z formaliną.

Weszłam z powrotem po schodach, chowając do torby na laptopa przepisy wydrukowane na grubym papierze. Miałam w domu ponad tysiąc przepisów z diety punktowej, które układałam według kategorii: przekąski, dania główne, desery i tak dalej. Po wypróbowaniu dania oceniałam je na odwrocie kartki. Pięć gwiazdek oznaczało najwyższą notę.

Staralam się być dobrym Strażnikiem Wagi, ale nie było to łatwe. Każdy dzień zaczynałam od właściwego śniadania i przekąsek, ale czasem ogarniało mnie takie łaknienie, że ręce mi drżały i nie mogłam się na niczym skoncentrować. Wtedy zjadałam coś, czego nie powinnam. Nie mogłam znieść głodu. Głodna czułam się tak, jakbym umierała.

Ponieważ nie byłam w stanie przestrzegać diety, chciałam zrezygnować ze Strażników Wagi i zafundować sobie operację odchudzającą. Zaplanowano ją na październik, do tego czasu zostało niewiele ponad cztery miesiące. Cieszyłam się, ale też przerażała mnie myśl, że moje organy zostaną pocięte i poprzekładane i że może się to skończyć różnymi komplikacjami. Operacja miała sprawić, że mój żołądek skurczy się do wielkości orzecha włoskiego; do końca życia mogłabym jeść nie więcej niż kilka łyżek pożywienia dziennie. To było w tym wszystkim najgorsze. Najwspanialsze zaś było to, że miałam tracić od pięciu do dziesięciu kilogramów miesięcznie. W ciągu roku mogłabym schudnąć ponad dziewięćdziesiąt kilo, ale nie zamierzałam posuwać się aż tak daleko. Chciałam ważyć mniej więcej pięćdziesiąt sześć kilogramów, to by mi w zupełności wystarczyło.

Kiedy wyszłam z ciemnego kościoła, mrugając w słońcu, spodziewałam się zobaczyć pod drzewem tamtą dziewczynę, ale nie było jej tam. Pospiesznie przecięłam ulicę. Nie chciałam przechodzić pod oknami siłowni, przez które mogliby się na mnie gapić zadowoleni z siebie czciciele rowerka stacjonarnego.

Do tej pory dziewczyna jeszcze się nie pojawiła, więc uznałam, że udało mi się ją odstraszyć, ale kiedy dotarłam do kawiarni, już tam siedziała. Zamiast mnie śledzić, zaczęła się na mnie. Może chciała zbić moje zarzuty argumentem, że to ja ją śledzę.

Gdy mijałam jej stolik, gryzła skuwkę długopisu, udając zamyślenie. Zignorowałam ją i położyłam torbę z laptopem na tym samym stoliku co zawsze. Wiedziałam, że trudno będzie mi się skoncentrować, kiedy ona siedzi tuż obok mnie, ale zalogowałam się na konto, ściągnęłam nowe wiadomości i otworzyłam pierwszą z nich.

Od: LuLu6

Do: Stokrotka

Temat: przyrodni brat

Kochana Kitty,

mam ponad 14 lat. Mam nadzieję, że mi pomożesz. W zeszłym roku moja mama wyszła za faceta, który ma na imię Larry. Mój prawdziwy tata nie żyje. Larry ma dwóch synów to moi przyrodni bracia, Evan i Troy. Strasznie się boje i nie wiem co robić. Wiele razy budziłam się w środku nocy a Troy był w moim pokoju i patrzył jak śpię. Jak widzi, że się obudziłam to wychodzi. Ma 19 lat. Nie jestem pewna, ale chyba też mnie dotyka. Ktoregoś dnia wszedł do łazienki, kiedy brałam prysznic i zobaczył mnie nago. Powiedział, że mam fajne cycki. Powiedziałam o tym mamie ale ona mówi, że zmyślam żeby rozwiodła się z Larrym (bo go nie znosze). Co mam robić?

Pzdrwiam

LuAnne z Ohio

LuAnne była moją pierwszą korespondentką tego dnia, więc nie zdążyłam jeszcze rozruszać szarych komórek. Wyrzałam za okno, żeby nie czuć presji migającego kursora, i zaczęłam układać w głowie odpowiedź. *Kochana LuAnne, bardzo mi przykro, że Twoja mama Ci nie wierzy. Nie zasługuje na miano matki.* Mamy czytelniczek Kitty często przedkładały mężczyzn nad córki; tęsknota za romanssem przeważała w nich nad instynktem opiekuńczym wobec dzieci. Kusiło mnie, żeby poprosić LuAnne o numer telefonu do jej matki, żebym mogła do niej zadzwonić i powiedzieć, że jest okropnym człowiekiem. *Cieszę się, że zwróciłaś się do mnie o pomoc. Jak najszybciej skontaktuj się ze szkolnym psychologiem. On lub ona pomogą Ci rozwiązać ten problem.* Nie, to nie wystarczy. LuAnne zasługiwała na coś więcej, nie mogłam zwyczajnie odesłać jej do kogoś innego.

Kątem oka cały czas obserwując tamtą dziwną dziewczynę, która nie dawała o sobie zapomnieć, jak jakiś malutki robak, położyłam dłonie na klawiaturze i zaczęłam pisać, wcielając się w Kitty:

Od: Stokrotka

Do: LuLu6

Re: przyrodni brat

Kochana LuAnne

Jestem w *ogromnym* szoku, że Twoja mama Ci nie wierzy. Ja wierzę! Na Twoim miejscu na pewno zaczęłabym zamykać na noc drzwi do swojego pokoju. Jeśli nie ma w nich zamka, to przystawiaj pod nie krzesło albo inny mebel i połóż na wierzchu trochę książek lub coś ciężkiego. Jeśli Troy mimo to zdoła się dostać do Twojego pokoju, zacznij krzyczeć ze wszystkich sił. Nie zaszkodzi też, jeśli nocą będziesz trzymać przy sobie kij bejsbolowy albo coś podobnego. Masz telefon komórkowy? Jeśli tak, w razie takiej sytuacji zadzwoń pod numer alarmowy 112.

W drugiej kolejności opowiedz o wszystkim jakiejś zaufanej dorosłej osobie (mamie najlepszej przyjaciółki albo ulubionej nauczycielce), a ona Ci pomoże. Jeśli nie masz nikogo, kto zgodziłby się pomóc, będziesz musiała skontaktować się z policją. Czy wiesz, gdzie mieści się posterunek w Twoim mieście? Możesz tam pójść i wytłumaczyć komuś, co się dzieje. Powiedz, że chcesz rozmawiać z kobietą.

Cieszę się, że się do mnie zwróciłaś, LuAnne. Mam nadzieję, że ten mail doda Ci odwagi.

Ściskam

Kitty xo

Przejrzałam odpowiedź i wysłałam. Postaram się nie myśleć już o LuAnne, o drzwiach jej sypialni zablokowanych krzesłem, o przyrodnim bracie wsuwającym się pod jej kołdrę i skazującym ją na lata terapii albo i czegoś gorszego. Musiałam o niej zapomnieć, a internet bardzo ułatwiał mi sprawę – pozwalał zwyczajnie wykasować, wyłączyć człowieka. Każdej dziewczynie odpisywałam tylko raz, a jeśli znowu przysyłała mi wiadomość, zazwyczaj ją ignorowałam. Codziennie dostawałam tyle maili, że nie miałam czasu wdawać się w korespondencyjną znajomość. Aby przeżyć w tym zawodzie, musiałam wyrobić w sobie nieczułość lekarza ostrego dyżuru.

Następny mail.

Moją skrzynkę wypełniały setki wiadomości. Zanim się nimi zajęłam, chciałam zamówić lunch – jak zwykle niskotłuszczowy hummus z kiełkami

na chlebie owsianym (300 punktów w diecie Strażników Wagi) – ale przy kasie stała właśnie ta dziewczyna, płaciła za koktajl owocowy. Carmen obsłużyła ją, nie wiedząc, że łączy nas niewidzialna smycz: dokąd szłam ja, tam podążała i ona.

Kafejka Carmen wyglądała jak kuchnia w stylu lat pięćdziesiątych. Miała turkusowe ściany, a na półkach stały stare jadeitowe filiżanki do herbaty. Przednia ściana była całkowicie przeszklona i roztaczał się z niej widok na Violet Avenue, po której niczym w żywym malowidle poruszali się ludzie i samochody. Od czasu do czasu Carmen potrzebowała pomocy, a wtedy stawałam za kontuarem albo zjawiałam się przed świtem, żeby piec dla niej babeczki lub ciasto bananowe. Pomimo wiążących się z tym pokus uwielbiałam robić wypieki, ale niezbyt często sobie na to pozwalałam.

Carmen poznałam na studiach. Byłyśmy wtedy tylko znajomymi, ale w Nowym Jorku znowu nawiązałyśmy kontakt. Carmen pozwoliła mi urządzić sobie biuro w jej kawiarni. Nasza relacja wychodziła też poza kafejkę – dzwoniłyśmy do siebie i od czasu do czasu razem gdzieś wychodziłyśmy. Byłyśmy więc przyjaciółkami, ale teraz, kiedy Carmen zaszła w ciążę, obawiałam się, że sytuacja się zmieni.

Dziewczyna wróciła z koktajlem do stolika i usiadła. Nie pisała nic w notesie, który leżał przed nią zamknięty. Zamiast tego ze znudzoną miną obracała srebrne pierścionki, które nosiła na wszystkich palcach. Już jej nie interesowałam.

Czy naprawdę mnie śledziła? Kiedy się z nią skonfrontowałam, wydawała się szczerze zdziwiona. Nie miałam też pojęcia, czemu miałyby za mną chodzić, chyba że to Kitty kazała jej mnie szpiegować, żeby mieć pewność, że nie zaniedbuję pracy. Dziewczyna nie wyglądała co prawda na osobę, która pracowałaby dla Kitty, ale z drugiej strony ja też nie.

Od: AshliMcB

Do: Stokrotka

Temat: duży kłopot

Kochana Kitty!

To zabrzmie dziwnie, ale lubię ciąć się żyletką po piersiach. Zaczęłam to robić w zeszłym miesiącu, sama nie wiem czemu. Lubię przeciągać sobie żyletką wokół sutków i patrzeć, jak krew przesącza się przez biustonosz. To krępujący temat i nie mam nikogo, do kogo mogłabym się

z tym zwrócić. Nie znoszę swoich piersi, więc nie przeszkadza mi, że będę miała na nich blizny. Są małe i nierówne. Oglądałam strony z pornografią i wiem, że nie wyglądam normalnie, ale muszę przestać się ciąć, bo kiedyś wykrwawię się na śmierć albo dostanę infekcji. Proszę, pomóż mi. Nie umiem przestać. Wiem, że to dziwne, ale robi mi się wtedy lepiej. Czuję ból, ale też przyjemność.

Twoja przyjaciółka Ashli (17 lat)

Żyleciara. Poczulałam przelotne ukłucie smutku na myśl, że dziewczyny z tak poważnymi problemami szukają pomocy u jakiejś redaktorki magazynu, choć gdyby tego nie robiły, nie miałabym pracy. Przejrzałam swoje pliki i skopiowałam standardową odpowiedź na ten temat, dodając kilka osobistych szczegółów.

Od: Stokrotka

Do: AshliMcB

Re: duży kłopot

Droga Ashli,

bardzo mnie martwi, że się tniesz. Wiele dziewcząt to robi, więc nie powinnaś myśleć, że jesteś dziwna, ale jako Twoja przyjaciółka proszę, żebyś natychmiast tego zaprzestała. Nie mam uprawnień, aby udzielać Ci porad w takiej sprawie, ale pod tą wiadomością zamieszczam adres strony, na której znajdziesz wiele informacji i numerów kontaktowych, pod którymi możesz uzyskać profesjonalną pomoc w Twojej okolicy.

Drugi akapit miał dotyczyć piersi i pornografii. Przejrzałam swoje pliki: Moje dokumenty/Kitty/Piersi/Porno.

Wiele z nas ma piersi, które nie są identyczne. Pamiętaj, proszę, że kobiety w materiałach pornograficznych nie wyglądają normalnie. To *Ty* jesteś normalna!

Na pocieszenie mogłabym dodać, że sama też nie odważyłabym się pokazać nikomu swoich piersi, których sutki skierowane były do podłogi. Nie chciałam ich odsłaniać nawet u lekarza, choć kiedy leżałam na kozetce, nie było tak źle; ich ohyda ujawniała się w pełni dopiero na stojąco. Ale nie mogłam powiedzieć tego Ashli, ponieważ musiałam udawać Kitty, której idealnie symetryczne piersi – nie miałam co do tego wątpliwości – zawsze

stały na baczność.

Wiadomości, na które odpowiadałam tego popołudnia, należały przeważnie do typowych kategorii (dieta, chłopcy, żyletki oraz ich rozmaite zastosowania). Była też seria skarg od kanadyjskich czytelniczek magazynu (*Droga Taniu, nie popadajmy w paranoję. Kiedy napisałam, że Quebec to kraj, była to zwykła pomyłka, nie zrobiłam tego z premedytacją*). Pojawiło się także kilka trudniejszych spraw (*Kochana Kitty, czy kiedykolwiek fantazjowałeś, że ktoś Cię gwałci?*), ale nic, z czym nie mogłabym sobie poradzić. Nieważne jednak, jak szybko odpowiadałam na maile, w ich miejsce natychmiast pojawiały się nowe. Rzadko więc doświadczałam satysfakcji płynącej z dobrze wykonanego zadania. Dziewczyny w odległych krajach borykały się z problemem zaszywania genitaliów, jakby były faszerowanymi indykami na Święto Dziękczynienia, ale czytelniczki Kitty miały własne kłopoty (*Jeśli Matt do mnie nie zadzwoni, to UMRE*). Nie byłam zbyt dobra w kwestiach sercowych.

Błagalnym listom nie było końca. Napływały z centrum kraju, z północy i południa, ze wschodu i zachodu. Wyglądało na to, że każdy skrawek amerykańskiej ziemi był przesiąknięty łzami niezliczonych dziewcząt. Napisawszy maila z objaśnieniem różnicy pomiędzy sromem a pochwą (*Pochwa to kanał prowadzący do szyjki macicy. Stanowi ujście dla krwi miesięcznej. Podsumowując: nie, nie da się ogolić pochwy. Nie ma w niej włosów!*), podniosłam głowę i zorientowałam się, że dziewczyna już poszła. Z ulgą otworzyłam kolejną wiadomość, nie robiąc sobie nadziei, że będzie to coś ciekawego albo przynajmniej coś, co przywróci mi wiarę w nastolatki (*Co wieczór po kolacji idę do łazienki i wymiotuję*). Zanim zdążyłam popaść w czarną rozpacz, co zwykle następowało około trzeciej po południu, Carmen zaskoczyła mnie, przynosząc filiżankę czarnej kawy (BEZ OGRANICZEŃ) oraz ciasteczko owsiane (195 punktów).

Miała na sobie ciężowy top w pastelowym kolorze; jej ogromny brzuch był okrągły jak wielkanocne jajo. Usiadła naprzeciwko mnie, wypuszczając głośno powietrze i przesuwając ręką po obciętych na krótko czarnych włosach.

– No dalej, przeczytaj mi coś.

Listy do Kitty miały dla niej nieodparty urok prasowych relacji z wypadków samochodowych.

Spojrzałam na ekran komputera.

– „Kochana Kitty, czy seks z własnym ojcem to zawsze coś złego?”.

– Zmyślasz. Przynajmniej mam szczerą nadzieję! – powiedziała Carmen, czekając jednak niepewnie na mój znak.

Kiedy się roześmiałam, ona również parsknęła śmiechem. Poczułam się podle, jakbym była psycholożką kpiącą ze swoich pacjentów. Carmen potarła brzuch, po czym stwierdziła:

– Kiedyś chcieliśmy mieć dziewczynkę, ale teraz nie jestem tego taka pewna. Napędziłaś mi stracha. Dziewczyny są *upiorne*.

– Ale nie na pierwszy rzut oka – odparłam. – Tylko jak zajrysz pod powierzchnię.

– To mnie właśnie najbardziej przeraża.

Skoro już rozmawiałam z Carmen, postanowiłam zapytać ją o tę dziwną dziewczynę. Do tej pory o niej nie wspominałam; nie chciałam wyjść na paranoiczkę.

– Zwróciłaś uwagę na tę dziewczynę, która tu siedziała? – spytałam, wskazując puste krzesło.

– Tę z mocnym makijażem? Ostatnio często tu zagląda. A co, robiła ci problemy?

– Wydaje się trochę dziwna, nie sądzisz?

Carmen wzruszyła ramionami.

– Niespecjalnie. Sama widziałaś, jacy ludzie tu przychodzą.

Przerwała i miałam nadzieję, że przypomina sobie coś istotnego na temat tej dziewczyny. Zamiast tego spytała, czy mogłabym w przyszłym tygodniu ją zastąpić, bo ma wizytę u lekarza. Zawahałam się. Starłam się przestrzegać diety. Kiedy siedziałam przy swoim stoliku, nie było tak źle, o ile odsunęłam od siebie otaczające mnie widoki oraz zapachy i trzymałam się kawy albo herbaty. Ale kiedy stałam za kasą, rzecz miała się zupełnie inaczej.

– Jasne – zgodziłam się.

Zdarzały się dni, kiedy nie zamieniałam ani słowa z nikim poza Carmen. Były to tylko banalne pogawędki, lecz czasami to właśnie one ratowały mnie przed szaleństwem. I za to miałam u Carmen dług.

Ona wróciła do pracy, a ja, ponieważ byłam grzeczną dziewczynką, uszczknęłam tylko mały kęs owsianego ciasteczka. Widząc to, dwie nastolatki przy sąsiednim stoliku parsknęły śmiechem. Odłożyłam ciastko i postanowiłam pospieszyć się z pracą, żeby już stamtąd wyjść. Najlepszym

sposobem był skok na główkę w odmęty wiadomości, poruszanie się między nimi jak w mroku, poddanie się prądom i pozwalanie, żeby ich treść zwyczajnie po mnie spływała.

Dlaczego wszystkie modelki w waszym czasopiśmie to takie szczapy niektóre laski to mają farta a ja zawsze będę grubasem z wielką dupą tak mi powiedział po lekcjach ale i tak mi się podoba i wiem że to nienormalne bo podle mnie traktuje i chcemy się z koleżanką pozbyć tych obleśnych czerwonych plamek na ramionach pomóż mi proszę bo moje nogi wyglądają w kostiumie kąpielowym strasznie grubo więc może powinnam się wypisać z drużyny pływackiej i co mam zrobić jak nikt mnie nie zaprosi na tańce bo zaprosił mnie mój cioteczny brat ale czy to jest kazirodztwo czy nie każdy chłopak lubi laski z rudymi włosami łonowymi nie są seksi cycusie powiedział mi nauczyciel od historii jak założyłam tę fioletową koszulę więc to zbok i teraz się boję że na wakacjach przytyję co mam robić jak nie stać mnie na operację nosa bo z takim kulfonem żaden facet nigdy na mnie nie poleci na sto procent nie rozumiem jak ty możesz w nocy spać ty pojebana dziwko ale czemu on mi tak powiedział przecież wcale nie jestem dziwką więc nie rozumiem czemu mama nie pozwala mi używać tamponów bo mówiłam jej że nawet jak użyję to i tak będę dziewicą możesz do niej napisać w moim imieniu i uprawiałam seks z moim chłopakiem bo on mnie zmusił ale potem powiedział że przeprasza więc czy to był gwałt bo ja go nadal Kocham ale sama już nie wiem czemu za każdym razem jak maluję się czerwoną szminką to plami mi zęby.

I na koniec jeszcze jedna wiadomość od kogoś odsiadującego wyrok w więzieniu: *Lubię się onanizować przy Twoich zdjęciach. Przesłałabyś mi swoje majtki?*

Skasuj.

W domu czekała na mnie przesyłka. Usiadłam na łóżku, nawet nie wyplątawszy się z pasków torebki i torby na laptopa, po czym rozdarłam pękatą brązową paczkę. W środku znajdowała się popelinowa szmizjerka do kolan, biała z fioletowym obszyciem. Była nawet ładniejsza niż na zdjęciach w katalogu.

W kącie pokoju stało wielkie lustro w miedzianej oprawie. Zazwyczaj zakrywałam je białym prześcieradłem, ale teraz ściągnęłam płótno na bok, żeby móc się obejrzeć, przykładając do siebie sukienkę i wyobrażając sobie, jak będzie na mnie leżeć, kiedy już się w nią zmieszczę. Potem odłożyłam ją do szafy, do reszty zbyt małych ubrań.

Moje zwykłe ciuchy, te, które nosiłam na co dzień, leżały zmięte w komodzie albo walały się po podłodze. Powyciągane i bezkształtne, z kilometrami elastycznej gumy, nie były ani modne, ani niemodne; istniały poza trendami. Zawsze ubierałam się na czarno i rzadko odstępowałam od swojego uniformu, który składał się ze spódnicy do kostek i bawełnianej bluzki z długimi rękawami. Nosiłam to nawet latem. Włosy też miałam prawie czarne. Od lat modelowałam je na lśniącego pazia, który sięgał mi do brody, z prostą grzywką przecinającą czoło. Podobała mi się ta fryzura, ale przez nią moja głowa wyglądała jak piłeczka, którą można by odkręcić od krągłego ciała, tak jak odkręca się nakrętkę z flakonika perfum.

W szafie z kolei nie było nic czarnego, tylko kolory i jasność. Od miesięcy kupowałam ubrania, które zamierałam nosić po operacji. Paczki przychodziły dwa albo trzy razy na tydzień – lawendowe i pomarańczowe bluzki, spódnice ołówkowe, sukienki, przeróżne paski (nigdy ich nie nosiłam). Nie kupowałam tych rzeczy bezpośrednio: gdy ktoś o moich gabarytach wchodził do zwykłego sklepu, ludzie zaczynali się gapić. Zrobiłam to tylko raz, kiedy zobaczyłam na wystawie sukienkę, której nie potrafiłam się oprzeć. Weszłam do środka, zapłaciłam i poprosiłam, żeby zapakowano ją na prezent, jakby była przeznaczona dla kogoś innego.

Nikt nie wiedział o tych ubraniach, nawet Carmen i moja matka. Carmen nie miała też pojęcia o operacji. Matka – owszem, i była temu przeciwna. Bała się komplikacji. Wysyłała mi artykuły na temat niebezpieczeństw związanych z takim zabiegiem, wśród nich tragiczną historię osieroconych dzieci, których matka zmarła w następstwie operacji odchudzającej.

– Przecież ja nie mam dzieci – powiedziałam przez telefon, nie chcąc uznać jej argumentów.

– Nie w tym rzecz – odparła matka. – Nie pomyślałaś o mnie?

„Przecież tu nie chodzi o ciebie” – miałam ochotę powiedzieć i od tamtej pory odmawiałam dyskusji na ten temat.

Poprzekładałam i uporządkowałam ubrania, po czym zamknęłam szafę. Wiedziałam, że kupowanie rzeczy, których nie jestem w stanie przymierzyć, to głupota. Może wcale nie będą na mnie pasować, nawet jak schudnę. Ale

i tak je kupowałam. Musiałam mieć możliwość otworzenia szafy i patrzenia na te ciuchy, musiałam wiedzieć, że tym razem będzie inaczej. Teraz zmiana była gwarantowana. Prawdziwa ja, kobieta, którą powinnam być, znalazła się w moim zasięgu. Złapałam ją jak rybę na haczyk i wkrótce zwinę żyłkę. Tym razem mi nie ucieknie.

Zadzwoiła Carmen z pytaniem, czy mam ochotę wybrać się z nią i jej koleżanką na pizzę, ale przy mojej diecie nie lubiłam jadać w restauracjach, więc odmówiłam. Zrobiłam sobie lazanie z przepisu ze Strażników Wagi, z mielonym indykiem zamiast wołowiny, beztłuszczowym serem i pastą z pełnego zboża. Kiedy je piekłam, pachniały jak prawdziwe lazanie, ale wcale tak nie smakowały. Dałam im trzy gwiazdki. Zjadłam małą porcję (230) z zieloną sałatą (150), a resztę pokroiłam na kwadraty i schowałam do zamrażalnika. Ręce nadal trochę mi się trzęsły z głodu, ale obiecałam sobie, że będę grzeczna i na tym poprzestanę.

Przebrałam się w szlafrok i umyłam zęby, po czym zażyłam różową pigułkę z buteleczki – codzienną dawkę Y... Był to mój wieczorny rytuał, jak odmawianie modlitwy. Dopijając szklankę wody, podeszłam do okna w salonie, odsunęłam zasłonę i wyjrzałam, żeby sprawdzić, czy tamta dziewczyna nie siedzi na schodkach, słuchając muzyki, ale jej nie było.

Większość długiego weekendu z Dniem Niepodległości, który stanowił nieoficjalny początek lata, przesiedziałam w domu. Wyszłam tylko do biblioteki i do kina. Nigdzie nie widziałam tamtej dziewczyny. We wtorek rano znowu poszłam do kawiarni. Skręcając w Violet Avenue, zagapiłam się i na kogoś wpadłam – a może to ten ktoś wpadł na mnie. „Przepraszam” – powiedziałyśmy jednocześnie i w tej samej chwili ze zdumieniem zorientowałam się, że mam przed sobą moją nieznajomą, w wiśniowych rajstopach i z oczami umalowanymi jak na Halloween.

– To ty – odezwałam się. Serce zabiło mi w piersiach jak ćma trzepocząca skrzydełkami w kłoszu.

Dziewczyna uśmiechnęła się, powiedziała „Dzień dobry”, po czym weszła do środka i przytrzymała dla mnie drzwi.

– Plum! – zawołała Carmen, wymijając ją pospiesznie i machając do mnie. Kiedy się zbliżyła, z ogromnym brzuchem zakrytym bluzką w żółte i różowe grochy, przypomniałam sobie, że miałam ją zastąpić podczas jej wizyty u lekarza.

– To nie potrwa długo – zapewniła, wybiegając.

Dziewczyna ruszyła w głąb kafejki. Patrzyłam, jak zajmuje mój stolik. Zirytowałam się, ale nic nie dałam po sobie poznać i poszłam za kontuar, żeby pomóc pracownicy Carmen. Odłożyłam torbę z laptopem. Gdy tylko komputer oraz zawarte w nim niekończące się prośby o pomoc znalazły się dalej ode mnie, poczułam, jak z moich ramion opada napięcie. W kuchni otaczały mnie mąka, masło i jajka, budulce rzeczywistego życia; w zasięgu wzroku nie było ani jednej linijki tekstu. Odetchnęłam powietrzem pełnym cukru, rozkoszując się jego zapachem, lecz nagle poczułam ukłucie głodu. Batonik energetyczny od Strażników Wagi (90), smakujący jak trociny z klejem, nie wystarczył mi na długo.

Minęło już trochę czasu, od kiedy ostatnio pomagałam w kawiarni, ale szybko wszystko sobie przypomniałam. Nalewałam herbatę do filiżanek i krajałam tort marchewkowy. Pakowałam delikatne babeczki do różowych tekturowych pudełek, zlizując z palców lukier i posypkę, kiedy nikt nie patrzył. Praca, która nie wiązała się z weltschmerzem i w której mogłam rozmawiać z trójwymiarowymi ludźmi proszącymi o proste rzeczy jak kawa i kawałek ciasta, a nie o pomoc w pozbyciu się cellulitu albo

o rozszyfrowanie zagrywek emocjonalnie niedorozwiniętego chłopaka, stanowiła prawdziwe wytchnienie.

W którymś momencie zerknęłam na dziewczynę siedzącą przy moim stoliku. Położyła na nim połyskliwą kosmetyczkę i wyciągnęła srebrne kompaktowe lustro w kształcie muszli małża oraz kredkę do ust. Przez szklaną gablotę z ciastami widziałam niewyraźnie, jak obrysowuje wargi i cmoka do swojego odbicia.

Ktoś złożył zamówienie, więc odwróciłam się i zajęłam szykowaniem espresso w trzech malutkich filiżankach. Kiedy wróciłam do kontuaru, zobaczyłam dziewczynę w kolejce za kobietą, która zamówiła te kawy. Pracownica Carmen zniknęła w kuchni, więc sama musiałam obsłużyć czekających. Będziemy musiały się do siebie odezwać.

Kiedy przyszła jej kolej, dziewczyna zrobiła krok do przodu i stanęłyśmy twarzą w twarz.

– Wyciągnij rękę – powiedziała.

Usłuchałam, zaskoczona. Zdjęła zatyczkę z kredki do ust i odwróciła moją rękę wnętrzem dłoni do góry. Zaczęła coś pisać. Nie widziałam co, ale czułam koniuszek kredki wbijający mi się w skórę. Kiedy skończyła, cofnęłam dłoń.

– Kraina Diet – przeczytałam na głos.

– Kraina Diet – powtórzyła dziewczyna.

Wlepiłam spojrzenie w litery na swojej ręce. Czyżby miała na myśli to, że powinnam przejść na dietę? Tyle podchodów, a chodziło tylko o to, że chciała się po prostu ze mnie ponabijać?

Nie usłyszawszy ode mnie żadnego komentarza, bo w tym momencie byłam zbyt zażenowana, żeby coś powiedzieć, dziewczyna szybko pozbierała ze stolika swoje rzeczy i wyszła z kawiarni. W tej samej chwili wróciła moja współpracownica. Wytarłam rękę o fartuch, przeprosiłam i poszłam do kuchni. Wsunęłam dłoń pod strumień zimnej wody, żeby zmyć litery, i dno białego zlewu zabarwiło się lekkim różem.

Kiedy wróciłam z kuchni, zauważyłam, że dziewczyna zostawiła kredkę do ust na stoliku. Podeszłam, żeby ją sprzątnąć. Była to kredka marki Chanel w odcieniu Pretty Plum.

Po spotkaniu z dziewczyną przyszła kolej na spotkanie z Kitty. Wizyty te powtarzały się raz na miesiąc, zupełnie jak okres, i przyjmowałam je z takim samym entuzjazmem.

Jadąc metrem z Brooklynu na Manhattan, wypisałam sobie na dłoni czubkiem palca słowa „kraina diet”. Co one oznaczały? Wydawało mi się, że dziewczyna się ze mnie naśmiewa, ale nie sprawiała wrażenia okrutnej. Nie miałam wątpliwości tylko co do tego, że jest dziwna. Jeśli znowu zacnie mnie nękać, będę musiała iść na policję, ale obawiałam się, że w mieście pełnym morderców i terrorystów nikt raczej nie przejmie się tym, że łązi za mną jakaś panna w kolorowych rajstopach.

Wyszłam z metra na Times Square i przystanąłam na szczycie schodów, żeby złapać oddech w upale. Uzbrojona w identyfikator pracowniczy, weszłam do Austen Tower, która wznosiła się niby lśniący, srebrzysty pień drzewa. Austen Media to prawdziwe imperium wydające magazyny i książki, prowadzące liczne strony internetowe i dwa kanały lifestyle'owe. Gdyby ktoś wleciał samolotem 747 w jej siedzibę i wieżowiec zamieniłby się w gruzy, kobiety Ameryki straciłyby znaczną część swoich źródeł rozrywki.

Zanim zatrudniła mnie Kitty, pracowałam w małym, niezbyt prestiżowym imprincie należącym do Austen Media, mieszczącym się w szarym budynku dwadzieścia przecnic na południe. Wydawaliśmy powieści o młodych kobietach robiących karierę i szukających miłości. Okładki były w wiosennych odcieniach, jak ściany dzieciennego pokoju. Nie miałam nic wspólnego z treścią książek, pracowałam w dziale produkcyjnym – pilnowałam terminów oddawania tekstów, kontaktowałam się z redaktorami, pomagałam tym powieściom przychodzić na świat. Po studiach zamierzałam pisać felietony i reportaże dla magazynów, ale nigdzie nie chcieli mnie zatrudnić, dlatego w końcu przyjąłam stanowisko u tego wydawcy. Kochałam słowa, a ta praca umożliwiała mi obcowanie z nimi przez cały dzień, nawet jeśli były to cudze słowa. Zawsze to jakiś początek. Stopa wsunięta w drzwi przemysłu słownego.

Moimi koleżankami były kobiety w średnim wieku, które do pracy ubierały się w spódnice i nylonowe rajstopy, a do tego wkładały tenisówki. Wkrótce zadomowiłam się w ich świecie, składającym się z drugich śniadań przynoszonych w plastikowych pudełkach oraz wypraw po pracy do dyskontu obuwniczego. Zrezygnowałam z prób wspinania się dalej w kierunku zawodu,

który umożliwi mi wymarzone pisanie. Któregoś dnia, po ponad czterech latach w wydawnictwie, szefowa wezwała mnie do gabinetu, żeby przekazać złe wieści. Musieliśmy zwinąć interes.

– Przykro mi, że nie mogłam nic powiedzieć wcześniej, ale pewnie słyszałaś plotki.

Na jej biurku stał wazon z hortensjami, błękitnymi pomponami w brązowej wodzie. Zwiędłe płatki opadały na jej organizer.

– No cóż... – odparłam. Nie dotarły do mnie żadne pogłoski.

– Nie chodzi tylko o nas. Robią generalne porządki. Wszyscy w budynku idą do odstrzału.

Poza nami mieścił się tam książkowy klub wysyłkowy i kilka małych magazynów, jeden o kotach, inny o kolekcjonowaniu lalek. Dla imperium Austen Media byliśmy pomyjami. Przez lata kryliśmy się w aneksie na Dwudziestej Czwartej Ulicy i jakoś udawało nam się przemykać pod radarem. W końcu jednak Stanley Austen wyrzął ze swojej srebrzystej wieży i zauważył nas w maleńkim zakątku swojego królestwa. I wtedy skazano nas na banicję.

Po zamknięciu wydawnictwa przez jakiś czas byłam bezrobotna, nie licząc sporadycznego dorabiania w kawiarni Carmen, ale wreszcie zadzwoniła do mnie Helen Rosenblatt z działu kadr Austen Media. Chciała się ze mną umówić na spotkanie. Zgodnie z instrukcją stawiałam się w Austen Tower i wjechałam na dwudzieste siódme piętro. Helen była w średnim wieku, miała fryzurę jak stóg siana i uśmiech, który odsłaniał dziąsła. Gdy szłam za nią do biura, zauważyłam, że lniana spódnica weszła jej między pośladki.

Helen powiedziała, że mówiła jej o mnie była szefowa z wydawnictwa.

– Od dawna się przyjaźnimy – wyjaśniła, a ja zaczęłam się zastanawiać, co takiego o mnie słyszała.

Chciała porozmawiać o „Stokrotce”, czasopiśmie dla nastolatek. Czytałam je w liceum. Nawet moja matka i jej koleżanki czytały w młodości ten magazyn. Wydawano go od lat pięćdziesiątych i stanowił tak ważny element amerykańskiej kultury, że pierwszy numer znajdował się na wystawie w Smithsonian razem z czasopismem „Seventeen” i „Mademoiselle”. Domyślałam się, że numery prezentowane w muzeum znacznie się różniły od tego, który leżał właśnie na biurku Helen i nagłówkiem obwieszczał: **PIERWSZY RAZ – TO NIE TAKIE STRASZNE!**

Helen powiedziała, że nową naczelną „Stokrotki” jest Kitty Montgomery.

Pozostałe magazyny dla nastolatek spod znaku Austen zostały zamknięte, więc Kitty jako jedyna zajmowała się teraz tą grupą odbiorców.

– Odniosła wielki sukces – powiedziała Helen. – Pan Austen jest z niej tak zadowolony, że już dwa razy zapraszał ją do swojego letniego domu na Martha's Vineyard.

Podobno Kitty w swojej comiesięcznej rubryce dzieliła się zdjęciami i tragicznymi opowieściami ze swoich lat młodzieńczych na przedmieściach New Jersey, kiedy była szczapowatą dziwaczką z piersiami jak kamyki. W tym momencie Helen musiała odebrać telefon, więc miałam chwilę, żeby przejrzeć kilka kolumn autorstwa Kitty, i zapoznałam się z historią o tym, jak to inne dziewczynki ją biły, a chłopcy zamykali w szafce. Do tych cierpień przyczyniała się także jej matka, która nie pozwalała się jej malować ani golić nóg. Dla kontrastu na końcu każdego tekstu znajdowało się zdjęcie Kitty jako dorosłej stylowej kobiety w pełni rozkwitu – kobiety, która cudownym sposobem zrzuciła z siebie szpetną nastoletnią powłokę i wyłoniła się zwycięsko niczym wspianiały biały wąż. Na tych aktualnych zdjęciach siedziała na rogu swojego biurka w Austen Tower, a za nią roztaczał się widok na równiny New Jersey, krainę zamieszkaną przez jej niegdysiejszych dręczycieli, tak małych teraz i nieważnych.

– Kitty jest ogromnie popularna, napływają do niej stosy listów od czytelniczek – podjęła Helen, kiedy skończyła rozmawiać przez telefon. – Ona i jej przemiana to dla nich inspiracja. Rozpaczliwie pragną jej rady, więc piszą do niej na adres sekcji Kochana Kitty. Mamy tam prawdziwą powódź wiadomości.

Czekałam, aż Helen wyjaśni, co to wszystko ma wspólnego ze mną. Wiedziałam, że chodzi o jakąś pracę, ale spodziewałam się, że będzie to skromne stanowisko w dziale prenumerat albo coś podobnego.

– Dział prawny wolałby, żebyśmy wysyłali czytelniczkom szablonowe odpowiedzi, ale Kitty nie chce o tym słyszeć. Postanowiliśmy więc pójść jej na rękę i zatrudnić kogoś, kto weźmie na siebie odpisywanie jej „dziewczętom”, bo tak je zawsze nazywa, z poradą i słowami zachęty, jak starsza siostra. Korespondencja ma być prywatna, nic z tego nie ukaże się w magazynie. – Helen popatrzyła na mnie i urwała. – Myślę, że idealnie się do tego nadajesz. Posyłałam tam już kilka dziewczyn i żadna się nie nadawała, ale ty... – włożyła okulary i zmierzyła mnie wzrokiem – ...ty jesteś inna.

Teraz się domyśliłam, co mówiła o mnie dawna szefowa.

– Chcecie, żeby ktoś odpisywał na te wiadomości, podszywając się pod Kitty?

– Nie nazwałabym tego podszywaniem się. Byłabyś częścią zespołu. – Helen złożyła ramiona na biuście, który wyglądał, jakby nie składał się z dwóch osobnych piersi, tylko stanowił jedną ogromną półkę. – Jesteś starsza od dziewczyn, nad którymi się zastanawialiśmy, i pod wieloma względami się od nich różnisz. Większość z nich to... No, znasz ten typ. Słyszałam, że jesteś bystra, ale to nie problem. Przemawiałabyś głosem Kitty. Nie musiałybyś wierzyć w to, co piszesz; ważne, że Kitty by wierzyła i że sama by coś takiego napisała, gdyby miała czas. Myślę, że potrafiłabyś zrozumieć problemy naszych dziewcząt, a to najważniejsze.

Powinnam być wdzięczna za propozycję pracy, ale czułam się tak, jakby postawiono mnie pod ścianą, i próbowałam to zamaskować.

– Czemu pani sądzi, że potrafiłabym je zrozumieć? Pani mnie w ogóle nie zna.

– Tak tylko zgaduję – odparła i obie wiedziałyśmy, co ma na myśli.

Nie znosiłam, kiedy ludzie robili aluzje do mojej tuszy, choć bardzo rzucała się w oczy. Czułam się wtedy tak, jakby potwierdzali, że coś jest ze mną nie w porządku, podczas gdy ja miałam nadzieję, że tego nie zauważyli.

Doceniałam propozycję Helen, ale myśl o codziennej pracy w Austen Tower do mnie nie przemawiała. Wyobrażałam sobie tę korporację jako pięćdziesięciodwupiętrowe liceum pełne koterii i szeptania za plecami. Helen musiała pracować w Austen Media od dziesięcioleci, na pewno przyjęli ją na długo przed tym, jak zmieniła się w tę sporą kobietę po menopauzie, która przede mną siedziała.

W pierwszym odruchu chciałam uciekać. Początkowo odmówiłam propozycji spotkania się z Kitty, ale i ona, i Helen na to nalegały. Kiedy wreszcie zobaczyłam się z nią w jej gabinecie, Kitty zasugerowała, że mogłabym pracować z domu.

– To był pomysł działu kadr – powiedziała. – Jak widzisz, nawet biurko mojego asystenta stoi w korytarzu. Mamy tu lekki ścisk.

Możliwość pracy z domu sprawiła, że oferta wydała się nieco atrakcyjniejsza, ale i tak odparłam, że muszę się zastanowić. Nigdy nie byłam typem osoby, która lubi udzielać porad, i wątpiłam, czy mam odpowiednie kwalifikacje na to stanowisko. Kitty uznała, że moje opory to tylko poza, że udaję trudną do zdobycia, więc zaczęła mnie uwodzić wylewnymi mailami

i kwiatami. Raz nawet posłaniec dostarczył mi świecę zapachową. Nie przywykłam do tego, że ktoś obdarza mnie względami i się o mnie stara. Było to lekko odurzające uczucie.

Minęły trzy lata, od kiedy przyjąłam tę pracę; trzy lata odpisywania w kafejce na wiadomości. Dotarłam na comiesięczne spotkanie z Kitty i wysiadłam z windy na trzydziestym piętrze, gdzie powitały mnie ogromne okładki „Stokrotki”, których zadaniem było zapewne wzbudzenie szacunku konkurencji, zupełnie jak budowle i pomniki w Waszyngtonie. Usiadłam na małej sofce w kształcie ust przed biurkiem Kitty i czekałam. Nasze spotkania rzadko trwały dłużej niż dziesięć minut, ale nigdy nie udało mi się wyjść z Austen Tower przed upływem minimum dwóch godzin, wszystko przez zwariowany grafik szefowej. Wolałabym umawiać się z nią na telefon, ale ona nalegała na spotkania twarzą w twarz.

Podczas gdy ja czekałam na sofie, asystent Kitty, Eladio, grał na komputerze. Kiedy po raz pierwszy odwiedziłam redakcję, zaprowadził mnie do sali konferencyjnej z ogromnymi oknami, z których roztaczał się panoramiczny widok, i pokazał mi palcem maleńkich jak główki szpilek ludzi na chodniku w dole.

– Kocham tu pracować – powiedział – bo mogę na wszystkich patrzeć z góry.

Był jedynym mężczyzną w zespole składającym się z dwudziestu jeden białych kobiet; był też Latynosem i gejem, trzy mniejszości odhaczone za jednym zamachem. Raz powiedział mi, że co miesiąc przez kilka dni jest rozdrażniony i stroi fochy, potrafi wybuchnąć gniewem bez żadnej prowokacji – wszystko dlatego, że wpływają na niego zsynchronizowane okresy kobiet pracujących w magazynie; fala hormonów po prostu unosi go ze sobą, nie bacząc na biologiczną zasadność. Trzymał na biurku pudełko z zestawem witamin dla miesięczkujących kobiet, lecz w rzeczywistości wypełniały je żelki. Kitty napisała raz swoim czytelniczkom, że cykle miesięczne członkiń jej zespołu zbiegają się w czasie za sprawą księżyca. Twierdziła, że ten masowy upływ krwi co miesiąc powoduje przepełnienie koszy na śmieci w damskiej toalecie.

Czekając na nią, przeglądałam ostatni numer „Stokrotki” i szukałam w stopce redakcyjnej swojego imienia i nazwiska, które zostanie wydrukowane w ponad milionie egzemplarzy i rozwieszone po całej Ameryce Północnej – specjalna asystentka redaktor naczelnej: Alicia Kettle. Alicia to moje prawdziwe imię, ale nikt nigdy mnie tak nie nazywał.

Wreszcie pojawiła się Kitty. Wbiegła do gabinetu i rzuciła na biurko całe naręczce magazynów i dokumentów.

– Plum, wchodź!

Miała na sobie czarne płócienne spodnie i krótką koszulkę, częściowo odsłaniającą brzuch. W jej pępku błyszczał czerwony kryształek, który wyglądał jak zabłąkane hinduskie bindi. Usiadłam naprzeciwko niej, podczas gdy ona porządkowała bałagan na biurku.

– Daj mi tylko chwilkę – rzuciła, czytając coś uważnie z zielonej przyklejanej karteczki.

Za oknem jej gabinetu zawisł helikopter ekipy od informacji o ruchu drogowym, czarny i owadopodobny, jak gigantyczna mucha. Zamknęłam oczy. W Austen Tower zawsze czułam niepokój, a czasem nawet zawroty głowy i mdłości. Nie lubiłam przebywać tak wysoko nad ziemią, zawieszona w powietrzu, za podporę mając jedynie beton i stal. Przymknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że podłoga pod moimi stopami znika, a ja spadam na ziemię.

– Plum? – Kitty stała za biurkiem i patrzyła na mnie, ściągając brwi ze zdziwienia.

Miała w sobie coś, co przykuwało uwagę, choć chyba lepiej było podziwiać ją z pewnej odległości. Kiedy tak stała na tle okna w promieniach popołudniowego słońca, które sprawiały, że wyglądała prawie jak czarny kontur – widać było tylko rude loki Meduzy wieńczące smukłe ciało – odniosłam wrażenie, że mam halucynacje albo patrzę na jakiś rysunek Edwarda Goreya.

Zaczęła trajkotać coś o wrześniowym numerze, przekazując mi pakiet informacji o artykułach, rubrykach i stronach z modą. Był to numer powakacyjny, najważniejszy w całym roku. Kitty zawsze opowiadała mi takie rzeczy, choć w magazynie nie publikowano moich tekstów. Podsuwałam jej pomysły na artykuły w nadziei, że wreszcie będę się mogła zająć prawdziwym pisaniem, lecz Kitty nigdy nie przydzieliła mi żadnego tematu.

Kiedy wreszcie nadszedł czas, by omówić jej korespondencję, usiadła za biurkiem w gotowości do robienia notatek. Opisałam główne tematy wiadomości z ostatniego miesiąca. Nie prowadziłam oficjalnych rejestrów, po prostu przekazywałam swoje ogólne wrażenia.

– Miałyśmy sporo zyleciarek.

– Zyleciarki – powtórzyła Kitty, notując.

– I zaburzeń żywienia – dodałam.

Kitty dalej pisała.

– Zaburzenia żywienia – powtórzyła i skinęła mi głową, żebym mówiła dalej.

– Pytania dotyczące kobiecej anatomii.

Kitty machnęła ręką, jakby chciała odpędzić moje słowa niczym muchę.

– Z tym zawsze jest problem. Grupy rodzicielskie groziły, że wezmą nas na celownik, jeśli użyjemy słowa „pochwa”. Lepiej po prostu go unikać. Choć oczywiście utrudni nam to pracę nad artykułem o tamponach. Właśnie sobie o tym przypomniałam. – Kitty odchyliła się w fotelu z miną, jakby to wszystko ją przytłaczało. – Eufemizmy, oto, czego nam potrzeba.

Wyjrzała za drzwi w stronę Eladia.

– Wymyśl jakieś eufemizmy na pochwę! – krzyknęła do niego.

– Cipuszka?

– Nie, nic seksualnego. To muszą być terminy medyczne. Zrób listę i wyślij ją do autorki artykułu o tamponach. Powiedz, że nie może się posługiwać słowem „pochwa”. I prześlij to również do Plum, może będzie chciała skorzystać.

Trudno było uwierzyć, że wszyscy troje zajmowaliśmy się właśnie prawdziwą pracą, za którą dostawaliśmy pieniądze. Nie mogłam się doczekać, kiedy opowiem o tym Carmen.

Kitty odwróciła się z powrotem do mnie.

– Świetnie, cieszę się, że możemy zamknąć ten temat – stwierdziła, choć nie skończyłam jeszcze listy zagadnień, którą ułożyłam w głowie. – Tak między nami, wiem, że niektóre części magazynu to zwykłe głupotki, ale nasze czytelniczki to *prawdziwe* dziewczęta z *prawdziwymi* problemami. Naprawdę wierzę, że możemy im pomóc. Lubię myśleć, że twoja i moja praca to dla nich anegdotum na całe zło tego świata. Czekaaj, nie, miałam na myśli antidotum.

Kiedy to powiedziała, wyobraziłam sobie ukąszenie na dziewczęcej kostce, jakby ślad po kłach węża, które wbiły się głęboko w ciało.

Kitty umiała sprawić, że te dziewczyny wydawały się prawdziwymi ludźmi, podczas gdy dla mnie aż nazbyt często były tylko armią irytujących upartych mrówek.

– Zawsze powtarzam: „Plum to ogniwo łączące nas z dziewczętami”. Twoja praca jest równie ważna jak praca każdej innej osoby w redakcji, choć nie widać jej w magazynie. – Kitty ciągnęła w tym tonie jeszcze przez trzydzieści sekund. Słowa spływały z jej ust niczym pasma waty cukrowej. – A teraz musimy omówić jeszcze jedną kwestię i już cię puszczam – oznajmiła wreszcie. – Do następnego numeru cały zespół ma przetestować różne produkty kosmetyczne: golarki, dezodoranty, błyszczyki do ust, spreje do włosów, takie tam. Powiemy dziewczętom, co było najbardziej skuteczne. Chcę, żebyś też wzięła w tym udział.

– Nie trzeba.

– O nie, absolutnie nalegam! To, że pracujesz z domu, nie znaczy, że nie jesteś jedną z nas. Wiesz, wczoraj wieczorem, kiedy testowałam żel do golenia, przytrafiło mi się coś bardzo dziwnego. Siedzę na brzegu wanny z wyciągniętą nogą, tak że opieram się stopą o umywalkę. Wyobrażasz sobie tę scenę?

Kitty miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, dlatego w mojej wyobraźni jej biała noga wyglądała niczym most z kości słoniowej ciągnący się nad przepaścią do umywalki.

– Więc golę sobie nogę i nawet nie zauważyłam, że zahaczyłam o maleńki strupek, który miałam na łydce. Golę dalej i nagle malutka kropelka krwi skapuje na białe płytki podłogi. Całą łazienkę mam na biało, więc ta kropla czerwieni była praktycznie jedynym kolorem. No więc gapię się na nią i nagle stwierdzam, że jest po prostu... tylko się nie śmieję... że jest taka *piękna*. Siedziałam i wpatrywałam się w nią. I pomyślałam: to moja krew. Jako kobiety co miesiąc widzimy swoją krew, ale tym razem nie było w tym nic obrzydliwego, wiesz? Więc znowu przesunęłam golarką po tym strupku i znowu na podłogę spadło kilka kropel, a trochę krwi spłynęło mi po łydce. Gdyby mój partner nie zapukał do drzwi, spędziłabym w ten sposób cały wieczór.

Kitty dalej opowiadała o krwi na białych płytkach, a kiedy ona mówiła, ja myślałam o jednym: „Kochana Kitty, lubię ciąć się żyłką po piersiach... Lubię przeciągać sobie żyłką wokół sutków i patrzeć, jak krew przesącza się przez biustonosz... Wiem, że to dziwne, ale robi mi się wtedy lepiej. Czuję ból, ale też przyjemność”.

Kitty wyszła, a ja znowu usiadłam na kanapie w kształcie ust, czekając na redaktorę z działu urody. Po jakimś czasie ogarnęły mnie zawroty głowy i nudności, tak jak przedtem w biurze Kitty, więc ruszyłam do łazienki. Szłam

krętymi korytarzami, na których wisiały wielkie powiększenia okładek magazynów – modelki z tymi swoimi nieobecnyimi oczami patrzyły z nich jak trofea ze ścian myśliwego. Przez całą drogę wbijałam spojrzenie w wykładzinę. W łazience przed lustrami i umywalkami stało kilka dziewczyn. Zamknęłam się w jednej z łososiowych kabin na samym końcu, po czym powoli wciągnęłam i wypuściłam powietrze. Mdłości się nasilały i poczułam, że coś mi się kotłuje w żołądku, obraca w nim jak samotna skarpetka pozostawiona w pralce. Zaczął mnie dławić odruch wymiotny i nachyliłam się nad muszlą klozetową, ale nic nie wyszło. Dziewczyny przy umywalkach umilkły i zawstydziłam się odgłosów, które wydawałam.

Kiedy mdłości przeszły, usiadłam na podłodze ubikacji, nie mając siły się podnieść, i wlepiłam spojrzenie w otaczającą mnie różowość. Dziewczyny wznowiły rozmowę, punktowaną szumem wody w umywalkach. Potem wszystko ucichło.

Drzwi do łazienki otworzyły się i zamknęły.

Oparłam głowę o ściankę kabiny, wdychając głęboko kwaśne powietrze toalety, od którego znowu zrobiło mi się niedobrze. Przesunęłam ręką, rozciągając trzy elastyczne gumki, które otaczały mnie w pasie: spódnica, rajstopy i majtki.

Drzwi do łazienki znowu się otworzyły i zamknęły.

– Nic ci nie jest? – powiedział czyjś głos. Brzmiał znajomo.

Pod drzwiami kabiny ujrzałam nogi zielone jak skóra arbuza i czarne glany z rozwiązanymi sznurówkami.

Czy to możliwe?

– Zostawiłam ci coś w kuchni – powiedziała dziewczyna i zniknęła.

Kiedy usłyszałam, że wyszła, podniosłam się z trudem i podeszłam do umywalki, żeby umyć ręce, wstrząśnięta spotkaniem z nią tutaj, w Austen Tower. Zastanawiałam się, czy nie będzie na mnie czekać w kuchni dla pracowników, ale kiedy tam doszłam, nikogo nie było. Rozejrzałam się dookoła, nie wiedząc, co takiego mogła dla mnie zostawić, aż nagle zauważyłam stolik na rzeczy do wzięcia.

Odkładano na niego to, czego nie wykorzystano do magazynu, każdy mógł zabrać, co chciał. Przekopałam się przez stertę drobiazgów: była tam torebka z ułamaną bambusową rączką, płatanina tanich plastikowych kolczyków, rozmaite szminki – nic, co wydawałoby się przeznaczone dla mnie. Obok stolika na podłodze stało pudło z książkami. Nachyliłam się, żeby je przejrzeć

– kilka romansów dla nastolatek, nieautoryzowana biografia jakiejś gwiazdy popu... i nagle to zobaczyłam.

Przygody w Krainie Diet.

Była to książka Vereny Baptist. Nazwisko autorki z niczym mi się nie kojarzyło, dopóki nie przeczytałam opisu na drugiej stronie okładki. Kiedy zdałam sobie sprawę, o kim mowa, zacisnęłam powieki. Może i znajdowałam się w Austen Tower, wisiałam w powietrzu, podtrzymywana jedynie przez beton i stal, ale myślami przeniosłam się na Harper Lane, do czasów dzieciństwa. Poczułam bolesne ukłucie, takie, jakie potrafią wzbudzić tylko wspomnienia. Jak ta dziewczyna się domyśliła? Przecież nie mogła tego wiedzieć.

Zajrzałam do książki, żeby sprawdzić, czy w środku nie kryje się jakiś liścik albo cokolwiek, co potwierdzi, że to naprawdę jedna ze wskazówek w urządzonych dla mnie podchodach, ale nic tam nie było. Wepchnęłam książkę do torby i ruszyłam do wyjścia, kiedy nagle drzwi otworzyły się na oścież.

– Wszędzie cię szukałam. – Asystentka szefowej działu urody wręczyła mi torbę wypełnioną produktami, które miałam przetestować.

– Wiesz może, czy pracuje tu taka dziewczyna w glanach i kolorowych rajstopach? – spytałam, odbierając od niej rzeczy. – Oczy ma mocno umalowane eye-linerem. Może jakaś stażystka?

Asystentka wzruszyła ramionami.

Wyszłam z kuchni i pospieszyłam do wind. Jadąc metrem do domu, otworzyłam *Przygody w Krainie Diet*. Pociąg szarpnął i ruszył ze stacji, nurkując w tunelu i unosząc mnie daleko od Austen Tower, a ja tymczasem po raz pierwszy czytałam słowa Vereny: *Przed moim urodzeniem mama była młodziutką smukłą dziewczyną.*

Od tego się zaczęło.

Alicia i Plum

Po czternastu godzinach jazdy samochodem z Boise do Los Angeles dotarliśmy wreszcie z matką na Harper Lane pod numer trzydzieści cztery. Twarze i ramiona miałyśmy opalone na różowo po podróży. Cioteczna babcia Delia i jej drugi mąż Herbert mieszkali w małym kamiennym domku o drzwiach obrobionych miejscowymi odmianami rdestu i bugenwilli, stojącym w ogródku, który zielenił się od palm i drzewek cytrynowych.

– Niedługo wrócić do domu, do taty – szepnęła do mnie Delia, kiedy wysiadałam z samochodu. – Twoja mama potrzebuje tylko trochę czasu.

Od kiedy jej syn Jeremy zaczął studia na Wschodnim Wybrzeżu, Delia mieszkała w domku przy Harper Lane sama, ale potem wyszła za Herberta, a jeszcze później przyjęła do siebie mamę i mnie. Matka objęła w posiadanie gabinet, w którym stały czarno-biały telewizor i wersalka. Mnie przydzielono wolną sypialnię od frontu, gdzie z okna było widać palmę daktylową, czy też raczej jej pień, pokryty trójkątnymi wzorami niczym szyja żyrafy.

Po wielu rozmowach telefonicznych z ojcem i obiecanej wycieczce do Disneylandu matka zamknęła się w gabinecie i przez resztę lata prawie go nie opuszczała. Jeśli chciałam z nią pobyć, wchodziłam na paluszkach do środka i przytulałam się do niej na łóżku. Panował tam mrok, bo zasłony były stale zaciągnięte. Nie widziałam jej więc, ale czułam jej dłoń na swojej głowie, kiedy bawiła się moimi włosami. Słuchałam szumu wiatraka w rogu pokoju, a mój nos wypełniał się wonią jej potu.

Za dnia Delia zarządzała restauracją. Herbert był na emeryturze i przesiadywał na kanapie, oglądając „swoje programy”, które rozpoczynały się rano od *Dobrej ceny* i trwały aż do kolacji. Nie wolno mu było przeszkadzać. Zaraz po naszym przyjeździe zabrał mnie do supermarketu i kupił mi stertę książek, wycinanki, papierowe laleczki, nowe rolki oraz skakankę, oczekując, że sama się sobą zajmę.

Któregoś popołudnia siedziałam przed domem pod palmą i czytałam jedną z nowych książek. W Kalifornii było gorąco, o wiele goręcej niż w Idaho, i zaczęłam fantazjować o lodach wiśniowych. Już miałam się podnieść, kiedy przed domem zatrzymał się niebieski samochód, w którym siedziały dwie kobiety. Jedna z nich wychyliła się przez okno od strony pasażera z wielkim czarnym aparatem i wcisnęła kilkakrotnie guzik migawki. Kiedy skończyła, wsunęła się z powrotem do środka i samochód odjechał szybko, pozostawiając za sobą tylko echo śmiechu obu kobiet.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu czegokolwiek, co było godne uwiecznienia, ale nic nie zobaczyłam. Czyżbym to ja była tematem zdjęć? Weszłam do salonu i zaczęłam wyglądać zza kotar, zastanawiając się, czy kobiety nie wróca.

Herbert zdawał się mnie nie zauważać, kiedy usiadłam przy nim na kanapie. Na stoliku, na programie telewizyjnym, leżały jego okulary do czytania w futerale z wężowej skóry. Próbowałam wrócić do lektury, ale oklaski w teleturnieju nie pozwalały mi się skoncentrować. Rozsunęłam zasłony i wyjrzałam na ulicę – nikogo tam nie było. Wyszłam z lodem na dwór i usiadłam pod drzewem, rozrywając lepki papierek i zlizując z palców czerwone krople.

Przed domem zatrzymał się żółty kabriolet. Jakaś dziewczyna wychyliła się z fotela pasażera i pstryknęła kilka zdjęć. Spojrzała na mnie i się roześmiała, a potem kabriolet odjechał i podmuch wiatru poderwał jej jasne włosy do góry, tak że wyglądały jak płomień.

Kiedy szum silnika ucichł i znowu zapanował spokój, rzuciłam loda na piasek. Co ta dziewczyna zobaczyła? Chciałam pobiec do matki, ale ona siedziała w zaciemnionym pokoju.

– Herbercie? – powiedziałam, wchodząc do środka.

On jednak mnie splawił. Przez resztę popołudnia kryłam się w ogródku na tyłach domu, siedząc ze swoimi książkami w małym baseniku – betonowej skorupie bez wody.

Przez kilka dni unikałam frontowego ogrodu, ale nie lubiłam przesiadywać za domem, bo było tam ciasno. W jednym rogu rosła kępa bambusów, w innym stały meble ogrodowe, a na środku ziała betonowa dziura. Kiedy znudziło mi się czytanie, a kredki zaczęły mięknąć w upale, założyłam rolki, sądząc, że betonowa niecka pustego basenu to idealne miejsce do jazdy. Herbert jednak zobaczył mnie przez kuchenne okno i krzyknął, że połamię sobie nogi.

Za pojemnikiem na chleb w kuchni ukrywał zapasy biszkopcików z nadzieniem i placuszków z owocami. Podkrađłam jeden biszkopczyk i przeszłam w rolkach przed dom. Kiedy sunęłam w kierunku skrzynki na listy, z ustami pełnymi żółtego biszkopta i kremowego nadzienia, przed domem przystanął kolejny samochód i domyśliłam się, co się zaraz stanie. Jakiś mężczyzna wysiadł na zewnątrz, zrobił kilka zdjęć, po czym odjechał.

Wieczorem, kiedy Delia wróciła z pracy, zastała mnie pochyloną nad książką przy kuchennym stole.

– Czemu nie jesteś na dworze, laleczko?

Wzruszyłam ramionami. Nie chciałam jej mówić, że ludzie się na mnie gapią i robili mi zdjęcia, a niektórzy nawet się śmiali.

Na kolację mieliśmy jak zwykle jedzenie z restauracji. Delia wyjęła styropianowe pojemniki z brązowej papierowej torby i postawiła je na stole. Zjadłam kanapkę z wołowiną, serem i kapustą, a także sałatkę coleslaw – dziwne jedzenie, którego matka nigdy nie przyrządzała w domu. Nie dołączyła do nas na posiłek, więc siedziałam sama z Delią i Herbertem, którzy rozmawiali o dorosłych sprawach. Wyglądałam od stołu przez frontowe okno, ciekawa, czy nie pojawią się następne samochody. Ale nikt nie przejeżdżał.

Po kolacji Delia i Herbert poszli posiedzieć przy winie na tylnym patio, a mnie pozwolono pooglądać w salonie telewizję. Siedziałam w kraterze wysiedzianym przez Herberta na zielonej kanapie. Obejrzałam dwa seriale komediowe, a przed rozpoczęciem trzeciego poszłam do kuchni po szklanekę mleka. Wracając do salonu, podniosłam ją do ust i nagle zobaczyłam za oknem jakiegoś mężczyznę. Był wielki, przesłaniał cały widok. Nasze oczy się spotkały, a wtedy mężczyzna uciekł do swojego samochodu i odjechał.

Odstawiłam mleko na stolik, wylewając trochę na program telewizyjny Herberta, i pobiegłam do sypialni. Już w łóżku, schowana bezpiecznie pod kołdrą, zaczęłam się zastanawiać, kim są ci ludzie. I dlaczego się na mnie gapią.

Jeszcze zanim przeniosłyśmy się na Harper Lane, obawiałam się, że coś jest ze mną nie tak. Kiedy jeździliśmy w odwiedziny do krewnych, kuzyni śmiali się ze mnie i nazywali mnie Panną Piggy, póki nie uciszał ich chór matek. W pierwszej klasie, w grupie panny Palmer, dwie dziewczynki, które siedziały obok mnie, Melissa H. i Melissa D., powiedziały, że nie zaproszą mnie na halloweenowe przyjęcie, bo roznoszę zarazki tłuszczu. Kiedy spytałam matkę, co to znaczy, kazała mi nie zwracać na nie uwagi.

Nie wiem, co widzieli inni ludzie, kiedy na mnie patrzyli. Sama nie dostrzegałam tego w lustrze. A teraz, w domu Delii, było jeszcze gorzej. Robiono mi zdjęcia, a ja nawet nie wiedziałam dlaczego. W ciągu dnia chowałam się w sypialni i patrzyłam, czy ktoś się nie zjawi. Raz, kiedy bałagałam w kuchni, szykując sobie kanapki z masłem arachidowym i galaretką, dwie dziewczyny przelazły przez ogrodzenie za domem. Upuściłam nóż i zaczęłam krzyczeć. Herbert wypadł przez tylne drzwi i przegonił intruzki.

– Cholerni turyści! – krzyknął.

Wyjrzałam przerażona na zewnątrz. Herbert wrócił do domu i zmierzwił mi włosy.

– Nie zwracaj na nich uwagi, malutka.

„Nie zwracaj na nich uwagi”. To samo mówiła matka.

Trzymałam się z dala od okien, żeby nikt mnie nie widział. Większość dnia spędzałam na podłodze salonu, owinięta w koc, żeby osłonić się przed chłodem klimatyzatora, i oglądałam z Herbertem jego teleturnieje. Kiedy matka wychodziła ze swojego pokoju do kuchni, mówiła, że za dużo przesiaduję w domu.

– Nie ona jedna – skomentował Herbert.

On i Delia zabrali mnie do Searsa i kupili mi rower z fioletowymi frędzlami zwisającymi z uchwytów kierownicy. Kiedy wróciliśmy do domu, spodziewali się, że od razu zacznę jeździć na nim po ulicy, więc zaczęłam to robić. Wytrzymałam godzinę, aż przed domem zatrzymała się srebrna furgonetka, w której siedzieli mężczyzna i kobieta.

– Dzień dobry, *malynka* – powiedział mężczyzna dziwnym głosem.

Wróciłam do domu zapłakana.

– Co się stało, skarbie? – spytała Delia, podchodząc i przesuwając akrylowymi tipsami po moich plecach. – Przewróciłaś się na rowerze?

– Ludzie się na mnie gapią.

– Jacy ludzie?

– W samochodach. Podjeżdżają pod dom i robią mi zdjęcia.

Delia wybuchła śmiechem, unosząc rękę do ust i zasłaniając je paznokciami w odcieniu zimnego rózu.

– Kochanie, oni nie robią zdjęć tobie. Fotografują ten dom. Żyła w nim kiedyś pewna sławna pani. Mieszkam tu od tak dawna, że już nawet nie zwracam uwagi na tych wariatów.

I opowiedziała mi o Myrnie Jade, gwiazdce niemego kina z lat dwudziestych. Powiedziała, że kiedy kupowała działkę, nie miała pojęcia o istnieniu takiej aktorki.

– Ten dom to była zwyczajna rudera. Zupełnie się rozwaliała. W życiu nie przyszłoby ci do głowy, że mogła tu mieszkać wielka gwiazda.

Myrna Jade popadła w zapomnienie, a jej filmy przestały się cieszyć zainteresowaniem, dopóki w latach siedemdziesiątych jakiś historyk nie napisał o niej książki, którą w następnej dekadzie zaadaptowano na popularny film.

– Myrnomania – skwitowała to Delia. – Teraz mój dom figuruje na mapkach gwiazdorskich rezydencji i ludzie kręcą się tu o każdej porze dnia i nocy. Przeważnie Europejczycy. Wiem, że to denerwujące, laleczko. Wierz mi, doskonale to rozumiem, ale nic na to nie poradzimy, więc nie zwracaj na nich uwagi.

Nie byłam pewna, czy jej wierzę. Sądziłam, że gwiazdy filmowe mieszkają w zamkach, a nie w małych kamiennych domkach. Zastanawiałam się, czy Delia nie próbuje mnie w ten sposób pocieszyć. Resztę wieczoru spędziłam w swoim pokoju, a kiedy nadeszła pora iść spać, przebrałam się w piżamę i wyjrzałam na dwór. Flesz. *Trzask*. A potem znowu. *Trzask*. *Trzask*. Jak elektryczne kwiaty na nocnym niebie.

Kobiety, które miałam przed sobą, były czarno-białe. Babka ze strony matki umarła przed moim urodzeniem, ale zostały po niej fotografie. Na mojej ulubionej babcia jest młodą dziewczyną, stoi ze swoją siostrą na Boardwalk w Atlantic City; trzymają się pod ramię i uśmiechają do obiektywu. Lubię sobie wyobrażać, że babcia spoglądała poprzez otchłań czasu na moją matkę i na mnie, choć wtedy nie mogła nas sobie nawet wyobrazić. Na tym zdjęciu była jeszcze nastolatką, z włosami obciętymi na pazia w stylu lat dwudziestych. Obie z siostrą miały na sobie sukienki w groszki. Obie też były pulchne. Nawet jako dziewczynka umiałam rozpoznać w nich podobieństwo do siebie. Wiedziałam, że jesteśmy ze sobą połączone, jak sznur okrągłych białych pereł rozciągający się w przeszłość.

Matka w dzieciństwie była tak samo czarno-biała jak one, ale nie okrągła. W dniu, kiedy się urodziłam, popatrzyła na mnie i od razu wiedziała, że będzie się do mnie zwracać imieniem innym niż to, które widniało w akcie urodzenia.

– Miałaś bardzo ciemne włoski – opowiadała. – I takie długie, że mogłam je okręcić na palcu. Twoja skóra była różowiotka. Byłaś taka soczysta i słodziutka, moja mała śliweczka.

Perła, śliwka – definiowała mnie krągłość.

Co roku w pierwszy dzień szkoły nauczycielka sprawdzała listę obecności, a kiedy docierała do mnie, mówiła: „Alicia Kettle?”. I wtedy musiałam odpowiadać, że wszyscy mówią na mnie Plum.

Plum. Pulchna. Panna Piggy.

Alicia to ja, ale nie ja.

Mieszkałyśmy w domu na Harper Lane przez pięć miesięcy, a potem przeniosłyśmy się do własnego mieszkania. Ojciec został w Idaho i rodzice się rozwiedli. Sekretarska pensja mamy z uniwersyteckiego Wydziału Biologii starczała na wynajem mieszkanek wyłożonego ciemnym drewnem, które zasysało wszelkie światło. Na podłogach leżała wykładzina pomarańczowa jak wymiociny. Mieszkałyśmy tam przez kilka lat, do czasu, kiedy Herbert zmarł na udar. Delia nie mogła znieść samotności, więc poprosiła, żebyśmy przeniosły się na powrót do domku osaczonego przez gapiów uzbrojonych w aparaty.

Matka tłumaczyła, że szkoły w okolicy Delii są lepsze. Cieszyła się, że może uciec z osiedla, gdzie w basenie unosiły się brudne pieluchy. Podjęła decyzję i wróciliśmy.

W domu na Harper Lane znajdowałyśmy się pod stałą obserwacją. Przy śniadaniu podnosiłam wzrok znad owsianki i widziałam za oknem kogoś, kto uciekał jak spłoszona mysz, kiedy mój kapeć uderzał w szybę. W sypialni zawsze zaciągałam zasłony, ale wiedziałam, że ci ludzie nadal tam są. Delia i matka sprawiały wrażenie, jakby nie przeszkadzały im spojrzenia i obiektywy obcych. Mogły przed nimi uciec, wystarczyło, że wyszły z domu – dla nich była to tylko chwilowa niedogodność.

Ja jednak nie mogłam się ukryć. W szkole również czułam się osaczona. Gapiów było tak wielu, że nigdy nie wiedziałam na pewno, kto konkretnie na mnie patrzy. Przez cały dzień miałam ochotę odwrócić się i uciec, zamknąć się w sobie jak kwiatowy pąk w cieniu.

To, co się działo w szkole, trzymałam w sekrecie. Czasem po zajęciach znajdowałam czyjaś ślinę we włosach albo przyczepioną na plecach kartkę z napisem: PRZELEĆ MNIE, ZROBISZ MI PRZYŚŁUGĘ! W pierwszej klasie liceum, kiedy jedną starszą dziewczynę zgwałcono na parkingu za supermarketem, szkoła zorganizowała zajęcia z samoobrony dla uczennic. Gdy na nie przyszłam, dwie dziewczyny zachichotały i powiedziały na tyle głośno, że wszyscy usłyszeli:

– A kto niby chciałby ją zgwałcić?

Kiedy rozmawiałam przez telefon z ojcem, pytałam: „Tato, czy myślisz, że jestem ładna?”. Wiedziałam, że powie „tak”, bo był moim ojcem.

W drugiej klasie jeden chłopak zaprosił mnie na szkolny bal. Byłam podejrzliwa w stosunku do chłopców, bo nigdy nie poświęcali mi żadnej uwagi, chyba że chcieli obrzucić mnie wyzwiskami albo zrobić coś jeszcze gorszego. Mama jednak nalegała, żebym poszła. Podwiozła mnie pod salę gimnastyczną i przez ponad godzinę czekałam na swojego towarzysza na parkingu, a zwiewny rąbek uszytej w domu lawendowej sukienki walał się w kałuży oleju silnikowego. Chłopak się nie zjawił i wszyscy o tym wiedzieli. Wszyscy mnie widzieli.

Chciałam się skurczyć, żeby nie mogli mnie zauważyć.

Gdybym była mniejsza, nie gapiliby się na mnie. Nie byłiby tacy okropni.

Siedziałam w kawiarni Carmen nad otwartym laptopem, ale nie mogłam się skupić na listach od czytelniczek Kitty. Książkę Vereny Baptist położyłam na pustym krześle obok siebie; poprzedniego dnia zdążyłam przeczytać kilka rozdziałów. Nie mogłam przestać na nią zerkać: *Przygody w Krainie Diet*. Nie była to pozycja, po którą sama bym sięgnęła, ale mimo to miałam ochotę wrócić do domu i pochłonąć ją za jednym zamachem. Nie wiedziałam, czemu ta dziewczyna ją dla mnie zostawiła ani jakim cudem znalazła się w Austen Tower. Wydawało się niemożliwe, że pochodziła ze świata Kitty, a jednak była w jej biurze. Od tamtej pory jej nie widziałam, więc zastanawiałam się, czy skończyła już te swoje gierki.

Od kiedy mój wzrok spoczął na okładce i na nazwisku autorki – Verena Baptist – tkwiłam myślami na Harper Lane. Ta dziewczyna nie mogła nic wiedzieć o mojej przeszłości ani o tym, że należałam do baptystów, ale przez nią zaczęłam wracać myślami do czasów, kiedy byłam w wieku dziewcząt Kitty. Odsunęłam laptopa na bok i znowu wzięłam się do czytania. Wspomnienia nie były przyjemne, ale książka nie pozwalała mi ich od siebie odsunąć.

Baptystką zostałam wiosną w trzeciej klasie liceum. Złapała mnie grypa i przez trzy dni siedziałam w domu, oglądając na okrągło telewizję. Osobistości zaludniające ją w środku dnia były mi nieznane, zwłaszcza uśmiechnięci sprzedawcy reklamujący produkty, z których istnienia nawet nie zdawałam sobie sprawy. Nigdy wcześniej nie słyszałam o Eulayli Baptist, ale teraz zobaczyłam ją w serii reklamówek Programu Odchudzającego Baptist. O nim też nigdy nie słyszałam.

W każdej z reklam ekran wypełniało zdjęcie dawnej Eulayli. Była na nim ogromna – ubrana w spłowiałe džinsy, zasłaniała twarz przed obiektywem. Jej głos zza kadru mówił: „Oto ja, Eulayla Baptist. W tamtych czasach byłam tak gruba, że nie mogłam nawet pobawić się z córką”. W tle narastały smutne dźwięki skrzypiec. Muzyka osiągała crescendo w momencie, kiedy szczupła Eulayla wdzieriała się przez fotografię, rozrywając ją na strzępy. Stawała w pozie „tadam!”, z rękami wyciągniętymi do góry.

Cięcie i Eulayla siedziały już przy zalanym słońcem stole nakrytym obrusem w czerwonej kratkę. „Wybierz program Baptist, a już nigdy nie będziesz musiała się głodzić. Na śniadanie i lunch wypij pyszny koktajl o smaku prawdziwych brzoskwiń z Georgii. Na kolację masz nieskończone

możliwości. Ja zajadam właśnie kurczaka z kluseczkami”. Eulayla, z jasnymi włosami upiętymi w ciasny francuski kok i obowiązkowym złotym krzyżykiem na szyi, odkładała widelec i spoglądała w kamerę, która robiła zbliżenie na jej twarz. „W Programie Baptist nie musisz chodzić na zakupy ani gotować. Zapewnimy ci wszystko, czego będziesz potrzebować, z wyjątkiem determinacji. Ten magiczny składnik zależy tylko od ciebie”.

Pojawiała się na ekranie co jakieś dwadzieścia minut, wdzierając się przez zdjęcie ogromnych džinsów. W reklamach towarzyszyły jej inne rozdieraczki zdjęć, którym już udało się schudnąć. Była wśród nich Rosa, dwadzieścia trzy lata: „Wolałabym umrzeć jako stara panna niż wyglądać grubo w sukni ślubnej”. Smutne skrzypce i *trach!* Rosa była już szczupła. Macy, pięćdziesiąt siedem lat: „Mąż chciał się wybrać w rejs statkiem, ale ja powiedziałam, że nie ma mowy! Moje uda nie zmieściłyby się w żadne szorty!”. Smutne skrzypce i *trach!* Macy była szczupła. Cynthia, czterdzieści jeden lat: „Kiedy mój mąż zginął w katastrofie samolotu sto dziewięćdziesiąt jeden, zaczęłam pochłaniać co najmniej dziesięć tysięcy kalorii dziennie. Gdyby Rodney wciąż żył, wstydziłby się ze mną pokazać”. Smutne skrzypce i *trach!* Cynthia była szczupła.

Godzinami tkwiłam przed telewizorem, czekając na te reklamy. Całkowicie mnie oczarowały. Wyciągnęłam szkolny album z dziesiątej klasy i popatrzyłam na swoje zdjęcie na stronie czterdziestej drugiej. Podpis głosił: „Alicia Kettle przygotowuje w bibliotece swój projekt naukowy”. Wyobraziłam sobie, że widzę to zdjęcie w telewizji: ja w wiecznej czarnej sukience, z wałkiem tłuszczu pod brodą. *Trach!* Wymazałabym tę ohydłą grubaskę.

Postanowiłam, że zostanę baptystką, i zapisałam sobie numer na połączenie bez dodatkowych opłat, choć wiedziałam, że matka będzie próbowała mnie powstrzymać. W sprawach wyglądu stała na stanowisku, że trzeba się pogodzić z tym, co Bozia dała, czy chodzi o wzrost, wagę, czy kolor włosów. Uważała, że większość cech fizycznych została nam dana raz na zawsze. „Jesteś piękna taka, jaka jesteś” – powtarzała w kółko i sprawiała wrażenie, jakby naprawdę tak sądziła. Raz, kiedy pokłóciłyśmy się o dietę, powiedziała: „Wyglądasz jak babcia”. Co miało oznaczać: Wyglądasz jak babcia *i nic na to nie poradzisz*.

Nieważne, jak uparcie ją błagałam, nigdy nie pozwalała mi się odchudzać. Mama mojej koleżanki Nicolette była członkinią Strażników Wagi. Skopiowałam sobie jej materiały i trzymałam je w ukryciu. Usiłowałam samodzielnie stosować dietę punktową, ale nie wiedziałam, ile kalorii mają

potrawy przynoszone przez Delię z restauracji, czy były to lazanie, czy zapiekanka z kurczaka. Zawierały za dużo składników, żeby to przeliczyć. Jadłam mniejsze porcje i czasem rezygnowałam z obiadu w szkole, ale nie znosiłam uczucia głodu. W szkole było kilka dziewczyn, które się głodziły, lecz nie miałam pojęcia, jak im się to udaje. Kiedy byłam głodna, nie potrafiłam się skupić, a potrzebowałam koncentracji, jeśli chciałam mieć dobre stopnie.

Reklamy w telewizji twierdziły: „Baptystka nigdy nie chodzi głodna!”. To była jedna z rzeczy, które zainteresowały mnie w tej diecie. Nie wiedziałam, jak zapłacić za udział w programie, ale musiałam znaleźć jakiś sposób. Ten tajny plan budził we mnie euforię. Wieczorem w dniu balu dla trzecioklasistów matka zabrała mnie na kolację. Kiedy wróciliśmy do domu, zastałyśmy w ogródku klęczącego mężczyznę, który oddawał hołd Myrnie Jade. Kiedy mnie zobaczył, zrobił mi zdjęcie.

– Śliiiiiczna dziewczuszka – powiedział.

Nikt poza rodzicami i Delię nigdy nie nazwał mnie śliczną, więc zrobiło mi się przyjemnie. Od kiedy postanowiłam zostać baptystką, nastąpiła we mnie jakaś przemiana. Sama myśl o odchudzaniu sprawiała, że czułam się lżejsza.

Nie dbałam o to, że nie idę na bal. Nie potrzebowałam balów ani chłopaków ze szkoły. Zbliżały się letnie wakacje, a potem ostatni rok liceum, po którym wybierałam się na studia do Vermontu. Dzięki diecie Baptist zamierzałam pojechać tam jako szczupła dziewczyna. Nikt nie będzie wiedział, że kiedykolwiek istniał ktoś taki jak tłusta Plum. W ogóle nie będę używać tego imienia. Stanę się Alicią, bo tak się naprawdę nazywam. A jeśli ktoś zapyta o Plum, będę odpowiadać: „Jaka Plum? Nie ma tu nikogo takiego”.

Trach!

Po szkole nie spotykałam się z koleżankami i nie chodziłam na żadne zajęcia dodatkowe. Odrabiałam lekcje. Zawsze rzetelnie się do nich przykładałam, nigdy nie trzeba mi było przypominać o nauce. Popołudniami, sama w domu na Harper Lane, siadałam przy stole w jadalni, zaciągałam zasłony i uczyłam się przy świetle lampy. Czasem ludzie pukali do drzwi albo rzucali kamykami w szyby. Szarpali klamki. Robiłam, co mogłam, żeby mnie nie widzieli.

Kiedy matka wracała z pracy, rozsuwała zasłony i wpuszczała słońce. „Taka piękna pogoda!” – mówiła, ale ja uciekałam w mrok swojego pokoju.

Któregoś dnia Delia zaproponowała, żebym po szkole przychodziła odrabiać lekcje do restauracji. Przypuszczałam, że omówiła tę kwestię z matką, ale powiedziała to tak, jakby dopiero co przyszło jej to do głowy.

Między porą lunchu a kolacji restauracja była praktycznie pusta. Siadałyśmy z Delią w boksie z czerwonymi winylowymi siedzeniami. Ona zajmowała się papierkową robotą, a ja lekcjami. Popijałyśmy dietetyczną colę z wysokich szklanek pełnych cytryny i lodu. Godzinami robiłam zadania z geometrii i czytałam grube rosyjskie powieści na zaawansowane zajęcia z literatury. Czasem dołączała do nas Nicolette i razem uczyłyśmy się chemii albo francuskiego.

Chodziłam tam codziennie już od kilku tygodni, kiedy nagle wpadłam na pewien pomysł. Zastanawiałam się, w jaki sposób zdobyć w tajemnicy fundusze na opłacenie Programu Baptist, i pomyślałam, że może mogłabym wykorzystać restaurację. Zaczęłam zaglądać na zaplecze i przypatrywać się, jak Elsa, szefowa kuchni, przygotowuje posiłki. Zadawałam jej pytania, jakby mnie to wszystko interesowało. Tak jak na to liczyłam, pozwoliła mi pomagać, nauczyła mnie siekania i obsmażania. Kiedy poprosiłam Delię, żeby mnie zatrudniła, zgodziła się i wieczorami przez kilka godzin pracowałam w kuchni, gdzie z radia leciała opera.

Po niecałym miesiącu, tuż przed rozpoczęciem wakacji, uzbierałam dość pieniędzy, by zapisać się do baptystów. Kiedy powiedziałam o tym matce, wybuchła awantura.

– To zbyt radykalne – oświadczyła matka.

Potem słyszałam, jak rozmawiają o tym z Delią za zamkniętymi drzwiami.

– Constance, zastanów się. Ona nie ma łatwo w życiu – powiedziała Delia.

Zrobiłabym to nawet bez zgody matki. Miałam siedemnaście lat i nie mogła mnie powstrzymać.

Jeden z oddziałów Programu Odchudzającego Baptist znajdował się w pobliżu restauracji. Okna były osłonięte białymi zasłonkami, żeby nikt nie mógł zajrzeć do środka. Po drodze minęłam dwie siłownie oraz przedstawicielstwa dwóch firm oferujących produkty odchudzające, Nutrisystem i Jenny Craig, ale nic z tego mnie nie interesowało. Mnie odpowiadał wyłącznie Program Baptist. W pierwszy dzień wakacji, z portfelem wypchanym zarobionymi w restauracji pieniędzmi, otworzyłam drzwi do kliniki, gdzie przywitał mnie naturalnych rozmiarów portret Eulayli Baptist trzymającej swoje ogromne dzinsy. Kiedy przestąpiłam próg, zadźwięczały dwa dzwonki, obwieszczając początek mojego nowego życia.

Zaprowadzono mnie z innymi nowymi członkiniami do zaciemnionego pomieszczenia, gdzie obejrzałyśmy film dokumentalny *Powtórnie narodzona*, opowiadający o założycielce programu. Były w nim ujęcia Eulayli jako Miss Georgii 1966 i uczestniczki konkursu Miss Ameryka. Kiedy wyszła za mąż i urodziła dziecko, bardzo przytyła i nie mogła zrzucić dodatkowych kilogramów. Próbowwała wszystkich możliwych diet, wpędziła się nawet w anoreksję, ale nic nie przynosiło długotrwałych rezultatów. W piąte urodziny swojej córki ważyła więcej niż kiedykolwiek. Dawna królowa piękności popadła w depresję i zaczęła mieć myśli samobójcze. Błagała męża, żeby zgodził się zapłacić za operację założenia opaski żołądkowej, ale odmówił. Jedna z ich sąsiadek zmarła po tym zabiegu i nie zamierzał pozwolić, żeby Eulayla podjęła takie ryzyko.

Allen Baptist, założyciel kwitnącej wspólnoty ewangelickiej na przedmieściach Atlanty, której ze względu na istniejący już odłam nie mógł nazwać Kościołem Baptistów, był głęboko oddany małżonce i rozpaczliwie pragnął jej pomóc. Zatrudnił kuzynkę, która miała zamieszkać z rodziną, gotować dla Eulayli i pilnować, żeby ta nie jadła zbyt wiele. Uznał, że żona powinna całkowicie oderwać się od spraw związanych z jedzeniem. Kuzynka szykowała wszystkie posiłki, tak że Eulayla nie musiała robić zakupów spożywczych ani wchodzić do kuchni. Baptist podjął też drastyczne kroki w rodzaju zamykania lodówki na kłódkę. Trzymał żonę z dala od restauracji. Eulayla przestała spotykać się ze znajomymi i nawet uczęszczać do kościoła. Po okolicy rozeszły się plotki, że umarła.

Po dziewięciu miesiącach piekła, podczas których żywiła się wyłącznie jajkami na twardo, chudą pieczeńią wołową i twarogiem z brzoskwiniami z puszki, straciła wreszcie te pięćdziesiąt kilogramów, które niszczyły jej

życie. Porównywała ten proces do powtórnych narodzin. Wtedy właśnie odkryła w sobie powołanie do tego, by pomagać innym w pokonywaniu apetytu i realizowaniu swojego prawdziwego potencjału, tak jak sama to zrobiła¹.

Przy niechętnym wsparciu męża ułożyła plan założenia sieci klinik, w których pacjenci zaopatrywaliby się w niskokaloryczne koktajle i mrożone kolacje oraz dostawaliby specjalny program ćwiczeń. Baptyści mieli nie gotować i nie robić zakupów spożywczych; w ogóle mieli nie myśleć o jedzeniu z wyjątkiem chwil, kiedy przychodziła pora na wypicie koktajlu albo odgrzanie posiłku. Pierwsza klinika Programu Odchudzającego Baptist została otwarta w Atlancie w roku 1978. Do lat dziewięćdziesiątych, kiedy sama dojrzałam do tego, żeby się zapisać, na całym świecie powstało ponad tysiąc oddziałów.

Gdy film dobiegł końca i zapaliły się światła, czekałyśmy, aż ktoś wyjaśni nam dokładnie co i jak. Tymczasem na ekranie leciały zapętlone reklamy z rozdzieranymi zdjęciami. Wśród najnowszych członkiń klubu były wyłącznie kobiety, kilka z nich nawet całkiem szczupłych. Nie rozumiałam, po co tam przyszły, ale wszystkie zachowywały się wobec mnie przyjaźnie, jakby łączył nas ten sam problem².

Prowadząca naszą grupę Gladys przyszła, aby się przedstawić. Była to czarnoskóra kobieta ze staromodną natapirowaną fryzurą. Nosiła pantofle, które przy chodzeniu wydawały odgłos spuszczanego powietrza. Nieustannie się uśmiechała, rozdając nam segregatory, informatory oraz laminowane karteczki ze Ślubowaniem Baptysty, które miałyśmy schować w portfelach i powiesić na lodówkach:

Baptysta ma traktować swoje ciało jak świątynię. Aby odnieść sukces, baptysta musi stosować w swoim życiu trzy zasady. Zasada pierwsza: nie będę zatruwać swojego ciała tuczącymi i niezdrowymi pokarmami. Zasada druga: będę regularnie ćwiczyć. Zasada trzecia: będę szerzyć przesłanie baptystów wśród innych.

© Program Odchudzający Baptist SA

Zebrałam wszystkie materiały, karty oraz ulotki i umieściłam je w moim pięknym nowym segregatorze. Byłam ogromnie podekscytowana, że oto stałam się członkiem rodziny Eulayli. Bo tak właśnie nas nazywała: swoją rodziną.

Już po rozpoczęciu spotkania do sali wpadła jakaś kobieta, przepraszając

za spóźnienie. Usiadła obok mnie w ostatnim rzędzie. Nazywała się Janine, była wysoka i grubokoścista, z jasnymi włosami przypominającymi kłaczki bawełny. Jej ubiór zszokował nas tak, jakby była naga. Miała na sobie kolorową sukienkę w kwiatowy wzór, różowe rajstopy oraz pantofle na obcasie, wielkie jak kajaki – wyglądały jak buty Myszki Minnie. Żadna z pozostałych nowo nawróconych baptystek nie nosiła jasnych kolorów, wszystkie ubrane byłyśmy w przygnębiające odcienie pochmurnego dnia. Patrząc na Janine, czułyśmy się tak, jakbyśmy spoglądały prosto w słońce.

Nie byłam zadowolona, że usiadła akurat przy mnie, bo razem wyglądałyśmy jak para Humptych Dumptych. Podczas części poświęconej na rozmowę z siedzącymi obok osobami Janine zachowywała się, jakbyśmy były takie same. Nawet zaprosiła mnie na kawę, ale powiedziałam, że coś już sobie zaplanowałam. Nigdy nie miałam grubej koleżanki i nie chciałam mieć.

Przez całe spotkanie ciągle się udzielała, wtrącając uwagi w rodzaju: „Wszyscy w mojej rodzinie są grubi i uważają, że dieta to strata czasu”. Gladys wzdrygała się na jej słowa i nieustannie ją poprawiała. Nauczyłyśmy się, że należy mówić „z nadwagą” albo „otyła”, nie „gruba”. Nie wolno nam też było używać słowa „dieta” – w zamian miałyśmy posługiwać się terminami takimi jak „plan”, „program” lub „zdrowe żywienie”.

Pod koniec spotkania Gladys rozdała nam broszury w okładce opatrzonej tytułem: *Kiedy będę szczupła...*TM. Było tam też zdjęcie dwóch uśmiechniętych kobiet z torbami zakupów. Gladys powiedziała, że co tydzień mamy coś w tych broszurach zapisywać. W środku, na górze pierwszej strony, znajdował się nagłówek *Kiedy będę szczupła...*TM, a pod nim pięć pustych linijek z podpowiedziami tematów takich jak romantyczny związek, kariera i moda. Gladys poleciła nam zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że jesteśmy szczupłe. Kazała nam wypisać pięć rzeczy, które będziemy mogły robić, kiedy schudniemy, a których nie mogłyśmy robić z nadwagą.

Pozostałe kobiety i ja zaczęłyśmy pisać, ale Janine zrobiła osłupiałą minę.

– To chyba jakieś żarty – oświadczyła. – Przyszłam tu, żeby stracić kilka kilogramów, bo bolą mnie plecy. A wy mi tu wciskacie jakieś chore pierdoły, żebym znienawidziła samą siebie?

Kartkowała notes, czerwieniejąc na twarzy i dysząc z wściekłości.

– Uwaga na język – upomniała Gladys. – Baptistki nie używają wulgaryzmów.

Janine wwierciła się w nią spojrzeniem; jej oczy ciskały pioruny zza wysadzanych brylancikami okularów w kształcie kocich oczu.

– Jaja sobie robisz? – I cisnęła swoją broszurką *Kiedy będę szczupła...*TM w Gładys, która zdębiała ze strachu i podniosła tylko ręce, żeby się osłonić.

Janine wyszła, zatraskując z hukiem drzwi. W pokoju zapadła cisza, podczas której kontemplowałyśmy nagłe wyjście tej hałaśliwej, rozeźlonej kobiety. Była wielka i niemiła. Żadna z nas nie chciała być taka jak ona.

Kiedy przyszła moja kolej na indywidualne spotkanie z Gładys, raz po raz przepraszała mnie za „ów niefortunny incydent”.

– W naszej klinice podejmujemy radykalne afirmujące działania – powiedziała. – Dbamy o nasze ciała. Ludzie pokroju *tej kobiety* odbierają to jako zagrożenie. Ona jest jak alkoholiczka albo narkomanka, całkowicie wypiera ze świadomości to, że ma problem. Pewnie wkrótce umrze. – Gładys zdawała się rozkoszować tą myślą.

Oprowadziła mnie po sali do ćwiczeń, w której na podłodze leżały różowe hantle oznakowane nazwiskiem Baptist, a grupa członkiń pod kierunkiem kobiety w skromnych trykotach robiła pajacyki. W zaciszu swojego małego gabinetu Gładys pstryknęła mi zdjęcie polaroidem. Poleciała mi schować je do swojego segregatora i przynosić na cotygodniowe spotkania w klinice. To było moje zdjęcie „przed”. Potem zważyła mnie i posługując się programem opracowanym przez brata Eulayli, który był informatykiem, wyliczyła, że muszę stracić czterdzieści siedem kilogramów, co z Programem Baptist powinno zająć tylko dziewięć miesięcy.

– Za dziewięć miesięcy będziesz wyglądać jak ta lala! – oświadczyła, a jej srebrna bransoletka z zawieszkami zagrzechotała o klawiaturę.

Gdy Gładys to mówiła, wszystko wydawało się tak łatwe, że miałam ochotę ją uściskać. Za dziewięć miesięcy będę szczupła. Programy komputerowe nie kłamią. Zniosłam do domu przydział koktajli i mrożonych kolacji w dwóch torbach. Pod wpływem zachęty ze strony Gładys wypełniała mnie nadzieja.

W domu matka patrzyła chłodno, jak chowam jedzenie. Sześciopak koktajli i bladoróżowe tacki z mrożonymi posiłkami zajęły większość miejsca w naszej lodówce i zamrażarce. Dostałam też opakowanie Suplementu Baptist.

– Po co ci to? – Matka zlustrowała pigułki o wyglądzie kamyczków.

– Gładys powiedziała, że codziennie mam zażywać jedną. – Kładła na to wielki nacisk³.

Na śniadanie i lunch piłam pienisty koktajl z puszki. Na kolację

odgrzewałam w mikrofalówce odpowiedni posiłek, po czym zdzierałam z niego srebrną folię, odsłaniając potrawkę z wołowiny, z kawałkami mięsa i groszkiem pływającym w letnim brązowym sosie, albo mielony kotlet z indyka, który wyglądał jak pokryta skalną skorupą planeta otoczona czerwonymi pierścieniami makaronu. Posiłki były małe, starczały tylko na kilka kęsów i wydawały się pozbawione związku z rzeczywistym pokarmem; nie wykluczałam możliwości, że to „jedzenie” skomponowano z innych składników, takich jak papier i styropian, lecz nie obchodziło mnie to, o ile dzięki niemu zdołam schudnąć⁴.

W pierwszym tygodniu Programu Baptist byłam pełna energii i motywacji. Polecono mi unikać przebywania z jedzącymi ludźmi – tym barbarzyńskim motłochem uzbrojonym w noże i widelce – lecz przy mojej pracy w restauracji było to niemożliwe. Ale nieważne. Doświadczałam transcendentnego oddalenia od groteskowego świata przeżuwania i gryzienia. Widok ludzi spożywających pokarmy wywoływał u mnie mdłości.

Przed zmianą w restauracji szłam do kliniki na aerobik. W pracy poruszałam się szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Któregoś wieczoru w rekordowym tempie posiekałam dwadzieścia pięć cebul. Elsa zdumiewała się moją prędkością. Na deskach do krojenia rosły kolorowe stosiki czerwonych papryk, selera i czosnku. Kończyłam przed czasem i wynajdywałam sobie dodatkowe zadania, takie jak porządki w szafce z kaszami albo ustawianie przypraw w kolejności alfabetycznej.

Któregoś wieczoru, kiedy wróciłam z pracy, przywitało mnie dziesięciu hinduskich pielgrzymów, którzy siedzieli w naszym ogródku przy świecach i z gitarą. Rozsunęłam zasłony w pokoju, żeby posłuchać, jak śpiewają. Pomachali do mnie z uśmiechem i wcale mi nie przeszkadzało, że na mnie patrzą. Nic nie mogło mi zepsuć humoru. Byłam niczym więźniarka, która wkrótce wyjdzie na wolność po długim wyroku.

Nim upłynął tydzień, schudłam pięć i pół kilo. Na spotkaniu Gladys i pozostałe kobiety otoczyły mnie wianuszkami, podziwiając moje szczuplejące kształty⁵.

Za dziewięć miesięcy będę wyglądać jak ta lala!

Jak to przeważnie bywa z euforią, także i u mnie nie potrwała za długo; załamałam się na początku drugiego tygodnia. Gdybym musiała chodzić do szkoły, zupełnie bym się poddała. Zawaliłam aerobik i musiałam się zmuszać, żeby wyjść z domu do restauracji, co było konieczne, bo inaczej nie byłoby mnie stać na udział w Programie Baptist. W kuchni Elsy zastygałam i gapiłam

się w pustkę, nawet nie mrugając.

– Jesteś chora? – pytała Elsa. Tydzień wcześniej byłam jak nakręcana zabawka, nie opuszczała mnie energia, a teraz stałam się milcząca i nieruchawa.

Zadzwoiłam do Gladys.

– Co się ze mną dzieje? – szepnęłam do słuchawki, zbyt osłabiona, żeby mówić.

– To efekt odstawienia cukru. Słodziutka, jesteś uzależniona. A teraz trucizna opuszcza twój organizm.

– Ale jestem taka głodna.

– Wiem, cukierczku – powiedziała Gladys.

Cukier. Słodziutka. Cukierczek. Jej słowa nie pomagały.

Czekałam, aż to okropne uczucie wreszcie minie, ale ono nie mijało. Nocami śniłam o eklerkach. Budził mnie głód, który rozchodził się po moim ciele jak wibracje w dzwonie. Zatykałam uszy rękami i rzucałam się z boku na bok w nadziei, że to wrażenie zniknie.

Między posiłkami oszukiwałam łaknienie liśćmi sałaty maczanymi w musztardzie (tak poradziła mi Gladys); była to przekąska o praktycznie zerowej zawartości kalorii, równie odżywcza jak powietrze. Ale przynajmniej mogłam coś gryźć i połykać. Wśród innych sposobów Gladys na walkę z głodem było też robienie pajacyków, nawet w miejscach publicznych, picie litrów wody oraz pisanie w dzienniczku odchudzania:

1. Po jedzeniu czuję się: bardzo zadowolona, dość zadowolona, głodna, *umieram z głodu*.

2. W tej chwili czuję się: *dobrze*, neutralnie, zniechęcona, poirytowana.

3. Dziś myślę o jedzeniu: tylko podczas posiłków, od czasu do czasu, *stale*.

Program Baptist sprawiał, że prawie mdlałam z głodu. Raz podczas pracy w kuchni krajałam paprykę, gdy nagle na mojej desce pojawiła się druga, a potem trzecia. Po prostu się mnożyły. Wypuściłam nóż z dłoni i cofnęłam się zaskoczona, trącając uchwyt stojącej na kuchni patelni, z której poleciały na podłogę przegrzebki i gorący olej. Elsa nalegała, żebym poszła do domu, ale ja wróciłam do swojej papryki i dalej usiłowałam ją siekać trzęsącymi się rękami⁶.

Miałam ochotę wpychać w siebie jedzenie, które otaczało mnie w restauracji, ale w myślach błagałam swój wygłodniały organizm o rozsądek. Matka Nicolette, fanatyczna członkini Strażników Wagi, która praktycznie popadła w anoreksję, miała na zderzaku naklejkę z napisem NIC NIE SMAKUJE TAK JAK SZCZUPŁOŚĆ. Nie wiedziałam, jakie to uczucie być szczupłą, ale wierzyłam, że jeśli będę wmuszać w siebie jedzenie z różowych tacek i pakowane przekąski, dowiem się tego już za dziewięć miesięcy. Świadomość, że to cierpienie kiedyś się skończy, że wyrok nie będzie trwał wiecznie, dodawała mi sił. Raz czy dwa myślałam, czy nie rzucić się z dachu restauracji, ale zatrzymałam te fantazje dla siebie.

Kiedy wracałam z pracy do domu przy Harper Lane, pospiesznie zjadałam kolację i wczołgiwałam się do łóżka, bo godziny na jawie były torturą. Rano starałam się pokrzepiać gorącym prysznicem, ale ogarniały mnie nasilające się obawy, ponieważ w odpływie zbierało się coraz więcej włosów.

W klinice Gladys powtarzała: „Od razu widać, że w tym tygodniu dobrze się zachowywałaś!”⁷.

Ona i pozostałe kobiety bardzo się interesowały moimi postępami, podciągały mi koszulkę, żeby lepiej się przyjrzeć biodrom i brzuchowi. Ważenie było najlepszą chwilą tygodnia. Przez cały miesiąc byłam dobra i straciłam trzynaście kilogramów.

Kiedy nadszedł lipiec, ojciec jak co roku przysłał mi bilet na lot z Los Angeles do Boise, ale powiedziałam, że nie mogę go odwiedzić. Nie miałam sposobu, żeby przetransportować tam swoje mrożone posiłki, a nie mogłam jeść normalnego jedzenia.

– Nie przyjedziesz do mnie, bo jesteś *na diecie*?

– Nie mogę, tato. Ale jak już skończę, będziesz ze mnie dumny, obiecuję.

Byłam jego jedynym dzieckiem. Ożenił się ponownie, ale jego druga żona była bezpłodna, więc stanowiłam dla niego ostatnią nadzieję na wnuki. Jeśli będę gruba, nikt się ze mną nie ożeni. Chciałam mu to powiedzieć, wyjaśnić, że tu nie chodzi o jakąś tam *dietę*, że od tego zależy cała moja i jego przyszłość, ale nie potrafiłam wydobyć z siebie tych słów.

Teraz, kiedy nie miałam żadnych obowiązków z wyjątkiem pracy w restauracji, większość czasu spędzałam sama w domu. Gdy wychodziłam, brakowało mi energii, żeby się przejmować, jeśli ktoś robił mi zdjęcia.

Nicolette zaprosiła mnie na wycieczkę do centrum handlowego i do kina, ale nie mogłam się zbliżyć do tak tuczącego jedzenia. Co wieczór

w restauracji otaczały mnie niebaptystyczne posiłki i były to dwie najgorsze godziny dnia.

Na cotygodniowych spotkaniach Gladys mówiła o swoich obawach związanych z moją pracą.

- Musisz odseparować się od pokus.
- Bez pracy w restauracji nie będzie mnie stać na udział w programie.
- No, *tego* byśmy nie chciały – zgodziła się Gladys.

Na jej biurku leżała gazeta. Gladys zaczęła przeglądać ogłoszenia o pracę, żeby znaleźć dla mnie zajęcie, przy którym nie będę miała kontaktu z jedzeniem.

- Tu szukają kogoś do wyprowadzania psów.
- Nie mam dość siły, żeby chodzić na spacer.
- Opieka nad dziećmi?

Wyobraziłam sobie, że mdleję z głodu na podłodze w kuchni i jakiś dwulatek usiłuje zadzwonić po karetkę.

- Nie, lepiej zostanę w restauracji. Dam sobie radę.

Tylko że nie dawałam. Pewnego wieczoru kazano mi mieszać w wielkim garze makaron z serem, a potem nałożyć go na talerze i podać trzydziestu czworgu dzieciom świętującym czyjeś urodziny. W garze musiały być tysiące rurek makaronu, lśniących od stopionego sera. Obezwładniający zapach wdzierał mi się do nosa i do ust, penetrował mój umysł, owijając swoje pomarańczowe macki wokół każdej świadomej myśli. „Nic nie smakuje tak jak szczupłość”. Powtarzałam to sobie, zastanawiając się, ile kalorii jest w tym garnku. Sto tysięcy? Milion? Odstęczająca myśl.

Kiedy talerze wróciły do kuchni, kilka było całkowicie opróżnionych, ale na wielu pozostały resztki jedzenia. Niektóre wyglądały tak, jakby w ogóle ich nie ruszono. Stały na blacie, czekając, aż Luis je umyje, ale on wyszedł na papierosa.

Krążyłam przed nimi, rozglądając się, czy nikt mnie nie obserwuje. Zgarnęłam palcami kilka rurek makaronu i położyłam je sobie na języku. To było pierwsze prawdziwe jedzenie, jakiego spróbowałam od ponad miesiąca. Nawet fakturę miało inną, jak kaszmir zamiast drapiącego poliestru.

Po kilku początkowych sekundach niebiańskiego szczęścia świadomość grzechu, którego się dopuściłam, zaczęła mnie ogarniać falą

rozgorączkowania. Pobiegłam do toalety i wyplułam przeżuty kęs, a moje oczy wypełniły się łzami. Głupia, głupia, głupia.

Gladys dała mi broszury na każdą okazję: *Dieta po śmierci bliskiej osoby* oraz *Zagrożenia podczas karnawałowych zabaw, kiermaszów i innych imprez*. Miałam ich całe stosy, ale to nie wystarczyło, bym zdołała się oprzeć syreniemu śpiewowi makaronu i stopionego sera. Uznałam jednak, że zważywszy na okoliczności, nieźle sobie poradziłam. Nawet nie przełknęłam tego kęsa.

Zaczęło mnie kusić, żeby przestać przychodzić do pracy pod pretekstem choroby. Bo *byłam* chora, w każdym razie tak się czułam w każdym momencie dnia, choć nie mogłam się z tym pogodzić. Matka miałaby wtedy satysfakcję. Gdybym jej powiedziała, w jakim jestem stanie, próbowałaby zabronić mi udziału w Programie Baptist. Zaczęłam się martwić, co będzie po rozpoczęciu roku szkolnego i czy nie ucierpią na tym moje stopnie, ale postanowiłam, że nie będę wybiegać myślami tak daleko do przodu.

W pracy dalej wybierałam z talerzy resztki potraw, rozkoszując się smakiem i wypluwając jedzenie do ubikacji albo w papierowy ręcznik. Ale czasem, kiedy Luis wychodził na uliczkę za restauracją, zjadałam kilka frytek z brudnej zastawy, przeżuwałam je i połykałam. Wystarczyło zaledwie kilka, żeby ból głowy zelżał.

Pewnego wieczoru szykowaliśmy przyjęcie z okazji czyjegoś przejścia na emeryturę. Miałam zostać dodatkowo na kilka godzin i pomóc Elsie w przygotowaniach. Kobieta, która zajmowała się u nas wypiekami, zrobiła w ciągu dnia makaroniki, a teraz Elsa poprosiła, żebym ułożyła je na paterach. Stałam sama w kuchni, z dłońmi w cienkich plastikowych rękawiczkach, i układałam słodczyce w piramidki. Sześć tygodni systematycznego głodzenia się osłabiło moją wolę. Na każdy makaronik, który trafiał na paterę, przypadał jeden, który chowałam do kieszeni fartucha. Kiedy skończyłam, Delia zabrała je do jadalni, nie zwracając uwagi ani na mizerny rozmiar piramidek, ani na wybrzuszenia w moich kieszeniach.

Udałam się do łazienki, ale były tam dwie kelnerki, zajęte malowaniem się i układaniem włosów, więc wyszłam na zaplecze restauracji i usiadłam na betonowych stopniach obok pojemników na śmieci. Moja ręka po raz pierwszy musnęła ukryte w kieszeni makaroniki. W tym momencie mogłam się jeszcze powstrzymać i przypomnieć sobie wszystkie porady; mogłam zanotować coś w dzienniczku odchudzania albo zacząć robić pajacyki, ale nie sięgnęłam po żaden z tych sposobów. Jeden z makaroników wsunął mi się do ust, potem drugi, a potem tyle, ile tylko zdołałam pomieścić. Pożerałam je tak

łapczywie, że z początku nawet nie zwróciłam uwagi na rozkoszny szok spowodowany smakiem kremowego kokosowego nadzienia na języku. Włożyłam do ust trzy sztuki naraz, nie przerywając nawet, żeby zaczerpnąć powietrza, a potem zrobiłam miejsce dla jeszcze dwóch. Twarz oblał mi rumieniec i zaczęłam płakać. Wiedziałam, że postępuję źle, ale wpychałam w siebie te makaroniki najszybciej, jak mogłam. W gardle urosła mi kokosowa kula. Przełknęłam ją z trudem, po czym dalej pochłaniałam swoje łupy, wycierając nos rękawem. Nadal miałam na rękach plastikowe rękawiczki. Czułam się jak przestępczyni.

Przełykając ostatnie ciasteczko, z twarzą poplamioną łzami i tuszem do rzęs, zobaczyłam Luisa i Eduarda, którzy palili papierosy niedaleko w alejce. Nie wiedziałam, jak długo tam stali. Patrzyli na mnie – wszystko widzieli.

Po tygodniach prawie bez jedzenia mój żołądek, skurczony jak rodzynek, miał problem z przyswojeniem takiej bomby kalorycznej. Wracając do domu, poczułam ostry ból. Spodziewałam się, że zwymiotuję, ale kiedy ból zniknął, poczułam się lepiej niż przez wiele ostatnich dni. Ból głowy zniknął. Tak się z nim oswoiłam, że bez niego czułam się dziwnie; miałam wrażenie oswobodzenia, jakby nagle poluzowano pasek, który zaciskał się na mojej czaszce. Po raz pierwszy, od kiedy zostałam baptystką, przespałam całą noc.

Następnego dnia rano głód powrócił. Spałam do późna i przegapiłam śniadanie, więc wypiliśmy dwa koktajle naraz. Nie nasyciło to jednak ukrytej we mnie wygłodniałej bestii, która, niezaspokojona, zaczęła zżerać mnie samą. Nie mogłam z nią wytrzymać i postanowiłam zjeść posiłek wyznaczony na kolację, choć była dopiero pierwsza po południu. Potem zjadłam kolejny, potem wypiliśmy jeszcze jeden koktajl, potem odgrzałam pizzę Baptist, która składała się z wiórków plastikowego sera na cieście cienkim jak maca. Na kuchennym stole wały się puste różowe tacki, butelki i gumowate strzępy srebrzystego plastiku klejące się do blatu. Pozbierałam dowody i wyniosłam je na zewnątrz do śmietnika, żeby nikt się nie dowiedział. Kiedy wracałam do domu, dostrzegłam kobietę z wycelowanym we mnie aparatem. Wszystko widziała.

Po tej sesji obżarstwa nie czułam się najedzona ani szczęśliwa. Makaroniki dały mi posmak prawdziwego jedzenia i teraz łaknęłam czegoś więcej. Zadzwoiłam do Nicolette.

– Myślałam, że umarłaś – powiedziała.

O Eulayli Baptist też tak mówiono.

– Nie umarłam, tylko odsunęłam się od świata jedzenia.

Pojechałyśmy do centrum handlowego. Matka Nicolette podwiozła nas swoim złotym mercedesem z naklejką NIC NIE SMAKUJE TAK JAK SZCZUPŁOŚĆ. Nicolette mogła jeść, co tylko chciała, i nigdy nie przybierała na wadze – mówiła, że dlatego właśnie matka jej nienawidzi. W centrum handlowym zjadłyśmy hot dogi z chili i nachosy z dodatkową ostrą papryczką, popijając to wszystko przesłodzoną lemoniadą wiśniową. Kupiłyśmy sobie miękkie prele i mrówkowca posypanego cukrem pudrem, po czym wszystko to pochłonęłyśmy. Przeglądałyśmy też płyty z muzyką i obejrzałyśmy trochę butów, ale tak naprawdę pojechałyśmy do centrum wyłącznie dla jedzenia.

Przed wyjściem kupiłam sześć pączków od Winchella na wynos, z białym lukrem i kolorową posypką.

Kiedy obzartałam się pączkami o drugiej nad ranem, poczułam się: *jak w euforii*.

Na najbliższym spotkaniu z Gladys przyznałam się do wszystkiego, pełna wyrzutów sumienia. Gladys ujęła mnie za rękę, zachęcając, abym znalazła w sobie siłę, żeby przewyciężyć łaknienie ciała.

– Baptistka nie boi się przyznać, że upadła – rzekła – ale też nigdy nie traci wiary w siebie.

Kiedy jej słuchałam, wydawało mi się to niemal możliwe. Gladys dała mi broszurkę ze zdjęciem Eulayli na okładce zatytułowaną *Nie chcę być chuda – wybieram zdrowie!*⁸. Były w niej informacje o nadciśnieniu, cukrzycy oraz chorobach serca. Gladys mówiła, że jeśli zrezygnuję z programu, będę zagrożona wszystkimi tymi schorzeniami.

– Chcesz dożyć czterdziestki, złotko?

I opowiedziała mi o swojej siostrze, która ważyła tyle co ja i była bezpłodna.

Kiedy mnie zważyła i odkryłam, że odzyskałam połowę utraconych kilogramów, zaczęłam płakać. Tak się męczyłam i cały wysiłek na nic. Nowe życie, które sobie wyobrażałam, zaczęło się odsuwać, a wszystko dlatego, że zachowałam się jak prosię. Postanowiłam, że się nie poddam i znowu stanę się dobrą baptystką. Może uzyskanie docelowej wagi trochę się opóźni, ale Gladys zapewniała, że to normalne i że wszyscy się potykają, nie wyłączając jej samej⁹.

Znowu oddałam się programowi duszą i ciałem. Dekowałam się w sypialni, pogodziłam się ze złym samopoczuciem, unikałam przyjaciółki

i powtarzałam w myślach jak mantrę: „Różowe tacki, różowe tacki”, wmawiając sobie, że jeśli będę jeść tylko dania z programu i nic więcej, to schudnę i nie umrę przed czterdziestką.

Co tydzień opuszczałam klinikę z zapasem różowych tacek i koktajli, obiecując sobie, że będę grzeczna. Ale to nie miało znaczenia. Już niedługo miałam pozostać baptystką.

Któregoś popołudnia, kiedy dotarłam do kliniki, wszystkie kobiety płakały. Zrozpaczona Gladys powiedziała, że Eulayla Baptist i jej mąż zginęli w wypadku samochodowym w Atlancie.

– Była burza – wyduśła z trudem Gladys. – Stracili panowanie nad autem. Ona odeszła!

Popatrzyłam na plakat z Eulaylą trzymającą dzinsy z czasów, kiedy była gruba.

– Odeszła? *Na zawsze?* To niemożliwe.

Chwyciłam się krzesła, żeby odzyskać równowagę.

Po kilku dniach Gladys zadzwoniła ze złymi wieściami.

– Córka Eulayli zamyka firmę – powiedziała, zanosząc się płaczem. – Klinika przestała działać. To koniec.

Natychmiast tam poszłam, żeby zaopatrzyć się w jedzenie na zapas, ale kiedy dotarłam na miejsce, wszystko było już pozamykane. Po Gladys i reszcie pracowników nie został nawet ślad.

– Nie! – krzyknęłam, waląc dłonią w drzwi.

Inne kobiety kręciły się na chodniku, wymizerowane i przygnębione, zapewne na skraju załamania nerwowego, tyle że nie miały dość sił na histerię.

– Dlaczego? – zawodziła jedna z nich, ściskając mnie za ramiona. – Dlaczego córka Eulayli nas nienawidzi?

Kiedy wróciłam do domu, matka siedziała na schodkach przed wejściem, obierając pomarańczę. Usiadłam obok niej.

– Co się stało?

– To koniec Programu Odchudzającego Baptist. Córka Eulayli zamknęła wszystkie kliniki.

– I całe szczęście.

Patrzyłam, jak upuszcza spiralki pomarańczowej skórki na ziemię pomiędzy nogami. Ja byłam w żałobie, a ona się cieszyła. Wyciągnęłam z torby zdjęcie „przed”, które zrobiła mi Gladys. Byłam teraz o jedenaście kilo lżejsza niż na nim, ale nadal gruba. Wkrótce rozpocznie się szkoła, a bez kliniki moje plany na ostatni rok liceum i koledż w Vermoncie legną w gruzach. Obawiałam się, że do końca życia pozostanę taka jak na zdjęciu „przed”.

Pod domem zatrzymał się jakiś stary samochód, prawdopodobnie z lat sześćdziesiątych, mały i czarny jak owad. Prowadził mężczyzna, a przy nim siedziała nastolatka z aparatem. Wysiadła na chodnik przed nami i uniosła obiektyw do oka. Zawsze będą się na mnie gapić. Taki już mój los.

– Idź sobie! – krzyknęłam, zrywając się na nogi.

Dziewczyna odwróciła się i uciekła do samochodu. Pobiełam za nim, kiedy odjeżdżał; złapałam wieko jednego z naszych metalowych pojemników na śmieci i cisnęłam nim na środek ulicy, zeskakując z wrzaskiem z krawężnika. Wieko wylądowało na jezdni i wydało brzęk niczym rezonujący cymbał. Samochód zniknął za zakrętem na końcu drogi.

Kiedy się odwróciłam, matka stała na chodniku przed domem.

– Plum?

Popatrzyłam na nią z ulicy, z miejsca, w którym zwykle stawali gapie, na krótką chwilę wchodząc w ich rolę. Z zewnątrz dom niczym się nie wyróżniał, ale spędziłam w nim sporą część życia. Gdyby zebrać wszystkie zdjęcia zrobione przez turystów i ułożyć je w kolejności chronologicznej, zobaczyłabym, jak tamta dziewczynka spod drzewa staje się młodą kobietą, która robi się coraz większa i większa, aż wreszcie chowa się w domu i staje za zasłonką – połowa jej twarzy widoczna w kadrze, a dalej już tylko cień.

Wypij mnie

W ciągu dwóch dni, od kiedy znalazłam w biurze Kitty *Przygody w Krainie Diet*, zdążyłam dobrnąć prawie do końca. Powinnam siedzieć w kawiarni i odpowiadać na wiadomości, ale zarzuciłam pracę, bo nie mogłam się oderwać od lektury. Czytałam w wannie, uważając, żeby nie zmoczyć kremowych kartek.

Minęło dwanaście lat, od kiedy byłam baptystką. Od tamtego czasu rzadko o tym myślałam, ale w miarę lektury w moim umyśle zaczęły odżywać wspomnienia o Programie Odchudzającym Baptist. Czułam na języku smak jedzenia: metaliczne rozwodnione pomidory na pizzy i w makaronie, zapiekanki o smaku środka do czyszczenia dywanów. Przypomniałam sobie koktajle Baptist, ich konsystencję kredowego pyłu i kwaśny posmak lekarstwa. Kiedy zamykano firmę, znałam tylko główne fakty: imperium odziedziczyła Verena Baptist, która jako jedyny udziałowiec miała prawo je rozwiązać, co też zrobiła w ciągu kilku dni od strasznego wypadku rodziców. Nienawidziłam córki Eulayli Baptist, choć nawet nie wiedziałam, jak ma na imię. Teraz, dzięki nieznamomej dziewczynie, trzymałam w rękach słowa napisane jej ręką.

Verena opowiadała, że po zamknięciu firmy zostały jej „hektolitry koktajli, ogromne kotły potrawy z wołowiny i całe ciężarówki kurczących piersi pływających w tajemniczej papce”. Oddała to wszystko do kuchni charytatywnych i schronisk dla bezdomnych, dla „ludzi, którzy przymierali głodem, ale nie z własnego wyboru”. Pisała, że chciała zrobić dobry uczynek, i musiałam przyznać, że posiłki z diety Baptist były nieco lepsze niż nic.

Czytając o Eulayli Baptist, nie mogłam zapanować nad uczuciami zniesmaczenia i gniewu. Jak w przypadku wszystkich baptystek moje starania były skazane na porażkę, lecz kiedy upadałam, obwinałam tylko siebie. Może kiedyś nienawidziłam córki Eulayli, ale teraz, czytając tę książkę, cieszyłam się, że ujawniła działania matki. Wiedziałam już, że to nie ja ponosiłam odpowiedzialność za nieskuteczność diety.

Zastanawiałam się jednak, dlaczego Verena w tak publiczny sposób zwróciła się przeciwko własnej matce. Przez większość książki rzadko pisała o sobie, ale w pierwszym akapicie zrobiła to w bardzo znaczący sposób: „Przed moim urodzeniem mama była młodziutką, smukłą dziewczyną. Osiedlili się z tatą w Atlancie i przez jeden wspaniały rok żyło im się jak w raju. Aż przyszła chwila, gdy po wieczorze na werandzie z Ambersonami

z naprzeciwka, spędzonym na sączeniu martini, tata zapłodnił mamę bombą z dziewięćmiesięcznym zapłonem. Jej wybuch skończył się dla niej utratą figury, bliznami, rozstępami i talią jak opona”.

Bombą była Verena. To przez nią Eulayla stała się gruba, co doprowadziło ją do obsesji na punkcie diety, co z kolei doprowadziło do rozpętania koszmaru Programu Odchudzającego Baptist. Zastanawiałam się, czy to właśnie dlatego córka postanowiła publicznie pohańbić matkę i zdradzić jej sekrety – od urodzenia musiała dźwigać ciężar winy.

Książka nie dotyczyła jednak wyłącznie Programu Odchudzającego Baptist. Verena oskarżała całą branżę. Dużo pisała o autorach poradników dietetycznych i rozmaitych guru, o lekach odchudzających, a nawet o operacji, której zamierzałam się poddać. Poświęciła cały rozdział wyzwoleniu się z tego, co nazywała Krainą Diet. „W Krainie Diet chodzi o to, żeby pomniejszyć kobiety” – pisała. Przyszło mi do głowy, że ta książka spodobałaby się matce. Byłam przekonana, że gdyby wiedziała o jej istnieniu, przysłałaby mi egzemplarz.

W środku znajdowały się również fotografie Eulayli zarówno z czasów, kiedy była Miss Georgii, jak i z późniejszych lat otyłości, a także słynna fotografia z wielkimi dzinsami, zrobiona już po schudnięciu. Na jednym ze zdjęć twarz Eulayli była wychudła, a nogi szczupłe, ale w okolicy bioder nadal widać było warstwę tłuszczu. Popatrzyłam na nią i pomyślałam, że po śmierci w końcu osiągnęła cel, który umykał jej za życia. Jako nieboszczka mogła być tak szczupła, jak tylko chciała. Sama skóra i kości.

Na odwrocie publikacji znajdowała się krótka informacja o autorce: „Verena Baptist mieszka w Nowym Jorku, gdzie prowadzi organizację feministyczną Dom Kaliope”. I nic więcej. Nie było żadnego zdjęcia, żadnego sposobu, żeby zobaczyć twarz kobiety, której niegdyś tak nienawidziłam za to, że zniszczyła moje marzenia.

Zamknęłam książkę i rzuciłam ją na podłogę łazienki, nie chcąc już myśleć o czasach, kiedy byłam baptystką. Po przymusowym zakończeniu programu większość ostatniej klasy liceum spędziłam na obżeraniu się. Nie mogłam przestać. W restauracji Delii pracowałam jako asystentka kobiety od wypieków, więc objadałam się ciastami, ciasteczkami i zapiekankami. Zanim rozpoczęłam studia, nie tylko odzyskałam wszystkie utracone kilogramy, ale dodałam do nich kolejne, i to niemało. W koledżu zapisałam się do Strażników Wagi, ponieważ mieli spotkania w kampusie. Rozczarowawszy się ich metodą, przerzuciłam się na różne diety z książek i magazynów. Brałam pigułki odchudzające, łącznie z jedną, którą Agencja Żywności

i Leków zdjęła potem z rynku w następstwie kilku zgonów. Zazywałam suplementy od jakiejś meksykańskiej firmy, ale zrezygnowałam, kiedy dostałam strasznego bólu brzucha. Przez cały przedostatni rok studiów piłam na śniadanie i lunch dietetyczne koktajle o smaku czekoladowym, po których jedzenie w żołądku zmieniało się w kamienie, powodując hemoroidy. Smakowały jeszcze gorzej niż koktajle Baptist. Za bardzo się brzydziłam wymiotami, żeby popaść w bulimię, i brakowało mi masochizmu anorektyczki, więc kiedy zaliczyłam już wszystkie możliwe diety, wróciłam do Strażników Wagi.

W latach, które upłynęły od czasu, kiedy zapisałam się do Programu Odchudzającego Baptist, przytyłam prawie czterdzieści pięć kilo. Po przeczytaniu *Przygód w Krainie Diet* zyskałam pewność, że operacja to dla mnie jedyne rozwiązanie. Verena byłaby tym przerażona, bo grzmiała przeciwko operacjom odchudzającym, chyba że chodziło o zagrożenie życia, lecz intencje, jakimi się kierowała podczas pisania książki, nie miały znaczenia. Udowodniła, że diety nie działają. I za to byłam jej wdzięczna.

Wspominanie dawnych lat mnie wyczerpało, więc przez jakiś czas relaksowałam się w wannie. Woda była letnia, ale przyjemna. Nie sądziłam już, by dając mi książkę Vereny, tamta dziewczyna chciała mi zrobić przykrość, choć nadal nie wiedziałam, o co jej chodziło. Zaczął dzwonić telefon, ale nie miałam ochoty wychodzić z wanny. Ktokolwiek to był, nie zostawił wiadomości, ale już po kilku minutach dzwonek rozległ się na nowo. Zirytowana wyszłam z wody i ruszyłam nago korytarzem, zostawiając na podłodze mokre ślady.

– Pani Kettle?

– Tak.

– Plum?

– Kto mówi?

– Tu Erica z działu kadr korporacji Austen. Musi pani przyjść do nas w poniedziałek o dziesiątej, żeby podpisać pewien formularz.

– Jaki znowu formularz?

– Taki, który wymaga pani podpisu. Pojawił się pewien problem z pani ubezpieczeniem zdrowotnym.

– No dobrze – powiedziałam, zła na myśl o kolejnej wyprawie na Manhattan.

– Proszę przyjść do działu kadr na dwudziestym siódmym piętrze. Dziękuję, do widzenia.

Korporacja Austen Media była ostatnią rzeczą, o której miałam ochotę teraz myśleć. Od kiedy zaczęłam czytać książkę Vereny, odsunęłam od siebie dziewczęta Kitty. Tkwiły uwięzione w moim laptopie – jak w puszcze Pandory, której nie chciałam otwierać.

Na dwudziestym siódmym piętrze Austen Tower wysiadłam z windy i ruszyłam długim, wyłożonym wykładziną korytarzem. Kończyło go okno na wysokość całej ściany, z którego rozciągał się widok na skąpane w słońcu centrum Manhattanu. Korytarz był niczym deska skoczni, umocowana nad morzem budynków. Przysunęłam palce u nóg i czoło do szyby i spojrzałam na ulice w dole.

W dziale kadr przywitała mnie Erica, kobieta, która do mnie dzwoniła. Podała mi podkładkę do notatek z formularzem, na którym widniało logo Opieki Zdrowotnej Trzech Stanów.

– Proszę to przeczytać i podpisać – powiedziała, siadając przy mnie w pomieszczeniu dla gości.

Formularz zawierał niewiele informacji, proszono mnie tylko o potwierdzenie planu ubezpieczeniowego, który wybrałam, zaczynając pracę dla Kitty.

– Wspaniale – powiedziała Erica, kiedy oddałam jej kartkę z podkładką. – Odprowadzę panią do windy.

– I to wszystko? Po to musiałam jechać taki szmat drogi z Brooklynu...?

– Chyba nie chce pani, żeby skończyła się jej polisa ubezpieczeniowa?

Miałam ochotę odpowiedzieć jej w tym samym nadętym tonie, ale uznałam, że nie warto. Pozbierałam swoje rzeczy, a ona odeskortowała mnie z biura, choć moim zdaniem było to zupełnie niepotrzebne.

Kiedy czekałyśmy na windę, wyjrzałam za okno i znowu nasunęło mi się skojarzenie ze skocznią. Myśl o tym, żeby poderwać się w powietrze i zanurkować w centrum miasta, całkowicie mnie pochłonęła. Nagle usłyszałam szelest zgniatanego papieru. W korytarzu panowała oślepiająca jasność i musiałam zmrużyć oczy, by zobaczyć, że Erica wyjęła mój dokument spod klipsa podkładki i wpychała go właśnie do otworu kosza na śmieci.

– Hej, to był mój formularz!

– Idź do podziemia numer dwa – szepnęła. – B dwa. W lobby musisz się przesiąść do innej windy.

– Co tu się dzieje?

Wsunęła rękę w drzwi windy, żeby się nie zamknęły.

– Idź, szybko. Ja muszę wracać do pracy.

I już zjeżdżałam windą, częściowo oślepią słońcem. Do głowy przyszła mi tylko jedna odpowiedź: tamta dziewczyna.

W lobby zawahałam się krótko, ale nie mogłam oprzeć się pokusie, żeby sprawdzić, do czego mnie zaprowadzi wykonanie polecenia Eriki. Popatrzyłam na windy, które mogły mnie zabrać do B2. Kiedy dotarłam do podziemia dwa poziomy pod Austen Tower, stanęłam przed podwójnymi drzwiami – portalem z zaśnieżonego srebra z napisem KĄCIK KOSMETYCZNY. Po prawej stronie znajdował się panel do wprowadzania kodu i guzik przypominający dzwonek do drzwi.

Winda zamknęła się za moimi plecami. Podeszłam do srebrnych wrót i wcisnęłam guzik. Minęło kilka sekund, ale z drugiej strony nie dobiegał żaden dźwięk mogący świadczyć o czyjejs obecności.

Już miałam zadzwonić po raz drugi, kiedy nagle usłyszałam cichutki odgłos. Przysunęłam ucho do drzwi. Klip-klap, klip-klap. Dźwięk stopniowo narastał. Klip-klap, klip-klap, jak stukot końskich kopyt w westernie. Klip-klap. Nasłuchiwałam jeszcze przez chwilę i zdałam sobie sprawę, że to stukanie nadchodzących z oddali wysokich obcasów. Klip-klap.

– Już idę! – zawołał czyjś głos, po czym jedno skrzydło drzwi się uchyliło i wysunęła się głowa. – Jestem Julia Cole, menadżerka Kącika Kosmetycznego. W czym mogę pomóc?

– Jestem Plum. Nie wiem, co tu robię.

Kobieta bez słowa otworzyła drzwi szerzej i wpuściła mnie do środka. Kiedy weszłam, ujrzałam przed sobą widok, który sprawił, że aż westchnęłam. Kącik Kosmetyczny nie był bynajmniej żadnym kącikiem. Zmieściłby się w nim cały samolot, a może nawet dwa. Jak okiem sięgnąć, wszędzie ciągnęły się niebotycznie wysokie stalowe regały, a z góry świeciły oślepiające lampy; przypominało to supermarket, tylko w monumentalnej skali babilońskiej świątyni. We wszystkich alejkach stały drabinki na kółkach, tak wysokie, że ich szczyty niknęły w blasku światła, jakby wstępowały w niebiosy. Na końcu każdej alejki znajdowały się oznaczenia: USTA, POWIEKI, RZĘSY, WŁOSY i tak dalej, a półki zastawione były czarnymi lakierowanymi tackami pełnymi produktów.

– To ma być *kącik*?

Julia stanęła przede mną. Ubrana była w lejącą liliową bluzkę, kremowe

bawełniane spodnie kończące się tuż nad kostkami i pantofle na obcasach, a dookoła szczupłej talii miała czarny płócienny pas jak na narzędzia, pełen pędzli i szminek.

– Dla ciebie – powiedziała, podając mi metaliczną tubkę. Na denku znajdowała się nazwa: Juicy Plum.

Julia ruchem ręki nakazała mi iść za sobą. Ruszyliśmy alejką USTA, podzieloną na sekcje ze szminkami, błyszczkami, konturówkami i balsamami; każda sekcja z kolei dzieliła się na kolory oznaczone próbnikami barw, jak w sklepie z farbami. Do jednej z półek przyklejona była kartka z odręcznym napisem WARGI: MNIEJSZE I WIĘKSZE, a obok rysunek bez wątpienia przedstawiający srom.

– Taki zarcik – wyjaśniła Julia, kiedy zobaczyła, że się przyglądam.

Na środku alejki stały dwa stołki na kółkach. Usiadłyśmy na nich.

– Odpowiadając na twoje pytanie: nazwa Kącik Kosmetyczny to ukłon w stronę tradycji. Kiedy w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku Cornelius Austen założył w tym miejscu swoją korporację, jego córce powierzono nadzór nad kosmetykami dla dwóch magazynów mody, które Austen wtedy wydawał. Miało to dać jej zajęcie do czasu, kiedy znajdzie sobie męża. Była bardzo lubiana, zawsze częstowała wszystkich gości herbatą. Kącik Kosmetyczny stał się tradycją Austen Media.

Julia poprawiła pas z narzędziami, żeby nie powypadały z niego pędzle do makijażu. Nad jej głową znajdowała się półka z napisem SZMINKA/MAT/BURGUND.003LMB. Zastanawiałam się, czy Julia sama przystosowała system klasyfikacji dziesiątej Deweya do kosmetyków.

– Po co wam te wszystkie kosmetyki?

– Nad nami znajdują się pięćdziesiąt dwa piętra. Wydajemy dziewięć magazynów mody znanych łącznie, jak na pewno wiesz, pod nazwą Dziewięć Muz. Produkujemy też wiele programów telewizyjnych oraz różne inne rzeczy. Na łamach czasopism i w programach antenowych pokazujemy wiele kobiet, a wszystkie one potrzebują makijażu. O to właśnie tu dbamy.

Rozejrzałam się, próbując to wszystko ogarnąć, i lekko zadrżałam.

– Chłodno tu, żeby kosmetyki się nie topiły. Ja już się przyzwyczałam – powiedziała Julia. – Zanim przejdziemy do tematu, musisz obiecać, że to, co ci powiem, pozostanie tajemnicą.

Potwierdziłam ruchem głowy.

Julia sięgnęła do swojego pasa i wyciągnęła złożoną kartkę.

– Jedenastego maja wysłałam tę wiadomość do sekcji Kochana Kitty na stronie „Stokrotki”. Podpisałam się fałszywym imieniem. „Kochana Kitty, moim zdaniem jesteś jednym z największych umysłów naszych czasów, więc chciałabym zadać Ci jedno pytanie. Kto żyje w większym ucisku – kobieta zakryta od stóp do głów burką czy jedna z modelek w bikini, które pokazujesz w swoim magazynie?”.

Zastanowiłam się i po chwili wyłowiałam z pamięci ten list.

– Pamiętam. Nie była to typowa wiadomość z gatunku tych, jakie zwykle dostaję.

Julia mówiła dalej:

– Trzy dni później dostałam następującą odpowiedź: „Bardzo się cieszę, że myślisz o takich sprawach. Zazwyczaj nie otrzymuję listów od dziewcząt Twojego pokroju! Postawiłaś mi ciekawe pytanie, choć nie jestem pewna, czy umiem na nie odpowiedzieć. Jedna kobieta zakrywa swoje ciało, inna je odsłania. Można o tym myśleć jak o dwóch stronach tej samej monety. Dzięki, że do mnie napisałaś!”.

Julia złożyła kartkę i wsunęła ją z powrotem do swojego pasa. Słyszając, jak czyta słowa Plum jako Kitty, poczułam się niezręcznie.

– Wiedziałam, że tej odpowiedzi nie ułożyła Kitty. Oczywiście nie oczekiwałam, że odpisze mi osobiście, ale natychmiast stało się dla mnie jasne, że osoba, która to napisała, nie należy do typu dziewczyn zatrudnianych przeważnie w „Stokrotce”, do tych robotów, które myślą wyłącznie o modzie. Chciałam się dowiedzieć, kto jest autorem wiadomości, co nie było trudne. Zadzwoiłam do Eladia, asystenta Kitty, a on wygadał się po kilku minutach rozmowy. Kiedy już wiedziałam, kim jesteś i że pracujesz z domu, posłałam Leetę, żeby się czegoś o tobie dowiedziała. Leeta to moja stażystka. Podkrađłam ją jesienią z „Glamour – Panna Młoda”.

Leeta. Wreszcie zyskała imię.

– Nie sprawia wrażenia kogoś, kto nadawałby się do „Glamour – Panna Młoda” – odparłam, przypominając sobie ciężkie glany i upiorny makijaż.

– Zapewniam cię, że nie interesuje jej ani magazyn, ani panny młode. Jej staż w „Glamour” był tylko środkiem do celu.

– Czy ona tu jest? – Miałam nadzieję, że nie. Za dużo o mnie wiedziała. Obserwowała mnie.

– Leeta musiała nieoczekiwanie wyjechać. A teraz pozwól, że skorzystam z okazji i przeproszę za jej zachowanie. Owszem, kazałam jej cię śledzić, ale musisz zrozumieć, że zajmuję się tu bardzo delikatnymi kwestiami. Chciałam, żeby Leeta cię wybadła, dowiedziała się, jak wygląda twoje codzienne życie, spróbowała się zorientować, jaką jesteś osobą. Nie mogłabym zaufać komuś prosto z ulicy i chciałam, żeby Leeta sprawdziła, czy byłabyś przychylna naszej sprawie.

– Jakiej sprawie?

– Chcę tylko powiedzieć, że po rozmowie z Leetą i przeczytaniu jej notatek zaczęłam się obawiać, że jej zachowanie mogło być niewłaściwe, że mogła ci się narzucać i... wytrącić cię z równowagi. – Julia sięgnęła do swojego pasa z narzędziami i wyłowiła z niego czerwony notes na spirali, w którym Leeta zawsze pisała, kiedy mnie śledziła.

– Chcę to zobaczyć – powiedziałam, wyciągając gwałtownie dłoń, ale Julia schowała notes z powrotem. – Mogłabym zadzwonić na policję – zagroziłam, zirytowana odmową.

– Więc czemu jeszcze tego nie zrobiłaś?

Na to nie miałam odpowiedzi.

– Naprawdę przepraszam cię za to wszystko – ciągnęła Julia. – Leeta miała zachowywać się tak, żebyś jej nie zauważyła.

– Ale to, że mnie szpiegowała, to już nie problem?

– Ona nie szpiegowała. Próbowала cię poznać.

– Bez mojej wiedzy?

– Początkowo owszem.

Zastanawiałam się, czy nie padłam ofiarą jakiegoś żartu. Jeśli tak, Julia była znakomitą aktorką.

– Dlaczego dała mi książkę Vereny Baptist?

– Zrobiła to z własnej inicjatywy. Polubiła cię i chciała ci pomóc. Pomyślała, że spodoba ci się przekaz tej książki.

– To wy znacie Verenę?

Zadzwonił dzwonek u drzwi. Zaskoczona Julia odskoczyła do tyłu i jej krzeselko wpadło na półkę za nią; szminki posypały się na jej głowę jak krople deszczu, lądując na podłodze.

– Cholera – powiedziała Julia. – Chodź ze mną.

Pobiegła do wejścia, najszybciej, jak pozwalały jej na to obcasy. Ktoś walił do drzwi.

– Tu Tamryn Suarez-O’Brian! – krzyknęła jakaś kobieta. – Jest tam kto? Otwierać!

– To producentka *Uwodzicielskiej bielizny* – szepnęła do mnie Julia.

Tamryn Suarez-O’Brian wkroczyła do pomieszczenia, balansując na fioletowych szpilkach z wężowej skóry i bębniąc palcami prawej dłoni po ogromnym ciężowym brzuchu.

– Nie można było szybciej? Wiesz, że nie mogę długo stać – powiedziała do Julii, ale jej spojrzenie skierowane było na mnie. – A ty to kto? – spytała, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Pracuje dla Kitty – wyjaśniła Julia. – Przyszła po szminkę.

– No dobrze, nie lubię wykorzystywać swojego stanowiska, ale potrzebne mi są jakieś perfumy, i to natychmiast. Cały ranek prześladował mnie okropny smród. No wiecie, zapach potu. Zastanawiałam się, kto tak cuchnie, aż w końcu odkryłam, że to ja.

Julia zaprowadziła Tamryn do sekcji z perfumami, a ja zostałam sama. Sięgnęłam po wykaz wiszący przy alejce z ustami:

[Nowa dostawa - tydzień 4 czerwca 2012] Afghan Red.00379 All Night long.00380 Amaretto.00381 Amber Rose.00382 Amorous.00383 Angel.00384 Apache Red.00385 Apple Brandy.00386 Arabian Night.00387 Areola.00388 Aroused.00389 Baby Doll.00390 Baby’s Bottom.00391 Baked Earth.00392 Bare.00393 Beauty Queen.00394 Beige Beauty.00395 Belle de Jour.00396 Bitchy.00397 Bite Me.00398 Black Honey.00399 Blackberry.00400 Blaze.00401 Bleed.00402 Blonde Honey.00403 Blonde Venus.00404 Blood Red.00405 Bloomin’ Pink.00406 Blush.00407 Blushing Rose.00408 Bohemian Bronze.00409 Brandy.00410 Brownest.00411 Bruised Algerian.00412 Bubblegum.00413 Burgundy Babe.00414 Butterscotch.00415 Buzzkill.00416 C-Word.00417 Café Crème.00418 Candy Apple.00419 Catfight.00420 Cheery Cherry.00421 Cherry.00422 Cherry Bomb.00423 Cherry Popper.00424 Cherry Red.00425

Cherrywood.00426 Chili.00427 Cinnamon.00428 Cinnamon
Rose.00429 Cobweb.00430 Cocktease.00431
Coconut.00432 Coffee Addict.00433 Cola.00434 Copper
Coin.00435 Copper Dust.00436 Coral Rose.00437
Corpse.00438 Cosmopolitan.00439 Cotton Candy.00440
Cranberry.00441 Crème Brûlée.00442 Crush.00443
Crushed Berry.00444 Daddy's Girl.00445 Dark Diva.00446
Dark Side.00447 Decay.00448 Deep Coral.00449 Devil
Woman.00450 Diva.00451 Do It To Me.00452 Dolce
Vita.00453 Dominatrix.00454 Dreamy Peach.00455 Dusty
Rose.00456 Edible Rose.00457 Empowered.00458 F**k
Me.00459 Fairest One.00460 Fire Engine.00461
Flame.00462 Flesh.00463 Forbidden.00464 Foreplay.00465
Freckle.00466 Fresh Moroccan.00467 Frosted Grape.00468
Gash.00469 Girl Trouble.00470 Girlish.00471 Girly.00472
Gold Digger.00473 Gold Dust.00474 Grape.00475 Guava
Kiss.00476 Harlow Gold.00477 Hit Me.00478
Honeyflower.00479 Honeyplum Glow.00480 Hot Pink.00481
Hussy.00482 I'm Easy.00483 Indecent.00484
Ingenuer.00485 Jailbait.00486 Jilted.00487 Juicy.00488
Jungle Red.00489 Just Peachy.00490
Just Red.00491 Kiss of Death.00493 Kiss Me.00492
Kitten.00494 Lady Like.00495 Lickable.00496 Lolita.00497
Lusty Lady.00498 Maiden.00499 Maple Sugar.00500
Marilyn.00501 Menstrual.00502 Merlot.00503 Mexican
Spice.00504 Misfit.00505 Mocha Honey.00506 Mocha
Maiden.00507 Mocha Mama.00508 Mochalicious.00509
Moll.00510 Moulin Rouge.00511 Nail Me.00512 Naughty
Girl.00513 Nearly Red.00514 Nipple.00515 Only Pink.00516
Orgasm.00517 Pale Pink.00518 Parole Violator.00519
Perfect Plum.00520 Peroxide.00521 Perv.00522
Pigalle.00523 Pink Berry.00524 Pink Burst.00525 Pink
Champagne.00526 Pink Flamingo.00527 Pink Heart.00528
Pink Lemonade.00529 Pink Parts.00530 Pink
Princess.00531 Pink Rose.00532 Pink Sugar.00533
Pinkapalooza.00534 Pinkest.00535 Plum Brandy.00536
Plum Nude.00537 Plum Passion.00538 Plum Rose.00539
Pomegranate.00540 Porn Star.00541 Pretty in Pink.00542
Prey.00543 Princess.00544 Punk.00545 Pussy Galore.00546
Raisin'n'Rose.00547 Ramblin' Rose.00548 Raspberry

Kiss.00549 Raspberry Swoon.00550 Rated X.00551
Raven.00552 Ravishing Red.00553 Red Apple.00554 Red
Devil.00555 Red Grape.00556 Red Indian.00557 Red
Lizard.00558 Red Queen.00559 Red Rage.00560 Red
Roses.00561 Red Rubies.00562 Red Scare.00563 Red
Sherry.00564 Red Velvet.00565 Red Wine.00566
Reddest.00567 Rockin' Raisin.00568 Roman Holiday.00569
Rose Blush.00570 Rose Bouquet.00571 Rose Lust.00572
Rose Pink.00573 Rose Red.00574 Rouge.00575 Ruby.00576
Ruby Addict.00577 Ruby Kiss.00578 Rum Honey.00579
Sangria.00580 Scarlet Diva.00581 Scarlet Harlot.00582
Scheherazade.00583 Screw Me.00584 Seeing Red.00585
Sex Me.00586 Sex Offender.00587 Sexy.00588 Shrinking
Violet.00589 Silver Haze.00590 Silver Moon.00591 Skinny
Rose.00592 Sleeping Beauty.00593 Slutzilla.00594 Smack
Dat Bitch.00595 Spice.00596 Spicy Apple.00597 Spicy
Ginger.00598 Spiderwoman.00599 Starlet.00600
Statutory.00601 Stiletto.00602 Stoplight.00603 Strawberry
Kisses.00604 Sugar Plum.00605 Sugared Violet.00606 Sun
Kissed.00607 Sunlight.00608 Swollen Angel.00609
Tease.00610 Temptress.00611 Tequila Blossom.00612
That's Amoré.00613 Tickled Pink.00614 Tigerlily.00615
Toasted Citrus.00616 Tramp.00617 Turkish Delight.00618
Underage Red.00619 Vamp.00620 Violated.00621 Virgin
Scary.00622 Violet Goddess.00623 Violet Vixen.00624
Vixen.00625 Volcanic Violet.00626 Voodoo Mama.00627
Voodoo Queen.00628 Watermelon.00629 Wedding
Night.00630 Whisky Rose.00631 White Girl.00632
Wicked.00633 Wild Thing.00634 Wine-oh!.00635
Wounded.00636 Zombie.00637

Tamryn wróciła z buteleczką wybranych perfum.

– Cięża jest do dupy – rzekła, kiedy Julia prowadziła ją do wyjścia.

Gdy odeszła, Julia oparła się czołem o drzwi, przymknęła oczy i rzuciła:

– Pizda. – Po czym odwróciła się do mnie. – Dwa lata temu zrobiłam doktorat ze studiów kobiecych. A tutaj nikt się nawet nie dziwi, że ktoś z takim dyplomem z prestiżowej uczelni całymi dniami siedzi w pomieszczeniu bez okien i sortuje szminki i tusze do rzęs. Spójrz na mnie! – zawołała. – Te ciuchy, te buty, te pasemka... Musisz wiedzieć, że sama

nigdy bym się tak nie ubrała. – Pomimo chłodu Julia była teraz zaczerwieniona i się pociła. Otarła czoło i powachlowała się ręką, po czym znowu poprawiła pas. Jej skóra była blada, a pod oczami widniały cienie, pewnie od stałego przesiadywania pod ziemią, z dala od słońca. Wyglądała jak górniczka z kopalni węgla, w której bardzo dba się o modę.

– Ale co ma z tym wszystkim wspólnego Verena Baptist? – zapytałam jeszcze raz.

– Nic – odparła Julia, odbierając mi wykaz szminek i odwieszając go z powrotem na haczyk. – Na razie wystarczy tych pytań. – Podeszła do mnie. – Stań pod ścianą – szepnęła, popychając mnie lekko do tyłu, póki nie poczułam za plecami chłodnych cegieł. Byłyśmy tego samego wzrostu, więc patrzyłyśmy sobie w oczy. Włosy Julii, brązowe z karmelowymi pasemkami, opadały jej na ramiona miękkimi falami. Wzięła mnie pod brodę i odchyliła mi głowę do tyłu.

– Otwórz usta – poleciała.

– Hę?

– Bez gadania.

Prawą dłonią zaczęła szperać w swoim pasie. Wkrótce poczułam konturówkę obrysowującą moje ułożone w O wargi; z początku była twarda, ale potem zmiękła. Czułam też oddech Julii na mojej szyi. Teraz malowała mi usta szminką.

– Pasuje do ciebie ten kolor. Masz cerę jak biała róża – powiedziała. Zarumieniłam się. – Nikt ci nigdy nie mówi, że jesteś piękna? – Odwróciłam głowę, ale Julia złapała mnie za podbródek i zwróciła ją z powrotem do siebie.

– Jakiego koloru są twoje sutki?

– Że co?

– Twoje sutki. Jakiego są koloru?

Nikt jeszcze mnie o to nie pytał.

– Różowego.

Julia wyciągnęła z pasa kompakt i otworzyła wieczko. Spojrzałam na paletę różu.

– Jaśniejsze.

Julia znowu sięgnęła do pasa i pokazała mi inną paletę, tym razem

w najjaśniejszych odcieniach.

– O takie.

Wyjęła pędzelek i musnęła pudrem moje policzki. Pędzel upadł jej na podłogę i nachyliła się, żeby go podnieść. Zobaczyłam, że pod bluzką całą klatkę piersiową ma wytatuowaną w cierniste róże.

– A teraz zamknij oczy – poleciła. Przesunęła po moich powiekach czymś łaskoczącym i miękkim, jakby koniuszkiem pióra. Kiedy skończyła, otworzyłam oczy. Julia odsunęła się, żeby na mnie spojrzeć.

– Każdy makijaż to karykatura – stwierdziła, krzyżując ramiona.

– Po co tu jestem?

Julia zaczęła krążyć, stukając obcasami i przygryzając drewniany uchwyt pędzla.

– Mogłabyś pójść w tej chwili do Kitty i wszystko jej o mnie powiedzieć, a wtedy byłabym skończona.

– Ale co powiedzieć? Przecież ja nic nie wiem.

Julia spojrzała na mnie z namysłem.

– Leeta uważa, że można ci zaufać. Chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobiła.

Za Shondę

Kiedy umieszczono ich w brązowych płóciennych workach, obaj jeszcze żyli. Dwóch mężczyzn, dwa worki. Zrzucono je nocą ze ślimaka na autostradzie Harbor, najwyższego w południowej Kalifornii. Ciała zleciały na sam dół, na jezdnię autostrady Century. Policja mówiła później, że obie ofiary musiały zginąć w następstwie upadku.

Przez kilka godzin rozpędzone auta oraz ciężarówki rozjeżdżały i włóczyły oba worki. Wreszcie jeden z nich został zauważony przez policjanta z patrolu, który zgłosił padlinę na poboczu. Powiedział, że to coś dużego i brązowego. Jego obowiązki nie obejmowały zajmowania się takimi sprawami.

Godzinę później przyjechała ekipa od sprzątania drogi, dwóch weteranów i młoda gwiazda rapu, Jayson Fox, którego skazano na roboty publiczne. Którejś nocy w rezydencji na wzgórzach Hollywood Fox pobił swoją partnerkę, słynną modelkę. Policyjne zdjęcia posiniaczonej twarzy dziewczyny wyciekły do internetu. Foxa skazano na krótki pobyt w okręgowym więzieniu oraz na roboty: miał jeździć furgonetką po całym Los Angeles, ubrany w kombinezon khaki, w towarzystwie dwóch olbrzymów ze szwankującymi prostatami, i zbierać z jezdni zwierzęce truchła. Dwa miesiące czegoś takiego miały go nauczyć, że nie bije się swojej dziewczyny. A przynajmniej, że nie wolno dać się na tym złapać.

- Twoja kolej, Fox - powiedział kierowca furgonetki, kiedy stanęli na poboczu autostrady w pobliżu jednego z worków.

Jayson Fox, przyzwyczajony do rozbijania się bugatti veyronem, z ulgą wysiadł ze śmierdzącego auta. Pozostali dwaj patrzyli, jak się oddala, i jedli kanapki z jajkami z McDonalda. Z tyłu na poboczu zatrzymał się samochód pełen dziewczyn. Wszędzie za nimi jeździły. Jedna z nich wystawiła przez szybę znak z napisem MNIE MOŻESZ DAĆ W TWARZ, JAYSON!

- To mi nie wygląda na zwierzę - powiedział jeden z facetów, patrząc, jak Fox podchodzi z łopatą do brązowego obiektu.

- Faktycznie - zgodził się drugi.

Kiedy Jayson Fox dotarł na miejsce, stwierdził, że to nie rozjechane zwierzę, tylko coś owiniętego w materiał. Obejrzał się skonsternowany na furgonetkę. Jeden z mężczyzn machnął kanapką, każąc mu otworzyć worek, który nasiąkł czymś, co przypominało krew. Jayson Fox wstrzymał oddech i rozsunął fałdy płótna. Faceci w furgonetce przyglądali się, jak zagląda do środka, i nagle zobaczyli na jego twarzy wyraz szoku. Fox podbiegł na skraj drogi i zwymiotował. Dziewczyny nagrywały jego torsje telefonami. W kilka godzin nagrania rozeszły się po całym internecie.

Drugi worek znaleziono dopiero po jakimś czasie. Ciągnął się przez dziesięć kilometrów za jakąś ciężarówką. Ruch na autostradzie Century tymczasowo zamknięto w obu kierunkach, powodując korki.

Oglądając relację w swoim domu w zachodnim Teksasie, doktor Ormond Brown zastanawiał się, jak szybko policja zapuka do jego drzwi. Miał przeczucie, że wie, kto jest w tych workach, a jeśli się nie mylił, to w pewnym stopniu odpowiadał za oba zgony. Czy raczej lincze. Policja i armia odmówiły podjęcia jakichkolwiek działań, więc Brown wraz z żoną umieścili nazwiska i zdjęcia Simmonsa i Greena na swojej stronie internetowej. A teraz ktoś ich dorwał i zabił. To sprawiło, że doktor Brown znowu zaczął wspominać córkę. Rozmyślał o niej, aż się popłakał.

Śmierć Shondy Brown, szeregowca Armii Stanów Zjednoczonych i córki doktora Brown, została uznana za samobójstwo. Shonda Brown była pierwszą teksaską Afroamerykanką, która zginęła podczas wojny w Iraku - był to powód do sławy, bez której zdaniem jej ojca Shonda doskonale by się obyła. Na świadectwie zgonu jako przyczynę śmierci wpisano „ranę postrzałową zadaną własną ręką”. Przez trzy lata, które upłynęły od tamtego czasu, zapisu nie poprawiono.

Shonda stacjonowała w Camp Mojave. W listach i w rozmowach telefonicznych z bliskimi nie sprawiała wrażenia, jakby cokolwiek jej doskwierało. Wojskowi śledczy orzekli jednak, że strzeliła sobie w głowę z M16, nie pozostawiając listu pożegnania. Kiedy jej ciało wróciło do domu, doktor Brown zbadał je w miejscowej kostnicy. Zwłoki były ubrane w mundur galowy. Białe rękawiczki na dłoniach zostały przyklejone do skóry. To był pierwszy znak, że coś się nie zgadza. Po bliższych oględzinach doktor Brown stwierdził, że twarz jego córki jest pokryta siniakami, a zęby wybite. Do tego rana wylotowa z tyłu głowy była za mała – jego zdaniem powstała w efekcie strzału z pistoletu, nie z karabinu.

Poprosił pracowników domu pogrzebowego, aby zdjęli z jego córki ubranie i odkleili rękawiczki od skóry. Jej dłonie były podrapane i poparzone. Całe ramiona i nogi pokrywały siniaki. Kiedy otrzymał wyniki autopsji, wyczytał w nich, że narządy płciowe Shondy zostały poparzone wybielaczem. Od początku wiedział, że jego córka nie popełniła samobójstwa. Nie potrafił zrozumieć, w jaki sposób ktokolwiek mógł dojść do takiego wniosku.

Przez trzy lata rodzice Shondy, z pomocą swojego przedstawiciela w Kongresie i dzięki Ustawie o dostępie do informacji, zbierali dowody w sprawie gwałtu oraz zabójstwa córki. Prowadząc swoje dochodzenie, doktor Brown poznał historie innych członków amerykańskiej armii, które „popełniły samobójstwo” w Iraku, posługując się zgoła niemożliwymi sposobami, takimi jak zadanie sobie wielokrotnych śmiertelnych ran postrzałowych albo rozjechanie się ciężarówką. Rozmowy z krewnymi tych kobiet dawały mu poczucie, że robi coś ważnego, nawet jeśli w przypadku Shondy był bezsilny.

Na krótko przed trzecią rocznicą śmierci dziewczyny nastąpił przełom w śledztwie. Sierżant Lance Penderson po zwolnieniu ze służby popełnił samobójstwo. Udusił się w garażu brata. Przed śmiercią napisał do państwa Brown list z informacją, że ich córka została zgwałcona przez dwóch towarzyszy broni, którzy stacjonowali z nimi w Camp Mojave – byli to Michael Simmons i Davies Green.

Penderson nie wiedział, czy ją zamordowali, ale na pewno ją zgwałcili. Wszyscy o tym wiedzieli.

Rodzice Shondy przekazali list śledczym wojskowym. Simmons i Green, którzy do tego czasu zakończyli służbę i teraz mieszkali w Los Angeles, zostali przesłuchani, ale nie było żadnych dowodów, że Shonda została zgwałcona, poza tym nigdy nie zrobiono badań wymazu z jej pochwy. Wersja oficjalna nadal głosiła: „rana postrzałowa zadana własną ręką”.

W akcie desperacji państwo Brown umieścili nazwiska oraz zdjęcia Simmonsa i Greena na stronie internetowej, którą założyli ku pamięci Shondy. „A jeśli znowu kogoś zgwałcą?”, pisała jej matka. „A jeśli znowu kogoś zamordują?”. Simmons i Green zagrozili im pozwem i nawet zatrudnili prawnika, ale teraz rodzice dziewczyny nie musieli się już obawiać procesu.

Doktor Brown siedział w salonie i oglądał relacje transmitowane z helikoptera unoszącego się nad ślimakiem na trasie Harbor, nagrania wymiotującego Jaysona Foxa oraz zdjęcia brązowych worków. Wiedział, kto się w nich znajduje. Po prostu wiedział. Poprzedniego wieczoru otrzymał maila z załącznikiem. Były w nim dwa klipy, jeden z Simmonsem, drugi z Greenem. Obaj przyznawali się w nich do tego, co zrobili Shondzie, opisując wszystko z takimi szczegółami, że nie było wątpliwości co do tego, czy mówią prawdę. Nagrania przypominały filmiki robione przez zamachowców samobójców. Obaj mężczyźni siedzieli na tle amerykańskiej flagi i mówili prosto do kamery, ze świadomością, że czeka ich śmierć.

Upłynął ponad tydzień od spotkania z Julią w Kąciku Kosmetycznym. Julia chciała dostać ode mnie adresy mailowe wszystkich dziewczyn, które napisały do Kitty, od kiedy zaczęłam pracę. Było ich co najmniej pięćdziesiąt tysięcy. Kiedy zapytałam, do czego są jej potrzebne, odparła, że ma swoje powody.

– Chodzi o szlachetną i słuszną sprawę – powiedziała – ale lepiej, żebyś nie znała szczegółów. W ten sposób nigdy nie będziesz zmuszona do kłamstwa.

Wiedziałam, że jeśli przekażę jej te adresy, mogę się wpakować w kłopoty, a nie mogłam sobie na to pozwolić, ponieważ utrata pracy i ubezpieczenia zdrowotnego tuż przed operacją zniszczyłaby moje plany. Musiałam przestać rozmyślać o prośbie Julii. Nic mi z tego nie przyjdzie i już to, że się nad tym zastanawiałam, było niedorzeczne, a mimo to ciągle obracałam w głowie tę myśl; nie mogłam zapomnieć o naszym spotkaniu. Julia, Leeta i książka Vereny zakłóciły rytm mojego życia.

Żeby skupić się na czymś innym, odgrzałam kawałek lazanii z kurczaka (230) i włączyłam telewizję, a talerz postawiłam na stoliku przed sobą. Leciał program publicystyczny Cheryl Crane-Murphy. Jak na wszystkich innych kanałach, tak i tu omawiano sprawę zabójstwa Simmonsa i Greena. Ślimak na autostradzie Harbor zdążył się stać znajomym widokiem.

– Czy sądzę, że zasługiwali na to, by ich zamordowano? Cóż, jako praktykująca chrześcijanka uważam, że morderstwo jest złem, ale muszę przyznać, że nie będę płakać po tych dwóch zbirach. A jeśli się ze mną nie zgadzacie, to trudno.

Cheryl Crane-Murphy przypominała podstarzałego polityka z zaczeską, tylko że była kobietą i zaczeskę miała raczej metaforyczną. Tak naprawdę jej włosy były krótkie i w kolorze ciemnego blondu, ułożone i utrwalone lakierem, sztywne jak beza. Wyrażała się z wdziękiem udawanej kolokwialności, a obiektyw ustawionej przed nią kamery był jak dziurka, przez którą Cheryl podglądała ze swojego nowojorskiego studia całą Amerykę, jakby mówiła: „Widzę was, jestem jedną z was”.

Poskakałam po kanałach i w końcu zatrzymałam się na jednej ze stacji Austen Media, na której puszczano właśnie wywiad z Kitty.

Nie można się było przed nią ukryć.

– Wcześniej zademonstrowałam, jak się ustawić do zdjęcia, żeby biodra wyglądały na szczuplejsze – mówiła. – Teraz pokażemy, w jaki sposób można zamaskować...

Przełączyłam z powrotem na perorującą Cheryl Crane-Murphy.

– Powinniśmy ustanowić prawo, że każdy żołnierz, który zgwałci towarzyszkę broni, będzie kastrowany. *Bez znieczulenia*. Słowo daję, chyba wystartuję do Kongresu.

Zjadłam lazanie, patrząc, jak Cheryl wali pięścią w biurko i toczy dookoła dzikim wzrokiem.

Na dole ekranu pojawił się żółty pasek z napisem WIADOMOŚCI Z OSTATNIEJ CHWILI. Cheryl poprawiła słuchawkę w uchu i ogłosiła, że wstępne wyniki autopsji Simmonsa i Greena ujawniły w gardłach obu mężczyzn zwitki papieru ze słowem „Jennifer”.

– Kto to jest Jennifer? – zapytała.

Na myśl o papierze w gardłach martwych mężczyzn zrobiło mi się niedobrze i odsunęłam od siebie talerz. Wyłączyłam telewizor i wzięłam telefon, żeby zadzwonić do matki. Rozmawiałyśmy ze sobą co kilka dni. Jeśli się nie odzywałam, zaczynała się martwić.

– Kto to jest Jennifer? – spytała, gdy tylko odebrała telefon, wiedząc, że to ja dzwonię. Zawsze oglądała program Cheryl Crane-Murphy. – Mówiłam ci kiedyś, że ojciec chciał cię nazwać Jennifer? Większość dziewczynek dostawała wtedy to imię. – Zaczęła się rozwodzić nad sprawą zabójstwa i opisywać, jak to w dniu, kiedy znaleziono zwłoki, godzinami tkwiła w korkach.

Pozwoliłam się jej wygadać. Od kiedy Delia przeniosła się do domu starców, matka czuła się samotna na Harper Lane. Namawiałam ją i Delię, żeby sprzedały tę straszną działkę, pozbyły się jej na dobre, ale obie były do niej zbyt przywiązane. Podkreślałam wpływ faktu, że mieszkała tam Myrna Jade, na cenę nieruchomości, lecz żadna z nich nie dała się przekonać. Dla nich to miejsce było domem. Czytając książkę Vereny, tak często wracałam myślami na Harper Lane, że miałam wrażenie, jakbym dopiero co tam była, choć w rzeczywistości moja stopa nie postąpiła tam już od lat.

– Ja też mam pewną tajemnicę – powiedziałam, przerywając monolog matki na temat zabójstw.

Przedstawiłam jej okrojoną wersję ostatnich wydarzeń z mojego życia. Musiałam powiedzieć to na głos do drugiego człowieka, żeby się upewnić, że

nie wariuję. Początek zachowałam dla siebie – historia z Leetą była zbyt dziwna – za to opowiedziałam matce o Kąciku Kosmetycznym, Julii Cole oraz jej prośbie.

W słuchawce zapadła cisza, aż wreszcie matka spytała:

– Czy ty to sobie zmyśliłaś?

– Co konkretnie?

– Wszystko. Ten Kącik Kosmetyczny naprawdę istnieje?

– Wyobraź sobie Madison Square Garden, tylko wypełniony kosmetykami. O takiej skali tu mowa.

– Nie wiem, w co ty się tam wplątałaś...

– W nic się nie wplątałam. One po prostu mnie... znalazły.

– A co ci grozi w najgorszym wypadku, jeśli dasz tej całej Julii adresy?

– Mogę stracić pracę.

– Powiedziałaś „wnajgorszym wypadku”. Gdyby cię wyrzucili, wcale nie byłoby to takie złe.

Matka od początku była przeciwna temu, że odpisuję czytelnikom w imieniu Kitty. Chciała, żebym skupiła się na własnej twórczości. Zawsze mówiła „ta głupia Kitty”. Uchyliwszy niechący drzwi do mojego życia zawodowego czy też jego braku, pospiesznie rzuciłam się je zatrzaskać. Powiedziała matce, że dam jej znać, kiedy już zdecyduję, co robić.

– Dobrze się czujesz?

– Co to ma niby znaczyć?

Każde jej słowo było pełne ukrytych znaczeń. Kiedy pytała, czy dobrze się czuję, miała na myśli różowe pigułki. Czy mam depresję? Ciągle się o mnie martwiła. Dlatego tak jej zależało na częstych rozmowach telefonicznych.

– I nie przesiadujesz cały czas w mieszkaniu, prawda?

– Mamo, codziennie wychodzę do kafejki.

– Ale poza tym. Wychodzisz *na miasto*, prawda?

– Jasne.

Obie wiedziałyśmy, że kłamię.

Kiedy się rozłączyłam, potrzebowałam kilku minut, żeby w pełni powrócić do swojego nowojorskiego życia. Podeszłam do biurka i uruchomiłam

komputer. Najrozsądniej byłoby zapomnieć o prośbie Julii, lecz miałam niejasne wrażenie, że jej spełnienie może mnie zaprowadzić do czegoś ciekawego, odległego od tego mieszkania i tego życia.

Zrzuciłam wszystkie adresy do arkusza w Excelu – było ich aż pięćdziesiąt dwa tysiące czterysta siedem. Ta liczba wprowadziła mnie w osłupienie i zaczęłam rozmyślać o tym, że moje wiadomości z tych kilku lat wypełniłyby tysiące stron i że lepiej byłoby spożytkować ten czas na pisanie czegoś bardziej wartościowego. Czekałam, aż wszystko skopiuje się do arkusza, bębniąc palcami po gładziku laptopa, tak że słychać było nerwowe tap, tap. Wreszcie wcisnęłam klawisz „wyślij” i arkusz pomknął do prywatnej skrzynki pocztowej Julii. Plik został wysłany i nie było już odwrotu.

Po kilku minutach dostałam odpowiedź.

Od: Julia Cole

Do: PlumK

Temat: Re: Arkusz

Dzięki za listę. Niedługo znowu się skontaktuję.

A tymczasem Verena Baptist chciałaby się z Tobą spotkać.

J.

Verena Baptist wpuściła mnie do swojego zagraconego domu w kolorze krwi.

– Witamy w Domu Kaliope – powiedziała, nie wyjaśniając jednak, kim jest Kaliope ani co ma oznaczać ta nazwa.

Miałam ochotę powiedzieć: „Ty jesteś córką Eulayli Baptist”.

Dom Kaliope składał się z dwóch połączonych kamienic położonych w West Village przy zadrzewionym odcinku Trzynastej Ulicy, pomiędzy Szóstą a Siódmą Aleją. Weszłam do przedpokoju i otoczyły mnie ściany pokryte czerwoną tapetą. Skojarzyło mi się to z macicą. Po lewej i prawej stronie mieściły się pomieszczenia urządzone w odcieniach purpury – w jednym był salon, w drugim znajdowały się biurka, przy których siedziały kobiety zajęte pracą i rozmowami. Pod sufitami wisały żyrandole, a większość powierzchni zastawiona była stertami książek i papierów.

Verena nie pasowała do tego otoczenia, wyglądała zbyt zwyczajnie ze swoją jasną cerą i jasnymi włosami – wiązka światła w panującym tam mroku. Była wysoka i smukła. Kiedy podała mi rękę, poczułam kości jej palców, kruche jak zapałki. Spodziewałam się jakiegoś podobieństwa do Eulayli Baptist, którą cechowała ta plastikowoamerykańska uroda typowa dla zwyciężczyń konkursów piękności, ale nikt nie zdołałby się domyślić, że te dwie kobiety to matka i córka. W głosie Vereny krył się lekki ślad południowego akcentu, wyczuwalny akurat na tyle, żeby odróżnić ją od typowej mieszkanki Nowego Jorku.

– Ten dom jest nieco przytłaczający – powiedziała niemal przepraszająco.
– Był w takim kolorze, kiedy się wprowadziłam, i nie chciałam go zmieniać.

Rozejrzałam się po pokoju z biurkami, lecz kobiety nie zwróciły na mnie najmniejszej uwagi.

– To dom mieszkalny czy biuro? – spytałam, nadal się rozglądając i zauważając coraz to nowe szczegóły.

Na jednej z szafek stała duża orchidea nakryta szklanym kloszem.

– Jedno i drugie – wyjaśniła Verena.

Dodała, że tu mieszka, ale dom służy również jako siedziba jej fundacji. Większość obecnych tam kobiet przychodziła tylko na dzień, ale kilka mieszkało razem z nią. Powiedziała, że od lat dwudziestych do lat siedemdziesiątych kamienica należała do katolickiej instytucji dobroczynnej,

która instalowała tu niezamężne ciężarne nastolatki. Dziewczyny albo same uciekały z domów, albo wyrzucali je krewni. Nie mając innego schronienia, zatrzymywały się tu do czasu porodu. Dzieci oddawano wierzącym rodzinom do adopcji i młode matki już nigdy ich nie widziały. Znowu same, wracały do zwykłego życia, jakby nigdy nic – a w każdym razie nic, o czym mogłyby rozmawiać.

Kiedy Verena usłyszała tę historię od pośrednika nieruchomości, który pokazał jej dom, od razu wiedziała, że to miejsce musi należeć do niej. Od lat sześćdziesiątych, kiedy instytucja przestała działać, do czasu, kiedy Verena kupiła kamienicę (było to dziesięć lat przed tym, jak się poznałyśmy), mieszkali tam też inni ludzie, ale ściany zawsze były czerwone. Zastanawiałam się, czy tamtym dziewczętom nie kojarzyło się to z miesięczkami, które przestały się pojawiać: nieobecność czerwieni, zapowiedź katastrofy.

Poszłam za Vereną do salonu. Miała na głowie kwiecisty szal zawiązany jak opaskę, którego węzeł i końce ukrywały się pod długimi włosami. Ubrana była w sukienkę do kolan z niebieskiego płótna, z ogromnymi kieszeniami na przodzie pełnymi długopisów i skrawków papieru, a pod spodem miała biały T-shirt. Jej ubrania pachniały proszkiem do prania, czuć od nich było charakterystyczny chemiczny kwiatowy zapach, którego nie spotka się w przyrodzie. Sprawiała wrażenie prostoty i świeżości – typ dziewczyny, którą można by zobaczyć na korcie tenisowym w reklamie tamponów. Tylko że wcale nie była dziewczyną. Wiedziałam z jej książki, że zbliżała się do czterdziestki.

Idąc za nią i patrząc, jak jej biodra kołyszą się pod niebieską sukienką, a mięśnie nagich łydek spinają się i rozluźniają, nie mogłam uwierzyć, że jest krwią z krwi i kością z kości Eulayli. Verena zniszczyła matce figurę; od tego właśnie zaczął się Program Odchudzający Baptist – od maleńkiego ziarenka, które zmieniło się w „bombę z dziewięciomiesięcznym zapłonem”. Ciało Vereny można by wystawić w muzeum, stanowiło część amerykańskiej historii.

Doszliśmy do położonej w głębi domu kuchni, także czerwonej. Większość pustej przestrzeni wypełniał okrągły dębowy stół, dookoła którego stały w ciasnym kręgu krzesła. Na ścianie za stołem wisiała oprawiona w ramki para złożonych w kolanach dżinsów przypiętych do białego jedwabnego tła.

– Czy to...? – Pokazałam je palcem, niepewna, czy powinnam wspominać o zmarłej matce Vereny.

– Tak, to właśnie słynne „grube dzinsy” mamy, te z reklam telewizyjnych.

Położyłam dłoń na szkle, przypominając sobie, jak Eulayla wyskakiwała ze zdjęcia przedstawiającego te spodnie. Nie była tak wielka, jak się wydawało. Jej grube dzinsy na pewno by na mnie nie weszły. Nachyliłam się, by lepiej im się przyjrzeć. Wiedziałam, że Eulayla Baptist była kobietą z krwi i kości, ale zawsze jawiła mi się jako postać mityczna. A teraz miałam przed sobą jej spodnie – i jej córkę. Parsknęłam śmiechem. Nie mogłam się powstrzymać.

Verena nalała mi do szklanki słodkiej mrożonej herbaty (105) z dzbanka i zaprosiła, żebym usiadła przy stole.

– Też byłam kiedyś baptystką – powiedziałam, nadal spoglądając na legendarne dzinsy.

– To musiało być piekło, prawda?

– Gorzej.

Opowiedziałam jej o czasie spędzonym w Programie Baptist, o tym, jak się zapisałam, kiedy zobaczyłam reklamę z jej matką, o liderce naszej grupy, Gladys, i o tym, jak płakała, przekazując mi wiadomość o śmierci Eulayli.

– Na pewno mnie nienawidziłaś – stwierdziła Verena. – Minęło ponad dziesięć lat, a ja nadal dostaję listy w stylu „Zniszczyłaś moje marzenia o szczupłym ciele!”. To się przewija u wszystkich hejterek. Choćby w zeszłym tygodniu grożono mi śmiercią.

Opowiedziała, jak w ciągu pierwszych lat po zamknięciu Programu Odchudzającego Baptist różne niezadowolone baptystki nachodziły ją i nawet jej wygrażały. Urządzały sobie zjazdy w całym kraju. Na internetowych stronach aukcyjnych można było kupić koktajle Baptist całe lata po tym, jak upłynęła ich data przydatności do spożycia, tak jakby z czasem miały się robić lepsze, niczym wino. Niektóre dawne baptystki kolekcjonowały stare posiłki i pamiątki związane z Eulaylą. Kilka posunęło się nawet do zdewastowania jej grobu i skuło z niego słowa „Ukochana matka”, by pośmiertnie zatrzeć wszelkie ślady łączące Eulaylę z Vereną. Verena już trzy razy musiała wymieniać nagrobek.

Spytałam ją, czy sama kiedykolwiek była na tej diecie. Sądząc po jej szczupłej figurze, bardzo w to wątpiłam.

– Nie, nigdy nie tyję, niezależnie od tego, co jem – powiedziała. – Wdałam się w tatę. Jako dziecko chciałam być gruba, choćby po to, żeby dopiec matce. Otyłość stanowiła dla mnie formę buntu. Moja niania była gruba. Miała takie śliczne krągłości. A mama składała się z samych kości i kantów.

Nie można się było w nią wtulić, równie dobrze mogłabyś się przytulać do wiązki masztów namiotowych.

– Jeśli nigdy nie byłaś... – Nie umiałam się zmusić, żeby wymówić słowo na G, nie mogłam powiedzieć „gruba”, nigdy nie wypowiadałam tego na głos, nienawidziłam samego dźwięku tego określenia. Wolałam wszelkie eufemizmy: „z nadwagą”, „krągła”, „pulchna”, „puszysta”, nawet „otyła”. Raz wręcz powiedziałam o sobie, że noszę sukienki w rozmiarach powyżej czterdziestki, ale nigdy nie opisałam się słowem „gruba”. – Jeśli nigdy nie byłaś...

– Gruba – podsunęła Verena.

– ...to czemu tak się interesujesz odchudzaniem? Dlaczego napisałaś tę książkę?

– Chciałam ujawnić prawdę i w miarę możliwości przynajmniej trochę naprawić wyrządzone przez mamę zło. Moja rodzina zbiła fortunę na wyzyskiwaniu ludzi szukających pomocy, a teraz ta fortuna należy do mnie. Stanowi owoc nieuczciwych działań i bardzo mi to ciąży na sumieniu. Czasem, kiedy myślę o tym nocą, zaczyna mi brakować tchu.

Fortuna ta, jak wyczytałam w internecie, wynosiła ponoć blisko dwieście milionów dolarów. Chciałam zażartować, że co najmniej jedna cegła tej kamienicy – a może i więcej – została ufundowana przeze mnie, ale się powstrzymałam. Verena wyglądała, jakby naprawdę ją to bolało. Mówiła, że cała jej liczna rodzina była oburzona jej książką i większość krewnych zerwała z nią kontakty.

– Prawda to samotne miejsce, ale to nie ma znaczenia. Teraz mam nową rodzinę. W dodatku lepszą.

Dodała też, że nie ma zamiaru pisać kolejnej książki. *Przygody w Krainie Diet* były jej pierwszą i ostatnią. Twierdziła, że nie jest pisarką, tylko filantropką, działaczką społeczną. Z wykształcenia była także terapeutką, choć zarzuciła praktykę zawodową.

Zastanawiałam się, czy próbuje mnie zanalizować. Wciąż nie wiedziałam, dlaczego mnie do siebie zaprosiła.

– Pracujesz z Julią?

– Ależ skąd. Poznałyśmy się kilka lat temu na konferencji. Julia interesuje się moimi działaniami i wpada od czasu do czasu, żeby pogadać. Ostatnio była tu kilka dni temu. Opowiadała, że jej stażystka... Lena, zgadza się?

– Leeta. – Pierwszy raz wymówiłam głośno jej imię.

– No tak, Leeta. Julia powiedziała, że zdaniem Leety powinnam cię poznać, więc oto jesteś.

– Leeta dała mi egzemplarz twojej książki.

– Cieszę się. Nigdy nie pomijam sposobności, żeby poznawać ciekawe kobiety. Można powiedzieć, że jestem kolekcjonerką kobiet.

Nie dało się zaprzeczyć, że w jej domu było ich pełno. Verena wyciągnęła rękę przez stół i ścisnęła przyjaźnie moją dłoń. Rzadko się zdarzało, żeby ktoś mnie dotykał, ale i Julia, i Verena to zrobiły.

Opowiedziałam jej o tym, jak Leeta mnie szpiegowała i jak Julia poprosiła o listę adresów mailowych.

– Kim właściwie jest Julia? – spytałam.

– Zamieszkuje świat intryg i sekretów, który mnie osobiście bardzo męczy. Wiem jednak, że pracuje między innymi nad demaskatorskim tekstem na temat Austen Media. Wspominała coś o tym, że chciałyby, żebyś wygrzebała jakieś brudy o Kitty.

A więc na to liczyła Julia. Nie nadawałam się jednak do wygrzebywania brudów – przecież nawet nie pracowałam z Kitty w redakcji.

– Kiedy powiedziała, że ktoś taki jak ty odpowiada na maile Kitty, zaczęłam się tobą interesować.

– Ktoś taki jak ja? – Wiedziałam, co miała na myśli, ale uraziło mnie, że powiedziała to wprost.

– Pewnie wiele osób jej wytyka, że ma w zespole same szczupłe dziewczyny, ale wtedy Kitty może się bronić: „Hej, przecież jedna z moich asystentek jest gruba”. To tak jak ci ludzie, którzy mówią: „Nie jestem rasistą, mam czarnego kumpla”. A najgorsze, że Kitty nawet nie chce, żebyś pracowała z nimi w biurze.

– Mówiła, że praca z domu to był pomysł działu kadr – odparłam.

– Złotko, i ty w to wierzysz?

Spojrzałam na małe podwórko z różami i wysokimi drzewami. Moją twarz zalał gorący rumieniec. Czułam się jak wieloryb wyrzucony na czerwoną plażę domu Vereny, groteskowy stwór pokazywany w cyrku.

– Wiesz, ja wcale nie chcę tak wyglądać. Nienawidzę swojego ciała. Nie trzeba mi przypominać, co ludzie o mnie myślą.

– To oni mają problem, nie ty. Z tobą wszystko jest w porządku.

Nie odpowiedziałam, tylko zacisnęłam mocno wargi, wykrzywiłam je w grymas.

Verena się zmieszała.

– Czy powiedziałam coś nie tak?

– Nie lubię, kiedy nazywa się mnie *grubą*.

– Rozumiem – powiedziała Verena. – Dla mnie bycie grubym to nic złego, więc nie zdawałam sobie sprawy, że cię uraziłam. Myślałam, że nadajemy na tych samych falach i że dlatego właśnie Leeta chciała, żebyśmy się spotkały.

– Nie wiem, czemu Leeta to zaproponowała.

– Teraz już to widzę.

– Łatwo ci mówić, że bycie grubym to nic złego – stwierdziłam, wciąż zdenerwowana, mimo jej przeprosin. – Ty nie musisz tak żyć.

Może kiedyś miała grubą matkę, ale to nie to samo. Powiedziałam jej, że już niedługo przestanę być otyła, że za kilka miesięcy poddam się operacji odchudzającej.

– Diety nie działają, sama to przyznałaś w swojej książce. Pora, żebym podjęła inne działania.

– I tyle sobie przyswoiłaś z mojej książki? – Gdyby Verena nie była z natury tak blada, cała krew odpłynęłaby jej z twarzy. – Och, Plum, nie rób tego. Nie kładź się pod nóż. Błagam cię, przemyśl to jeszcze.

„Zaczyna się”, pomyślałam. Kolejna szczupła kobieta będzie mnie chciała zniechęcić do operacji, zupełnie jak moja matka.

– Już postanowiłam.

– Jedyna różnica między moją matką a lekarzem, który przeprowadzi na tobie operację, jest taka, że matka nie miała uprawnień medycznych. To wszystko szarlataneria.

Blade policzki Vereny zabarwiły się różem. Już miała powiedzieć coś więcej, ale się powstrzymała. Położyła dłonie płasko na stole i wzięła głęboki wdech, próbując nad sobą zapanować. Widziałam wyraźnie, że należy do osób, które nie lubią tracić nad sobą kontroli. Kiedy tak na nią patrzyłam, zrobiła minę, jakby wpadła na jakiś pomysł. Na wieść o mojej planowanej operacji jej rysy się ściągnęły, ale teraz na powrót się rozluźniły. Verena usiadła prosto i spytała:

– Jak zamierzasz za to zapłacić?

Powiedziałam, że część kosztów pokryje moja polisa, ale pozostanie mi do zapłaty około siedmiu tysięcy dolarów, które spłacę z oszczędności i kredytów.

– A co z dalszymi wydatkami? Nowe ubrania, operacje plastyczne? Bo wiesz, że będziesz potrzebowała następnych zabiegów? Jeśli tak szybko stracisz na wadze, skóra będzie na tobie wisiała.

Zaczęłam już kupować nową garderobę, ale wiedziałam, że Verena ma rację w kwestii dalszych operacji. Powiedziałam, że znajdę sposób, żeby za wszystko zapłacić.

– Zróbmy tak – zaproponowała Verena. – Dam ci dwadzieścia tysięcy dolarów. Byłaś baptystką. Płaciłaś opłaty członkowskie i kupowałaś to straszne jedzenie. Biorąc pod uwagę, ile bólu i cierpienia cię to wszystko kosztowało, plus procenty, powiedziałabym, że jestem ci tyle winna.

Miałam ochotę się roześmiać – byłam przekonana, że to żart, ale poważny wyraz twarzy Vereny uświadomił mi, że wcale nie.

– Dla ciebie dwadzieścia tysięcy to duża kwota, a dla mnie to drobiazg – dodała Verena.

– Co miałabym zrobić w zamian?

– Chciałabym, żebyś porządnie przemyślała tę operację. Potem nie będziesz mogła jej cofnąć.

– Już to przemyślałam.

– Mam na myśli, że chciałabym, żebyś spojrzała na nią z innej perspektywy.

Przed operacją miałam przejść konsultację psychologiczną; był to wymóg lekarza i firmy ubezpieczeniowej. Verena może nie prowadziła już praktyki, ale nadal miała uprawnienia terapeutki. Zasugerowała, że może się podjąć mojej ewaluacji.

– Mogłybyśmy spotkać się kilka razy w ciągu następnych tygodni – zaproponowała. – Dam ci kilka zadań do wykonania, by pomóc ci się upewnić, że podejmujesz właściwą decyzję.

– Jakich zadań?

– Nic specjalnie trudnego. Jeśli na koniec nadal będziesz chciała poddać się operacji, podpiszę formularz i dam ci pieniądze. Jeśli zaś uznasz, że już

tego nie chcesz, i tak dostaniesz te dwadzieścia tysięcy. Tak czy owak wygrywasz.

– A czy to nie wbrew przepisom, żeby terapeutka dawała pacjentce pieniądze?

– Nie interesują mnie przepisy. I w ogóle nie myśl o mnie jak o terapeutce. Pomyśl, że jestem córką Eulayli Baptist. Kiedy przed laty wypowiadałaś słowa Ślubowania Baptisty, stałaś się członkiem naszej rodziny, nie pamiętasz?

Pamiętałam. Myśl o dwudziestu tysiącach dolarów powinna mnie ucieszyć (w życiu nie myślałam, że ktoś mógłby ofiarować mi taką fortunę!), ale wydawała się nierealna. Jeszcze kilka tygodni temu nie byłabym w stanie sobie wyobrazić, że będę siedziała w cieniu grubych dżinsów Eulayli Baptist i rozmawiała z jej niesławną córką. To Leeta mnie tu sprowadziła. Najpierw chodziła za mną po całej okolicy, a teraz czułam się tak, jakbym to ja podążała za nią.

– Mam opiekuńczy stosunek do dawnych baptystek – powiedziała Verena.
– To efekt poczucia winy.

– Są nas całe masy.

– Wiem, ale w tej chwili mam przed sobą właśnie ciebie. Nie proszę, żebyś podpisała jakiś pakt i przypieczętowała go krwią. W każdej chwili możesz zmienić zdanie.

Pomyślałam o wszystkim, na co mogłabym przeznaczyć dodatkowe pieniądze. To by było jak wygrana na loterii. Wiedziałam, że Verena dołoży wszelkich starań, aby odwieść mnie od operacji, ale postanowiłam zagrać w jej grę.

– No dobrze, czemu nie.

Verena uśmiechnęła się radośnie.

– Nazwiemy to Nowym Programem Baptist – powiedziała. – Ten pierwotny nie spełnił twoich oczekiwań, ale tym razem będzie inaczej. Nowy Program Baptist całkowicie cię odmieni, gwarantuję ci to.

Zachód słońca nad imperium

Codziennie na trzeciej stronie brytyjskiej gazety „Daily Sun” publikowano zdjęcie jakiejś młodej kobiety topless. Zdjęcia te ukazywały się już od dziesięcioleci, choć dziennik zamieszczał też wywiady z ministrami i kształtował opinię publiczną. „Dziewczyny z trzeciej strony”, jak je czule nazywano, odnosiły czasem wielkie sukcesy jako modelki czy gwiazdy reality show. Kilka skończyło uduszonych przez byłych chłopaków albo zazdrosnych kochanków, ale to mogło się przydarzyć każdej kobiecie. Co jakiś czas ktoś zaczynał kampanię, żeby zakazać publikowania tych zdjęć, lecz zawsze kończyło się to porażką.

Nowym dyrektorem działu prasowego Empire Media została osoba zaledwie czterdziestoletnia, do tego kobieta. Była przedstawicielką nowego pokolenia w korporacji, lecz podobnie jak mężczy poprzednicy, kontynuowała tradycję trzeciej strony w „Daily Sun”, ignorując wszelkie skargi. Empire Media posiadało gazety i stacje telewizyjne w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych, Hongkongu i Australii. „Nad Empire Media nigdy nie zachodzi słońce”, lubił powtarzać założyciel firmy. Dyrektorka doskonale wiedziała, co przydarzyło się Simmonsowi i Greenowi w Los Angeles – prasa oraz kanały informacyjne należące do Empire Media informowały o całej sprawie. „Kim jest Jennifer?”, pytano na pierwszej stronie „Daily Sun”. Kimkolwiek była, dyrektorka czuła do niej pewną sympatię. Tajemnica nakręcała interes, więc dyrektorka lubiła Jennifer. Aż nagle przestała ją lubić.

Któregoś dnia otrzymała informację, że jej brat bliźniak wraz z małym synkiem zostali uprowadzeni podczas wycieczki do Szkocji. Minęło kilka dni, zanim porywacze nawiązali kontakt, a przez cały ten czas dyrektorka i jej rodzina nie mieli pojęcia, jak będą brzmiały żądania. Kiedy w końcu nadeszły, okazały się śmiechu warte. I dyrektorka faktycznie się roześmiała. Porywacze nie wymagali okupu. Chcieli, aby skończyła z modelkami topless na trzeciej

stronie. „Koniec z gołymi dziewczynami”, głosił liścik podpisany imieniem Jennifer. „Pokażcie nam trochę fiutów”.

Amatorzy, pomyślała dyrektorka. Nie wiedzą, z kim zadzierają. Lecz żona jej brata, oszalała ze strachu i wściekłości, zażądała spełnienia żądań. Dyrektorka uznała, że bratowa jest rozkapryszona i nieracjonalna.

- Musimy negocjować - przekonywała. - Nie możemy ulegać żądaniom terrorystów.

- Oni mają mojego męża i dziecko! - wrzasnęła bratowa. - Jeśli chcą fiutów, to masz je im dać!

Pomimo bliskiej więzi łączącej ją z bratem dyrektorka odmówiła. Cieszyła się w branży reputacją osoby bezlitosnej i nie mogła sobie pozwolić, żeby ją stracić. Niełatwo być kobietą w męskim świecie. Wraz z policją czekała na następny kontakt ze strony porywaczy. I wreszcie się doczekała: listonosz dostarczył jasnowłosey skalp wepchnięty do koperty bąbelkowej. Cała rodzina miała blond włosy, ale biegli ustalili, że skalp z cofniętą linią włosów należy raczej do brata dyrektorki niż jej bratanka.

Następnego dnia na trzeciej stronie „Daily Sun” nie było cycków, tylko zdjęcie nagiego mężczyzny. Od tej pory, zgodnie z żądaniem przestępców, w gazecie codziennie pojawiały się takie fotografie.

- Barbarzyńcy! - burzyła się dyrektorka.

Oskalpowanie brata doprowadziło ją do wniosku, że porywacze to Amerykanie.

Kiedy na trzeciej stronie pojawiły się fiuty, natychmiast zaczęły się protesty ze strony organizacji zajmujących się monitorowaniem mediów, a także grup rodzicielskich oraz ministrów, którzy twierdzili, że takie zdjęcia są nieprzyzwoite. Wielu właścicieli kiosków zaczęło chować „Daily Sun” pod ladę z obawy, że okładka gazety kogoś urazi. Niektórzy w ogóle odmawiali sprzedawania, a nawet dotykania dziennika. W pierwszym tygodniu obroty spadły o połowę. W badaniach mężczyźni twierdzili, że za bardzo się krępują czytać coś takiego. „Nie jestem gejem” - powiedział jeden z ankietowanych.

Dyrektorka wiedziała, że fiuty szkodzą interesom. Piersi uchodziły jej na sucho. Kobiety znalazły swoje miejsce. Ale z facetami było trudniej.

Z pras drukarskich dalej schodziły męskie zwisy, a tymczasem polowanie na porywaczy przybrało na sile, podobnie jak zainteresowanie mediów. Członkowie zarządu Empire Media mieli dobre dojścia w policji, parlamencie i służbach śledczych. Wszystkie Amerykanki o imieniu Jennifer mieszkające w Wielkiej Brytanii natychmiast trafiły na listę podejrzanych.

Jedna z nich pojawiła się w programie Cheryl Crane-Murphy, żeby udzielić wywiadu z Londynu za pośrednictwem satelity. Trzydziestodwuletnia Jennifer Chu z Seattle robiła studia magisterskie ze stosunków międzynarodowych w Londyńskiej Szkole Ekonomii i Politologii. Została zatrzymana przez policję na dwadzieścia cztery godziny i przesłuchana.

W swoim nowojorskim studiu Cheryl Crane-Murphy przysiadła na krawędzi biurka. W klapie żakietu miała przypinkę z amerykańską flagą.

- Wygląda na to, że nie jest to dobry czas dla wszystkich Jennie amerykańskiego pochodzenia, prawda?

- Oni szukają igły w stogu siana - przytaknęła Jennifer Chu. - Jennifer to jedno z najbardziej typowych imion kobiecych. Są nas tu całe masy.

- Chciałabym jednak spytać (i mówię chyba w imieniu wszystkich naszych amerykańskich widzów), co, do licha, się dzieje w Wielkiej Brytanii? W prasie codziennej publikuje się zdjęcia nagich kobiet?

- Teraz już nie - odparła Jennifer Chu, próbując ukryć uśmiech.

Opowiedziała, jak po przyjeździe do Londynu była zszokowana widokiem gazet pełnych modelek topless oraz reklamami prostytutek na charakterystycznych czerwonych budkach telefonicznych, a także tym, że w każdym spożywcza i kiosku eksponowano magazyny pornograficzne i nikt się z tym nie krył.

- To miasto jest jak jedna wielka dzielnica czerwonych latarni. Wiem, że ci porywacze są... no, źli i w ogóle, ale moim zdaniem wyświadczyli społeczeństwu przysługę.

Na trzeciej stronie „Daily Sun” nadal pokazywano fiuty, ale uwaga przestępców przeniosła się już na kolejny cel: Townsend’s, ogólnobrytyjską sieć kiosków z prasą; można je było znaleźć na każdym dworcu kolejowym, lotnisku i w każdym centrum handlowym. Ich witryny wypełniały typowe magazyny modowe i dekoratorskie, publikacje finansowe i brukowce, ale oprócz nich były też ogromne ilości pisemek dla chłopaków, jak je eufemistycznie nazywano. Nie leżały one na najwyższych półkach – znajdowały się na poziomie oczu, gdzie każdy mógł je obejrzeć. Na niezbyt subtelnym okładkach widniały nagie kobiety, często w parach lub nawet w trójkach. Stykały się prawie niezakrytymi sutkami i wkładały sobie nawzajem do ust języki.

Po skandalu z Empire Media dyrektor sieci Townsend’s otrzymał list z pogróżkami, który policja uznała za niesfałszowany. Podpisany był „Jennifer” i zawierał żądanie, aby ze wszystkich sklepów sieci usunięto pisemka dla chłopaków i zastąpiono je męskim soft porno. Dyrektor natychmiast usłuchał. Świerszczyki wymieniono na magazyny ze zdjęciami dobrze zbudowanych młodzieńców o umięśnionych wydepilowanych i opalonych ciałach, z mocno wypchanymi slipami (o ile w ogóle mieli na sobie slipy), którzy bawili się swoimi sutkami i eksponowali włosy łonowe.

Po tej zmianie kioski Townsend’s wypełniły się kobietami i dziewczętami. Bawił je widok tych wszystkich wizerunków półnagich napalonych facetów. Było to dla nich jak zabawa karnawałowa, w której wszystko stanęło na głowie. Pojawiały się doniesienia, że mężczyźni krępowali się wchodzić do punktów Townsend’s, bo kobiety podśmiewały się i taksowały ich wzrokiem. Biznesmeni w garniturach od Armaniego usiłowali zachowywać się z godnością, ale nie było to łatwe, kiedy przed oczami wszędzie mieli idealne męskie zadki, a modele na zdjęciach gapili się na nich wzrokiem mówiącym „przeleć mnie”.

Rozbierane męskie zdjęcia zaczęły się szerzyć w całym Londynie. Groźby porwań oraz morderstw zataczały coraz szersze kręgi i wizerunki kobiet szybko znikwały z przestrzeni publicznej, zastępowane wizerunkami mężczyzn. W całym mieście widać było męskie ciała: usta, torsy, nogi, pośladki. Fragmenty mężczyzn przemykały ulicami na autobusach, poprawiając nastrój wszystkim dziewczynom. Przedtem okładki tak męskich, jak i kobiecych magazynów ukazywały kobiety - teraz na większości widać było facetów. Cały Londyn poddano renowacji, a tapeta pokrywająca wszystkie powierzchnie w mieście nie była już udekorowana kobietami. Docelowy londyńczyk, domyślny mieszkaniec metropolii, przestał być mężczyzną.

Turystyka kwitła - kobiety z wielu krajów chciały się na własne oczy przekonać, co właściwie się dzieje w brytyjskiej stolicy. Były też jednak nieprzewidziane konsekwencje. W Londynie miał się odbyć szczyt G8, lecz światowi przywódcy zaczęli protestować. Prezydent Francji wypowiedział się na temat brytyjskiej reklamy telewizyjnej, w której pokazano mężczyznę myjącego włosy nowym szamponem o zapachu kwiatowym; nakładanie szamponu było dla aktora tak podniecającym przeżyciem, że masując głowę, wydawał odgłosy rozkoszy.

- W takich okolicznościach nikt nie potraktuje mnie poważnie - stwierdził francuski prezydent.

Inni światowi przywódcy wygłaszali podobne opinie i szczyt przeniesiono z Londynu do Berlina.

Niedługo potem imam jednego z meczetów na East Endzie został wzięty jako zakładnik. Kiedy był w niewoli, do mediów trafiło nagranie, w którym nakazywał on wszystkim pobożnym muzułmanom nosić opaski na oczach.

- To niesłuszne, żeby kobiety musiały się zakrywać przed naszym spojrzeniem. Po czyjej stronie leży problem: kobiet, które dopuściły się straszliwej zbrodni istnienia, czy też mężczyzn, którzy postanowili je uprzedmiotowić? Jeśli widok niezakrytej kobiety cię razi, to nie wychodź z domu albo zasłoń sobie oczy. A najlepiej wypal je sobie kwasem. Wtedy już nigdy nie będziesz musiał patrzeć na nic, co mogłoby cię

urazić.

Czy to samo czekało Nowy Jork? Wszyscy chcieli to wiedzieć.

Siedziałyśmy z Vereną na ławce naprzeciwko Austen Tower, przyglądając się robotnikom ustawiającym betonowe barykady.

– To żeby zapobiec podkładaniu bomb pod samochody – stwierdziła Verena, odgryzając kęs kanapki. – Oni coś wiedzą.

Wydarzenia w Londynie dopiero się rozkręcały i po tej stronie Atlantyku krążyły plotki, że ktoś przysyłał pogróżki do Austen Media. Spojrzałam na lśniący, srebrzysty pień wieżowca. Jeśli korporacja Austen stała się adresatem gróźb, to przesiadywanie na ławce pod budynkiem nie było chyba zbyt dobrym pomysłem, ale Verena chciała na własne oczy zobaczyć, co się dzieje, i zaprosiła mnie, żebym przyszła tu z nią w porze lunchu.

– Posłuchaj tego – powiedziała i zaczęła czytać artykuł z pozostawionej na ławce gazety „New York Daily”: – „Do mediów trafiła wewnętrzna notatka służbowa z korporacji Austen Media, w której Stanley Austen polecił redaktorom swoich dziewięciu magazynów kobiecych, by usunęli z najbliższych numerów wszelkie wzmianki o robieniu loda. Określił to mianem «racjonalnych środków zapobiegawczych w tych niespokojnych czasach». W odpowiedzi na tę informację sieć bieliźniarska V... S... zagroziła wycofaniem reklam z kilku publikacji Austen Media, w tym z magazynu dla nastolatek «Stokrotka»”. – Verena roześmiała się, wydarła artykuł z gazety i schowała go do kieszeni.

Skończyła już swoją kanapkę, ale moja nadal tkwiła zawinięta w biały papier: tuńczyk z sałatą i pomidorem na żytnim chlebie. Byłam głodna, śniadanie w postaci płatków owsianych (105) i zielonego jabłka (53) zjadłam wiele godzin temu, lecz mimo to kanapka budziła moje wątpliwości. Ciężka mi w ręce jak cegła. W tuńczyku była masa majonezu i całość spokojnie mogła mieć pięćset czy nawet sześćset kalorii.

– Nie powinnam się z tego śmiać – powiedziała Verena. – Nienawidzę przemocy i zniszczenia. Moi rodzice zginęli w ognistej eksplozji metalu i szkła.

Oczami wyobraźni ujrzałam grube dzinsy Eulayli Baptist niknące w płomieniach.

Verena odłożyła gazetę i zobaczyła, że nawet nie rozpakowałam kanapki.

– Nie masz zamiaru tego jeść?

– Nie ma tego w moim programie żywieniowym.

– Czy mam ci przypomnieć, że rozpoczęłaś właśnie Nowy Program Baptist? Powtarzaj za mną: żadnego liczenia kalorii, żadnego ważenia.

Za dwadzieścia tysięcy dolarów powiedziałabym wszystko, czego by chciała.

– Żadnego liczenia kalorii, żadnego ważenia.

– Zgadza się. W Nowym Programie Baptist możesz jeść absolutnie wszystko.

– Przy takiej strategii wkrótce będziesz musiała zwinąć interes.

– Branża odchudzająca to najbardziej dochodowy niewypał w historii, wiedziałaś o tym?

– Czytałam w twojej książce.

Patrzyłam, jak Verena wstaje i idzie do kiosku na rogu, żeby kupić batonik. Była ubrana w spłowiałą sukienkę mini oraz džinsy, a włosy miała zaplecione w niedbały warkocz kołyszący się na plecach. Dookoła na chodnikach kłębili się pracownicy Austen Media, którzy zstąpili z wyżyn, aby wypasać się wraz ze zwykłymi śmiertelnikami. Nie chciałam przebywać w ich towarzystwie, a już na pewno nie miałam ochoty wpaść na Kitty. Kiedy tak lustrowałam tłum, rozglądając się za nią, na ławce obok mnie usiadła jakaś kobieta. Pomimo pogody – panował upał, a na niebie nie było ani jednej chmurki – miała na sobie beżowy trencz. Większość jej twarzy zasłaniały czarne okulary przeciwsłoneczne. Przy uchu trzymała telefon.

– Udawaj, że z tobą nie rozmawiam – powiedziała.

– Co...? Pani... mówi do mnie?

– A do kogo innego? – Kobieta uniosła okulary i okazało się, że to Julia. Potem opuściła je i popatrzyła w przeciwnym kierunku, nadal trzymając przy uchu telefon. – Masz jakieś plotki o Kitty?

Dziwnie było ją widzieć w świetle dnia.

– Niby skąd miałabym je mieć?

– Teraz jesteś moją informatorką. Potrzebuję jakichś historii o Kitty. Przydadzą się w słusznej sprawie.

Nie zdradziłam się z informacją, że Verena powiedziała mi o artykule mającym zdemaskować Austen Media. Podobało mi się, że znam jeden z sekretów Julii – i że ona o tym nie wie.

– Mam listę jej pomysłów na artykuły do kolejnych numerów.

– Super – powiedziała Julia. – Prześlij mi ją.

To nie była prośba, tylko polecenie.

– Co u Leety? – spytałam.

Nigdy nie potrafiłam rozdzielić ich w swoich myślach, choć do tej pory nie widziałam ich razem.

– Wreszcie wróciła do pracy. Jest trochę nieprzewidywalna.

W dziwny sposób brakowało mi tej dziewczyny. Wskoczyła znikąd, nawiedzała moje codzienne życie, a potem zniknęła. Chciałam ją znowu zobaczyć, choć nie tak naprawdę.

Wróciła Verena ze swoim batonikiem i objęła ramieniem Julię, która odsunęła się i wstała, nadal trzymając przy uchu telefon, z twarzą nieruchomą i pozbawioną wyrazu.

– Nikt nie powinien widzieć, że z wami rozmawiam, a zwłaszcza z tobą – powiedziała, wskazując Verenę stopą. Udawała, że mówi coś do telefonu, poruszała ustami i śmiała się bezgłośnie. Wreszcie oświadczyła: – Mam konferencję telefoniczną z Zachodnim Wybrzeżem na temat konturówek. – I rozplynęła się w tłumie.

– Biedactwo, na pewno popadła w gigantyczną paranoję – stwierdziła Verena, wskazując ręką barykadę.

Kiedy ją wypytałam, dowiedziałam się, że w rodzinie Julii było pięć córek, wszystkie o imionach zaczynających się na J: Julia, Josette, Jillian, Jacintha i Jessamine. Ich nazwisko brzmiało pierwotnie Coleman, ale usunęły końcówkę -man. Wszystkie siostry pracowały w mediach, modzie albo przemyśle kosmetycznym i wszystkie szpiegowały, tak samo jak Julia.

– Stworzyły własną klikę – powiedziała Verena. – Mieszkają w ogromnym lofcie w Tribeca. Normalnie więdźmy z *Makbeta*.

Poczułam ukłucie paniki na wspomnienie listy adresów mailowych, ale postarałam się o tym zapomnieć. Lepiej, żebym nie wiedziała, do czego Julia potrzebowała tych informacji. „W ten sposób nigdy nie będziesz zmuszona do kłamstwa”.

– Nie powinnam ci o tym mówić – dodała Verena – ale żadna z sióstr Cole nie ma piersi. Ich matka zmarła na raka, kiedy najmłodsza z nich miała zaledwie dwa latka. Wszystkie mają gen choroby, więc każda po ukończeniu dwudziestu jeden lat poddała się prewencyjnie podwójnej mastektomii.

Przypomniałam sobie, jak wtedy w Kąciku Kosmetycznym zajrzałam Julii w dekolt i zobaczyłam tatuaż z ciernistymi różami. Ale miała na sobie biustonosz, więc sądziłam, że kryją się w nim piersi.

Oderwałam z kanapki skrawek pozbawionej majonezu skórki od chleba i włożyłam go do ust, a potem wysunęłam spod sałaty plasterki pomidora, starając się pozbyć z niego ryby. W domu na okrągło jadałam tuńczyka, ale z bezłuszczywym majonezem. Prawdziwy majonez był inny. Kiedy tylko zdarzało mi się posmakować porządnego jedzenia, zawsze łaknęłam go więcej. Całe życie chodziłam wokół produktów spożywczych na paluszkach, tak jak się chodzi wokół śpiącego niemowlęcia. Jeden fałszywy ruch, a dziecko się zbudzi i zacznie płakać. Tak samo jest z głodem. Gdy raz się przebudzi, wrzeszczy i wrzeszczy i można go uciszyć tylko w jeden sposób.

– Skoro i tak planujesz operację, to czemu nie objadasz się do woli? – spytała Verena. – Już niedługo będziesz mogła jeść wyłącznie papki dla dzieci. Równie dobrze możesz nacieszyć się życiem, zanim nadejdzie koniec.

– Lekarz mówi, że muszę się trzymać diety, bo inaczej po operacji za trudno będzie mi się przestawić... O Boże, to Kitty – przerwałam, zauważwszy rudą czuprynę.

Odwrociłam się bokiem, zakrywając twarz rękami. Dla kobiety ważącej prawie sto czterdzieści kilogramów wtopienie się w tłum to nie lada wyczyn, ale mimo to spróbowałam.

Kiedy Verena poinformowała mnie, że niebezpieczeństwo minęło, podniosłam wzrok i zobaczyłam tył głowy Kitty, która zniknęła właśnie za szklanymi drzwiami.

– Jak sądzisz, co Kitty o tobie myśli? – spytała Verena, ale odparłam, że nie chcę o niej rozmawiać.

– Baptystka nie boi się zmierzyć z nieprzyjemną prawdą.

– Kogo obchodzi Kitty? Po operacji w ogóle zwolnię się z pracy. Ona nie ma znaczenia.

– Nie zgadzam się. Całymi dniami podszywasz się pod nią i mówisz jej głosem. Moim zdaniem ma bardzo duże znaczenie. Chcę, żebyś powiedziała głośno, co ona naprawdę o tobie myśli.

Spojrzałam na Austen Tower i wyobraziłam sobie Kitty w gabinecie na trzydziestym piętrze. Zachowywała się przyjaźnie, ale zawsze podejrzewałam, że wzbudzam w niej obrzydzenie. Łatwiej jednak było się nad tym nie zastanawiać.

– No dalej – naciskała Verena. – Wyrzuć to z siebie, sięgnij jak najgłębiej. Jeśli ja mogłam publicznie zmieszać z błotem własną matkę, to ty możesz zrobić to.

Przesunęłam kciukiem po wierzchu kanapki, czując pod chlebem chłodnego tuńczyka. Miałam na niego straszną ochotę. Zamiast tego skierowałam swoją energię na rozmowę, a swoje poirytowanie – przeciwko Kitty.

– Gdyby ona albo którakolwiek z kobiet w jej zespole musiała wybierać pomiędzy moim wyglądem a utratą ręki, nerki czy nawet śmiercią, to pewnie wybrałyby to drugie – powiedziałam. – Już. Zadowolona?

– Świetnie. Mów dalej.

– Ten wieżowiec wznosi się pod samo niebo, pełno w nim redakcji magazynów i programów telewizyjnych, które mówią kobietom, jak mogą dopilnować, żeby nie wyglądały tak jak ja. Jestem najgorszym koszmarem każdej Amerykanki. Kobiety poświęcają na tę walkę całe życie, dlatego właśnie stosują diety i poddają się operacjom plastycznym: *bo nie chcą wyglądać tak jak ja*.

– Mów dalej.

– Kitty nie chce, żebym pracowała w jej redakcji. Jestem uosobieniem wszystkiego, czego nienawidzi. – Mówiąc to, czułam ból, ale też przyjemność.

– Jesteś grubaską, która się w niej kryje. Ona karmi się twoim cierpieniem. Twój ból jest jak naturalne złoże, które Kitty może eksploatować niczym wielki tankowiec w Zatoce Meksykańskiej. Ona wysysa cię do dna.

– Wolalabym o tym nie myśleć. Łatwiej zwyczajnie ją ignorować.

Kiedy nie zwracałam na nią uwagi, wszystko to wydawało się nieprawdą.

– Ignorujesz sporo rzeczy. Powiedz „gruba”.

– Nie lubię tego słowa.

– Wiem, że nie lubisz. Właśnie dlatego musisz je powiedzieć.

Wyrzuciłam kanapkę do śmietnika przy ławce. Wylądowała w nim z głuchym odgłosem.

– Gruba, gruba, gruba – powiedziałam. – Lunch z tobą to niespecjalna przyjemność.

– Bycie baptystką nigdy nie polega na przyjemności.

Verena pragnęła zobaczyć, jak mieszkam, więc pojechałyśmy metrem na Brooklyn. Nie chciałam jej w swoim domu, ale lepsze to niż przesiadywanie na ławce pod Austen Tower i zamartwianie się, czy cię nie wysadzą w powietrze.

Nie spodziewała się, że będę miała tak duże mieszkanie. Powiedziałam, że należy do kuzyna matki, Jeremy'ego, który jako dziennikarz ciągle jeździ po świecie. Wyjaśniłam, że w dzieciństwie mieszkałam w domu jego mamy na Harper Lane. Nazwa uliczki brzmiała uroczo i osobliwie, mimo że chodziło o Los Angeles. Nie wspomniałam o Myrnie Jade, która prześladowała mnie w młodości. Verena była psycholożką i wolałam nie rzucać jej tak smakowitego kąska.

Uznałam jej wizytę za oficjalny początek Nowego Programu Baptist i sądziłam, że Verena szykuje się, żeby przeprowadzić na mnie psychoanalizę. Na moim biurku leżał formularz ewaluacji psychologicznej z firmy ubezpieczeniowej, ale wiedziałam, że Verena nie podpisze go tak od razu. Czekałam, aż zacznie mnie przepytawać, lecz ona chciała się najpierw rozejrzeć. Przesunęłam wzrokiem po meblach, szukając detali, które mogłyby ujawnić coś niezamierzonego. Od ponad sześciu miesięcy nie odwiedzał mnie nikt poza zarządcą budynku. Moje mieszkanie stanowiło tajną kryjówkę, należało tylko do mnie, było tak intymne, że przepełniał je mój zapach. Miałam żal do Vereny, że się tu wprosiła.

Spytała, czy może zajrzeć do sypialni, a ja się zgodziłam, przekonana, że wszystkie sekretne ubrania są pochowane. Gdy jednak weszłam za nią do środka, zauważyłam pasek na toaletce. Paski były mi do niczego niepotrzebne. Gorzej, na łóżku leżała szkarłatna sukienka, niczym krwawe rozcięcie na białej kołdrze. Dostarczono ją dziś rano, akurat kiedy wychodziłam z domu; otworzyłam paczkę w pośpiechu, rzuciłam sukienkę na łóżko i zupełnie o niej zapomniałam.

Verena natychmiast ją zobaczyła – nie dało się jej nie zauważyć. Była to wąska sukienka kolumnowa. Verena nie skomentowała tego ani słowem, za to nachyliła się ku oprawionym zdjęciom na toaletce.

– Ta kobieta wygląda jak ty – powiedziała, wskazując zdjęcie babci, na którym stała z siostrą na Boardwalk w Atlantic City. – Po operacji nie będziesz jej już przypominać – dodała, prostując się.

– Umarła przed moim urodzeniem – odparłam, licząc, że wzbudzę w niej wyrzuty sumienia.

Verena wróciła bez słowa do salonu. Usiadłyśmy, a ona wyjęła z torebki

notes i spytała, czy może robić notatki. Kiedy tak czekała z długopisem i papierem, gotowa do zapisywania swoich obserwacji, przypominała mi Leetę. Wszyscy ci nowi ludzie w moim życiu sprawiali wrażenie, jakby uważali, że jestem fascynująca. Wskazałam palcem formularz ewaluacji, który wymagał podpisu przed operacją, ale Verena wsunęła go na tył notesu, nawet na niego nie zerknąwszy.

Powiedziała, że chce mi coś pokazać, i sięgnęła do torby. Wyjęła z niej buteleczkę pigułek i postawiła na stoliku pomiędzy nami. Wyjaśniła, że jej koleżanka Rubí kupiła to w Paryżu, skąd właśnie wróciła. Mówiła na ten lek dabsitaf, choć tak naprawdę nazywał się inaczej. Były to pigułki odchudzające – powściągały łaknienie. We Francji można je było kupić od dwóch lat.

– Próbowałam leków odchudzających. Nie działają – powiedziałam.

– Ten działa. We Francji Rubí rozmawiała z ludźmi, którzy to zażywali i bardzo stracili na wadze. W ogóle nie odczuwali głodu.

Verena dodała, że lek produkowała firma amerykańska, ale najpierw wypuszczono go na rynek francuski, bo Agencja Żywności i Leków nie zatwierdziłaby go tak od razu do użytku w Stanach.

– I to naprawdę działa? – Przyjrzałam się buteleczce z francuską etykietą.

– Kompletnie zagłuszenie głodu: oto, co ci dają te proszki. Brak łaknienia. Wyeliminowanie potrzeby jedzenia. Zażyłabyś coś takiego?

– Chętnie bym spróbowała.

Według Vereny pewne dane z Francji wskazywały na to, że u pacjentów zażywających lek pojawiały się groźne komplikacje. Ich naczynia krwionośne zwężyły się do tego stopnia, że nie mogli oddychać, dusili się od środka. Firma farmaceutyczna stwierdziła, że nie ma to żadnego związku z tabletkami, a poza tym badania kliniczne w Stanach zostały już zakończone.

– Jeśli ten lek wejdzie na nasz rynek, to gdybyś nie planowała operacji, skorzystałabyś z niego, znając ryzyko?

Gdybym uwierzyła, że te tabletki naprawdę działają, wsiadłabym w najbliższy samolot do Francji, ale zachowałam tę odpowiedź dla siebie.

– Niewykluczone.

– Dlaczego?

– Bo nie lubię być głodna. Chciałabym, żeby mój głód zniknął.

Verena zapisała coś w notesie. Kiedy skończyła, schowała buteleczkę. Założyła nogę na nogę i popatrzyła na mnie, nie mówiąc już nic. Sprawiała wrażenie, jakby czekała, aż sama przejmę inicjatywę – wiedziałam, jacy są terapeuci.

W ramach wstępu oświadczyłam:

– Nikt mnie nie molestował. – Uznałam, że to ważne i że lepiej mieć ten temat z głowy. – Lekarze zawsze zakładają, że byłam wykorzystywana seksualnie i dlatego jestem... taka. No więc gwoli informacji, nikt mnie nie molestował ani nie zgwałcił.

W moich uszach rozbrzmiały słowa tamtych dziewczyn z liceum: „Kto by chciał ją zgwałcić?”.

– Rozumiem – powiedziała Verena. – Twoja tusza nie jest pochodną jakiejś ukrytej psychologicznej traumy. W końcu rozmawiasz ze mną, pamiętasz? Byłam niedawno na jakiejś konferencji i pewien znany psychoterapeuta twierdził, że kobiety tyją, ponieważ chroni je to przed niechcianą uwagą ze strony mężczyzn, tak jak zbroja.

Wyobraziłam sobie siebie jako Joannę d’Arc, którą grałam w przedstawieniu w trzeciej klasie.

– Ale ja zawsze taka byłam, od początku.

– Wiem, tak samo jak twoja babcia. Nie mówmy już o tym.

Znowu zapadła cisza. Verena czekała, aż powiem coś więcej. Pomyślałam o szkarłatnej sukience na moim łóżku. Wiedziałam, że ją zauważyła. Uznałam, że najlepiej będzie, jeśli sama poruszę ten temat.

– Ta sukienka na łóżku należy do mnie. – Byłam jak przestępca, który pod wpływem stresu przyznaje się do zbrodni. – Mam na myśli, że jest przeznaczona dla mnie. – Nie było sensu twierdzić, że to prezent dla kogoś.

– Kupujesz ubrania dla pooperacyjnej wersji siebie?

Potwierdziłam ruchem głowy.

– Mam ich już całą szafę.

– Nie dziwi mnie to. Uważasz, że kryje się w tobie szczupła kobieta, która chce, żeby wypuszczono ją na wolność.

– Teraz mówisz jak Eulayla.

– Zinternalizowałaś jej ideologię, prawda?

W mojej głowie obraz: Eulayla Baptist trzymająca swoje grube dzinsy. *Trach!*

– Więc jak ma na imię ta szczupła kobieta, która żyje w tobie, uwięziona pod warstwami tłuszczu?

– Ona nie jest odrębną osobą, tylko mną. Albo tym, kim się w końcu stanę.

– W porządku, ale nadajmy jej jakieś imię.

Miałam ochotę się zachnąć, ale wtedy przypomniałam sobie, że jako nastoletnia członkini Programu Baptist myślałam o swoim szczupłym wcieleniu jako o Alicii.

Alicia to ja, ale nie ja.

– Chyba możemy mówić na nią Alicia – powiedziałam. – Tak naprawdę mam na imię.

– Prawdziwe imię dla prawdziwej ciebie. – Verena otworzyła notes na czystej stronie. – I co takiego będzie mogła robić Alicia, czego nie może robić Plum?

Natychmiast przypomniał mi się zeszytek *Kiedy będę szczupła...*TM, który dostałam pierwszego dnia w klinice Baptist. Od kiedy poznałam Verenę i przeczytałam jej książkę, ciągle wracały do mnie te przebłyski z przeszłości. W moim teraźniejszym życiu nie było dla nich miejsca. Wolałabym, żeby zniknęły.

Verena naciskała, więc odparłam, że Alicia będzie mogła chodzić po ulicy i nikt nie będzie się na nią gapił ani robił przykrych uwag.

– A jakie uwagi robią ludzie w stosunku do Plum?

To mi się spodobało – mogłam myśleć o Plum jak o innej osobie, która wkrótce przejdzie do historii.

– Mówią: „Idź na dietę”. Wydają odgłosy jak świnia albo krowa. Kilka tygodni temu wyszłam na jezdnię tuż przed maskę samochodu, a kierowca wyrzwał przez szybę i krzyknął: „Całe szczęście, że nie wpadłem na *ciebie!*”. Wszyscy zaczęli na mnie patrzeć. Ludzie się śmiali.

– A co odpowiadasz, kiedy ktoś cię traktuje w ten sposób?

– Nic. Po prostu udaję, że nie słyszałam albo że wcale się tym nie przejęłam. – Jeśli będę je ignorować, te słowa nie staną się rzeczywistością.

– A co by się wydarzyło w takiej sytuacji w idealnym świecie?

- Chciałabym zobaczyć, jak spotyka ich to, na co zasługują.
- To znaczy?
- Ból i cierpienie. Śmierć.
- Nie owijasz w bawełnę. Często słyszysz takie chamskie uwagi?

Odparłam, że staram się unikać sytuacji, w których byłabym na nie narażona, ale przecież muszę wychodzić z domu. Co rano przed wyjściem z mieszkania ogarniał mnie strach.

- Jakich dokładnie miejsc unikasz? Powiedz konkretnie.
- Przyjęć, klubów, barów, plaży, parków rozrywki, samolotów.

Dodałam, że od czterech lat nie latałam samolotem. Raz pewien mężczyzna poprosił, żeby przesadzono go na inne miejsce. Twierdził, że wylewam się na jego fotel. Czasem nie byłam w stanie zapiąć na sobie pasa bezpieczeństwa i wstydziłam się, kiedy musiałam prosić o dodatkowy segment. Obsługa nie zawsze była przy tym miła. Raz samolot nie mógł wystartować o czasie, bo nie mogli znaleźć dla mnie przedłużenia, i bałam się, że mnie wyproszą. To dopiero byłby wstyd. Stewardesa na drugim końcu straciła wreszcie cierpliwość i powiedziała przez głośnik do koleżanek na przodzie: „Nie możecie znaleźć przedłużenia pasa dla pasażerki na dwadzieścia osiem B?”. Wszyscy się na mnie gapili. Te szepty i spojrzenia ciągnęły się przez dwadzieścia minut, aż w końcu pożyczono przedłużenie z innego samolotu. Ludzie skarżyli się, że nie zdążą na swoje połączenia. Zaproponowałam, że wysiądę, ale powiedziano mi, że nie mogę. Mój bagaż został już odprawiony. To był ostatni raz, kiedy leciałam samolotem. Jeśli matka chciała się ze mną zobaczyć, to ona musiała przylecieć do Nowego Jorku.

- A twój ojciec?
- Nie stać go na takie wizyty. Nie widziałam go od pięciu lat.
- Czy Alicia będzie mogła odwiedzać ojca?
- Alicia będzie mogła latać, gdzie tylko jej się spodoba. – Przez chwilę czułam niewytłumaczalną urazę w stosunku do przyszłej szczupłej siebie. – Czy teraz rozumiesz, dlaczego chcę tej operacji? Nie widzisz tego?
- Oczywiście, że widzę – odparła Verena, notując coś w zeszycie.

Chciałam, żeby sobie poszła. Już postanowiłam, że poddam się operacji. Nie było potrzeby drażnić tych głębin upokorzenia.

– Co jeszcze będzie mogła robić Alicia, czego ty nie możesz?

– Wszystko! – krzyknęłam z irytacją. – Nie będzie cały czas sama, nie będzie przesiadywać bez końca w tym mieszkaniu, będzie się ubierać w ładne ciuchy, będzie podróżować, będzie miała pracę, którą lubi, będzie zapraszać znajomych na eleganckie przyjęcia. – To ostatnie musiało zabrzmieć śmiesznie, ale zawsze chciałam urządzać prozowane kolacje ze świecami wetkniętymi w puste butelki po winie, z pomarańczowym i czerwonym woskiem spływającym po szkle niczym stalaktyty.

– I co jeszcze? – Verena drążyła głębiej, borowała chory ząb, póki nie trafiła w nerw.

– Alicia będzie kochana – powiedziałam wreszcie.

Nie chciałam tego mówić, ale ona naciskała. Wiedziała, czego szuka, a ja wymówiłam to na głos i teraz unosiło się to w powietrzu między nami jak wielka czarna chmura wstydu. Była tak gęsta, że nic przez nią nie widziałam.

– Więc Plum nie jest kochana? – spytała Verena.

Odparłam, że rodzice mnie kochają, ale pragnę czegoś więcej.

– Pomówmy o mężczyznach – zaproponowała. – A może interesują cię kobiety? Albo jedno i drugie?

– Mężczyźni – odpowiedziałam. – Co z nimi?

– Chciałabyś być w związku z mężczyzną?

– Pewnego dnia.

– Kiedy już będziesz Alicią?

– Tak.

– Chciałabyś wyjść za mąż?

– Pewnego dnia.

– A co z dziećmi?

– Pewnego dnia.

– Kiedy wreszcie nadejdzie pewien dzień, na pewno będziesz bardzo szczęśliwa.

Spojrzałam na jej bladą, delikatną twarz i poczułam wzgardę. Wydawało jej się, że może mnie osądzać, ale nie wytrzymałaby w mojej skórze nawet pięciu minut. Milczałam. Obrażona.

– Kochanie, chcę, żebyś się nad czymś zastanowiła. Co, jeśli nigdy nie zdołasz zeszczupłeć? Co, jeśli ten dzień nigdy nie nadejdzie? Co, jeśli to teraz, w tej chwili, to twoje prawdziwe życie? Co, jeśli już je przeżywasz?

– To nieprawda.

– Ale jeśli tak? Co, jeśli to jest twoje prawdziwe życie, jesteś gruba i koniec, kropka?

– Wtedy nie chciałabym dłużej żyć. – Gdy tylko wyrwały mi się te słowa, wiedziałam, że nie powinnam była ich wypowiadać. – Nie mam skłonności samobójczych.

– Nie powiedziałam, że masz – odparła Verena i po kilku sekundach spytała, czy biorę jakieś leki na receptę. Szukała dowodów. Powiedziałam, że co wieczór zażywam trzydzieści miligramów Y..., robię to od czasu studiów.

– To bardzo silny lek. Kto ci go przepisuje?

– Mój normalny lekarz.

– Lekarz rodzinny?

Przytaknęłam, a ona zmarszczyła brwi. Chciała wiedzieć, dlaczego zaczęłam brać Y... Wyjaśniłam, że z powodu depresji – to oczywiste – ale ona zapytała, czy było to spowodowane jakimś wydarzeniem. Odparłam, że nie chcę na nowo przeżywać tego dramatu, to było zbyt dawno temu. Podałam jej skróconą wersję.

– W koledżu był pewien chłopak. Głupia historia.

– Nie mogła być głupia, jeśli przysporzyła ci tyle bólu. Co on takiego zrobił?

– Odrzucił mnie – powiedziałam.

Verena chciała wiedzieć dlaczego. Nachyliłam się i zaczęłam się bawić rzemykiem sandała, patrząc na podłogę. – Lubił mnie, ale bał się wejść ze mną w związek.

– Dlaczego się bał? Nie sprawiasz wrażenia przerażającej osoby.

– Chyba myślał, że koledzy będą się z niego śmiali.

– Wygląda mi na dupka.

– To mnie załamało. – Przypomniałam sobie okno w bibliotece, bibliotekarkę i następne dni, kiedy po prostu nie mogłam przestać płakać. Nic z tego nie wyjawiałam Verenie.

– Więc czemu po prostu nie znalazłaś sobie innego chłopaka, takiego, który nie był dupkiem?

– Nie było dla mnie żadnych innych chłopaków.

– Jest ich całe mnóstwo.

– Może dla kogoś takiego jak ty, ale nie dla mnie. Nie było możliwości, że poznam kogoś innego.

– Aha. – Verena odchyliła się na oparcie. Spytała, czy nadal jestem w nim zakochana.

– On się nazywa Tristan – powiedziałam. – I nie, już go nie kocham.

– Więc czemu nadal bierzesz Y...?

– Nie chcę, żeby tamte uczucia wróciły.

Verena zaczęła pytać, jak wyglądało moje życie uczuciowe od czasów Tristana, ale powiedziałam, że w ogóle go nie mam.

– A gdybyś teraz znalazła chłopaka?

– Teraz nie chcę mieć chłopaka.

Verena dopytywała się, czy Alicia też będzie zażywać Y... Potrafiła zadawać naprawdę głupie pytania.

– Alicia nie będzie potrzebować Y... – odparłam.

Miałam nadzieję, że Verena wreszcie postanowi sobie pójść. Nigdy dotąd nie mówiłam nikomu o tych sprawach. Przy następnym spotkaniu nie będę w stanie na nią spojrzeć.

Zamiast wyjść, poprosiła mnie o szklanekę wody. Byłam kiepską gospodynią, nie przywykłam do gości. Kiedy zwilżyła gardło, znowu zaczęła mnie wypytywać, tylko tym razem trzymała w ręce formularz ewaluacji mojego stanu psychicznego. „No wreszcie” – pomyślałam. Spytała, dlaczego zdecydowałam się na operację. Przypomniałam sobie dzień, kiedy zadzwoniłam do lekarza, i co mnie do tego skłoniło, ale nie chciałam jej o tym opowiadać, więc rzuciłam tylko coś ogólnikowego. Stwierdziłam, że próbowałam wszystkich innych metod, ale żadna nie zadziałała.

– Operacja może mnie odmienić – oświadczyłam.

– Będiesz niedożywiona. Mogą też wystąpić inne poważne efekty uboczne. Możesz nawet umrzeć.

– Od otyłości też mogę umrzeć.

– Jeśli będziesz się zdrowo odżywiać i ćwiczyć, to twój rozmiar nie będzie miał większego znaczenia.

– Wszystko to słyszałam już od matki. Wiem, że jesteś przeciwna tej operacji, ale i tak się jej poddam, nieważne, co powiesz. Nie dam ci zniszczyć moich marzeń.

Kiedy byłam nastolatką, Verena odebrała mi nadzieje związane z dietą Baptist, a teraz, po tylu latach, chciała zrujnować moje sny o operacji.

– Jeśli ty nie podpiszesz tego formularza, znajdę kogoś innego, kto to zrobi. Twoich dwudziestu tysięcy też nie potrzebuję, choć mi je obiecałaś.

– Dostaniesz je – powiedziała Verena. – Nie jestem niszczycielką marzeń, Plum. A ty marzysz o tym, żeby wyglądać inaczej. Chcesz być *mniejsza*.

– Chcę wyglądać normalnie.

– Żyjesz nadzieją, że staniesz się Alicią, prawda? Sama powiedziałaś, że bez nadziei na tę przemianę wolałabyś raczej umrzeć.

– Nie to miałam na myśli.

– Nie zawahałaś się, kiedy cię o to spytałam.

– Palnęłam bez zastanowienia.

– Ale skąd się u ciebie wzięła ta myśl?

Nie czekając na odpowiedź, wstała z krzesła. Podeszła do okna wychodzącego na ulicę, po czym wróciła, intensywnie się nad czymś zastanawiając.

– Pora, żebyśmy pomówiły o pierwszym zadaniu z Nowego Programu Baptist.

– Myślałam, że pierwszym zadaniem było właśnie spędzenie razem dzisiejszego dnia.

– Dzisiaj chciałam cię tylko poznać. A teraz, kiedy już wiem o tobie nieco więcej, chcę, żebyś zastanowiła się nad zmniejszeniem dawki Y..., a potem nad całkowitym odstawieniem. Mówiłaś, że Alicia by tego nie brała.

– Nie jestem jeszcze Alicią.

– „Pewnego dnia zrobię to, pewnego dnia zrobię tamto”. Cały czas to powtarzasz. Zaczniemy wprowadzać przyszłość do teraźniejszości, krok po kroczku. Alicia nie brałaby Y..., więc Plum też nie powinna.

– Nie wiem, czy jestem na to gotowa.

– Jeśli nie wiesz, czy jesteś gotowa, by stać się Alicią, to może nie powinnaś poddawać się tej operacji. Utrata wagi nastąpi bardzo szybko. Musisz się na to przygotować.

Miała trochę racji. Wiele razy myślałam o odstawieniu Y..., ale kiedy tylko przegapiłam dawkę, następnego ranka budziłam się z poczuciem, jakby ktoś wlał mi do głowy melasę, przyblokował wszystkie dźwignie i biegi. Powiedziałam o tym Verenie.

– Dlatego właśnie leków takich jak Y... nigdy nie odstawia się od razu. Możesz przekroić swoje trzydziestomiligramowe tabletki na pół i sprawdzimy, jak będziesz się czuła po miesiącu zmniejszonej dawki. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będziesz mogła całkowicie zrezygnować. Przemyśl to sobie – zakończyła, zbierając swoje rzeczy.

Podawała mi wizytówkę; czerwoną, pasującą do domu o czerwonych ścianach.

– Nie podpiszesz mi formularza?

– Mamy na to mnóstwo czasu – powiedziała. – To dopiero pierwszy dzień Nowego Programu Baptist. Będzie ich o wiele więcej.

Po jej wyjściu głowa zaczęła mi pulsować bólem. Czułam się tak, jakby Verena weszła mi do mózgu i zaczęła go skubać niczym truchło kurczaka. Położyłam się na łóżku, owijając szyję szkarłatną sukienką jak szalem.

Nie spodziewałam się, że Verena zaproponuje mi odstawienie leku. Sama nie wiem, czego oczekiwałam po Nowym Programie Baptist. Myślałam, że to tylko żart, ale teraz przekonałam się, że mówiła poważnie. Nie da mi dwudziestu tysięcy dolarów za nic. Aż do naszej rozmowy nie myślałam o Y... jako o nitce łączącej mnie z Tristanem i z tamtym trudnym okresem w mojej przeszłości, ale tym właśnie były te tabletki. A Verena chciała, żebym zerwała tę nić.

Tristan i ja tylko się przyjaźniliśmy, ale byliśmy ze sobą mocno związani; miałam dwadzieścia jeden lat i do tamtej pory nie doświadczyłam bliskości z żadnym chłopakiem. Na początku ostatniego roku studiów spędzaliśmy ze sobą tyle czasu, że inni szybko zaczęli mówić o nas jako o parze. Gdzie poszło jedno, tam wkrótce pojawiało się drugie.

W trakcie tamtych jesiennych miesięcy myślałam, że coś się zaczyna. Po raz pierwszy zrozumiałam, czym jest miłość. Zawsze myślałam o sobie jako o kimś stojącym na marginesie: gdy inni rozmawiali o randkach, związkach i seksie, wiedziałam, że to nie odnosi się do mnie. Nawet nie zdawałam sobie sprawy ze skali swojego odosobnienia, dopóki nie pojawił się Tristan, dzięki któremu poczułam, że przynależę do jakiejś grupy. Wreszcie byłam jedną z nich. W księgarni w kampusie pokazywałam koleżance śmieszne pocztówki z serduszkami i żartowałam, że mogłabym kupić coś takiego dla Tristana. Kiedy zaczął się zbliżać jesienny sezon świąteczny, myślałam, że będę miała z kim chodzić na spotkania i imprezy. Tristan oznaczał dla mnie przede wszystkim nowe możliwości: otworzył przede mną świat, który dotąd był zamknięty. Na widok całujących się lub trzymających za ręce par nie czułam już urazy. Tristan nigdy mnie nie pocałował, ale wszystko zmierzało w tym kierunku. Oczekiwanie płynące z przekonania, że on mnie pragnie, wypełniało mnie nieznaną dotąd radością. Codziennie rano, budząc się, myślałam, że nie zasługuję na takie szczęście, że nikt nie zasługuje na tak wiele.

Nie mogłam iść z Tristanem do łóżka – co do tego byłam zdecydowana. Nigdy nie dopuściłabym, żeby zobaczył mnie nago, więc istniała między nami pewna granica, a to, co leżało po drugiej stronie, znajdowało się poza

moim zasięgiem. Chciałam jednak, żeby mnie pożądał, żeby mnie dotykał. Czasami trzymał mnie za rękę. Raz zasnąłam obok niego na kanapie, z policzkiem opartym o jego biały T-shirt, a on objął mnie ramieniem. Chciałam czegoś więcej – chciałam, żeby mnie pocałował. Pragnęłam, żeby mnie pragnął.

Ostatecznie mi tego nie dał. Powiedział, że nie powinniśmy się przyjaźnić, że to „niemożliwe”. Byliśmy już na progu tego, na co czekałam, tego miejsca, gdzie kryło się pożądanie i dotykanie, ale on w ostatnim momencie się wycofał.

– Nie jesteś dla mnie – powiedział i przestał się do mnie odzywać.

Po zerwaniu naszej przyjaźni zaczął się spotykać z dziewczyną, z którą chodziłam na historię. Po miesiącach zadawania się ze mną i wzmaganie moich oczekiwań na coś, do czego nigdy nie doszło, od razu związał się z inną. Trzymali się za ręce, całowali się na kampusie i robili inne rzeczy za zamkniętymi drzwiami, które mogłam sobie tylko wyobrażać. To był początek równi pochyłej, która po kilku tygodniach doprowadziła mnie na dno i skończyła się przyjazdem matki, wizytą u doktora Willoughby’ego oraz przepisaniem Y..., choć wtedy jeszcze nie mogłam tego przewidzieć.

W styczniu, na początku nowego semestru, wybrałam się w śnieżycę do przychodni uniwersyteckiej. Czułam, że szykuje się coś strasznego.

– Potrzebuję pomocy – rzekłam do obojętnej recepcjonistki siedzącej za biurkiem.

Spytała, co mi dolega, ale nie umiałam opisać tego słowami.

– No? – popędziła mnie.

Za mną formowała się już kolejka.

– Krwawię – powiedziałam.

Nie była to prawda, ale to zdanie zdawało się podsumowywać moje braki jako kobiety lepiej niż cokolwiek, co mogłabym powiedzieć.

Siedząc w poczekalni, myślałam o tym, żeby stamtąd pójść, ale nie miałam pojęcia dokąd. Znajomi próbowali mi pomóc, lecz nie przyznawałam się przed nimi do pełni swojego cierpienia; bałam się, że mnie wyśmieją. Z Tristanem nigdy nie łączyło mnie nic więcej niż przyjaźń, więc uznaliby mnie za głupią. Ale właśnie to, że była to wyłącznie przyjaźń, pogarszało jeszcze sytuację. Między nami pozostała jakaś granica i to ona była przyczyną mojego bólu, a nie sama utrata Tristana. Ta granica miała pozostać na zawsze,

nawet po jego odejściu.

W gabinecie przebrałam się w szpitalną koszulę, a pielęgniarka zważyła mnie i zmierzyła mi ciśnienie. Przyszedł lekarz, posłuchał bicia mojego serca i pomógł mi położyć się na kozetce. Sprawdził mi piersi – wcześniej wyobrażałam sobie, że to Tristan będzie ich dotykał. Potem powiedział coś o szyjce macicy i rozsunął mi nogi. Dotąd unikałam badań ginekologicznych, bo za bardzo krępowała mnie myśl, że miałabym odsłonić przed kimś swoje ciało. Podniosłam głowę.

– Chwileczkę.

– Proszę się położyć i rozluźnić – powiedział lekarz tonem, który zapewne uważał za uspokajający.

Zbadał mnie na dole zimną dłonią w rękawiczce. Nikt jeszcze mnie tam nie dotykał i mimowolnie poruszyłam kolanem, uderzając go w czoło.

– Prowadzi pani aktywne życie seksualne?

Nad krzywizną swojego brzucha widziałam czubek jego jasnowłosej głowy.

– Nie.

– Wsunę teraz wziernik. To może lekko zabołeć.

Spojrzałam na płytki na suficie, matowe i białe jak powierzchnia księżycy, i zacisnęłam dłonie na krawędziach kozetki, a lekarz wsunął mi coś twardego, co zdawało się otwierać we mnie jakąś nową przestrzeń. Nigdy dotąd nie miałam wewnątrz siebie żadnego obiektu, ani męskiego członka, ani tamponu, ani nawet palca. Czułam się tak, jakby dźgnięto mnie nożem. Najpierw Tristan, a potem ten lekarz zadali mi ból w miejscach, których istnienia nawet nie podejrzewałam.

– Spokojnie – odezwał się doktor. – Proszę się nie spinać.

Kiedy skończył, powiedział, że wyjdzie z gabinetu, żebym mogła się ubrać. Gdy odszedł, nie byłam w stanie się poruszyć, zsunęłam tylko nogi. Czułam się jak przygwożdżona. Łzy spływały mi po twarzy i na włosy. Na ścianie wisiał plakat, przekrój ciężarnej kobiety z profilu, z wnętrzościami widocznymi jak w akwarium. A ja wyobrażałam sobie, że będę miała z Tristanem dziecko, fantazjowałam o najrozmaitszych rzeczach, które się między nami wydarzą, choć wiedziałam, że to niemożliwe, że dzieli nas linia.

Z trudem podniosłam się z kozetki, chciałam wyjść, zanim ktokolwiek zauważy, że płaczę. Kiedy wstałam, krew spłynęła mi po nogach na skarpetki.

Podreptałam niezgrabnie do szafki, na której leżała rolka niebieskich papierowych ręczników, i spróbowałam się wytrzeć.

Kiedy wróciłam do akademika, weszłam pod prysznic i patrzyłam, jak krew krąży w odpływie. Gdzieś tam, głęboko we mnie, kryła się rana. Nigdy się nie zaleczyła, ale kiedy zaczęłam brać Y..., przestałam ją odczuwać.

Pierwsza para

Najsłynniejsza gwiazda porno na świecie została postrzelona w głowę przed hotelem na Times Square. Zdjęcie jej zwłok pokazano we wszystkich gazetach, nawet tych poważnych. Po strzale upadła do rynsztoka - brukowce postanowiły tego nie komentować. Gdyby nie rana postrzałowa na czole, trudno byłoby zgadnąć, że nie żyje. Leżała z oczami wpatrzonymi w pustkę i rozchylonymi ustami, tak jak nieraz w swoich filmach.

Stella Cross (w jej przybranym nazwisku - „krzyż” - kryły się dwa znaczenia: z jednej strony kojarzyło się z chrześcijaństwem, a z drugiej każdy by ją przybił swoim gwoździem) była wielką gwiazdą, nie jakąś bezimienną dziewczyną z amerykańskiej prowincji; nie soczystym owocem, który zerwano, zanim dojrzał, wyruchano w każdy możliwy otwór i wyrzucono na kompost. Swój status królowej pornografii przypieczętowała występem w siedmioczęściowej serii filmów *Zdzirka Stella ssie do sucha*: serię wstrzymano, kiedy aktorka doznała rozdarcia tkanki pomiędzy pochwą a odbytem od, jak to ujęła, nadmiaru „podwójnego analu” i „podwójnego standardu”, na których spędziła kilka dni podczas zdjęć do siódmego filmu; zrobiła się straszna rana i Stella była zmuszona poddać się operacji rekonstrukcyjnej.

- Już się bałam, że moja piczka będzie musiała przejść na emeryturę! - powiedziała w wywiadzie dla radia, niczym bejsbolista opowiadający o urazie sportowym.

Nową waginę zaprezentowała w *Defloracji Stelli* - był to jej wielki powrót, oparty na historii gwałtu, który popełnił na niej sąsiad, kiedy miała piętnaście lat. Film został wyreżyserowany przez jej męża i nagrodzono go w kategorii Najlepszy Seks Analny (Przemoc) w rankingu magazynu „Przegląd Filmów dla Dorosłych”. Odlew nowej pochwy Stelli posłano do masowej produkcji do fabryki w Manili i sprzedawano na stronie internetowej aktorki jako zabawkę

erotyczną. Stella miała nawet oprawione zdjęcie filipińskich robotnic, które z włosami zakrytymi siateczkami prezentowały z uśmiechem modele jej części intymnych.

Była międzynarodową gwiazdą, a jej sława wykraczała poza świat pornografii. Została bohaterką filmu dokumentalnego, który nagrodzono w Cannes. Była twarzą dzinsów Kiss Me, kupowanych jak Ameryka długa i szeroka przez dziewczęta, które nie weszły nawet w okres pokwitania. Organizacja charytatywna Pomóżmy Dzieciom wysłała ją do Gwatemali, gdzie Stella rozdawała maluchom pluszaki i pocieszała ludzi, którzy stracili domy po obsunięciu terenu. Jej imię przez dwa lata z rzędu było najczęściej wybieranym imieniem żeńskim w Ghanie. Słyszeli o niej nawet ludzie, którzy nie mieli pojęcia, że Stella pracuje na plecach albo na czworakach, niczym pies – znali ją, choć nie bardzo wiedzieli skąd.

Chwilę po tym, jak zastrzelono Stellę Cross, zginął także jej mąż. Rozmawiał przez komórkę nieco dalej na ulicy, nikt nie zwracał na niego uwagi. Dostał w głowę z pistoletu i padł na ziemię. Jego śmierć wzbudziła o wiele mniejsze zainteresowanie. Wszyscy wiedzieli, że zawsze wolał trzymać się w cieniu, za kulisami. W momencie zgonu prowadzone było dochodzenie w sprawie wykorzystywania przez niego nieletnich dziewcząt do serii filmów *Ledwo na legalu. Tatuś już dochodzi*.

„W Dolinie Krzemowej panuje żałoba po Stelli Cross i jej małżonku”, pisano w „New York Daily”. „Cross i jej mąż znani byli w branży jako Pierwsza Para Porno. Ich dom był dla nas niczym Camelot – mówi aktor Reginald C.”.

Świadkowie twierdzili, że Stellę zastrzeliła kobieta na motocyklu.

– Fantastyczny strzał – powiedział jeden z nich w telewizji. Miał czapkę Jetsów, a wywiad przeprowadzono przed hotelem nadal okolonym żółtą policyjną taśmą jak jakąś przygnębiającą świąteczną girlandą. – *Bum!* I już było po niej, ot tak – dodał.

Sprawiał wrażenie, jakby z trudem powstrzymywał się

przed wyrażeniem zachwytu okrzykiem „Ekstra!” albo czymś podobnym.

Pojawienie się Stelli Cross na chodniku pod hotelem wzbudziło ogromne poruszenie wśród turystów kłębiących się na Times Square. Otoczył ją taki tłum fanów dopraszających się o autografy i zdjęcia, że gdy dziesięć minut przed zabójstwem przewodniczący Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych wychodził z tego samego hotelu po ceremonii wręczenia jakiejś nagrody, nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

- Myśli pan, że zabójczyni mogła tak naprawdę celować w sędziego? - spytał reporter tego samego świadka.

- Nie ma mowy - odparł mężczyzna. - Absolutnie wykluczone. Nic nie wiem o tym sędzi czy kto to tam był, ale mówię panu, babka podjechała motorem pod sam hotel, wycelowała w Stellę i po prostu strzeliła. Bo to na sto procent była kobieta.

Jasnowłosa Stella zginęła w momencie, kiedy oddalała się od tłumu wielbicieli w obstawie dwóch rosyjskich czarnoskórych ochroniarzy. Nie minął nawet dzień, a fani zaczęli upamiętniać ją w internecie, zamieszczając klipy z jej filmów zestawione z fotografiami jej martwego ciała - choć może były to tylko kadry z jej hitu *Pieprz mnie na zabój*.

Nowy Program Baptist Zadanie pierwsze: odstawienie leków

W radiu leciał na żywo program z Minneapolis, *Nola i Nedra*. Słuchałam go, leżąc nago na kanapie i przeczesując palcami spocone loczki włosów łonowych.

– Mój jedenastoletni siostrzeniec ma na ścianie plakat ze Stellą Cross – powiedziała Nedra Feldstein-Delaney.

– Nie! – wykrzyknęła druga prowadząca, Nola Larson King.

– Naprawdę. Siostra mówiła, że jego koledzy takie mają, więc nie chciała, żeby jej syn czuł się inny.

– Och, Nedro, to wszystko jest po prostu straszne. – Słyszałam ból w podstarzałym głosie Noli, w którym pobrzmiwał akcent ze Środkowego Zachodu. Nola zawsze była tą bardziej emocjonalną z dwóch prezenterek.

Podniosłam ze stolika szklanę z wodą (NIEOGRANICZONE SPOŻYCIE). Kiedy się napiłam, postawiłam ją sobie na pępku, który wyglądał jak czarna dziura ukryta wśród krętych blizn rozstępów i głębokich fałd skóry. Był skwarny lipcowy dzień i w moim ciele też panował lipiec. Gotowałam się od środka. Włączyłam klimatyzację, ale to nic nie dało.

Dzień po spotkaniu z Vereną zaczęłam przekrawać swoje tabletki Y... na pół. Verena miała rację. Alicia nie uzależniłaby się od antydepresantów, a jeśli naprawdę chciałam się nią stać, musiałam zacząć podejmować więcej działań w tym kierunku. Po kilku dniach pojawiły się objawy jak przy grypie i myślałam, że złapałam jakiegoś wirusa, ale Verena powiedziała przez telefon, że cierpię na „grypę po-Y-ową” i że to typowy objaw odstawienia leku.

Brzmiało to tak, jakbym była narkomanką.

– Y... nie będzie chciał cię wypuścić ze swoich szponów, ale twoje pragnienie zmiany jest naprawdę imponujące, kochanie. To ważny krok.

Próbowała mnie zmotywować, żebym przetrzymała ten okres. Dodała jednak, że jeśli będzie mi za ciężko, to mogę zadzwonić do swojego lekarza i poprosić o przepisanie małej dawki prozacu, co powinno złagodzić symptomy. Ja jednak uważałam, że kolejne pigułki to ostatnie, czego mi trzeba.

Przez kilka dni miałam wysoką gorączkę i nie mogłam się podnieść, leżałam owinięta w pościel. Na pewien czas popadłam nawet w delirium i miałam halucynacje – wydawało mi się na przykład, że w nogach łóżka siedzi moja nieżyjąca babcia. Zaczęłam się pocić, doskwierały mi ataki zimna i bóle. Trwało to całymi dniami. Kiedy najgorsze minęło, wstałam z łóżka i przeniosłam się do salonu na kanapę, gdzie oglądałam telewizję albo słuchałam radia. Byłam wyczerpana i ociężała, wrażliwa na wszelki dotyk i światło. Nie pamiętałam, żebym kiedykolwiek czuła się tak fatalnie, a jednak w jakiś dziwny sposób te objawy mnie cieszyły. Owszem, były nieprzyjemne, ale stanowiły dowód przemiany, którą przechodziłam, mojej metamorfozy z Plum w Alicię.

Pomimo upokorzenia, które przeżyłam podczas sesji z Vereną, byłam jej wdzięczna – pomogła mi zbliżyć się o krok do mojego nowego życia, choć wiedziałam, że nie o to jej chodziło. Nasza rozmowa była bolesna i krępująca, ale pod pewnymi względami wypowiedzenie tego wszystkiego na głos przyniosło mi ulgę. Poczulałam się tak, jakby zdjęto mi z ramion część ciężaru.

– Ojciec Stelli Cross zostanie przedterminowo wypuszczony z więzienia, aby wziąć udział w pogrzebie córki – poinformowała Nedra Feldstein-Delaney.

Nie odpowiadałam na wiadomości do Kochanej Kitty. Upłynął co najmniej tydzień, od kiedy zajrzałam do skrzynki. Przez trzy lata, odkąd zaczęłam pracować dla magazynu, wykonywałam swoje zadania z niemal obsesyjną dyscypliną, odpoczywałam wyłącznie w weekendy, nie przegapiłam prawie żadnego dnia, pracowałam nawet podczas choroby. Chyba podejrzewałam, że jeśli raz zrobię sobie przerwę, już nigdy nie będę chciała do tego wracać.

Nagle ogarnęła mnie obawa, że Kitty się o tym dowie. Nie miała hasła do konta, ale dział informatyczny na pewno mógł się na nie dostać. Usiadłam na drewnianym krześle bez żadnych ubrań, z pupą klejącą się do siedziska i piersiami zwisającymi do klawiatury. Widziałam swoje odbicie w ekranie, ale byłam zbyt odrętwiała, żeby poczuć odrazę.

– Z badań przeprowadzonych w ubiegłym roku wynika, że więcej siedmiolatków słyszało o Stelli Cross niż o Marcie Washington – powiedziała Nola Larson King.

Jak zwykle system operacyjny korporacji Austen nie spieszył się, żeby wpuścić mnie do skrzynki. Klepsydra na ekranie obracała się i obracała, a ja czekałam. Ta chwila była jak rytuał, który pozwalał mi przygotować się psychicznie na to, co znajdę w wiadomościach. Przypominała mi ten moment

w serialach policyjnych, kiedy bohaterowie ściągną prześcieradło z leżącego w kostnicy trupa. Ostry wdech i nagle... horror.

Wiadomości była cała masa. Ponad tysiąc. Na widok tej ogromnej listy poczułam się tak, jakby w moich uszach rozbrzmiał zbiorowy krzyk wszystkich tych dziewcząt. Otworzyłam pierwszą wiadomość, ale nie mogłam zebrać się w sobie i skoncentrować na treści. Kitty. Aborcja. Bla, bla, bla. Miałam ochotę odpisać HaleyBailey80 i spytać: „Dlaczego zwracasz się z pytaniem, czy poddać się aborcji, właśnie do mnie, do Kitty Montgomery? Przecież ja nawet nie skończyłam studiów!”. Dopiero po kilkudniowej przerwie uświadomiłam sobie, jakie to absurdalne, że ktokolwiek zwraca się do Kitty z prośbą o poradę – a tym samym jak absurdalna jest moja praca.

– Na ostatnie Boże Narodzenie moja ośmioletnia siostrzenica poprosiła Mikołaja o stringi – powiedziała Nedra Feldstein-Delaney.

Popatrzyłam na następne dziesięć wiadomości, ale nie byłam w stanie się z nimi zmierzyć. Ani z tą dziesiątką, ani z kolejną dwusetką. Przeciągnęłam kursorem w dół listy, zaznaczając wszystkie maile, i kliknęłam „usuń”. Odczekałam kilka sekund, żeby się przekonać, czy poczuję jakieś wyrzuty sumienia. Nie poczułam nic.

Nowy Program Baptist Zadanie drugie: konfrontacja

Grypa po-Y-owa ustąpiła, ale zamiast jej objawów zaczęłam doświadczać innych, na przykład drobnych ukłuć w palcach rąk i nóg, jakby słabych kopnięć prądu. Przez cały dzień to wrażenie doskwierało mi w podszewkach stóp i opuszkach palców. Ogólnie nie czułam się za dobrze; byłam odseparowana od świata, jakby pomiędzy mną a nim wyrosła szklana szyba.

W moim mieszkaniu cuchnęło potem i gorączką – miałam wrażenie, że znajduję się w mocno zakręconym słoiku. Robiłam właśnie pranie i szykowałam się, żeby przewietrzyć dom, kiedy zadzwoniła Verena z wyjaśnieniem, na czym będzie polegać drugie zadanie Nowego Programu Baptist. Chciała, żebym skonfrontowała się z ludźmi, którzy kierowali pod moim adresem chamskie uwagi albo się na mnie gapili.

– Nie ignoruj ich – zachęcała. – Musisz reagować.

Nie uporałam się jeszcze z pierwszym, iście piekielnym zadaniem, a ona już dała mi kolejne.

– Po co? I tak niedługo przestanę tak wyglądać.

– Myślę, że powinnaś stanąć w obronie Plum, nie sądzisz? Kiedy ona zniknie, może będziesz żałować, że nigdy się za nią nie wstawiłaś. – Verena mówiła tak, jakby Plum miała zostać unicestwiona. Wyobraziłam sobie zrzuconego z dachu arbuza i resztki mięszu barwiące chodnik na różowo.

– Jeśli próbujesz mnie zniechęcić od operacji, to przypomnienie mi o tym, jak bardzo się wszystkim nie podobam, na pewno w tym nie pomoże.

– Zaufaj mi. Baptistka nie boi się podejmować ryzyka.

Cieszyłam się, że rozmawiamy przez telefon, bo dzięki temu Verena nie mogła zobaczyć, jak przewracam oczami. Nie miałam najmniejszego zamiaru z nikim się konfrontować. Byłam w stanie przeżywać swoje życie wyłącznie w mgiełce wyparcia. Zaakceptowanie tego, jak naprawdę widzieli mnie ludzie, było prawie niewyobrażalne. Przez blisko trzydzieści lat rzadko się na to decydowałam. Ignorując coś, mogłam udawać, że nie jest to rzeczywiste. Ale mimo wszystko powiedziałam Verenie, że spróbuję. I tak nigdy się nie dowie, czy mówię prawdę. Zmyślę dla niej jakąś historyjkę, coś patetycznego w stylu wiadomości od dziewcząt Kitty.

Te dwadzieścia tysięcy dolarów już wkrótce trafi w moje ręce. Skończywszy rozmowę, przejrzałam wszystkie swoje katalogi i zamówiłam następne ubrania.

Verena mówiła, że proces odzwyczajania się od Y... potrwa ponad miesiąc. Nie mogłam tyle czasu kryć się w mieszkaniu. Doszłam do wniosku, że powrót do codziennej rutyny zapewni mi stabilność i pomoże się uporać z dezorientującymi symptomami. Po raz pierwszy od kilku tygodni spakowałam laptopa i wybrałam się do kawiarni. W drodze rozmyślałam nad drugim zadaniem. Gdybym chciała konfrontacji, nietrudno byłoby znaleźć okazję. Zastanawiałam się, co powiem tym okropnym chłopakom na rogu. Nic mi nie przychodziło do głowy, żaden dowcipny, cięty tekst, który nauczyłby ich właściwego zachowania. Słowa nie wystarczały. Zamiast tego wyobraziłam sobie, że ktoś zrzuca ich ze ślimaka na autostradzie Harbor, jak tamtych ludzi w wiadomościach, albo że autobus wpada na zakręcie w poślizg i rozjeżdża ich na miazgę, a ich głowy toczą się po ulicy niczym kule do kręgli.

– A co by się wydarzyło w takiej sytuacji w idealnym świecie? – spytała Verena podczas naszej pierwszej sesji.

W idealnym świecie połałaby się krew.

W kafejce zajęłam swoje zwykłe miejsce. Przy stoliku, gdzie dawniej widywałam Leetę, siedziały teraz dwie starsze panie, które dzieliły się kawałkiem sernika.

Po tak długim przesiadywaniu w domu męczył mnie nadmiar bodźców w kawiarni: obfitość światła z wielkich okien, głosy ludzi i szum ekspresów do kawy. Byłam jak mieszkaniec jaskini wypchnięty nagle w jasność dnia. Moje dłonie zmagaly się z klamerkami torby na laptopa, drobne ukłucia prądu stawały się coraz bardziej dokuczliwe. Czułam się osłabiona i krucha, nieprzystosowana do świata normalnych ludzi.

W kawiarni grało radio, Nedra Feldstein-Delaney mówiła właśnie:

– Stella Cross w rzeczywistości nazywała się Jennifer Rose Smith.

Carmen ucieszyła się na mój widok, ale miała sporo klientów i nie mogła rozmawiać, więc zabrałam się do pracy. Ostatnio wykasowałam wszystkie czekające maile, ale codziennie pojawiały się nowe. Otworzyłam pierwszy z brzegu: *Kohana kittey, hyba mam hpv czy to jest smiertelne?* Wpatrywałam się w tę wiadomość tak, jak można wpatrywać się w obraz: frontalnie, nie czytałam jej od lewej do prawej. Słowa były symbolami, ale nie miałam pewności, co oznaczają. HPV. O, to rozpoznawałam. Mogłabym przeskoczyć

do swoich folderów i skopiować właściwą odpowiedź, ale łatwiej było po prostu wykasować tę dziewczynę.

Z wielkim wysiłkiem otworzyłam następnego maila: *Kochana Kitty, czy to źle, że tnę się żyłką po ramionach?* Nachyliłam się niżej, aż moja twarz znalazła się tuż nad ekranem: „tnę”. „ramiona”. „żyłka”. Kolejna żyleciara. Codziennie dostawałam wiadomości w tym stylu, ale nigdy tak naprawdę się nie zastanawiałam, co to właściwie znaczy, że ktoś tnie własne ciało stalowym ostrzem. Teraz wydawało mi się to przedziwne. „Tak, oczywiście, że to źle – miałam ochotę napisać. – Co za głupie pytanie”. Ale wymagałoby to zbyt wiele wysiłku, więc skasowałam maila. Przejrzałam kolejne dwadzieścia wiadomości i te również przeniosłam do kosza. Nie miałam pojęcia, co się ze mną dzieje. Dawniej byłam jak atletka, przekopywałam się przez te listy bez względu na to, jak były trywialne lub irytujące, ale po kilku tygodniach poza boiskiem część mojego mózgu, która odpowiadała za Kochaną Kitty, uległa atrofii. Nie miałam pojęcia, co mam odpisać tym dziewczynom, i pragnęłam, żeby zniknęły.

Tak naprawdę tęskniłam w kafejce tylko za Carmen i miałam nadzieję, że się do mnie przysiadzie. Wreszcie to zrobiła, przynosząc mi bułeczkę z pomarańczą i żurawiną (480). Zawsze podawała mi rzeczy, których nie mogłam jeść. „Sabotażystka”, powiedziałyby Eulayla Baptist, ale to nie było celowe działanie. Skubałam bułeczkę, nie mając na nią najmniejszej ochoty. To jeden z rezultatów odstawienia Y... – utrata apetytu, przynajmniej jakiś pozytywny efekt uboczny.

Kiedy Carmen opowiadała mi o tym, co się działo w kafejce, poczułam nagłe pulsowanie ciepła w opuszkach palców, które wkrótce ogarnęło też ramiona.

– Nic ci nie jest?

– Jeszcze nie doszłam do siebie. No dalej, opowiadaj.

Słuchałam jej słów jak lecącej w tle muzyki. Jedyne, o czym mogłam myśleć, to Nowy Program Baptist, dwie wersje mnie – Plum i Alicia – a także Verena i wszystko, o czym rozmawiałyśmy. Wyrosłam z życia w kafejce. Siedząc tam, czułam się, jakbym kuśtykała w przyciasnych butach.

Carmen opowiadała, a ja zastanawiałam się, co o mnie myśli. Była szybka i lekka, nawet w ciąży. Chłopakom na rogu nie przyszłoby do głowy się z niej naśmiewać. Carmen nigdy się nie dowie, jak to jest. Zdawałam sobie sprawę z linii, która nas dzieliła, która przebiegała pomiędzy mną a większością ludzi. Zawsze wolałam udawać, że nie istnieje, ale istniała. A teraz nie

mogłam o niej zapomnieć.

Carmen wróciła do pracy, a ja zostałam sama przy stoliku. Wydłubałam paznokciem żurawinę z bułeczki i ją zjadłam. Robiąc to, zauważyłam, że kobieta przy sąsiednim stoliku wpatruje się we mnie w sposób, którego nie lubiłam. Czy potrafiłabym jakoś na to zareagować?

Dokładnie w tym samym momencie poczułam ukłucie elektryczności w lewym oku. Upuściłam bułeczkę na stół i zacisnęłam powieki, czekając, aż to wrażenie minie. Kiedy otworzyłam oczy, kobieta nadal się we mnie wpatrywała.

– Co się pani tak gapi? – Mój głos był głęboki, brzmiał jak warknięcie dzikiego zwierza, zupełnie jak nie mój.

W radiu Nola Larson King mówiła:

– Moja siostra też ma na imię Jennifer.

Jeszcze przez wiele dni nie czułam się dobrze, ale mimo to chodziłam do kafejki. Przeglądałam setki wiadomości i je kasowałam. Nie do końca wiedziałam, czemu w ogóle usiłuję je przeczytać, skoro zaraz miałam je usunąć. Może bawiłam się w Boga przyjmującego modlitwy. Nawet nie mając najmniejszego zamiaru odpowiadać, mogłam wysyłać w kosmos pozytywne wibracje: „Wysłuchałam cię. Odejdź w pokoju”.

Kiedy zmęczyło mnie wpatrywanie się w ekran komputera, zaczynałam przyglądać się gościom kawiarni. Sporo się ich przewijało w ciągu dnia, ale nikt nie przesiadywał tam tyle co ja. Patrzyłam, jak zamawiają kawy i herbaty, kanapki i ciasta, i przez cały czas czułam elektryczne wstrząsy przebiegające jak mrówki po moim języku i w głąb gardła.

W kafejce nigdy nie zapadała cisza i docierały do mnie strzępy rozmów, zwykłe codzienne banały. Niektóre tematy pojawiały się częściej niż inne, a może po prostu byłam na nie bardziej wyczulona.

– Jak teraz niczego nie zjesz, to potem będzie ci się chciało. Zawsze to samo – mówił młody mężczyzna przy sąsiednim stoliku do chudej młodej kobiety, pewnie swojej dziewczyny. – Przecież wiem, że jesteś głodna.

– Wcale nie. – Dziewczyna, której twarz przypominała nieco ptaka, odwróciła się w moją stronę. Skupiłam się z powrotem na laptopie.

Kochana Kitty, latem w Palm Beach poznałam takiego faceta, Ryana. Ryan zna moją kuzynkę Betty, no i... To długa historia, więc zacznę od początku...

komuś przydarzyć.

Przestałam chodzić do kafejki. Mimo początkowych obaw doszłam do wniosku, że Kitty się nie dowie, że nie wykonuję swojej pracy. Prawie nie zwracała na mnie uwagi. Może mogłabym odbierać pensję za nic przez całe tygodnie i miesiące, nawet lata?

Zamiast odpisywać na listy do Kitty, oglądałam telewizję. W programie Cheryl Crane-Murphy pojawił się Stanley Austen, aby omówić sytuację w Londynie. Nie chciał przyznać, że i pod jego adresem kierowano groźby.

– Nawet gdyby tak było, zupełnie bym się tym nie przejął – twierdził, a jego gładkie srebrzyste włosy nieprzyjemnie kontrastowały z opaloną skórą. – Przywykłem do pogróżek ze strony rozgoryczonych wariatek. Ciągłe się uskarżają, że moje magazyny modowe wyzyskują kobiety, a z drugiej strony nie podoba im się, że ten rzekomy wyzysk nie rozkłada się po równo na te grube i te o innym pochodzeniu niż europejskie. Przestałem się nimi przejmować już lata temu.

– Skąd więc te wszystkie wykrywacze metalu i barykady, które pojawiły się nagle wokół Austen Tower? – spytała Cheryl Crane-Murphy.

– Planowaliśmy to na długo przed tą całą komedią z Jennifer – odparł Austen.

„Jennifer” to był skrót, którym media opisywały dramatyczne wydarzenia na obu kontynentach oraz grupę podejrzewaną o ich sprawstwo; nawet jeśli Jennifer była prawdziwą osobą, nie mogła przecież działać w pojedynkę.

Cheryl Crane-Murphy przeszła do kolejnego tematu, którym był American HipHop – całodobowy kanał muzyczny w telewizji kablowej. Miał swoją siedzibę na Times Square w pobliżu Austen Tower. Wcześniej w tym tygodniu dyrektor kanału przyznał, że otrzymał list z pogrózkami, ale nie chciał powiedzieć jakimi. W odpowiedzi ogłosił, że jego stacja nie będzie już pokazywać teledysków, w których degraduje się kobiety. Komentatorzy zastanawiali się, co w takim razie będzie tam wyświetlane, ponieważ jak dotąd na American HipHopie w kółko leciały teksty w rodzaju „suka to, zdzira tamto” i w nieskończoność wyświetlano gołe tyłki poruszające się w przestrzeni niczym gładkie brązowe planety. Cheryl Crane-Murphy i jej panel ekspertów zastanawiali się, czy stacja uchroni się przed bankructwem. Przełączyłam kanał na American HipHop i odkryłam, że wyświetla się tam wiadomość PRZEPRASZAMY ZA PRZERWĘ W PROGRAMIE.

Zadzwoiła Verena. Słuchałam jej, wpatrując się w pustą otchłań, która pozostała po American HipHopie. Verena chciała wiedzieć, jak mi idzie

drugie zadanie. Postanowiłam mówić szczerze. Opowiedziałam jej o kobiecie w kawiarni i o tym, jak spytałam: „Na co się pani tak gapi?”. Sądziłam, że to wystarczy – jak na Plum był to postęp – lecz Verena nie była usatysfakcjonowana.

– To dobry początek – przyznała – ale chcę, żebyś posunęła się dalej.

W odpowiedzi jęknęłam tylko do telefonu, bo znowu poczułam w głowie wstrząsy elektryczne.

– Jesteś w okropnym stanie – zauważyła Verena, jakby nie miała z tym nic wspólnego.

Choć nie zakończyłam jeszcze dwóch pierwszych zadań Nowego Programu Baptist, ona chciała już omówić kolejne. Zapytałam, ile ich zostało. Byłam o krok od wycofania się, ale Verena powiedziała, że mam do wykonania już tylko trzy. Byłam niemal w połowie drogi do tych dwudziestu tysięcy dolarów.

– Więc co teraz mam zrobić?

– Następne dwa zadania polegają na tym, żebyś zaczęła żyć jako Alicia.

– To niemożliwe.

– Wiem, że Alicia jest szczupła, a Plum gruba, ale chcę, żebyś po prostu udawała Alicię. To tylko ćwiczenie. – Verena wyjaśniła, że mam zafundować sobie odmianę wizerunku. – Zaczęłaś już kupować stroje i dodatki, ale pójdźmy o krok dalej. Mam znajomą, która specjalizuje się w takich rzeczach. Zajmie się tobą przez parę dni i przerobi cię od stóp do głów.

– Ale po co? Ja *nie wyglądam* jak Alicia. Nawet nie zmieszczę się w ubrania, które kupiłam.

– Zaufaj mi. Poza tym niewykluczone, że Plum też będzie się dobrze bawić. Tak długo wyobrażałaś sobie siebie jako Alicię, że nie dajesz Plum szansy, by stała się tym, kim może być.

– Byłam Plum przez całe życie. Miała mnóstwo szans. – Pomyślałam o przemianie. Verenie chodziło pewnie o nowe buty i kosmetyki. Jakoś to przeżyję. – A czwarte zadanie?

– Tydzień randek w ciemno.

Niewidzialna pięść uderzyła mnie w brzuch.

– Vereno...

– Moja dentystka, Gina, zawsze próbuje mnie z kimś umawiać. Z różnych

powodów uważam to jednocześnie za irytujące i obraźliwe. Gina zna masę facetów do wzięcia, cały czas przewijają się przez jej gabinet. Więc wczoraj zadzwoniłam do niej i poprosiłam, żeby załatwiła kilka randek dla mojej młodej znajomej. Aż rechotała z radości.

Wyobraziłam sobie Ginę z wielką brodawką na brodzie i miotłą w ręce.

– Co jej o mnie powiedziałaś?

– Że pracujesz dla Kitty, że jesteś inteligentna i ładna, że mieszkasz na Brooklynie.

– Ci mężczyźni nie będą oczekiwać kogoś takiego jak ja.

– To randki w ciemno. Nie będą wiedzieć, kogo mają oczekiwać.

– Vereno – powiedziałam tonem, który jasno mówił, że mam dość tej gry. – Wiesz, o co mi chodzi. Nie jestem typową kobietą. Nie można mnie umawiać na randki w ciemno.

– Zaufaj, że wyjdzie ci to na dobre, Plum. To wszystko, o co cię proszę.

– To będzie dla mnie upokorzenie – powiedziałam. – Dobrze o tym wiesz. Pewnie właśnie o to ci chodzi, prawda?

– Mówisz, jakbym była potworem.

– Nie rozumiem, czemu to robisz. Myślałam, że zamierzasz mnie odwieść od operacji. Jak na razie nie idzie ci to za dobrze.

– Ja tylko daję ci szansę, żebyś się przekonała, jak to jest być Alicią. Alicja chce się spotykać z mężczyznami. Chce się zakochać, wyjść za mąż, mieć dzieci, cała ta święta trójca. Sama mówiłaś, że tego pragniesz.

– Ale nie jestem jeszcze Alicią.

– Będziemy udawać, że jesteś. Chcę zbliżyć do siebie przyszłość i terażniejszość. To taki eksperyment.

– W porządku, podeślij tych facetów, wszystko mi jedno. Mam nadzieję, że naprawdę najem się wstydu. Przynajmniej potwierdzimy to, co ja już wiem, a z czym ty nie chcesz się pogodzić: że Plum nie powinna istnieć.

Plum odchodziła w przeszłość, jak ktoś na peronie widziany z okna odjeżdżającego pociągu, znikający w oddali. Nawet nie zamierzałam pomachać jej na do widzenia.

Nie chciało mi się pytać o piąte zadanie. Verena powiedziała, że przemiana zacznie się następnego dnia rano. Miałam się spotkać z jej koleżanką

Marlowe Buchanan w Café Rose na Union Square. Imię brzmiało znajomo, ale nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie je słyszałam. Powtórzyłam je kilkakrotnie w myślach i wreszcie do mnie dotarło.

– Marlowe Buchanan... ta aktorka?

– Tak, rzeczywiście była kiedyś aktorką. Choć ja nie myślę o niej w ten sposób. Dla mnie to po prostu Marlowe.

Mogłam się domyślić, że nie chodziło o zwykłą znajomą.

– Czy to jakiś problem? – spytała niewinnie Verena.

Nowy Program Baptist stawał się coraz dziwniejszy.

Nowy Program Baptist Zadanie trzecie: przemiana

Jako dziewczynka na Harper Lane w każdy czwartkowy wieczór oglądałam Marlowe Buchanan w serialu komediowym *Ellie*. Grała postać tytułową, Ellie Waters, młodą kobietę, która przenosi się z Ohio do Nowego Jorku, żeby zostać prezenterką prognozy pogody. Była to historia o wrzuconej na głęboką wodę dziewczynie z prowincji, pięknej Ellie z małego miasteczka, która próbuje odnieść sukces w wielkim mieście.

Aktorka Marlowe Buchanan, a w konsekwencji również grana przez nią postać, słynęła z pięknych włosów, jakby żywcem wziętych z obrazu *Narodziny Wenus* – były długie, gęste, barwy miodu. Co tydzień wpatrywałam się w nią jak zaczarowana. Wspaniałe pukle spływały jej na ramiona i plecy, kołysały się za nią niczym hawajska spódniczka z trawy. Marlowe wystąpiła w kilku reklamach szamponu opartych na baśni o Roszpuncie i ukazała się na okładce „Vanity Fair” nago, osłonięta tylko włosami. Te włosy były jej znakiem rozpoznawczym. Zanim zagrała w *Ellie*, była nastoletnią modelką i pojawiała się na okładkach „Stokrotki” oraz „Seventeen”.

Przez lata oglądałam serial, w którym grała, ale kiedy zdjęto go z anteny, zaczęłam się fascynować czymś innym i nie myślałam już o aktorce, póki nie wspomniała o niej Verena. Nie przypominałam sobie, żebym kiedykolwiek widziała Marlowe w czymkolwiek poza *Ellie*. Zupełnie jakby zniknęła.

Wieczorem przed spotkaniem leżałam na kanapie, sparaliżowana kopnięciami prądu i mdłościami, które wciąż mnie dręczyły po odstawieniu Y... Znalazłam odcinki *Ellie* w internecie i leciały w tle, gdy ja na przemian zasypiałam i się budziłam. Były jak szczęśliwe wspomnienie z czasów na Harper Lane.

Następnego dnia dojechałam do Café Rose przed wyznaczoną godziną. Zanim wyszłam z domu, zadzwoniła Verena i poprosiła, żebym zabrała ze sobą jedną z sukienek Alicii. Wybrałam białą popelinową z fioletowym obszyciem, leżała teraz w torbie pod stolikiem. W mojej głowie leciała sekwencja otwierająca sitcom Marlowe, z aktorką biegającą po całym Manhattanie w mżawce, która nie miała najmniejszego wpływu na jej wspaniałe włosy.

Spodziewałam się, że Marlowe będzie wyglądała inaczej niż w telewizji, nie tylko dlatego, że upłynęło sporo czasu. Znani ludzie zwykle wyglądają w rzeczywistości inaczej niż na ekranie – przekonałam się o tym jeszcze w restauracji Delii położonej na obrzeżach zachodniego Hollywood. Kiedy pojawiała się tam jakaś sławna aktorka, zazwyczaj przeżywałam rozczarowanie. Spodziewałam się, że te kobiety będą promieniować światłem, jak w filmach, gdzie nawet ich najdrobniejszy ruch – choćby opuszczenie rzęs – był wyrafinowany i piękny, niczym strzepnięcie kruczego skrzydła. Tymczasem w prawdziwym życiu wyglądały jak duchy, ich wyraziste rysy zdawały się rozmyte, jakby reprodukowano je tyle razy, że zaczęły blaknąć.

Z Marlowe było jednak inaczej. Kiedy pojawiła się w kawiarni, nie wyglądała jak gorsza wersja swojego ekranowego wizerunku, tylko jak zupełnie inna osoba. Domyślałam się, że nikt jej teraz nie rozpoznawał na ulicy. Ważyła jakieś dziewięćdziesiąt kilogramów, może więcej. Jej długie włosy zniknęły, zastąpione krótką czuprynką, nadal w kolorze miodu, ale przetykaną siwizną. Nieposłuszne pasemka przytrzymywała nad czołem czerwona spinka. Marlowe ubrana była w białą letnią sukienkę, ramiona miała opalone, a na jej rękach i nogach pomimo tuszy wyraźnie rysowały się mięśnie. Na jej piersiach znajdowało się nosidełko z uśmiechniętym maluchem skierowanym twarzą do przodu i przypominającym ruchomą płataninę rączek i nóżek, półosiorniczkę.

– Mam wrażenie, jakbyśmy już się znały! – odezwała się Marlowe, siadając przy stoliku. Bez problemu znalazła mnie w tłumie. – Jestem Marlowe, a to jest Huck.

Z trudem wydusiłam z siebie zaskoczone „dzień dobry”.

Marlowe powiedziała, że specjalnie umówiła się ze mną z dala od Domu Kaliope, żebyśmy mogły porozmawiać na osobności. Kiedy zaczęła porządkować i rozplątywać swoje rzeczy, i rozkładać je na pustych krzesłach, popatrzyłam na jej twarz, szukając śladów Ellie, ale nic nie znalazłam. Jej głos pozostał jednak taki sam, po dawnemu kojarzył mi się z miodem, podobnie jak jej włosy. Dziwnie się czułam, słysząc go nie w telewizji, tylko w normalnej rozmowie, i to skierowany do mnie.

Poszłam kupić Marlowe kawę i pączka – zaproponowałam, że to zrobię, żeby oszczędzić jej chodzenia z dzieckiem.

Nie umiałam sobie wyobrazić, jaki wizerunek mogłaby mi zaproponować. Może chodziło o odwrotną przemianę, po której wyglądałabym jeszcze gorzej

niż teraz. Miałam wyrzuty sumienia, że tak myślę, ale śliczna Ellie zniknęła, a zamiast niej pojawiła się ociężała krótkowłosa kobieta z dzieckiem.

Kiedy wróciłam, Marlowe wyjęła już synka z nosidełka i podrzucała go na kolanach. Jedząc pączka, wyglądała przez wielkie okno przy naszym stoliku.

– Wiesz – powiedziała – minęło jakieś piętnaście lat, od kiedy opuściłam Hollywood, ale do tej pory brytyjskie tabloidy przysyłają czasem paparazzich, żeby strzelili mi fotkę, jak wcinam tacosy albo coś w tym rodzaju. – Z ustami pełnymi drożdżowego ciasta uniosła wolną rękę w kierunku szyby i wystawiła środkowy palec. – Nigdy nie wiadomo, kiedy któryś z nich mnie obserwuje.

Postanowiłam opowiedzieć jej o dorastaniu w domu Myrny Jade, gdzie ja także znajdowałam się pod ciągłą obserwacją. Nie chciałam dzielić się tą historią z Veroną, ale Marlowe i ja miałyśmy ze sobą więcej wspólnego. Nigdy nie przypuszczałam, że coś będzie mnie łączyć z gwiazdą telewizji.

– Pamiętam ten domek na... gdzie to było, Hanover Street?

– Harper Lane.

– Harper Lane! Niewiarygodne, że tam mieszkałaś. Widziałam go raz, kiedy ciotka przyjechała do mnie w odwiedziny. Była bardzo stara i miała ochotę na wspominki o sławach minionej epoki. Kiedy zobaczyła na mapie gwiazd domek Myrny Jade, po prostu *musiałyśmy* tam pojechać.

– Czy to było w czasach, kiedy grałaś Ellie?

Marlowe przytaknęła. Czyli ja oglądałam *Ellie* w telewizji, a tymczasem ona przejeżdżała pod moim domem i oglądała mnie.

– Uwielbiałam Ellie – wyznałam, wstydząc się tego, jak to zabrzmiało, ale nie mogłam się powstrzymać. – Chciałam wyglądać tak samo jak ty. Błagałam mamę, żeby kupiła mi tamten szampon.

– Złotko, szampon nie zapewniłby ci mojego wyglądu. W tamtych czasach nie byłam stuprocentowo naturalna. Nad moim wizerunkiem pracował cały zespół. Ale to już przeszłość. – Chwyciła się za piersi i je ścisnęła. – Mogę cię zapewnić, że w tej chwili w tym ciele nie ma nic, co należałoby opatrzyć numerem produkcyjnym.

Nawet jej nazwisko nie było prawdziwe. Na świadectwie urodzenia miała wpisane Marlowe Salazar; Marlowe było panięńskim nazwiskiem jej matki, a Salazar – nazwiskiem ojca. Ale agencja, która ją reprezentowała, uznała, że brzmi to nie dość amerykańsko, więc poszperali w jej drzewie

genealogicznym i wygrzebali skądś nazwisko Buchanan.

– Zostałam etnicznie oczyszczona. Potem już nie chciałam go znowu zmieniać, bo stało się moją marką.

Na jej lewym bicepsie dostrzegłam jakiś napis, czarne literki na jasnej skórze, ale nie mogłam ich odczytać. Kiedy Marlowe zaczęła karmić dziecko kawałkami pączka, nachyliłam się bliżej: „Kobiety nie chcą mną być, a mężczyźni nie chcą mnie ruchać”.

– Czy to tatuaż? Permanentny?

Roześmiała się.

– Oczywiście.

– Ale co to oznacza?

Obiecała, że wszystko mi opowie, ale najpierw poszłam zamówić dla niej drugą kawę.

Pomiędzy zdjęciami do czwartego i piątego sezonu *Ellie* Marlowe pojechała do Włoch na długie wakacje. Agenci i rodzice namawiali ją do przyjęcia roli w pewnym filmie, ale ona potrzebowała przerwy. Dźwiganie na swoich barkach ciężaru całego sitcomu było wyczerpujące i Marlowe chciała spędzić wakacje sama, z dala od świateł reflektorów.

– W Los Angeles ludzie ciągle czegoś ode mnie chcieli. Musiałam się wyrwać.

Ellie nie była wyświetlana we Włoszech i Marlowe mogła się tam cieszyć anonimowością, na tyle, na ile w tym kraju było to możliwe dla jakiegokolwiek pięknej kobiety. Upinała ciasno włosy i chowała je pod czapkę z daszkiem, ubierała się w bezkształtne, luźne ciuchy. Nikt w samolocie jej nie rozpoznał. W Rzymie zwiedzała wszystko jak każda normalna turystka i jadła, co chciała. Producenci *Ellie* wymagali od niej ścisłej diety, więc we Włoszech poczuła się nagle jak w gigantycznym bufecie.

– Na śniadanie w hotelu dawali chleb posmarowany czekoladą. Wiedziałaś, że tak się tam je? Poszłam na lody do Giolittiego, zamówiłam makaron w dwóch różnych trattoriach, jadłam pizzę rustica, chodząc po Campo de' Fiori, i urządziłam sobie piknik pod drzewem w ogrodzie przy Villi Borghese: objadałam się oliwkami z serem i piłam wino. I to wszystko już pierwszego dnia po przyjeździe – opowiadała Marlowe. Powiedziała, że jedzenie w połączeniu z anonimowością podziałało na nią jak narkotyk.

Nie wiedziałam, jak to jest być sławną, ale wyobraziłam sobie, że ludzie

nie zwracają na mnie uwagi i że mogę jeść, co chcę – cudowna wizja. Kiedy więc Marlowe stwierdziła, że czuła się tak, jakby stąpała w powietrzu, odniosłam niemal takie samo wrażenie.

Któregoś popołudnia szła przez Trastevere i robiła zdjęcia, kiedy nagle minęła zakład fryzjerski pełen staruszków. Zajrzała przez okno z zamiarem pstryknięcia fotografii. Na blatach stały słoje – jedne wypełnione niebieskim koncentratem do dezynfekcji przyrządów, inne czarnymi grzebieniami; mężczyźni palili papierosy i czytali gazety. Przy wejściu spał pies. Marlowe schowała aparat i weszła do środka.

– Z miejsca, zupełnie nagle, postanowiłam obciąć włosy. Ale tak *naprawdę*. Usiadłam w fotelu i zdjęłam czapkę. Włosy wysypały mi się na ramiona. Próbowałam wytłumaczyć fryzjerowi, o co mi chodzi, ale nie rozumiał. Pewnie w życiu nie widział takiej czupryny.

Marlowe zaplotła więc warkocz, a potem wzięła od fryzjera nożyczki i ucięła go przy samym karku. W jej ustach brzmiało to jak scena z horroru.

Wszyscy mężczyźni stanęli dookoła niej, gapiąc się z niedowierzaniem. Ona tymczasem schowała warkocz do plecaka, po czym wskazała palcem nastolatka, który zamiatał podłogę. Fryzjer zrozumiał, że ma jej zrobić taką samą fryzurę. Staruszkowie byli wstrząśnięci, że taka ładna młoda kobieta chce się tak oszpecić.

Marlowe przerwała opowieść, aby zająć się dzieckiem, które zaczęło marudzić. Wyszukała w torbie butelkę i wsunęła mu do ust gumowy smoczek.

– Nie zapomniałam, że w kontrakcie miałam wpisany zakaz zmieniania wizerunku bez zgody NBC. Na pewnym poziomie zdawałam sobie sprawę, że sabotuję siebie i swoją karierę, ale wtedy tak *naprawdę* to do mnie nie docierało. Kiedy następnego dnia się obudziłam, nie musiałam się męczyć z myciem i suszeniem włosów; zwyczajnie wyskoczyłam z łóżka i wyszłam na miasto. Pod tą masą loków miałam dość przeciętną twarz, ładną, ale bardziej androgyniczną, niż dotąd myślałam. Właściwie nikt by mnie nie poznał, nawet ja sama.

Z Rzymu pojechała zwiedzać położone na wzgórzach miasteczka Toskanii i Umbrii. Raz, kiedy kręciła się po placu targowym w San Gimignano, jakimś cudem rozpoznała ją pewna amerykańska turystka, wycelowała w nią aparat i zrobiła zdjęcie. Na trzask migawki, głośny jak huk gromu, Marlowe poderwała się z miejsca. Wypuściła trzymaną w ręce kiść winogron i popędziła średniowiecznymi uliczkami do hotelu. Kiedy dotarła do swojego pokoju, zasunęła zasłony i zaczęła robić głębokie wdechy, żeby się uspokoić.

Przez resztę popołudnia nie wychodziła z zaciemnionej sypialni.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych, zanim internet przejął władzę nad światem, obieg wiadomości był wolniejszy – minęły aż dwa tygodnie, zanim zdjęcie przedostało się do prasy. „National Enquirer” zamieścił je pod nagłówkiem CO JEJ STRZELIŁO DO GŁOWY? Na fotografii Marlowe stała przy straganie z owocami na targowisku w San Gimignano, z włosami ściętymi na krótko i o piętnaście kilo cięższa. W „Entertainment Tonight” i „New York Daily” jej przemiana stała się tematem dnia. W Los Angeles producenci *Ellie* zwołali pilne spotkanie, ale Marlowe nie miała pojęcia o całym zamieszaniu, dopóki nie zadzwoniła z budki telefonicznej do rodziców, żeby się dowiedzieć, co u nich słychać.

– Coś ty narobiła?! – wrzasnęła jej matka ze słuchawki, zakłócając popołudniowy spokój Cortony, aż ptaki na Piazza della Repubblica poderwały się do lotu.

Marlowe wiedziała, że musi wracać do domu i stawić czoło konsekwencjom. Ostatniego popołudnia w Rzymie jeszcze raz zajrzała do swojego ulubionego kościoła w pobliżu Panteonu: Santa Maria sopra Minerva. Siedziała tam przez godzinę, przygotowując się psychicznie na to, co miało nadejść. W kościele znajdował się posąg Maryi otoczony doniczkami z kwiatami i migoczącymi świeczkami wotywnymi, które symbolizowały nadzieje oraz modlitwy innych podróżników. Marlowe złożyła pomiędzy nimi swój warkocz i odeszła, pozostawiając tam kawałek siebie.

Następnego dnia na lotnisku w Los Angeles przywitał ją tłum paparazzich. Studio wysłało po nią dwóch ochroniarzy i samochód z przyciemnianymi szybami. Jej zdjęcia z krótkimi włosami trafiły na okładki wszystkich magazynów plotkarskich, Barbara Walters wspomniała o aferze w programie publicystycznym *20/20*, a prezenter pewnego wieczornego talk-show żartował z fotografii, pytając: „Kim jest ta gruba lesbijka, która pożarła Marlowe Buchanan?”.

– Cały kraj uważał, że wyglądam okropnie, to było straszne uczucie. Cud, że nie znaleźli mnie wiszącej pod sufitem – powiedziała Marlowe. – Ty byłaś pewnie za młoda, żeby to pamiętać. Znajomi z Los Angeles na mój widok wciągali ze zdumienia powietrze. Rodzina nie miała ochoty ze mną rozmawiać. Nawet agentka nie chciała się do mnie odzywać. „Moje bliźniaki zaczynają jesienią studia na Columbii. Czy ty masz, kurwa, pojęcie, ile to kosztuje?”. Była wściekła.

Szef działu rozrywki sieci NBC przerwał wakacje na Cape Cod i przyleciał do Los Angeles. Marlowe nakazano przejść na błyskawiczną dietę. Zrzucenie dodatkowych kilogramów nie było trudne – znajdowała się pod wpływem takiego stresu, że i tak nie mogła jeść. Ale włosy to co innego. Producenci serialu postanowili nakręcić jedną scenę z aktorką w peruce, ale widzowie podczas seansu próbnego źle ocenili ten zabieg. Nowe odcinki nakręcono więc bez peruki, lecz notowania ciągle spadały i w końcu serial padł.

– A ja nie miałam pojęcia, czemu zdjęto go z anteny – powiedziałam. – Uwielbiałam ten sitcom, a nagle po prostu...

– Zniknęłam – dokończyła Marlowe.

Szefostwo sieci wezwało ją na spotkanie, by poinformować o zakończeniu współpracy.

– Siedziałam w sali konferencyjnej z babką o imieniu Sharlene i trzema łąsiejącymi facetami. Wszyscy trzej mieli na imię Stu. Rozłożyli przed sobą moje zdjęcia z krótkimi włosami. Jeden ze Stu nachylił się przez stół i oświadczył: „Przykro nam, Marlowe, ale od kiedy ścięłaś włosy, kobiety nie chcą tobą być, a mężczyźni nie chcą cię *ruchać*. Zdejmujemy serial z anteny” – opowiadała Marlowe, naśladując jego poważną minę. – Parsknęłam śmiechem. Nie mogłam się powstrzymać. Oni pewnie myśleli, że przechodzę załamanie nerwowe. Sharlene nachyliła się do mnie i powiedziała: „Jeśli nie wymyślisz, jak podnieść swój współczynnik ruchalności, twoja kariera w Hollywood jest skończona”. Wyobrażasz sobie? I ona mówiła poważnie! Kobieta z wyższym wykształceniem! Nagle odniosłam wrażenie, że to wszystko to jedno wielkie szambo. Od kiedy miałam sześć lat, kazano mi paradować przed kamerami jak tresowanej małpie, sprzedawałam się jak dziwka za pieniądze i sławę. Tamtego dnia wszystko to dobiegło końca. Nie chciałam o tym zapomnieć, więc zrobiłam sobie ten tatuaż. To był najlepszy dzień w moim życiu. – Marlowe klepnęła się w biceps z napisem. Huck spapugował ruch i też ją uderzył.

– Ale jak... – zawahałam się, nie chcąc jej urazić.

– Jak to możliwe, że to był najlepszy dzień w moim życiu? Dzień, w którym zgraja dyrektorów w sali konferencyjnej poinformowała mnie, że jestem nieruchalna?

Skinęłam głową. Marlowe dopiła kawę i z brzękiem odstawiła filiżankę na stół.

– Słuchaj dalej, młoda – powiedziała, puszczając do mnie oko.

Kiedy Marlowe zakończyła karierę aktorską, poszła na studia i zrobiła doktorat. Napisała książkę *Teoria ruchalności*, w której przełożyła hollywoodzkie koncepcje na resztę społeczeństwa. Verena przeczytała ją i zaprosiła Marlowe na lunch do Domu Kaliope. To było cztery lata temu. Od tamtej pory Verena pokrywała koszty projektów Marlowe, które obejmowały między innymi gościnne wykłady oraz warsztaty na temat ruchalności na różnych uniwersytetach, ale również pisanie kolejnej książki. Gabinet Marlowe mieścił się na trzeciej kondygnacji Domu Kaliope.

Kiedy tam szłyśmy – ona z dzieckiem, a ja z torbą, w której miałam sukienkę – zdałam sobie sprawę, że tego dnia nie doświadczyłam jeszcze żadnych kopnięć prądu ani innych nieprzyjemnych objawów. Ze wszystkich kobiet z otoczenia Vereny jak na razie najbardziej polubiłam Marlowe, choć wiedziałam, że stanowi ona element Nowego Programu Baptist, którego celem było zniechęcenie mnie do tego, czego tak bardzo pragnęłam.

– Czym właściwie jest Dom Kaliope? – spytałam.

– Jeśli mamy się posłużyć staromodną terminologią, to chyba można go nazwać feministycznym kolektywem. Verena ma tę ogromną kamienicę i więcej pieniędzy niż sam Bóg, więc zapewnia miejsce do życia i pracy kobietom, które zwróciły jej uwagę ze względu na swoje działania albo potencjał. Przychodzą tam i odchodzą, w zależności od tego, czy jest im potrzebna. Porządna z niej babka.

Kolekcjonerka kobiet.

Przyznałam się Marlowe do planu z operacją. Nie byłam pewna, ile już o mnie wie, ale opowiedziałam jej o chudej dziewczynie, która we mnie żyła. Wypowiedziane na głos brzmiało to absurdalnie, ale przecież Marlowe też podzieliła się ze mną swoją historią. I też była gruba, choć nie tak jak ja. Może ona to zrozumie.

– Verena chce, żebym ćwiczyła się w byciu Alicią. To ona kazała mi przyjść do ciebie na zmianę wyglądu i chodzić na randki, bo to właśnie robiłaby Alicja.

– Nie nazywajmy tego „zmianą wyglądu” – zaproponowała Marlowe. – Po prostu zwiększymy twój współczynnik ruchalności.

Nie brzmiało to zbyt przyjemnie. Chyba chodziło o coś więcej niż manikiur i nową fryzurę.

Dotarliśmy do Domu Kaliope. Kiedy tylko przestąpiłam próg, poczułam w głowie elektryczne ukłucie. Nawet z zamkniętymi oczami wyczuwałam, że

ktoś się na mnie gapi, ale musiałam odczekać, aż ból minie. Kiedy otworzyłam oczy, stała przede mną Julia. Chyba właśnie wychodziła. Znowu miała na sobie tamten beżowy trencz, tym razem z postawionym kołnierzem.

– Wpadłam, żeby się przywitać. Mam nadzieję, że wszystko u ciebie w porządku – powiedziała, przygryzając końcówkę oprawki okularów.

– Bywało lepiej. A u ciebie? Co słychać u Leety?

– Leeta już dla mnie nie pracuje. Nie pytaj o nią.

– Co się stało?

– Wolę o tym nie mówić. Przy okazji, dzięki za podesłanie listy najbliższych artykułów. Jak zwykle same śmieci, ale informuj mnie dalej. Lubię wiedzieć, co w trawie piszczy.

– Jestem ostatnią osobą w zespole Kitty, do której docierają jakiegokolwiek newsy – odparłam, nie wspominając, że już nawet nie wykonuję swoich obowiązków.

– Owszem, ale tylko tobie mogę zaufać, więc to musi mi wystarczyć. – Julia uśmiechnęła się i przysunęła, zamierzając dać mi całusa.

Trafiła jednak w miejsce za moim uchem, tuż przy linii włosów. Przez chwilę tkwiła tak, obejmując mnie w talii ramieniem. Czułam na szyi jej oddech. Miałam wrażenie, jakby mnie chłoneła. Kiedy odsunęła głowę, powiedziała:

– Miło było cię widzieć, jak zawsze. – I wyszła.

– Bez komentarza – stwierdziła Marlowe, która przyglądała się całej scence.

Zastanawiałam się, co się stało z Leetą. Julia żądała ode mnie informacji, ale sama rzadko ich udzielała.

Poszłam za Marlowe do salonu. Był jeszcze bardziej czerwony i jaśniejszy, niż zapamiętałam; przypominał wnętrze wiśniowej landrynki. Marlowe odłożyła drzemiącego Hucka na sofę, a on zwinął się w kulkę. Na środku pokoju stała dnem do góry plastikowa skrzynka i Marlowe poprosiła, żebym na niej stanęła.

– Zobaczmy, co tu mamy – powiedziała, podnosząc torbę i wyjmując z niej białą popelinową sukienkę. – To powinna być łatwizna. Możemy zdjąć z ciebie miarę?

Pojawiła się kobieta z centymetrem i notesem.

– Oto Rubí Ramirez – przedstawiła ją Marlowe.

Pamiętałam imię Rubí z jednej z moich rozmów z Vereną. To ona pojechała do Paryża po środek dietetyczny, który nazywała dabsitafem.

– Cześć – odezwała się Rubí.

Odpowiedziałam w ten sam sposób.

Zaczęła owijać mnie centymetrem, przez co poczułam się jak tuczone cielę. Ważyłyśmy pewnie mniej więcej tyle samo, ale ona była niższa. Czarne włosy po jednej stronie miała wygolone na zapałkę, a po drugiej sięgały do ramienia. Końcówki ostro wystrzyżonej grzywki były błękitne. Rubí miała na sobie szorty i top na ramiączkach, a jej oliwkowe kończyny otaczały wałeczki tłuszczu – natychmiast przyszedł mi do głowy oponkowy ludzik Michelina. Ja w życiu bym się tak nie ubrała.

Rubí nie wytłumaczyła, do czego są jej potrzebne moje wymiary, ale jeśli zamierzała przerobić popelinową sukienkę na mój rozmiar, to marnowała czas. Nie miałam najmniejszego zamiaru wkładać na siebie czegoś takiego w moim obecnym stanie, ale nie powiedziałam tego na głos. Chciałam po prostu jak najszybciej przebrnąć przez tę całą przemianę. Wkrótce będę miała to wszystko za sobą, a wtedy dwadzieścia tysięcy dolarów trafi w moje ręce.

– Rubí uszyła mi kilka sukienek – powiedziała Marlowe. – Własnoręcznie. Marka PPM: Pieprzyć Przemysł Modowy.

Nigdy dotąd nie słyszałam, żeby ktoś z taką lubością używał słowa „pieprzyć” i jego rozmaitych synonimów. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, jak będą brzmiały pierwsze słowa Hucka. Mamusia się przy nim nie krępowała.

Zdejmując ze mnie miarę, Rubí nieustannie trajkotała; opowiadała, że prowadzi z Vereną kampanię przeciwko dabsitafowi. Zanim została aktywistką, pracowała jako modelka w rozmiarze plus. Jej agencja zarabiała krocie na sprzedaży zdjęć i nagrań głównym stacjom informacyjnym. W magazynach, a najczęściej w wiadomościach, pokazywano Rubí od szyi w dół, jak idzie w zwolnionym tempie z lodem albo hot dogiem, podczas gdy głos reportera zza kadru podawał zatrważające statystyki na temat poszerzających się talii oraz cukrzycy typu dwa i powtarzał hasła w rodzaju: „Nad Ameryką zawisła groźba epidemii otyłości”. Ukazywano ją, jak z trudem podnosi się z ławek w parkach, krzesel w restauracjach i foteli w samolotach. Na tle jej tyłka – który, jak sama twierdziła, wyglądał, jakby zakrywały go całe hektary džinsu – wyświetlano porady dotyczące odchudzania. Nigdy nie pokazywano jej twarzy. Rubí odniosła taki sukces

jako bezgłowa „modelka otyłości”, że w branży nadano jej przydomek „Maria Anslonina”.

– Ale zrezygnowałam z modelingu na rzecz aktywizmu – opowiadała. – W końcu wszyscy robimy w młodości rzeczy, których potem żałujemy, prawda?

Pytanie było chyba skierowane do mnie, ale ja milczałam, stojąc z rozłożonymi ramionami i czekając, aż ta inwentaryzacja mojego ciała wreszcie się zakończy.

Kiedy tak tkwiłam w pozie stracha na wróble, do pokoju zajrzała jakaś ciemnowłosa kobieta i obrzuciła mnie spojrzeniem. Nic nie powiedziała, tylko wgryzła się w zielone jabłko. Połowę twarzy miała poznaczoną różowymi bliznami. Wyglądało to tak, jakby skóra jej się stopiła. Przeniosłam wzrok na sufit, żeby nie patrzeć na nią ani na Rubí. Dom Vereny to był jakiś objazdowy cyrk.

Kiedy mierzenie dobiegło końca, Marlowe poprosiła Verenę, żeby zajęła się Huckiem, dopóki nie przyjedzie po niego jej mąż. Verena miała na sobie top, który wyglądał jak pozostałość po starej sukience na studniówkę.

Zanim dziewczyny wzięły się za mnie na poważnie, postanowiłam jeszcze raz się upewnić:

– I po tym wszystkim naprawdę dasz mi dwadzieścia tysięcy dolarów, tak?

– Oczywiście – potwierdziła Verena. – Baptystka nigdy nie kłamie.

Rzuciłam jej sceptyczne spojrzenie.

– Poprawka – uściśliła. – *Ta* baptystka nigdy nie kłamie.

Marlowe zabrała mnie z Domu Kaliope, by rozpocząć coś, co nazywała „kilkoma dniami ruchalnej radochy”.

– Czemu nie możesz mówić po prostu „atrakcyjność”? Wolałabym tak.

– „Atrakcyjność” brzmi za łagodnie. Zbyt staroświecko. Za czasów naszych matek wystarczyło mieć ładną buzię albo ładną figurę, co samo w sobie było już dostatecznie złe, ale teraz trzeba jeszcze na dodatek być idealną lalką-wydymalką.

– Co to niby jest lalka-wydymalka?

Marlowe nie zwróciła uwagi na moje pytanie. Mówiła językiem, którego nie rozumiałam. Wyciągnęła z torby egzemplarz *Teorii ruchalności* i zaczęła czytać:

– Strona druga: „Wszystkie chcemy, aby nasi partnerzy uważali nas za atrakcyjne, ale w koncepcji ruchalności chodzi o coś więcej. Tu celem jest osiągnięcie wysokiego wskaźnika ruchalności na wolnym rynku, jakbyśmy stały się akcjami giełdowymi, których wartość ciągle wzrasta albo spada”.

Naszym pierwszym przystankiem był salon kosmetyczny z różową markizą.

– Koleżanka jest zapisana na wosk – powiedziała Marlowe do kosmetyczki, która przywitała nas przy drzwiach. Kobieta miała na sobie kitel jak lekarka, tyle że różowy.

– Co mają mi wydepilować? – spytałam szeptem.

– Wszystko, łącznie z dolnym piętrem. – Kiedy zaczęłam protestować, Marlowe oświadczyła: – Kobiety o wysokim współczynniku ruchalności mają być bezwłose i gładkie jak małe dziewczynki.

Czując w palcach rąk i nóg elektryczne ukłucia, podążyłam za kosmetyczką w różowym kitlu przez salon i po schodach prowadzących na dół.

Kobieta mówiła z nieokreślonym latynoamerykańskim akcentem.

– Jestem Liliana – powiedziała, mierząc mnie spojrzeniem. – Proszę zdjąć z siebie wszystko poza biustonoszem.

Odwróciła się, żeby dać mi odrobinę prywatności, jakby w takich warunkach było to w ogóle możliwe. Uzmysłowiłam sobie, że od miesięcy nie goliłam nóg ani pach. Włoski miałam ciemne i delikatne jak u dziecka. Nie chciałam, żeby Liliana je zobaczyła, ale nie było stamtąd ucieczki. Położyłam się na kozetce. Liliana wydepilowała mi nogi i pachy, górną wargę oraz brwi, a na koniec wyjęła z szuflady nożyczki.

– Proszę się nie ruszać – ostrzegła, przycinając mi włosy między nogami. Wystrzygła wszystko, od wzgórka Wenery aż po tyłek. – Chce pani na hitlerka? – spytała.

Chwileczkę, czy naprawdę usłyszałam słowo „Hitler”?

– Chce pani na hitlerka? – powtórzyła Liliana, kładąc palce na moim wzgórku łonowym. – Mam zostawić paseczek, jak wąsik Hitlera?

Powiedziałam, że nie.

Liliana posypała mnie białym pudrem, niczym ogromnego bobasa. Potem posmarowała gorącym woskiem wszystkie zakątki i fałdki, cały srom oraz wewnętrzne strony ud, przyklejała na nie kawałki płótna, po czym je

odrywała. Zagryzłam zęby i chwyciłam się stołu. Miałam wrażenie, jakby tysiące mrówek gryzły mnie w krocze.

– O Chryste Panie – jęknęłam, zauważywszy srebrny krzyżyk kołyszący się na szyi Liliany.

Dziewczyna podniosła moją lewą nogę, ugięła ją w kolanie i podsunęła w kierunku mojej piersi. Kazała mi ją tak przytrzymać, a sama stęknęła z wysiłku i znowu zaczęła nakładać wosk.

– Chwila! Chwila moment!

Ten obszar mojego ciała stanowił dzikie, nieoznakowane terytorium, na którym nigdy nie powstała ludzka noga, lecz Liliana nie dała się powstrzymać i energicznie zaatakowała gęste chaszczce. Otarła kropelki krwi bawełnianymi wacikami, po czym wysmarowała mnie kremem antyseptycznym. Przekręciłam się na brzuch, a ona kontynuowała dzieło: rozsunała mi pośladki i nałożyła wosk w szczelinę, a potem zerwała go za pomocą płóciennych pasków. Wreszcie kazała mi stanąć na czworakach, żeby mogła się lepiej przyjrzeć, i zaczęła wyciągać pozostałe włoski pęsetą. Byłam tak zażenowana, że moja dusza prawie opuściła ciało. Zastanawiałam się, jak ta drobniutka latynoska imigrantka czuje się z tym, że całe dni spędza w pokoiku pod ziemią z nosem w kroczech i tyłkach innych kobiet i zajmuje się wystrzyganiem perfekcyjnego hitlerka. „Amerykański sen”, dobre sobie.

Wychodząc z pomieszczenia, czułam się tak, jakbym wysiadła z kolejki górskiej: nie mogłam złapać tchu i kręciło mi się w głowie. Pokuśtykałam po schodach, trzymając się mocno drewnianej poręczy. W lustrze zobaczyłam, że twarz mam opuchniętą i czerwoną, jakby ktoś mnie spoliczkował. Poszłam do apteki po ibuprofen. Marlowe podążyła za mną, ale nie odzywałam się do niej.

– Wszystko w porządku? – spytała, kiedy wyszliśmy, a ja usiłowałam zerwać zębami plastikowe zabezpieczenie z buteleczki. Wyjęła mi ją z ręki i otworzyła.

– Czuję się dziwnie, jakby coś nagle zniknęło – powiedziałam, popijając tabletki dietetyczną colą (NIEOGRANICZONE SPOŻYCIE).

– Nie masz już warstwy izolacyjnej – stwierdziła Marlowe. – Jesteś jak zwierzę bez futra.

Potem zabrała mnie do centrum handlowego i zaprowadziła do działu z dużymi rozmiarami, nazwanego eufemistycznie „działem kobiecym”.

– Przecież wszystkie jesteśmy kobietami – zauważyła Marlowe.

Miałyśmy kupić dla mnie nowe biustonosze i majtki. Marlowe czytała na głos fragmenty ze swojej książki, a jednocześnie przeglądałyśmy figi, szorty i stringi, określane ogólnie słowem „majteczki”, którego nie używałam, od kiedy byłam dziewczynką. Marlowe wybrała dla mnie kilka sztuk. Gdy przymierzyłam w przebieralni stanik, moje piersi zmieniły się nagle w porządną podniesiony biust, jak u cycatej karczmarki w filmach o piratach.

Ekspedientka poradziła, żebym kupiła sobie thinz.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nawet modelki prezentujące bieliznę muszą wciągać brzuchy.

Thinz był to ostatni krzyk mody, trochę jak pas wyszczuplający, tylko gładki i niemal niewidoczny. Sprzedawano go w wersji na dolną część ciała, by kształtował biodra, brzuch i uda, oraz na górną, w formie ciasnej koszulki. Zakładając go, miałam wrażenie, jakbym próbowała się wcisnąć w skórę gąsienicy. Za wszystkie zakupy zapłaciła Marlowe.

Wyszłam ze sklepu ubrana w rajstopy modelujące i ukryty pod bluzką i spódnicą thinz. Na nogach miałam niemożliwie wysokie szpilki, które Marlowe kupiła po drodze do wyjścia. Obcasy zmuszały mnie do wypchnięcia biustu w przód, a pupy do tyłu. Kiedy przedzierałyśmy się przez tłumy na Herald Square, Marlowe dalej czytała ze swojej książki:

– Strona dziewięćdziesiąta siódma: „Kobieta ruchalna eksponuje swoje trzeciorzędne cechy płciowe niczym pawian prezentujący opuchnięty czerwony zadek”.

Nie nosiłam obcasów od czasu ceremonii wręczenia dyplomu po studiach i czułam się jak dzieciak, który splądrował garderobę matki. Kuśtykałam chodnikiem, opierając się o Marlowe.

– Nie mogę oddychać – narzekałam.

Thinz nie pozwalał mi się też nachylić ani usiąść. Czułam się jak kielbasa włoczona w osłonkę z jelita. Wszystkie moje wałeczki i fałdy zdołały się wcisnąć do środka, ale co właściwie się z nimi stało?

– Kobieta ruchalna nie zajmuje przestrzeni – zaintonowała Marlowe. – Kobiety ruchalne są pod kontrolą.

– Rajstopy kontrolujące linię – wtrąciłam.

– Grube kobiety nie dają się kontrolować. Opierają się nadzorowi, a zatem są nieruchalne.

Ponownie zaczęłam się zastanawiać nad logiką, która stała za tą przemianą

wyglądu. Niby jak wmawianie mi, że jestem nieruchalna, zdoła mnie zniechęcić do operacji?

Wstąpiłyśmy do kawiarni, żeby odpocząć. Zsunęłam szpilki i natychmiast poczułam w stopach objawy odstawienia leku – drobne ukłucia prądu, ciepłe pulsowanie. Piłam swoją mrożoną kawę (183) na stojąco, ponieważ nie byłam w stanie usiąść przy stoliku.

– Po co ten cały thinz? – spytałam, modląc się w duchu, żeby moja wątroba, nerki i cała reszta organów nadal znajdowały się na swoich miejscach. – Załóżmy, że przez niego wyglądam bardziej ruchalnie i ktoś rzeczywiście będzie chciał mnie... *wyruchać* – powiedziałam szeptem. – Wracamy do domu, ściągamy z siebie ubrania i wszystko zwyczajnie się wylewa. Czy to nie będzie dla faceta wstrząsem i rozczarowaniem? Może nawet się załamie?

Marlowe zlizła bitą śmietaną z owocowego shake'a.

– Czyżbyś niczego się nie nauczyła od swojej szefowej Kitty? Bycie kobietą oznacza udawanie.

Na zewnątrz po chodniku skakał kulawy gołąb z kawałkiem pączka w dziobie.

Zmiana wizerunku zajęła kilka dni. Marlowe zabrała mnie do dermatologa, który wstrzyknął mi w czoło jakieś toksyny i zaproponował kilka zabiegów usuwających niedoskonałości skóry oraz pierwsze zmarszczki. Marlowe powiedziała, że to ważne, ponieważ ciało kobiety ruchalnej musi być jak świeżo wypuszczone z fabryki, tak jakby dopiero co zdjęto z niego folię zabezpieczającą. Dermatolog ostrzegł, że nie wolno mi wystawiać skóry na słońce. Ekspert od makijażu, Kevyn, pokazał mi, jak się malować. Za jego namową Marlowe kupiła dla mnie zestaw luksusowych kosmetyków, które kosztowały ponad tysiąc dolarów. Pomyślałam o Julii i Leecie w Kąciku Kosmetycznym, ale Julia mówiła przecież, że już ze sobą nie pracują.

Podczas wizyty u fryzjera przy Piątej Alei nie zgodziłam się na drastyczne zmiany, więc podcięli mi tylko włosy i je ułożyli, a potem posłali do manikiurzystki. Rozłożyłam na stoliku dłoni, podczas gdy Marlowe wybierała dla mnie kolor lakieru. Zdecydowała się na odcień Show 'Em the Pink marki Rayla Cosmetics. Na koniec poszłyśmy na ćwiczenia, gdzie wykonywało się taniec jak w striptizie, ale komentarze Marlowe nie spodobały się prowadzącej i ochrona wyprowadziła nas na zewnątrz. Wreszcie jakaś kobieta na Upper East Side nauczyła mnie, jak się ćwiczy mięśnie Kegla.

Kiedy po zakończeniu przedostatniego zadania wsiadłyśmy do taksówki,

byłam wyczerpana. Oparłam głowę o szybę i obijałam się czołem o szkło za każdym razem, kiedy wpadaliśmy na wybój. Przywykłam do życia na Brooklynie, krycia się w mieszkaniu na Swann Street, spacerów do kawiarni i zaniedbanego wyglądu. Byłam jak zarośnięty ogród, w którym przez ostatnich kilka dni odbywało się koszenie i pielenie chwastów. Całe to doświadczenie przypominało mi projektowanie krajobrazu, tylko bolesne i zniechęcające. Nadal nie miałam wrażenia, że jestem Alicią. Przeciwnie, bardziej niż kiedykolwiek czułam się Plum. To jej postać widziałam w lustrach, jej ciało malowano, woskowano i faszerowano toksynami. Jeżeli gdzieś pod spodem kryła się Alicja, to była zupełnie niewidoczna.

– Następnym krokiem przemiany jest dieta – powiedziała Marlowe – ale ty fundujesz sobie operację. Wpychasz się na sam przód kolejki, ty mała oszustko.

Zabrała mnie do chirurga plastycznego, doktora Petera Ahmada, który zasłynął jako pionier „przemiany mamusiek”, proponując pakiet zabiegów: lifting piersi, odsysanie tłuszczu z brzucha i waginoplastykę. Specjalizował się też w operacjach rekonstrukcyjnych po utracie wagi, dlatego Marlowe wybrała właśnie jego. W poczekalni przyszła po mnie pielęgniarka. Paznokcie miała pomalowane na taki sam odcień jak ja. Marlowe została na zewnątrz, a mnie zabrano do gabinetu.

Doktor Ahmad poprosił, żebym się rozebrała. Stanęliśmy przed dużym lustrem, on w garniturze, ja na golasa. Nigdy jeszcze nie pokazałam się kompletnie naga żadnemu mężczyźnie. Przedtem nie zniósłabym tego upokorzenia, ale teraz, po kilku dniach przeróbek i zabiegów, ogarnęło mnie odrętwienie. Nawet widok mojego krocza – gładkiego jak bezwłosy kot – nie wzbudził we mnie skrępowania. Stałam tak przed lustrem w świetle jasnych lamp i znowu poczułam ukłucia świadczące o odstawieniu Y... Piekły mnie pod skórą, ale w odbiciu nic nie było widać.

– Na pewno wiesz, że na diecie ciało kurczy się powoli – zaczął doktor Ahmad. – Ale po operacji bardzo szybko stracisz na wadze, więc zostanie ci dużo obwisłej skóry. Będzie to wymagało kilku zabiegów, które mogę przeprowadzić. – Zdjął zakrętkę z czarnego markera, który trzymał w dłoni. – Po pierwsze, brzuch. – Uniósł moją skórę w talii i ugniół ją niczym glinę. – Kiedy skończymy, będziesz miała płaski brzuszek. Cięcie zrobimy tutaj – powiedział, przytrzymując fałdy jedną ręką, a drugą rysując po mnie flamastrem. Nakreślił grubą ciemną linię od lewej do prawej strony, by pokazać, jak będą przebiegać nacięcia i szwy. Wreszcie cofnął rękę, a brzuch opadł z powrotem.

– Zostanie mi wielka blizna.

– Zblednie z czasem. Nawet nie będziesz jej zauważać. – Przeszedł do moich piersi i podsunął je do góry, zbierając je w dłoniach. – Trzeba będzie podnieść ci biust. Proponowałbym też implanty, żeby nadać im pełniejszy kształt. – Zaczął rysować markerem, pokazując umiejscowienie przyszłych cięć i szwów. Obrysował moje sutki; w lustrze wyglądały jak oczy, a szeroka linia na brzuchu przypominała uśmiechnięte usta. – Nie zamierzasz w przyszłości karmić piersią, prawda? Bo po tym zabiegu prawdopodobnie nie będziesz mogła tego robić. – Pokazał, gdzie będą się znajdować moje nowe sutki; nigdy dotąd nie były tak wysoko.

Potem polecił mi wyciągnąć ręce na boki.

– Masz duże skrzydła nietoperza, więc będziemy musieli usunąć sporo luźnej skóry. – Zaczął rysować na zwisających z ramion fałdach. – Zrobimy ci lifting. Blizny będą ukryte pod pachami, więc nikt ich nie zobaczy.

Stałam jak wrośnięta w ziemię, z wyciągniętymi rękami, a on dalej po mnie rysował. Przesunął się do tyłu i położył dłonie na mojej pupie.

– Ostatnim etapem będzie kompletny lifting dolnej części ciała. Usuniemy obwisłą skórę z ud i pośladków, a potem wszystko podniesiemy, dzięki czemu twoje ciało stanie się gładsze i jędrniejsze.

Odwrócił mnie plecami do lustra i podał mi ręczne lusterko, żebym widziała swoje odbicie z tyłu. Nachylił się i dalej rysował po mnie markerem, kreśląc długie linie ciągłe oraz krótsze kropkowane. Wyobraziłam sobie, jak tnie moje ciało nożyczkami, niczym kawałek materiału.

Wyprostował się i kazał mi opuścić ramiona. Odwrócił mnie lekko z powrotem i ustawił twarzą do jasnego światła nad lustrem.

– Jesteś chyba za młoda na lifting twarzy, ale zobaczymy po operacji. Musisz się przygotować na to, że kiedy schudniesz, będziesz wyglądała starzej. Tłuszcz działa jak naturalny kolagen, więc bez niego przybędzie ci zmarszczek. – Odwrócił moją twarz na bok. – Masz spory nos. Mogę to naprawić.

„Spory w porównaniu z czym?”, miałam ochotę zapytać. Bo przecież nie z volkswagenem.

Wreszcie doktor Ahmad nałożył zakrętkę na marker i uśmiechnął się do mnie.

– To wszystko – powiedział. – Być może będzie konieczna drobna

liposukcja, jeśli tu i tam zostanie ci trochę tłuszczu, ale przekonamy się dopiero po operacji. Wyglądasz, jakbyś się bała. Spokojnie. Jesteś w dobrych rękach. Robię takie rzeczy nieustannie. Kilka razy na tydzień. Za jakiś rok będziesz zupełnie nowym człowiekiem.

Wyszedł, żebym mogła się ubrać, a ja popatrzyłam na siebie w lustrze. Miałam przed sobą ciało Plum z czarnymi liniami, które pokazywały, w jaki sposób zostanie z niego wycięta Alicia. Po tym wszystkim będę wyglądała jak Frankenstein. Obróciłam się, próbując zobaczyć wszystkie oznaczenia. Niezależnie od tego, co zrobię, nie było ucieczki przed ciałem, które mnie więziło. Wreszcie to do mnie dotarło.

W taksówce wiozącej nas do Domu Kaliope nie odezwałam się do Marlowe ani słowem. Ona z kolei pogratulowała mi zakończonej przemiany i podarowała egzemplarz *Teorii ruchalności*, którą zadedykowała „Dla Plum Alicii, z pozdrowieniami, Marlowe xo”. Zauważyłam też dedykację wydrukowaną w książce: „Dla trzech Stu i Sharlene”.

- Co się stało? – spytała Verena, kiedy weszliśmy do kamienicy.
- Nic, jestem tylko zmęczona.
- Bycie kobietą ruchalną to ciężka praca – stwierdziła Marlowe.
- Nie jestem ruchalna – powiedziałam i pomyślałam: „Jestem Frankensteinem”.

Verena poprosiła, żebym poszła na górę do jej gabinetu, bo czekał tam na mnie jakiś prezent. Na drzwiach wisiała nowa wersja białej popelinowej sukienki z fioletowym obszyciem, a do tego fioletowe rajstopy. Duplikat był ponad dwa razy większy od oryginału, wyglądał jak karykatura. Odłożyłam torebkę i książkę Marlowe, po czym wzięłam sukienkę do rąk. Z jakiegoś powodu miałam ochotę ją włożyć.

Zamknęłam się w łazience, gdzie na desce klozetowej zobaczyłam czyjś włos łonowy, czarny i cienki jak pajęcza noga. Zdjęłam ubrania i zastąpiłam czarne rajstopy modelujące tymi nowymi, fioletowymi. Przez głowę przemknął mi obraz Leety o Barwnych Rajstopach. Wciągnęłam na siebie sukienkę i stanęłam przed lustrem. Na widok Plum w ubraniu Alicii odniosłam wrażenie, że znajduję się w gabinecie krzywych luster. Alicia, powiększona dwukrotnie w stosunku do tego, jak powinna wyglądać. Sukienka była bez rękawów, więc odsłaniała górną część ramion, na których widać było linie nakreślone przez lekarza markerem. Odrys Alicii.

Na szczęście lusterko w łazience nie pozwalało mi obejrzeć się w całości,

ale to, co widziałam, przypominało mi Janine, którą wyrzucono z kliniki Baptist, i jej jasne kolorowe ciuchy. A jeśli pisane mi było na zawsze wyglądać tak jak ona? „Co, jeśli to właśnie jest twoje prawdziwe życie? Co, jeżeli już je przeżywasz?”. Zaledwie miesiąc wcześniej wydawało się to niemożliwe.

– Plum, wszystko w porządku? – zawołała z dołu Verena.

– Już idę – odparłam. Odwróciłam się plecami do hybrydy Plum-Alicii i wróciłam do gabinetu Vereny po swoje rzeczy. Nie chciało mi się przebierać w zwykłe ubrania – pragnęłam jak najszybciej opuścić dom o czerwonych ścianach. Już miałam wyjść z pokoju, kiedy zobaczyłam na biurku Vereny buteleczkę z tak zwanym dabsitafem, tymi francuskimi pigułkami na odchudzanie. Wsunęłam ją sobie za stanik, pomiędzy piersi. Zanim Verena i Marlowe zdołały się zorientować, byłam już na dole i za drzwiami, szłam w nowej sukience do metra, na nogach o wyglądzie pękatych bulw albo winogron, bo fioletowe rajstopy nie wyszczuplały mi ud ani brzucha.

Na stacji metra przy Czternastej Ulicy stanęłam na peronie, czując na sobie spojrzenia ludzi, którzy gapili się na mnie i na mój kostium. Skupiłam się na czarnym otworze tunelu, ale nagle przez hałas stacji przedarł się męski głos:

– Przeleciałbyś coś *takiego*? – Słowa zostały wypowiedziane na tyle głośno, że usłyszeli je wszyscy dookoła.

Mężczyzna był koło trzydziestki, w eleganckim szarym garniturze. Stał pomiędzy dwoma tak samo ubranymi kolegami. Wszyscy trzej mieli celowo nieogolony zarost i białe koszule. Różnili się tylko kolorami krawatów. Śmiali się z kobiety w biało-fioletowej sukience. Wiedzieli, że to usłyszy, i mieli to gdzieś.

„Nie dzisiaj – pomyślałam. – Proszę, tylko nie dzisiaj”.

Odwróciłam się twarzą do nich. Wstyd i zażenowanie sprawiały, że miałam ochotę siedzieć cicho, jak zawsze, ale potem sobie przypomniałam: „Baptystka nie boi się podejmować ryzyka”.

Spojrzałam na faceta, który skomentował mój wygląd, i oświadczyłam:

– Nie poradziłbyś sobie z prawdziwą kobietą, taką jak ja. Sądząc po twoim wyglądzie, pewnie wolisz macać małych chłopców.

Dwaj jego kumple, klika białych gości, wybuchli śmiechem.

To był błąd.

Pięść tego pierwszego wystrzeliła w powietrze. Zobaczyłam, jak nadchodzi

– biała łapa, włochate knykcie, cienka złota obrączka na palcu serdecznym. Otworzyłam usta, jakbym chciała krzyknąć, ale trafił mnie, zanim zdążyłam to zrobić. Złota obrączka rozgniotła mi wargę o ząb. Zatoczyłam się do tyłu, za białą linię, na krawędź peronu. Ktoś wrzasnął, ale dźwięk wydawał się dobiegać z daleka. Odwróciłam głowę i zobaczyłam nadjeżdżający pociąg. Przypominał srebrny pocisk, białe światła mknęły w moją stronę. Zamachałam rękami jak śmigłami, próbując odzyskać równowagę. W ustach poczułam krew. Nie chciałam zginąć w ten sposób, nie na oczach tych ludzi, ale białe światło było coraz bliżej. Przygotowałam się na zderzenie, lecz nagle poczułam szarpnięcie czyichś dłoni.

Padłam na kolana, a pociąg przemknął tuż za mną.

– On chciał ją zepchnąć na tory! Widzieliście? On chciał ją zepchnąć!

Drzwi wagonów się otworzyły i na zewnątrz wylali się pasażerowie, popychając mnie to w jedną, to w drugą stronę. Kiedy tłum się przerzedził i drzwi się zamknęły, obok mnie przyklekła jakaś kobieta.

– Nic pani nie jest?

Pomogła mi wstać. Inna podała mi kilka chusteczek higienicznych, które przyłożyłam do wargi. Tamten facet i jego dwaj kumple zniknęli.

Pojawiła się policja i poprosiła, żebym opisała całe zajście.

– Ten człowiek powiedział o mnie coś brzydkiego – powiedziałam, ale nie byłam w stanie powtórzyć jego słów. – Odpowiedziałam mu, a on uderzył mnie pięścią.

– Próbował ją zepchnąć – powiedziała kobieta, która dała mi chusteczki. – Wszystko widziałam.

Policjant oznajmił, że przejrzą nagrania z monitoringu i się ze mną skontaktują. Na jego prośbę wpisałam w formularzu swoje imię i nazwisko oraz adres, tamta kobieta również.

Policjant po raz kolejny spytał, czy potrzebna mi pomoc medyczna.

– Chcę wrócić do domu.

Pociąg linii drugiej wjechał na stację; wsiadłam i przycupnęłam na pomarańczowym plastikowym siedzeniu. Mężczyzna naprzeciwko mnie był stary i przykurczony, w szybie nad jego głową widziałam swoje odbicie. Utkwiłam w nim spojrzenie – Plum w sukience Alicii, z siniakiem rosnącym na wardze. Kobieta z szyby wpatrywała się we mnie.

Dziewczynki już tak mają

Pociąg Metrolink o siódmej trzydzieści do Los Angeles Union Station za chwilę miał wjechać na stację. Dziewczynka szła, wymijając ludzi spieszących się do pracy. Kobiety i mężczyźni, zapatrzeni w gazety i telefony, nie zwracali na nią uwagi. Powinna szykować się w tej chwili do szkoły – ta samotna istota na peronie, szczuplutka, ciasno otulona szalem. Stopy miała bose, ale nie czuła chłodu ani bólu; nie mogła. Jej ciało nie należało już do niej, nie po tej napaści, nie po tym, jak wszyscy zobaczyli te zdjęcia w internecie. Wkrótce zostawi je za sobą.

Kiedy kobiety i mężczyźni na peronie patrzyli na nią zaspanymi oczami, widzieli tylko zwykłą dziewczynkę, nie *tamtą dziewczynkę*. Jej tożsamość pozostała tajemnicą, ale wszyscy o niej czytali, nawet jeśli nie wiedzieli, że to właśnie ona. Jeszcze nie zdążyła umrzeć, a już przeprowadzono na niej sekcję zwłok.

Pociąg się zbliżał i dziewczynka poczuła wibrowanie w stopach, jeszcze zanim go zobaczyła.

- Prosimy pozostać za linią bezpieczeństwa – powiedział męski głos przez megafon, ale ona nie zrobiła tego. Podbiegła do przodu i skoczyła.

*La luz se fue*¹⁰.

Lubiła wypadły samochodem z chłopakami, tak o niej mówiono. Widziałaś, co ona miała na sobie? *Puszczalska zdzira*. Na pewno nie wyglądała na dwanaście lat.

Luz mieszkała z babcią w domu na obrzeżach Santa Mariana, godzinę drogi na północ od Los Angeles. Jej matka wyjechała ponad rok temu. Gdyby przy niej była, Luz nie rozbijałaby się autem z chłopakami – musiałyby siedzieć w domu i odrabiać lekcje, nie byłoby mowy o wykradaniu się wieczorami – ale dziewczynką zajmowała się babka, na wpół ślepa i unieruchomiona przez artretyzm.

Jeden z mieszkańców okolicy powiedział w telewizji:

- Gdzie była jej matka? To wszystko jej wina.

Matka Luz pracowała jako sanitariuszka w Afganistanie, więc mała - w sąsiedztwie zwrócono na to uwagę - pozostawała praktycznie bez opieki i robiła, co chciała. Lubiła się oddalać od stada, przy którym nic by jej nie groziło; była zdziczała, stanowiła łatwy łup. Widzieliście, w co ona się ubrała?

Do gwałtu doszło w opuszczonym mieszkaniu, na brudnym materacu w sypialni z oknami bez zasłon. Starszy brat koleżanki z klasy, Chris, zaprosił Luz na imprezę. Przyjechał po nią ze swoim kolegą Lamarem. Zawieźli ją do mieszkania i Luz w końcu się zorientowała, że to nie żadna impreza - była tam tylko grupka mężczyzn, którzy stali i czekali. Chris kazał jej się rozebrać. No dalej, powiedział Lamar, przecież wiemy, że już to robiłaś. Dodał, że jeśli Luz odmówi, to ją potną. Miał nóż, więc Luz rozebrała się i położyła na materacu na środku pokoju. Zaczęło się. Pierwszy był Chris, potem Lamar, potem pozostali, jeden po drugim. Luz patrzyła w sufit, żeby nie widzieć ich twarzy, i czekała godzinami, aż wszystko się wreszcie skończy.

W telewizji matka jednego z oskarżonych powiedziała:

- Ta dziewczyna dała im na sobie jeździć do woli.

Kiedy odeszli, Luz została w mieszkaniu sama. Wyczołgała się na korytarz i podciągnęła na nogi. Nie zamierzała nikomu mówić, co się stało; grozili, że jeśli piśnie choć słowo, to ją zabiją.

Wszystko opowiedziała siostra Chrisa. Znalazła w telefonie brata zdjęcia nagiej Luz na materacu. Były wśród nich fotografie leżącego na niej Chrisa i Lamara, i jeszcze innych, których nie rozpoznała. Wrzuciła kilka do sieci i rozesłała znajomym. Powiedziała też dyrektorowi szkoły z nadzieją, że to przysporzy Luz kłopotów. *Puszczalska zdzira*. Zdjęcia Luz z mężczyznami obiewały całą szkołę i media społecznościowe.

Dyrektor zadzwonił na policję. Na fotografiach widać było tylko twarze Chrisa Martineza i Lamara Wilsona, ale policja

doliczyła się co najmniej czterech innych, którzy byli przy tym obecni. Podczas przesłuchania Martinez (dwadzieścia jeden lat) i Wilson (dwadzieścia trzy lata) twierdzili, że dziewczyna zgodziła się na seks. Podobno mówiła, że ma osiemnaście lat. Lubiła wozić się samochodem z różnymi chłopakami. Nie była dziewicą.

Matka jednego z oskarżonych powiedziała w wywiadzie dla gazety:

- Ta dziewczyna skusiła mojego syna, żeby poszedł do tamtego mieszkania.

Po aresztowaniu Martinez i Wilson podali nazwiska pozostałych czterech, których również aresztowano. O sprawie pisały lokalne media. Jeden z szanowanych członków społeczności zarzucał policji, że nęka młodych mężczyzn z mniejszości etnicznych. Pod adresem Luz kierowano pogróżki, nazywano ją *puszczalską zdzirą*, która narobiła chłopakom problemów. Opieka społeczna zastanawiała się, czy do czasu powrotu matki nie odesłać jej do jakiejś rodziny w innej części stanu, ale nie zdążyła tego zrobić. Pewnego ranka Luz owinęła się szalem i poszła na dworzec kolejowy.

Po tym, jak rzuciła się pod pociąg, pastor z miejscowego kościoła powiedział w telewizji:

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego dziewczynka nie znajdowała się pod opieką matki.

Matka Luz wróciła z Afganistanu, żeby pochować córkę. Martinez i Wilsona wypuszczono za kaucją, ale czterej pozostali nie wyszli z aresztu. Na szczęście dla siebie. Wkrótce po powrocie do domów Martinez i Wilson zniknęli. Przez ponad miesiąc nikt nie wiedział, co się z nimi stało.

Przez kolejne dwanaście dni do redakcji „Los Angeles Times” przysyłano maile z nagraniami. Klipy, zatytułowane *Pornośmierć*, były czarno-białe i ziarniste. Na każdym widać było innego mężczyznę siedzącego przed betonowym murem. Scenę oświetlało słabe światło, które ledwo umożliwiało odróżnienie postaci od tła. Mężczyźni byli nieogoleni, nadzy i spoceni, ręce i nogi mieli skrępowane

sznurami.

Dwunastu mężczyzn, dwanaście klipów.

W dwóch pierwszych redaktorzy gazety natychmiast rozpoznali Chrisa Martineza i Lamara Wilsona. Obaj błagali o uwolnienie, wili się i jęczeli, walcząc z więzami. Nagle zza kadru odzywał się zmysłowy kobiecy głos:

- Podnieca cię ból?

Potem ekran czerniał.

Wszystkie nagrania były podobne. Ofiary zostały uprowadzone w ciągu miesiąca ze swoich domów, miejsc pracy lub pokojów hotelowych. O ich zaginięciu donosiły żony, matki albo współpracownicy. Ślad po nich zaginął, dopóki nie zaczęły napływać te maile.

Bohaterem trzeciego klipu był gwiazdor futbolu amerykańskiego z drużyny, która walczyła o puchar ligi. Oskarżono go o dwa gwałty, jeden w Miami, drugi w Seattle. W trakcie obu dochodzeń policjanci prosili sportowca o autografy i pozwali z nim do zdjęć, on zaś twierdził, że rzekome ofiary zgodziły się na seks. Nie postawiono mu żadnych zarzutów, a liga zawiesiła go tylko na trzy mecze. W niedzielę, kiedy rozgrywał się finał pucharu, miliony Amerykanów zapychały się czipsami, żłopały piwo i patrzyły, jak zawodnik rzuca na boisku piłkę. Oklaskiwały go i dopingowały. Zaginął podczas wyjazdu do Los Angeles.

Kolejne dwa nagrania ukazywały europejskie gwiazdy piłki nożnej, którym postawiono zarzut uprawiania seksu za pieniądze z nieletnią - media natychmiast przypięły jej łątkę prostytutki. Piłkarze wszystkiemu zaprzeczali, ale ta sprawa oraz wywiady z dziewczyną spowodowały ogromne zamieszanie w dwóch spośród najlepszych klubów piłkarskich Europy. Ostatecznie oskarżenie postanowiło wycofać zarzuty, skandal jednak zataczał coraz szersze kręgi i coraz to nowych zawodników podejrzewano o seks z nieletnimi. Dwaj gwiazdorzycy zniknęli podczas wizyty w Los Angeles, gdzie mieli zagrać w meczu charytatywnym.

Bohaterem szóstego nagrania był reżyser filmowy z Europy Wschodniej, który dziesięć lat wcześniej został

oskarżony o gwałt na trzynastoletniej dziewczynce podczas kręcenia adaptacji *Lolity*. Twierdził, że seks odbył się za jej zgodą; tam, skąd pochodził, obowiązywały rzekomo inne standardy.

- Ta dziewczyna naprawdę była lolitką - zeznał producent filmu, który stanął w obronie kolegi.

Przez lata znanego reżysera prześladowały protesty i kontrowersje, ale nigdy nie postawiono mu żadnych zarzutów. Zdobył nawet dwa Oscary. Zniknął po lunchu biznesowym w Chateau Marmont.

Porywacze uprowadzili jeszcze sześciu mężczyzn o podobnej przeszłości, w tym pewnego prokuratora z Teksasu, który nie zgodził się wnieść oskarżenia przeciwko nastolatkowi przyłapanemu na molestowaniu małej dziewczynki, ponieważ - jak powiedział matce ofiary - „chłopcy już tak mają”. Ofiarą porwania padł też Hal Jizz, twórca strony pornograficznej ZemstaNaNiej, gdzie mężczyźni odgrywali się na byłych żonach i dziewczynach, zamieszczając intymne zdjęcia oraz nagrania. Założył też witrynę WietnamskieCipki, na której użytkownicy z Ameryki Północnej mogli oglądać, jak kobiety i dziewczęta z Wietnamu robią przed kamerą wszystko, czego się od nich zażąda. Ktoś w Ohio mógł na przykład zapłacić, aby zobaczyć czternastolatkę napastowaną przez starszego mężczyznę.

Media przezwały ofiary „parszywą dwunastką”. Dyrektor FBI apelował w telewizji o ich uwolnienie.

- Jeśli ktokolwiek dysponuje informacjami, które mogą pomóc w ich odnalezieniu, niech się z nami skontaktuje - prosił oficjalnym tonem, ale słyhać było, że niespecjalnie mu na tym zależy.

Krewni i znajomi parszywej dwunastki starali się trzymać w cieniu. Kiedy dziennikarze złapali matkę Hala Jizza przed klubem, do którego chodziła w soboty na bingo, i zapytali, co sądzi o porwaniu syna, odparła tylko:

- Bez komentarza.

Gdy zaś spytano ją, czy jest z niego dumna, staruszka

o włosach szarych i kręconych jak drucziana myjka do naczyń zaciągnęła się papierosem i odwróciła do reportera, świdrując obiektyw spojrzeniem czarnych oczu.

- A jak się panu wydaje? - odpowiedziała.

Pracownicy agencji księgowej Van Nuys, w której Jizz pracował za dnia, przemykali z parkingu do biura, zasłaniając twarze teczkami na dokumenty i próbując się wymknąć dziennikarzom.

Dyrektor FBI powtórnie wystąpił w telewizji.

- Tych dwunastu ludzi nie uznano za winnych żadnych zbrodni - powiedział, choć wielu komentatorów uważało, że właśnie w tym cały problem. - Urowadzenie to poważne przestępstwo. Jeśli ktoś ma jakieś informacje, prosimy, by je ujawnił. Przetransportowanie i ukrycie dwunastu dorosłych mężczyzn to skomplikowane przedsięwzięcie. Ktoś musiał coś zauważyć.

Ale najwyraźniej nikt nic nie widział. Tydzień później z lotniska w Nevadzie zniknął samolot wykorzystywany do skoków spadochronowych. Całą dwunastkę uprowadzonych wyrzucono z niego na pustynię. Biegły sądowy szacował, że wszyscy - żywi i bez spadochronów - spadli z wysokości co najmniej trzech tysięcy metrów. Zanim ktokolwiek zdążył zauważyć kradzież samolotu, szczątki maszyny leżały już gdzieś w Sierra Nevada, a zwłokami mężczyzn żywiły się zwierzęta. We wraku nie znaleziono żadnych ciał. Śledczy uznali, że porywacze wyskoczyli na spadochronach, zanim samolot się rozbił.

Cheryl Crane-Murphy skomentowała to w swoim programie:

- Jako praktykującej chrześcijance niełatwo mi się do tego przyznać, ale śmierć tych drani budzi we mnie tylko radość. Niech Bóg mi wybaczy.

Nowy Program Baptist Zadanie czwarte: randki w ciemno

Od czasu mojej przemiany minął prawie tydzień. Siniak na wardze przybladł, ale czarne linie na moim ciele jeszcze nie. Nie myłam się, nie ubierałam ani nie jadłam. Leżałam na kanapie owinięta w prześcieradło, dręczona kopnięciami prądu i nudnościami. W telewizji w kółko puszczano reportaże na temat parszywej dwunastki. Oglądałam relacje z pustyni w Nevadzie, gdzie policja rozbiła nad zwłokami namioty, aby utrzymać z dala dzikie zwierzęta.

– Czy to dzieło Jennifer? – pytała Cheryl Crane-Murphy.

Teraz pokazywano ją na okrągło, jakby była korespondentką wojenną.

Dyrektor FBI oświadczył:

– Nie mamy żadnych dowodów, że to przestępstwo ma związek z innymi, ale niczego nie wykluczamy.

W wiadomościach przeskakowano ze stanu do stanu. Wysoki rangą urzędnik z Nevady, uwikłany w skandal, ponieważ wdał się w romans z młodą stażystką, powiedział w mediach:

– Są to największe poszukiwania w całej historii naszego stanu.

Co kilka sekund popijał wodę ze szklanki i trzęsły mu się ręce.

– Mężczyźni, którzy mają coś na sumieniu, zaczynają się bać – komentowała Cheryl Crane-Murphy.

– Jeśli winni tej zbrodni nadal przebywają na terenie naszego stanu, znajdziemy ich – mówił urzędnik. – Wiem, że ofiary nie cieszyły się szczególną sympatią ogółu, ale mój ojciec zawsze powtarzał: „Nienawidź grzechu, kochaj grzesznika”.

Gdybym nie była tak odrętwiała, jęknęłabym zniesmaczona.

Potem w telewizji skupiono się na Halu Jizzie, twórcy stron ZemstaNaNiej i WietnamskieCipki, którego twarz zdążyła już stać się znajoma. Na trawniku przed jego domem w południowej Kalifornii urządzono czuwanie przy świecach. Świeczki wotywny w szklanych czerwonych osłonkach wyglądały jak świetliki.

Pokazano wywiad z kobietą przedstawioną jako Monika T.

– Poszłam wczoraj wieczorem do domu Hala, żeby przypomnieć ludziom o wartościach, na których zbudowano ten kraj – powiedziała.

– Takich jak wiązanie dziewczyn i [piiiip]enie ich w usta, i wrzeszczenie przy tym, że są brudnymi [piiiip]onymi [piiiip] wami? – spytała Cheryl Crane-Murphy.

– To się nazywa wolność słowa, Cheryl. Mamy to zapisane w konstytucji – odparła Monika T.

W Los Angeles Soledad Ayala, matka Luz – tej dziewczynki, która rzuciła się pod pociąg – miała zaraz wziąć udział w konferencji prasowej. Obarczano ją odpowiedzialnością za gwałt, którego ofiarą padła jej córka, ponieważ kiedy do niego doszło, przebywała w Afganistanie. Teraz wstąpiła na podium. Włosy miała splecione w warkocz upięty ciasno dookoła głowy, po wojskowemu, ani jeden loczek nie wisiał luźno. Ubrana była w granatową sukienkę do kostek i nie miała na sobie żadnego makijażu ani biżuterii, jedyną ozdobą był znaczek na piersi przedstawiający uśmiechniętą twarz jej córki.

– Minał już miesiąc od czasu, kiedy Luz popełniła samobójstwo – zaczęła Soledad. – Nie zaprzeczę, że śmierć dwóch z jej gwałcicieli przyniosła mi pociechę, bo wiem, że już nigdy nikogo nie skrzywdzą. Nie wstydzę się tych uczuć. – Spoglądała w dół na kartkę papieru, oczy miała ukryte pod powiekami, głowę przechyloną lekko na bok. Była cicha i poważna jak Madonna. – Jestem tu dziś na prośbę FBI. Jennifer, nie wiemy, czy jesteś konkretną osobą, ale zwracam się do ciebie tak, jakbyś nią była, jak kobieta do kobiety. Służyłam w Afganistanie jako sanitariuszka i widziałam śmierć, widziałam ją aż nazbyt często. Kiedy odbierasz komuś życie, zatracasz część siebie. Nie chcę, żeby ciebie też to spotkało. Powiedz nam, Jennifer: kiedy nastąpi kres tej przemocy? Pragniesz zmian, wszyscy to widzimy, ale spróbujmy znaleźć sposób, żeby wspólnie do nich dążyć. – Głos Soledad załamał się pod sam koniec.

Kiedy przeczytała oświadczenie, owadzie odgłosy aparatów przybrały na sile. Soledad ruchem ręki odmówiła odpowiedzi na pytania i zniknęła w grupie ubranych w ciemne garnitury agentów FBI.

– Ta kobieta to uosobienie odwagi – powiedziała Cheryl Crane-Murphy, muskając chusteczką mocno wytuszone rzęsy. – Godnie służyła swojemu krajowi w Afganistanie, a pod jej nieobecność zgraja bestii rozszarpała jej córkę.

Wyłączyłam telewizję, dość się naoglądałam jak na jedno popołudnie. Luz była nawet młodsza niż większość dziewcząt Kitty, tych samych, których wiadomości kasowałam. Zastanawiałam się, czy któregoś z nich nie spotkało kiedyś coś równie strasznego.

Przez chwilę w mieszkaniu panowała cisza, a potem rozdzwonił się telefon. Wiedziałam, że to Verena albo Marlowe, i nie odebrałam. Od czasu mojej przemiany zostawiały mi wiadomość za wiadomością, ale ja nie miałam zamiaru z nimi rozmawiać. Żałowałam, że w ogóle weszłam do domu Vereny i dałam się wciągnąć w jej tak zwany Nowy Program Baptist. Podobnie jak w przypadku tego pierwszego skończyło się na tym, że byłam gruba i nieszczęśliwa. Raz za razem odgrywałam w głowie wszystko, co się wydarzyło podczas przemiany i potem – wizytę u chirurga, pięść tego mężczyzny mknącą w moim kierunku. Widziałam ją nocami, kiedy usiłowałam zasnąć.

Na stoliku stała buteleczka z dabsitafem, którą wykradłam z gabinetu Vereny. Sięgnęłam po nią i potrząsnęłam, słuchając, jak pigułki grzechoczą w bursztynowym plastiku niczym martwe owady. Jeśli postanowiłabym nie poddawać się operacji, mogłabym wykorzystać te dwadzieścia tysięcy dolarów na kilka lotów do Paryża, żeby zaopatrzyć się w lek. Verena mówiła, że może on powodować śmiertelnie groźne efekty uboczne, ale to samo odnosiło się do operacji. Zresztą ludzie giną nawet podczas przechodzenia przez jezdnię.

Zastanawiałam się, czy nie zażyć tabletki, ale i tak nie miałam apetytu, więc po co miałabym to robić. Nieważne, w którą stronę zbaczały moje myśli, ostatecznie ciągle wracały do tego człowieka na peronie metra. Czy Alicię też by uderzył? Może próbowałby ją poderwać, a jej by to pochlebiło? Ta myśl sprawiła, że ją znienawidziłam, choć wcale nie chciałam jej nienawidzić.

Ktoś zapukał do drzwi i zobaczyłam przez judasza, że to kurier z brązową paczką. Kazałam mu zostawić ją pod drzwiami i zabrałam, kiedy sobie poszedł, z góry wiedząc, co jest w środku – kolejna nowa sukienka dla Alicii, z jedwabistego, lejącego się materiału w szmaragdowym kolorze. Alicia nie zasługiwała na coś tak ładnego, nie po jej flircie z tym wrednym facetem na stacji, no ale z drugiej strony skąd miała wiedzieć, że jest wredny? Tylko Plum znała go od tej strony.

Znowu zadzwonił telefon i znów go nie odebrałam. Odsłuchiwałam wiadomość, spodziewając się usłyszeć głos matki albo Vereny, ale był to jakiś facet o imieniu Preston. Dzwonił, żeby przypomnieć o naszej randce.

Randki w ciemno. Wypadło mi z głowy, że już dziś czekała mnie pierwsza z nich. Miałam się spotkać z czterema mężczyznami, za co mogłam podziękować dentystce Vereny, Ginie.

– O, cześć – powiedział Preston, kiedy oddzwoniłam, żeby odwołać kolację.

Siedziałam na kanapie, trzymając w rękach nową szmaragdową sukienkę Alicii. Preston powiedział, że zarezerwował stolik w restauracji U Christosa, i spytał, czy mi to odpowiada.

– Słuchaj, wydaje mi się, że nie...

– Jeśli nie lubisz greckiej kuchni, możemy iść gdzie indziej.

Nawijał bez końca. Gina przesłała mi za pośrednictwem Vereny informacje o wszystkich czterech mężczyznach. Preston był jej kuzynem i pracował jako analityk finansowy. Wreszcie zdołałam wtrącić, że nie jestem pewna, czy ta randka to dobry pomysł.

– Ja też nie lubię randek w ciemno – powiedział, siląc się na luźny ton i próbując zaskarbić sobie moją sympatię. – Ale co nam szkodzi? Nie ma żadnej presji. W najgorszym razie zjemy razem miłą kolację, nie?

Mówił niemal błagalnie i miałam ochotę się roześmiać. Wydawało mu się, że rozmawia ze zwyczajną kobietą. Nie miał powodu, żeby cokolwiek podejrzewać; mój głos brzmiał normalnie.

Wypełniłam już trzy pierwsze zadania i nie było sensu rezygnować teraz, kiedy pozostały mi tylko dwa, więc zgodziłam się z nim spotkać. Chciałam zobaczyć, jaką minę zrobi na mój widok. Plum przeżyje upokorzenie. Na to właśnie zasługiwała.

Do randki pozostało jeszcze kilka godzin, ale zaczęłam się szykować, wiedząc, że to trochę potrwa. Moje wywoskowane ciało zaczęło już wypuszczać pędy zarostu, więc przeleciałam golarką po nogach i pod pachami. Zlew i podłoga pokryły się krótkimi czarnymi włoskami i kropelkami krwi. Wytarłam je kawałkiem papieru toaletowego. Nie goliłam się zbyt często i poniewczasie zdałam sobie sprawę, że lepiej byłoby to robić w wannie. W lustrze zobaczyłam, że między nogami nadal jestem gładka, praktycznie pozbawiona owłosienia. Nie podobał mi się ten widok. Tak jakby nawet tę część ciała, którą sikałam i krwawiłam, należało poprawić i upiększyć.

Wykąpałam się i umyłam włosy, a potem włożyłam majtki, thinz, rajstopy modelujące i stanik push-up. Biało-fioletowa sukienka, którą zrobiła dla mnie

Rubí, była brudna, bo wtedy na stacji metra upadłam na kolana, więc ubrałam się w jedną z moich zwykłych czarnych szmatek. Czułam się jak koń, osiodłana i gotowa do drogi. Trudno mi będzie nawet usiąść przy stole, nie mówiąc już o jedzeniu, ale przecież dziewczyny zazwyczaj nie jedzą na randkach. W każdym razie tak mi się wydawało. Właściwie nigdy nie byłam na randce, więc nie wiedziałam, jak powinnam się zachowywać. Próbowałam sobie przypomnieć, co robiły bohaterki filmów. Częścią gry było oszukiwanie. Pozorowanie, że jest się ładniejszą, szczuplejszą i mniej głodną. „Bycie kobietą oznacza udawanie”. Tak powiedziała Marlowe.

Uczesałam się przed lustrem w łazience, prostując i wygładzając włosy. Potem nałożyłam makijaż tak, jak nauczył mnie wizażysta: baza, podkład, korektor. Moja własna twarz praktycznie pod tym wszystkim zniknęła. Zaczęłam się malować. Najpierw nałożyłam róż i bronzer, ale potem wszystko starałam, bo wyglądałam nie jak muśnięta słońcem, tylko jak spalona, a chodziło mi o to pierwsze. W następnej kolejności oczy. Wywinęłam sobie rzęsy (nie żeby było co wywijać), obrysowałam oczy eyelinerem, pomalowałam powieki delikatnym cieniem i nałożyłam tusz do rzęs. Potem wypełniłam kredką brwi. Usta zostawiłam na koniec. Przejrzawszy kolekcję konturówek i szminek, zdecydowałam się na różowy odcień o nazwie Statutory.

Odsunęłam się i przyjrzałam swojemu odbiciu. Według Marlowe makijaż powinien podkreślić moją ruchalność, ale twarz w lustrze nie mówiła „Przeleć mnie”, tylko „Przyłóż mi” – to właśnie wyczytał z niej ten facet na stacji. Siniak przybladł, ale nie chciałam, żeby znikł. Wolałam, żeby wszyscy go widzieli. Odwróciłam się od lustra, żeby powstrzymać się przed tym, na co miałam ochotę, ale nie zdołałam. Zwinęłam prawą dłoń w pięść i uderzyłam się w wargę, w ten blednący ślad po ciosie. Uderzyłam raz, a potem drugi, żeby bardziej bolało. Chciałam tego. „Czułam ból, ale też przyjemność”.

Preston

Usłyszałam trzask otwieranych drzwi do budynku i przygotowałam się na pukanie do mieszkania, a potem na *spojrzenie*. Preston na pewno spodziewał się kogoś szczupłego – bo ludzie zawsze się tego spodziewają – więc zgadywałam, że kiedy mnie zobaczy, zareaguje tak samo jak wszyscy: będzie próbował ukryć zaskoczenie i rozczarowanie, nawet odrazę. W duchu czułam się mała i nieistotna, ale patrząc na mnie, ludzie widzieli coś wręcz przeciwnego.

Kilka chwil potrwało, zanim przewyciężyłam opór przed otwarciem drzwi. Kiedy to zrobiłam, ujrzałam przed sobą Prestona, przeciętnego białego

faceta z brązowymi włosami, koło trzydziestki. No i proszę: *spojrzenie*.

– Cześć. Czy ty jesteś... hm. Czy zastałem Plum?

– To ja jestem Plum – odparłam, nienawidząc swojego imienia.

– Na pewno nie. – Preston się roześmiał.

Drzwi zasłaniały część mojej twarzy, ukrywając siniak. Preston wyciągnął do mnie rękę.

– Och, przepraszam, po prostu nie... – zreflektował się. – To jest, czasem Gina wykręca mi śmieszne numery i... – Poluzował palcem kołnierzyk koszuli. – Chodźmy na kolację – powiedział.

Wróciłam do mieszkania po torebkę, pozwalając, żeby drzwi zamknęły się za mną powoli. Preston nie wykonał żadnego ruchu, żeby je przytrzymać albo wejść do środka. Zabrałam torebkę z kuchni, ale kiedy wróciłam do przedpokoju, zamiast nacisnąć klamkę, przekręciłam dwa razy zamek i założyłam łańcuch.

– Plum?! – zawołał Preston z drugiej strony.

– Idź sobie.

Nie dyskutował. Usłyszałam, jak schodzi po schodach i otwiera drzwi na ulicę.

Jack

Potem przyszła kolej na Jacka. Zgodnie z notatkami od Giny był adiunktem na Wydziale Literatury Uniwersytetu Nowojorskiego. Przygotowałam się tak samo jak za pierwszym razem: umalowałam się i włożyłam wyszczuplającą bieliznę, choć tym razem zamaskowałam siniak na wardze odrobiną korektora. Moja twarz była gotowa, mój wizerunek dziewczyny do zaliczenia – kompletny. Choć nie przypuszczałam, żeby Jack chciał mnie zaliczyć. Na pewno okaże się taki sam jak Preston.

Na półeczce w łazience wały się moje pędzelki i aplikatory, ale ich nie pochowałam. Postanowiłam pociągnąć zabawę w makijaż jeszcze dalej. Nałożyłam puder w najjaśniejszym odcieniu, jaki zdołałam wyszukać w kosmetyczce, ukrywając podkład i róż, których użyłam przed chwilą. „Masz cerę jak biała róża”, powiedziała Julia, kiedy się poznałyśmy, ale teraz wyglądałam jeszcze bledziej, niczym połyskliwe zwłoki. Sięgnęłam po lakierowany kompakt z czarnym cieniem, który należało zwilżyć i nałożyć dookoła oczu, żeby osiągnąć zmysłowy efekt Kleopatry. Ja jednak posmarowałam nim całe górne powieki aż po brwi, dolne też. Nakładałam

kolejne warstwy, póki moje oczy nie zniknęły w czarnych dziurach. Wyglądały jak puste oczodoły w czaszce. Usta miałam już umalowane odcieniem Juicy Plum, tym od Julii, ale dodałam na wierzch odrobinę czarnego cienia, tak że zrobiły się ciemne, prawie fioletowe – usta osoby, której brakuje tlenu. Kiedy się odsunęłam, żeby spojrzeć na swoje odbicie, Jack już pukał do drzwi.

– Chwileczkę! – zawołałam, zakładając pobrudzoną biało-fioletową sukienkę.

Kiedy mu otworzyłam, zobaczyłam kolejnego typowego białego faceta, tym razem blondyna.

– Ty jesteś...

– Plum, zgadza się, to ja.

Nie mogłam być pewna, ale sprawiał wrażenie, jakby nie zauważył mojego makijażu. Chyba w ogóle nie wiedział, gdzie podziąć oczy; skakał spojrzeniem to na mnie, to na framugę, to na zegarek, to na swoje buty. Wreszcie zmierzył mnie wzrokiem, próbując objąć całą moją sylwetkę. Przełknął kilka razy ślinę. Zdążyliśmy już zejść ze schodów, kiedy wreszcie się odezwał:

– Słyszałem, że pracujesz w magazynie mody.

– Tak, to prawda.

– Bez urazy, ale raczej nie jesteś w moim typie. Pociągają mnie inne kobiety. Osobiście nie mam nic przeciwko tobie ani nic takiego. Rudych też nie lubię, nie żebyś była ruda, ale wiesz, co mam na myśli.

Staliśmy przy schodach, po wewnętrznej stronie drzwi wejściowych. Jack nie chciał pokazać się ze mną publicznie.

– Darujmy sobie kolację. Wracaj do domu – powiedziałam. I dodałam: – Ty też nie jesteś w moim typie. Wyglądasz jak dziewczyna.

Odsunął z czoła pukiel włosów. Weszłam z powrotem na górę, wiedząc, że obserwuje mnie od tyłu, patrzy na moje kołyszące się pośladki, na to, jak chwytam się poręczy i sapię.

– Tłusta krowa! – zawołał za mną.

Doszłam na półpiętro i zdyszana odwróciłam się twarzą do niego.

– Złotko, jeśli chcesz mnie obrazić, to musisz się bardziej wysilić. Jestem kuloodporna.

Dzięki Nowemu Programowi Baptist moje przewrażliwienie zaczynało obrastać twardym odciskiem.

Kiedy wróciłam do mieszkania, zamknęłam drzwi na zamek i wstrzymałam oddech, póki nie usłyszałam trzasku na dole. Zdjęłam sukienkę, rajstopy, thinz i biustonosz. Zmyłam z siebie cały halloweenowy makijaż i zaczęłam szperać w kredensie. Apetyt jeszcze mi nie wrócił, ale wyciągnęłam krakersa z mąki graham, odłamałam kawałek (15) i wrzuciłam do ust.

– Tłusta krowa – powiedziałam.

Alexander

Z Alexandrem miałam się spotkać w restauracji z grillem na Brooklyn Heights. Znów ubrałam się w biało-fioletową sukienkę, którą uprałam w umywalce, tak że na kolanach nie była już czarna, tylko szara jak woda po zmywaniu naczyń. Na tę randkę umalowałam się lekko i nie włożyłam thinza. Nie było sensu wytaczać ciężkich dział. Alexander był niewidomy.

Kiedy przeczytałam notatki Giny, poczułam zaintrygowanie. Często się zastanawiałam, jak by to było mieć niewidomego chłopaka. Myślałam, że dla kogoś takiego moje miękkie wałeczki byłyby przyjemne w dotyku, miłsze niż twarde kości.

Kiedy jechałam taksówką do restauracji, zaczęło mnie mdlić. Niekończące się objawy odstawienia Y... Niemal się położyłam na tylnym siedzeniu.

– Jesteśmy – powiedział taksówkarz i podniosłam głowę.

W restauracji kelnerka w dżinsowej spódnicy zaprowadziła mnie na środek zatłoczonego pomieszczenia. Musiałam się przeciskać między stolikami. Kiedy dotarłam do miejsca, gdzie siedział Alexander, nie było żadnego *spojrzenia*. Co za ulga, pomyślałam. Ujął moją rękę, ale szybko ją cofnął w obawie, że zdradzą mnie mięsiste palce. Dzisiaj grałam Alicię.

Brązowe oczy Alexandra miały pusty wyraz, a gałki były nieco obkurczone, ale kiedy mówił, kierował je w moją stronę, jakby mnie widział. Nie wiedziałam, czy robi to sam z siebie czy ze względu na mnie. Zajął miejsce i przejrzałam menu. Alexander zamówił półmisek żeberek, ale ja nie byłam głodna i poprosiłam o sałatkę. Pewnie wziął mnie za jedną z tych dziewczyn, które nigdy nic nie jedzą.

Kiedy kelner odszedł, Alexander zaczął nawijać. Widziałam, że nie lubi przerw w rozmowie. Zastanawiałam się, czy często chodzi na randki i na jakiej podstawie decyduje, czy kobieta mu się podoba. Na pewno próbował

wybadać, czy mam potencjał na to, żeby zostać jego partnerką w łóżku, ale nic w jego pytaniach nie wskazywało na to, czego szuka. Opowiedział mi o sobie i swojej pracy muzyka sesyjnego. Wypytywał też o moją pracę z Kitty. Nie sprawiał wrażenia, by ślepotą wykształciła w nim jakiegokolwiek niezwykle cechy. Nic mnie w nim nie zainteresowało, ale odgrywałam swoją rolę. Byłam na randce, siedziałam z mężczyzną w restauracji, zupełnie jak Alicia. Alexander nie wiedział, że tylko udaję. Ciągłe mówił o muzykach, o których nigdy nie słyszałam, i cieszyłam się, że nie muszę maskować wyrazu znudzenia na twarzy.

Kiedy przyniesiono nam jedzenie, zaczął zdumiewająco zręcznie manewrować sztućcami, żeberkami, sosami i przystawkami. Oczyszczał każdą kość i odkładał ją na bok. Moja kolacja była skromna. Skubałam powoli mieszankę liści sałaty, plasterków rzodkiewki i kawałków pomidora. Widok Alexandra ogryzającego mięso do kości, z czerwonym sosem na wargach, był nieprzyjemny. Jego brwi wystawały z czoła jak parapet, wyglądały niemal prehistorycznie; miał profil neandertalczyka.

– Jak twoja sałatka, Alice? Na pewno nie masz ochoty na nic więcej?

– Mam na imię Alicia – poprawiłam. – I nie, dzięki, jakoś nie mam apetytu.

– Chyba nie jesteś na diecie? – spytał, jakby się ze mną drażnił.

– Wolę pilnować wagi. Niełatwo jest utrzymać rozmiar trzydzieści cztery.
– Mówiąc to, z trudem powstrzymałam się przed parsknięciem. Prawie udławiłam się sałatą.

– Nie chcesz utyć? – zapytał Alexander z uśmiechem.

Roześmiałam się; był to głośny śmiech z głębi trzewi, zbyt potężny jak na moje wymyślone szczupłe ja. Alexander jadł dalej, ogryzał żeberko i rzucał je na talerz, po czym brał następne. Rosła przed nim sterta kości objedzonych z mięsa, obessanych z sosu.

– Kiedyś byłam gruba – powiedziałam. – *Niesamowicie* gruba. Wręcz chorobliwie otyła. Na tabelkach w agencjach ubezpieczeniowych po chorobliwej otyłości jest już tylko jeden etap – śmierć. „Niedowaga”, „w normie”, „nadwaga”, „otyłość”, „chorobliwa otyłość” i „pewna śmierć”. Kiedy docierasz do tego poziomu, każą ci spisać testament i zamówić trumnę na wymiar. A ja, Alexandrze, prawie do niego dotarłam. Przeglądałam już broszury zakładów pogrzebowych.

– Chryste, to ile ty ważyłaś?

– Ponad sto trzydzieści pięć kilo. Wyglądałam jak zeppelin.

– Naprawdę? I jak udało ci się schudnąć? – zapytał, zastygając z żeberkiem w powietrzu.

– Próbowałam różnych diet, ale to nic nie dało. Więc poddałam się operacji. Teraz mam żołądek wielkości orzecha włoskiego, stąd ta sałatka.

– A czy twoje ciało wygląda, no... normalnie?

Ujrzałam przed sobą czarny marker, strzałki, wykropkowane linie.

– W ubraniu owszem. Nago to inna sprawa. Całe ciało mam w bliznach. Widzisz, trzeba mnie było zrekonstruować. Jestem jak Frankenstein.

Alexander odłożył żeberko i zrobił minę, jakby próbował powstrzymać beknienie.

– Nie wygląda to za ładnie, Alexandrze, ale co to dla ciebie za różnica?

Otarł usta serwetką.

– Muszę przyznać, że nie bardzo to do mnie przemawia, ale doceniam twoją szczerość, Alice.

– Alicia – poprawiłam.

„Jestem Alicią. Jestem Alicią”, powtarzałam sobie, ale powtarzanie nie czyniło tego prawdą. Nie byłam Alicią i obawiałam się, że nigdy się nią nie stanę.

– Źle się czuję – powiedziałam, odkładając widelec i odsuwając krzesło. Wróciły symptomy odstawienia Y..., miałam wrażenie, jakbym trzymała w ustach sztuczny ogień. – Chyba lepiej już pójdę.

– Nie będę cię zatrzymywał. Ja tu jeszcze zostanę i zamówię coś na deser.

Zostawiłam go przy stole. Pierwsza randka Alicii dobiegła końca i nie poszła za dobrze.

Aidan

Była niedziela wieczór, pora na ostatnie spotkanie. Powiedziano mi, że Aidan to obrońca praw człowieka i że pija kawę fair trade. Wciągnęłam na siebie thinz i sukienkę, nałożyłam makijaż. Aidan zapukał do drzwi i po kilku chwilach zobaczyłam przed sobą przeciętnego białego faceta z brązowymi włosami.

– To z tobą jestem umówiony? – spytał.

- Zgadza się.
- Wolne żarty.
- Pierdol się – powiedziałam i zatrzęsłam drzwi.

Kiedy odszedł, umyłam twarz, nie zdejmując sukienki; cały przód miałam poplamiony wodą i śladami makijażu. Ściągnęłam rajstopy modelujące i thinz, żeby łatwiej mi było oddychać, i nadal w ubraniu wczołgałam się na brzuchu do łóżka. Wykonałam cztery zadania Nowego Programu Baptist. Zostało tylko jedno i pieniądze wreszcie będą moje. Do operacji brakowało jeszcze dwóch miesięcy.

Zanim poznałam Verenę, dążyłam do zabiegu w linii prostej, ale teraz zaczęłam zbaczać z kursu, coś spychało mnie lekko w inną stronę.

Przypomniałam sobie zimę, kiedy zdecydowałam się na operację. Właśnie zrobiłam swoje roczne badania i choć wyniki były w normie, lekarz zlecił USG, żeby mieć pewność, że „wszystko w środku działa”. Nigdy przedtem nie miałam USG i bardzo się przejęłam. Po południu stawiałam się w szpitalu. Młoda operatorka o imieniu Pooja nasunęła kondom na głowicę sondy i wsunęła mi ją do środka. Wcisnęła jakiś guzik i na ekranie naściennym ukazał się ultrasonograficzny obraz moich organów rozrodczych.

– Tu są pani jajniki – powiedziała i zmrużyłam oczy, żeby się ich dopatrzeć. Wyglądały jak niewyraźna biaława plama na szarym tle, przypominały coś z kosmosu. – A to wejście do łona.

Co za dziwne słowo, „łono”. Nigdy nie myślałam o sobie jako o kimś, kto posiada coś takiego. Macicę, owszem, ale nie to. Łono było ustroniem, w którym jakaś mała istotka mogła się zwinąć w kulkę i zasnąć. Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że istnieje we mnie takie miejsce. Na ekranie nie prezentowało się specjalnie sympatycznie – po prostu zakurzony balon czekający, aż ktoś go nadmucha.

– Ja mam łono – stwierdziłam.

– Oczywiście. Przecież jest pani kobietą. – Operatorka spojrzała na mnie, jakby myślała, że mam nie po kolei w głowie. – Wszystko w porządku?

Nie odpowiedziałam, ale gapiłam się na swoje łono, aż nie mogłam już tego znieść. Przymknęłam oczy, żeby nie patrzeć. Dlaczego ona musiała to tak nazwać? *Łono*.

– W przyszłym miesiącu będzie pani jajczkować z lewego jajnika – powiedziała dziewczyna. – Widzi pani ten pęcherzyk?

– Tak, widzę – odparłam, nadal nie otwierając oczu.

Pooja przemawiała do mnie jak do innych pacjentek, do kobiet, u których ciągle coś wjeżdżało do środka i wyjeżdżało na zewnątrz, jak pociągi na stacji. Na ekranie wyglądałam tak samo jak one, stanowiłam sumę swoich części. Pod ogromną warstwą zewnętrzną byłam jak każda inna kobieta, nawet jeśli nigdy nie pozwolono mi się tak poczuć.

Po badaniu wróciłam do domu jak we mgle. Nigdy nie lubiłam mówić o sobie „kobieta”. Wiedziałam, że nią jestem, ale w odniesieniu do mnie to słowo zawsze brzmiało niewłaściwie. Całymi dniami nie myślałam o niczym poza łonem na ekranie. Prześladowało mnie.

Już od dawna rozważałam operację, ale myśl o nożach, nacięciach i komplikacjach zawsze mnie przerażała, więc pomysł długo pozostawał w sferze rozmyślań. Lecz kilka dni po tym, jak zobaczyłam swoje łono, umówiłam się wreszcie do lekarza i na zabieg, wiedząc, że najwyższa pora wziąć się do działania. Verena mówiła, że operacja ma mnie uczynić *mniejszą*, ale chodziło o coś więcej. Coś, czego nie byłam w stanie jej wytłumaczyć.

Teraz, w następstwie Nowego Programu Baptist, to marzenie zostało zniszczone. Nadal mogłam się poddać operacji, dwadzieścia tysięcy dolarów też na pewno by się przydało, ale gdybym to zrobiła, na zawsze pozostałyby mi blizny, nie tylko na powierzchni, lecz także w środku. Verena postanowiła mi pokazać, jak bardzo wszyscy mnie nienawidzą. Alicia nigdy nie zdoła zapomnieć tych strasznych rzeczy, które przeżyła Plum. Skalpel nie był w stanie tego wyciąć. Alicia na zawsze pozostanie naznaczona.

Na szafce nocnej stała buteleczka z antydepresantem. Od miesiąca zażywałam po pół tabletki; teraz została mi już tylko jedna połówka i martwiłam się, co będzie, kiedy mi się skończą. Może Y... był klejem, który spajał moje życie – a właściwie nie tyle życie, ile połamane fragmenty porcelany złożone na chybił trafił. Połknęłam ostatnią połówkę, a następnie otworzyłam szufladę i wyciągnęłam buteleczkę z dabsitafem. Zażyłam jedną pigułkę, potem drugą, potem jeszcze kilka.

Pragnęłam usłyszeć czyjś głos, byle życzliwy. Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do matki, ale ona zawsze umiała wyczuć, że coś jest nie tak. Była wyczulona na najdrobniejsze niuanse mojego tonu, na długość pauz między słowami. Nie chciałam jej martwić, więc zadzwoniłam do ojca. W Nowym Jorku była ósma, ale u niego, w miejscu, gdzie życie biegło wolniej i wszystko się ociągało, minęła dopiero szósta.

Odebrała jego żona. Powiedziała, że ojciec kosi trawnik, i odłożyła słuchawkę, żeby go zawołać. W myślach zobaczyłam go tak jak zawsze, w fotelu na ganku, gdzie lubił siadać po pracy i słuchać śpiewu ptaków. Usłyszałam w telefonie, jak kosiarka milknie, i wyobraziłam sobie zapach świeżo skoszonej trawy, podmuch wiatru z głębi Ameryki.

Kiedy zdyszany ojciec podniósł słuchawkę, nie powiedziałam mu o moich randkach, o Verenie ani kobietach z Domu Kaliope. Nie wiedział za dużo o moim życiu, więc rozmawialiśmy o tym, co robił w ogródku i że po skoszeniu trawnika poczyta gazetę. Po jego stronie w tle panowała cisza. Na przedmieściach nie było hałasu.

- Wszystko w porządku? – zapytał.
- Chyba mam za sobą kiepski dzień.
- Chcesz o tym pogadać?
- Nie.

Nic już nie powiedział, nie pospieszał mnie, pozwalał na milczenie. Matka zaczęłaby zadawać pytania i domagać się odpowiedzi. Podobało mi się, że ojciec milczy i tylko oddycha spokojnie, każe ogródkowi czekać, póki córka nie przestanie go potrzebować.

Słuchałam oddechu ojca i żałowałam, że nie mogę go dotknąć. Chciałam, żeby mógł zobaczyć siniak na mojej wardze, ale to było niemożliwe.

- Jesteś tam? – spytał tata. – Plum, jesteś tam?

Dzwoniła Verena, żeby opowiedzieć mi o randkach w ciemno. Oznajmiła, że spotkam się z czterema mężczyznami: Prestonem, Jackiem, Alexandrem i Aidanem. Imiona brzmiały znajomo. Czy już tego nie przerabialiśmy?

Może po sześciu miesiącach na dabsitafie rzeczywiście byłam gotowa, żeby zacząć się umawiać. Doktor Ahmad się pomylił. Pomimo tak szybkiej utraty wagi skóra w ogóle na mnie nie obwisała, nie było potrzeby ciąć mnie ani zszywać. Po prostu się skurczyłam, tkanka została zassana do środka, zniknął wszelki ślad po pustce zostawionej przez tłuszcz. Byłam Alicią. I tylko ją widzieli ludzie, kiedy na mnie patrzyli.

Na dabsitafie nie czułam łaknienia. Nie głodziłam się ani nie miałam napadów obżarstwa. Zwyczajnie straciłam apetyt. Wiele osób nie jada śniadania, ale ja nie jadałam także obiadu ani kolacji. Zjedzenie kromki chleba wydawało mi się równie pozbawione sensu jak zjedzenie książki albo buta. Nie łaknęłam pożywienia. Nie pragnęłam wody. Nie chciałam wstawać z łóżka ani wychodzić na dwór. Nie chciałam z nikim rozmawiać. Nie chciałam myśleć. Nie chciałam nic kupować, nawet ubrań ani butów. Nie chciałam miłości, przyjaźni ani seksu. Nie chciałam słuchać muzyki, czytać ani oglądać telewizji.

Nic nie chciałam.

Bez jedzenia brakowało mi energii i koncentracji. Nie miałam ochoty pracować, ale potrzebowałam pieniędzy. Kitty wybaczyła mi wykasowanie wiadomości, a kiedy zobaczyła, jak się zmieniłam, zaprosiła mnie do Austen Tower, żebym pracowała w biurze obok niej. Bez jedzenia nie byłam w stanie czytać ani układać zdań, więc siedziałam tylko przy komputerze i wystukiwałam bzdury, które wyglądały trochę jak norweski – lsjfsklf jslkfjls kfjalkjfla kjdfjlsk jflasjflsakjf – póki dzień pracy nie dobiegł końca. Chyba nikt nie zwracał na to uwagi.

W swoim naturalnym stanie, po przywróceniu ustawień fabrycznych przez dabsitaf, byłam śliczna. Kiedy wracałam po pracy do domu, zawsze ktoś za mną gwizdał. Za każdym razem, gdy mijałam jakiś plac budowy, wzbudzałam poruszenie. W metrze mężczyźni szczykali mnie w tyłek, chodzili za mną, prosili o numer telefonu albo kręcili biodrami, jakby chcieli mnie nadziać na swoje członki. Oczekiwano, że takie zachowanie będzie mi się podobać, więc udawałam, że mi to schlebia. Oczekiwano, że będę pragnęła tego rodzaju zalotów, ale ja niczego nie pragnęłam. Już nie. Mówiłam „Dziękuję”, kiedy

dawano mi kwiaty, ale wcale nie czułam się wdzięczna. W mojej głowie panowała pustka.

Nie minęło dużo czasu, a moja waga zeszła do czterdziestu pięciu kilogramów. Ostatnio ważyłam tyle w podstawówce. Któregoś dnia, kiedy wróciłam do domu, znalazłam na plecach przyczepioną karteczkę z napisem NAKARM MNIE! Kobiety podchodziły do mnie na ulicy i pytały, na czym polega mój sekret. „Po prostu nic nie jem, nigdy”, mówiłam, ale to nie była do końca prawda. Raz na dzień połykałam tabletkę dabsitafu. Widziałam, jak obła pigułka zsuwa się wzdłuż mojego gardła w dół przełyku, pomiędzy piersiami, w kierunku pępka. Wyglądała jak robak wędrujący pod moją skórą.

Kiedy zeszłam do czterdziestu kilogramów, włosy zaczęły mi wypadać garściami, paznokcie stały się kruche, policzki się zapadły.

– Na czym polega pani sekret? – spytała mnie jakaś kobieta w parku.

Nosiłam rozmiar trzydzieści dwa, ale tylko przez kilka tygodni, potem zeszłam jeszcze niżej. W domu towarowym ekspedientka powiedziała:

– Nie mamy ubrań w pani rozmiarze.

Wydawało mi się, że pamiętam, jak mówiono mi takie rzeczy w poprzednim życiu, ale wtedy ludzie śmiali się przy tym i chichotali złośliwie. Teraz zazdrościli.

– Suka – szepnęła jakaś kobieta do koleżanki.

Posłano mnie do działu dziecięcego, ale nawet tam miałam kłopoty. Byłam wyższa niż większość dzieci, poza tym one są zaokrąglone, a ja byłam chuda i koścista jak grabie.

Wieczorem w dniu pierwszej randki w ciemno ubrałam się w różowe kraciaste ogrodniczki, które ściągnęłam w pasie dużą gumką recepturką. Preston zapytał, czy chciałabym iść na kolację do Christosa, ale odparłam, że nigdy nie jadam, więc siedzieliśmy na mojej kanapie i rozmawialiśmy. No, w każdym razie Preston mówił. Ja miałam w głowie kompletną pustkę.

Jak było do przewidzenia, pod koniec wieczoru wlaź na mnie i wypełnił mnie swoimi sokami, zrobił mi zastrzyk z kalorii, ale nie doustny. Nie próbowałam go powstrzymać. Nie chciało mi się. Kiedy skończył, miałam wrażenie, że pękła mi jakaś kość.

– Zadzwoń do ciebie – powiedział, wychodząc.

– Jeśli chcesz.

Następnego wieczoru pod moimi drzwiami stanął Jack.

– Ty jesteś Plum? – zapytał.

– Plum? Ona nie istnieje. – Trach! – Wolę, żeby mówiono na mnie Alicia.

Jack powiedział, że wyklada literaturę, i spytał, co lubię czytać. Odparłam, że wyrzuciłam wszystkie swoje książki, już ich nie chciałam.

– Nie jesteś zbyt rozmowna – stwierdził i zabrał mnie na tańce. Podczas wolnych piosenek podgryzał mi ucho. Później, w damskiej toalecie, zauważyłam, że jeden płatek uszny mam podziurawiony. Teraz byłam jeszcze lżejsza.

Wróciłam do baru i zamieszałam palcem martini Jacka. Oblizał go i odgryzł koniuszek wraz z paznokciem, a potem przeżuł razem z oliwką z drinka.

– Wspaniale smakujesz – wymruczał.

Na kolejne spotkanie umówiono mnie z Alexandrem, dla którego była to randka w ciemno w najzupełniej dosłownym sensie. Lubił żeberka i wysmarował mi tułów sosem barbecue. Nie miałam dużo mięsa na kościach, ale on zadowolił się chrząstkami i kiedy skończył, ważyłam już tylko dwadzieścia dwa kilogramy. „To za mało – pomyślałam. – Jak tak dalej pójdzie, zniknę”.

Jako ostatni, wbrew moim oczekiwaniom, nie zjawił się Aidan, tylko człowiek, który uderzył mnie w metrze.

– Nie, tylko nie ty! – wrzasnęłam, ale on przeżuł mój język i odgryzł kęs z szyi.

Kiedy pozostali wrócili po dokładkę, nie byłam w stanie zaprotestować. Wszyscy znaleźli się naraz w moim łóżku, pożerali mnie kawałek po kawałku. Sprawy zaszły za daleko. Chciałam krzyczeć, ale z mojego gardła nie wydobywał się żaden dźwięk. Chciałam uderzać rękami, ale już ich nie miałam. Chciałam płakać, ale zabrali mi oczy. Wkrótce pożarli mnie do końca.

Byłam płomieniem świeczki, zgasłam.

Zadzwoił telefon. W cichym mieszkaniu dźwięk wydawał się głośny jak kościelne dzwony. Otworzyłam oczy i wyciągnęłam rękę. Nagle w promieniu szarego światła zza okna zobaczyłam swoją dłoń.

Moja dłoń. Była pulchna i biała.

Odrzuciłam pościel i spojrzałam na swoje ciało, klepiąc się po piersiach i udach w biało-fioletowej sukience. Na drugim końcu łóżka zobaczyłam

swoje palce u stóp, wszystkie dziesięć. „Sroczka kaszkę ważyła...”.

Nadal byłam sobą.

Na nocnej szafce stała buteleczka z dabsitafem, a na języku miałam posmak leków. Nie byłam pewna, co jest rzeczywiste, nie licząc dzwoniącego telefonu. Odebrałam.

– Plum? – spytała jakaś kobieta.

Próbowałam przypomnieć sobie ten głos.

– Czy to Kitty?

– Plum, muszę natychmiast się z tobą zobaczyć.

Przetarłam oczy.

– Czyżbym zapomniała o naszym spotkaniu?

– Nie chodzi o to. Jestem jeszcze w domu, ale zaraz wychodzę do biura. Przyjdź najszybciej, jak możesz. – Rozłączyła się bez pożegnania.

Kitty rzadko do mnie dzwoniła. Coś było nie tak. Bolał mnie pęcherz, więc pobiegłam do łazienki. Siedząc na ubikacji, popatrzyłam na pofałdowaną białą skórę na wewnętrznych stronach nóg. We śnie miałam idealne piersi i uda.

Piersi, uda – jak porcje smażonego kurczaka.

Myjąc zęby, patrzyłam w lustrze na swoją opuchniętą twarz, na jeden i drugi podbródek. We śnie mężczyźni odrywali zębami kawałki mojego ciała, rozgryzali moje gałki oczne i palce jak przekąski z bufetu. Na samo wspomnienie ogarnął mnie odruch wymiotny i nachyliłam się nad umywalką. Ale od wielu dni nie jadłam nic porządnego i żołądek miałam pusty, do gardła podszedł mi tylko posmak dabsitafu.

Napiłam się kawy, ubrałam szybko i wyszłam z mieszkania, nie wiedząc, że nie zobaczę go przez bardzo długi czas.

Padał deszcz. To była jawa, nie sen, nie miałam co do tego wątpliwości. Mężczyźni się za mną nie oglądali. Kobieta w garsonce ćwiczyła na przystanku autobusowym mięśnie pośladków. Kiedy ją mijałam, spojrzała na mnie nieufnie. Miałam na sobie przezroczysty płaszcz przeciwdeszczowy z nadrukiem w kolorowe kwiaty, ale przy moim rozmiarze wyglądał bardziej jak narzuta na łóżko.

Burzowe chmury gęstniały na niebie, więc postanowiłam złapać taksówkę, zamiast jechać metrem. Nie chciałam patrzeć na innych ludzi. Nie chciałam,

żeby oni patrzyli na mnie.

Kiedy jechaliśmy w deszczu, przyszło mi do głowy, że Kitty wywali mnie z pracy. Pewnie się dowiedziała, że kasowałam jej pocztę albo że przekazałam adresy Julii. Powód był nieważny – wiedziałam, że to już koniec.

Taksówkarz jadł pestki słonecznika. Widok jego obrośniętej szczecina, poruszającej się szczęki i grdyki wysuwającej się naprzód, kiedy przełykał, budził we mnie obrzydzenie. Nie mogłam znieść widoku jedzącego mężczyzny. Chciałam opuścić szybę, ale za bardzo łało, więc tylko wytarłam z niej parę i wyjrzałam na zewnątrz. Wjeżdżaliśmy właśnie po Williamsburg Bridge na Manhattan.

Kierowca podkreślił dźwięk w radiu.

– Wiemy, że Jennifer nie może być jedną osobą. To musi być cała grupa – powiedziała Nola Larson King.

Wysiadłam niedaleko Times Square. Barykady nie pozwalały kierowcy zatrzymać się bliżej Austen Tower. Idąc w stronę budynku i rozchlapując głębokie kałuże, usłyszałam, jak ktoś z tyłu wykrzykuje moje imię. To była Kitty.

Odwrociłam się do niej, ale nie byłam przygotowana na ten widok. Kitty dała się zaskoczyć ulewie. Włosy miała mokre i przylepione do głowy, ostro zakończone kosmyki obklejały jej białą bluzkę niczym węzowe języki. Nigdy dotąd nie widziałam jej bez charakterystycznych rudych pukli pieczolowicie ułożonych w loki o wyglądzie wielkiego truskawkowoczerwonego krzaka.

– Kitty? – Prawie jej nie poznałam. Była jak superbohaterka bez kostiumu.

– Chodźmy trochę dalej – powiedziała, pokazując ręką jakąś kawiarnię. Nie chciała zabierać mnie do redakcji, na wypadek gdybym urządziła scenę, kiedy mnie zwolni. Poszłam za nią, zwracając uwagę na to, że nie ma parasolki. Wyglądała ponuro i zastanawiałam się, czy to ja jestem przyczyną jej humoru, obojętności na deszcz, a przede wszystkim fryzury. Na pewno poczuła się zdradzona. Nie miałam pojęcia, co powiem, kiedy zapyta mnie o te wykasowane wiadomości. Wbiłam spojrzenie w chodnik. Gdzieś w dole, pod mokrym betonem Times Square, w którym odbijały się teraz ładne neonowe światła, kryła się Julia.

Kitty szła chodnikiem spory kawałek przede mną i przyszło mi do głowy, że mogłabym po prostu uciec. W końcu nie popełniłam żadnego przestępstwa. Może lepiej byłoby wrócić do domu i wysłać jej maila

z wypowiedzeniem. Nie musiałabym mierzyć się z nią twarzą w twarz. Zwolniłam kroku, gotowa zmienić kierunek i zniknąć w tłumie, kiedy nagle zauważyłam przed sobą coś, co sprawiło, że przystanęłam i głośno wciągnęłam powietrze.

Na ścianie budynku znajdowała się twarz Leety.

Uniosłam kaptur płaszcza i odsunęłam z policzków mokre włosy. Ulewa nie ustawała, ale nawet przez barierę wody i mgły nadal widziałam Leetę.

Kitty zorientowała się, że zostałam z tyłu, i cofnęła się do mnie.

– Szybciej, strasznie leje – powiedziała, ale ja stałam jak wrośnięta w ziemię.

To naprawdę była Leeta.

– Plum? – spytała Kitty. – Co się z tobą dzieje?

Pokazałam palcem ekran.

– Czy ty też to widzisz?

Po Leecie ukazały się twarze parszywej dwunastki, potem Stelli Cross i jej męża, a następnie innych osób podejrzanych o powiązania z Jennifer – wszystkie migwały na przemian na telebimie ponad Times Square. Leeta, z tymi jej oczami obwiedzionymi grubą czarną kreską i z długimi ciemnymi włosami, spoglądała na tłumy nowojorczyków tak samo jak kiedyś na mnie w kawiarni. To była jej twarz i wszyscy się na nią gapili.

– Plum? – powtórzyła Kitty, ale ja zawróciłam już w stronę Austen Tower.

Weszłam do lobby. Przeszłam przez wykrywacze metalu i poprosiłam ochroniarza, żeby zadzwonił do Julii Cole do Kącika Kosmetycznego. Po chwili powiedział, że nikt nie odbiera. Mogłam pokazać swój identyfikator pracowniczy i wejść do środka, żeby sama jej poszukać, ale Kitty deptała mi po piętach.

– Dość już tego – oświadczyła. – Zwalniam cię. – Jej słowa rozeszły się echem po marmurowym holu.

Zwalniam, zwalniam. Ludzie odwracali głowy.

– Pozwoliłam ci mówić moim głosem. Zaufałam ci, pozwoliłam ci udawać *mnie* – powiedziała Kitty – a ty wyrzuciłaś moje dziewczęta do śmieci. Całe tysiące.

Istniały rzeczy, które mogłabym jej powiedzieć, ale bez swojej fryzury Kitty straciła moc. Przepchnęłam się obok niej i wyszłam na ulicę, żeby

znaleźć taksówkę.

– Słyszałaś mnie?! – krzyknęła Kitty, ale zostawiłam ją w tyle.

Kiedy dotarłam do Domu Kaliope, byłam roztrzęsiona. Weszłam bez pukania i natychmiast otoczyła mnie krzepiąca czerwień ścian. Z głębi domu wyrzała Verena; jej jasne włosy i blada twarz płynęły w moim kierunku z czeluści długiego ciemnego korytarza.

– Usiłowałam się z tobą skontaktować – powiedziała.

– Leeta. – Nic więcej nie byłam w stanie z siebie wydusić.

– Więc widziałaś wiadomości.

– To nie może się dziać naprawdę. Czy to rzeczywistość? Sama już nie wiem, co jest realne.

Weszłam do purpurowego salonu i rzuciłam się na fotel, nie dbając o to, że moczę obicie.

– Nikt nie wie, co się dzieje – powiedziała Verena. U jej boku pojawiła się Marlowe. – Policja chce przesłuchać Leetę, lecz ona zapadła się pod ziemię. Jest poszukiwana. Ale na pewno nie zrobiła nic złego.

– Więc czemu policja jej szuka?

– To musi być jakaś pomyłka – uspokajała Marlowe.

Niewyraźnie zdawałam sobie sprawę, że gdzieś gra radio albo telewizja – słychać było monotonną recytację wiadomości.

– Moje życie się wali, a teraz na dodatek to, *Leeta*. Nie wytrzymam.

Verena przyklękła obok mojego fotela i odsunęła mi z oczu pasemka mokrych włosów.

– Chyba jesteś już gotowa na ostatnie zadanie Nowego Programu Baptist.

– Mam dość tego twojego głupiego programu. Zanim cię poznałam, miałam przynajmniej coś w rodzaju życia. I pracę, którą właśnie straciłam. Planowałam operację, a teraz sama już nie wiem. Wszystko przecieka mi przez palce.

– Nigdy nie mówiłam, że Nowy Program Baptist będzie łatwy.

– Żadnego liczenia kalorii, żadnego ważenia, nie to mi obiecywałaś? Co ze mną będzie, jeśli nie schudnę? – Ujrzałam kalendarz ukazujący moje życie rok za rokiem i wszystkie kartki były puste.

– Dokończmy program – namawiała Verena. – Możesz to zrobić tutaj, w Domu Kaliope. My się tobą zajmiemy.

Właśnie tego potrzebowałam: żeby ktoś się mną zajął.

– Proszę, Plum, zostań tu z nami – przyłączyła się Marlowe.

Więc zostałam.

Wyszłam za nimi na dwór, w ulewę. Zeszliśmy po schodkach na chodnik. Po prawej stronie, niewidoczne dla przechodniów, znajdowały się stopnie prowadzące niżej, do czerwonych drzwi okolonych bluszczem. Piwnica.

Ruszyłam za Vereną i Marlowe. Schodziłyśmy krok za krokiem, na sam dół.

Pod ziemią

Nowy Program Baptist Zadanie piąte: dystans i refleksja

Mieszkanie w piwnicy było niczym gniazdko ukryte głęboko w ziemi pod Domem Kaliope, gdzie sięgały wyłącznie korzenie drzew. Ściany wibrowały lekko za każdym razem, kiedy w pobliżu przejeżdżał pociąg metra. Właśnie to ciemne i chłodne miejsce zapewniło mi miękkie lądowanie po tygodniach spadania. Pojawienie się Leety w kawiarni, już ponad dwa miesiące temu, wytrąciło mnie z równowagi. Jakbym nagle się potknęła i wpadła do dziury, gdzie działy się dziwne rzeczy i mieszkaly jeszcze dziwniejsze kobiety. Staczając się coraz niżej i niżej, rozpaczliwie usiłując znaleźć jakiś punkt oparcia i chwytając palcami powietrze, spadałam na dno.

W podziemnym mieszkaniu spowila mnie ciemność. Nie opierałam się. Ostatniego wieczoru przed zejściem do podziemi zażyłam ostatnią połówkę Y... i garść dabsitafu, więc teraz spałam mocno, ale chwilami ogarniał mnie także niepokój i miotałam się na podwójnym łóżku, pocąc się w pościeli. W takich chwilach mój organizm łaknął Y..., ale nie zamierzałam mu go dostarczać. Skończyłam z lekami.

Wreszcie po wielu godzinach otworzyłam oczy, odrzuciłam kołdrę i opuściłam stopy na podłogę. Na szafce nocnej stała lampka. Włączyłam ją, po czym rozejrzałam się po pokoju, z wielkim trudem przypominając sobie, jak tu trafiłam przed kilkoma godzinami (a może nawet dniami?). Ubrana byłam w workowatą beżową tunikę bez rękawów i czarne legginsy. Verena i Marlowe dały mi to, kiedy zeszyliśmy po schodach. Ubrania były w moim rozmiarze, więc przygotowano je specjalnie na moje przybycie. Verena podała mi swój telefon i kazała skontaktować się z osobami, które mogą zauważyć moje zniknięcie. Zadzwoiłam do matki i do Carmen. Poza nimi nie miałam nikogo. Zmyśliłam coś o wyjeździe integracyjnym z zespołem Kitty. Powiedziałam, że dowiedziałam się o tym w ostatniej chwili, bo Kitty zapomniała mnie zaprosić, co brzmiało bardzo wiarygodnie.

Potem Verena i Marlowe zostawiły mnie samą. Leżąc w łóżku, na granicy snu, przypominałam sobie twarz Leety na telebimach przy Times Square. Miałam nadzieję, że to była halucynacja.

Moją sypialnię w podziemnym mieszkaniu umeblowano w najprostszy, najbardziej minimalistyczny sposób. Meble i ściany były białe, pościel była biała, wszystko było białe – znajdowałam się we wnętrzu tabletki aspiryny.

W komodzie znajdowało się więcej beżowych sukienek i legginsów, a także piżamy i bielizna. Nie wiedziałam, co się stało z plecakiem, który ze sobą miałam, kiedy przyszłam do Domu Kaliope. Mój laptop, portfel i wszystko inne znajdowały się pewnie na górze, w świecie, który zostawiłam za sobą.

Na biurku leżał stosik książek, wśród nich *Przygody w Krainie Diet* i *Teoria ruchalności*. Był też kubek z kolorowymi długopisami i notes z wiadomością na wierzchu:

Plum, zobaczmy się jutro po południu.

Wypoczywaj.

Całusy,

V.

„Jutro po południu” nic dla mnie nie znaczyło. Nie miałam pojęcia, która jest godzina ani nawet jaki mamy dzień. W sypialni nie było okien ani zegara. Otworzyłam drzwi i wyjrzałam, a potem wyszłam na bosaka na korytarz. Panowała tu cisza, światła na suficie były przyćmione. Podziemne mieszkanie stanowiło labirynt korytarzy, w których panował półmrok. Idąc, przesuwałam rękami po ścianach, macając drogę.

Z wąskiego przejścia, przy którym położony był mój pokój, wchodziło się jeszcze do trzech innych sypialń; wszystkie były puste. Na końcu znajdowała się łazienka z toaletą, umywalką i wanną, ale bez lustra na ścianie. Za rogiem, po drugiej stronie kolejnego wąskiego korytarza, mieścił się ciasny aneks kuchenny z lodówką, mikrofalówką, zlewem, szafkami i stołem z krzesłami. Jak w pozostałej części mieszkania, tak i tutaj wszystko było białe jak tabletki aspiryny, ale w półmroku wydawało się matowe i szare. W szafkach znalazłam pudełka płatków śniadaniowych i krakersów; w lodówce – kubeczek z różowym jogurtem i kanapkę na talerzu: biały chleb z zieloną falbanką sałaty. Przypuszczałam, że kanapka przeznaczona jest dla mnie, ale nie miałam ochoty na jedzenie. Przed zejściem pod ziemię od ponad miesiąca odzwyczajalam się od Y..., co spowodowało utratę apetytu, przedtem zaś obsesyjnie trzymałam się diety punktowej. Nie pamiętałam już, kiedy ostatnio miałam pełny żołądek. Domyślałam się, że straciłam co najmniej trzynaście kilogramów, a może więcej.

Wyszłam z aneksu i kontynuowałam obchód. Skręciłam za róg i ruszyłam kolejnym ciemnym korytarzem pełnym szafek. Otworzyłam jedną z nich i zobaczyłam stosy białych ręczników i pościeli oraz kostki białego mydła. Już miałam zajrzeć do następnej, kiedy usłyszałam w oddali jakiś odgłos. Do tej pory wydawało mi się, że jestem sama. Zamknęłam ostrożnie szafkę

i wyteżyłam słuch. Usłyszałam jęki, stłumione krzyki, odgłosy, jakie mogłoby wydawać ranne zwierzę.

Podkraǳłam się na palcach do końca korytarza i wysunęłam głowę za róg, bojąc się tego, co tam zobaczę. Przede mną otwierał się kolejny korytarzyk, tym razem całkowicie czarny, nie licząc światła na samym końcu. Światło to było nierówne i migotało, przypominało widziane z daleka wyładowania elektryczne. Ruszyłam w jego kierunku. Odgłosy przybrały na sile, blask stał się bardziej jaskrawy – uniosłam rękę, żeby osłonić oczy, i przestąpiłam pod łukowatym przejściem.

Pomieszczenie było okrągłe, większe niż moja i pozostałe sypialnie razem wzięte. Na ścianach znajdowały się liczne monitory, wszystkie pokazywały to samo. Stałam pośrodku pokoju i obróciłam się w miejscu, zdezorientowana. Nie było tam innego światła prócz rozjarzonych ekranów. Pośrodku stały dwa składane krzesła. Usiadłam na jednym z nich.

Na ekranach widać było łóżko, na którym leżała naga kobieta i trzech nagich mężczyzn. Ich penisy znajdowały się w jej pochwie, odbycie i ustach. Po jakiejś minucie mężczyźni wyjęli członki i zamienili się miejscami, cały czas penetrując ją w trzech miejscach naraz. Odwracali się i przesuwali kobietę w taki sposób, żeby wszystko było widoczne w kamerze. W miarę trwania sceny kobieta wyglądała coraz gorzej, czarny makijaż wokół jej oczu rozmazał się pod wpływem spermy i potu. Była niczym spodnia część klocka Lego – jej ciało stanowiło tylko zestaw otworów na penisy.

Zerwałam się z siedzenia i cofnęłam. Tak się spieszyłam, żeby uciec z tego pokoju, że potknęłam się o drugie krzesło i upadłam na podłogę. Wylądowałam na prawym ramieniu i skrzywiłam się z bólu. Ścisnęłam je, przetoczyłam się na plecy i spojrzałam na sufit. Tam też były zamontowane ekrany. W piwnicy brakowało słońca, księżycy i gwiazd, ale tych ekranów było aż za dużo, oblewały mnie migoczącym blaskiem. Kobieta Lego spoglądała na mnie w dół, jakby uwięziona za szkłem; zdawała się mnie widzieć. Nie była piękna, ale domyślałam się, że do tej roli wymagano tylko tego, by miała wszystkie niezbędne części ciała. Kosmyki miedzianych włosów spadały na kościste ramiona, na jej głowie znajdował się krąg czarnych odrostów przypominający ciemną aureolę. Próbowалам sobie wyobrazić, jak wstaje z łóżka, wyciera się do sucha, ubiera i wychodzi z pozbawionej okien sypialni, ale nie potrafiłam. Poza tym pokojem nie miała prawa bytu, nie istniała bez członków, które wypełniały jej puste miejsca.

Pobiegłam korytarzem z powrotem do mojej sypialni, wciąż oślepiąona światłem z ekranów. Upłynęło niewiele czasu, ale zdążyłam się już

przyzwyczaić do mroku.

Nie wiedziałam, jaki był cel istnienia tamtego pokoju ani czy ktoś chciał, żebym zobaczyła, co wyświetlano na tych ekranach. Co to miało wspólnego z ostatnim zadaniem Nowego Programu Baptist? Myślałam, że najgorsze mam już za sobą, ale teraz nie byłam tego pewna.

Minęłam swoją sypialnię i poszłam dalej, do drzwi, do wyjścia z podziemnego mieszkania. Może łatwiej byłoby odejść niż dowiedzieć się, o co chodzi Verenie. Drzwi były z ciężkiej stali, szare i poplamione. Nie wiedziałam, czy są zamknięte na klucz, ale wyciągnęłam rękę do klamki i przeniknęło mnie zimno metalu.

Zastygłam, a potem puściłam klamkę i się cofnęłam. Wiedziałam, co czeka po drugiej stronie. Jeśli wyjdę na zewnątrz i wejdę po stromych stopniach, będzie tak, jakbym wyszła z podziemnego schronu po gwałtownej burzy. Będę musiała zmierzyć się z ruinami życia, którego teraz, po doświadczeniach Nowego Programu Baptist, nawet nie poznawałam. Tam, na powierzchni, nie miałam już pracy. Nie byłam pewna, czy chcę operacji. Nie mogłam się otrząsnąć z tego, co mnie spotkało w ostatnich tygodniach – upokorzenie, a nawet przemoc. Na dodatek nie chronił mnie już Y...

Moje życie było jak przewrócona torebka; monety, klucze i szminki rozsypały się po całej podłodze. Nie mogłam się zmusić, żeby się nachylić i to wszystko pozbierać, jeszcze nie teraz. Pomimo panującej tu ciemności i pokoju z ekranami łatwiej było pozostać pod ziemią niż się z tym wszystkim zmierzyć.

Zawiasy frontowych drzwi skrzypnęły, zapowiadając czyjeś przybycie.

– Jak się czujesz? – spytała Verena, stając na progu mojego pokoju.

Siedziałam na łóżku, bazgrząc w notesie. Podała mi mrożoną kawę w wysokim plastikowym kubku. Zielona słomka była jak źdźbło trawy, przypomnienie o lecie, które trwało na górze.

– Odpoczywam – powiedziałam, stawiając kubek na brzuchu, z którego zrobiłam sobie półeczkę.

Verena usiadła przy biurku na odwróconym ku mnie krześle i założyła nogę na nogę. Jej spódnica wyglądała jak stara halka, biały len był pożółkły, dziurki na dole wystrzępione.

– Miło mi to słyszeć. O to właśnie chodzi w ostatnim punkcie Nowego Programu Baptist. O nabranie dystansu i refleksję.

Zassałam przez słomkę łyk kawy.

– Znalazłam ten obrzydliwy pokój. O co tu chodzi?

Verena wyciągnęła z torebki swój notatnik i otworzyła go na kolanach, sięgając po długopis ze stojącego na biurku kubka.

– Nie mówmy o tym dzisiaj – powiedziała. – Na razie masz się nie zastanawiać nad tym pomieszczeniem. Chcę, żebyś spędziła tam trochę czasu i to *poczuła*.

W tym momencie wiedziałam już, że Verena zrobi wszystko we własnym tempie bez względu na to, jak będę na nią naciskać. Przeszłam więc do ważniejszej kwestii.

– Możemy porozmawiać o Leecie? Ciągle mam nadzieję, że jej twarz na Times Square to była halucynacja – powiedziałam, przypominając sobie ośpienie po lekach.

– No tak, zauważyłam, że wykradłś mi buteleczkę z dabsitafem. Mam nadzieję, że nie zamierzasz tego brać. To niebezpieczne.

Przypomniał mi się sen o tym, jak zostaję pożarta, i pokręciłam głową.

– Wzięłam raz, ale miałam potem koszmary.

– Jeśli to jedyny skutek, możesz się uznać za szczęściarę.

Verena potwierdziła, że Leeta na telebimie nie była halucynacją. Jej współlokatorka skontaktowała się z policją. Podobno Leeta wyznała jej, że wie, kim jest Jennifer, choć nie podała żadnych konkretów. Twierdziła też rzekomo, że nie może zapomnieć o czymś złym, co zrobiła, ale nie chciała powiedzieć, co to takiego. Następnego dnia zniknęła i współlokatorka zaczęła się martwić. Policja bardzo chciała porozmawiać z Leetą, ale nikt nie był w stanie jej odnaleźć, więc w mediach zaapelowano o informacje o miejscu jej pobytu.

– Mam nadzieję, że to wszystko tylko nieporozumienie. Spróbuj się tym nie przejmować. Wiem, że to dla ciebie straszny wstrząs – powiedziała Verena.

– Ale jak to może być nieporozumienie?

– Wczoraj zajrzała do nas Julia. Mówiła, że Leeta miała w zwyczaju znikać, więc to nic niezwykłego. Jej zdaniem tylko żartowała, że zna Jennifer. Podobno jest... no, jakiego to słowa ona użyła? – Verena spojrzała z namysłem na sufit. – Zakręcona. Stwierdziła, że Leeta musi po prostu wrócić do domu i wszystko wyjaśnić.

Wiedziałam z własnego doświadczenia, że Leeta naprawdę jest „zakręcona”, ale teraz jej zachowanie zdawało się wykraczać poza definicję tego słowa.

– Jeśli jest niewinna, to dlaczego nie wróciła?

Na to Verena nie miała odpowiedzi.

– Może się przestraszyła? Nie wiem, ale według Julii sam pomysł, że Leeta może być zaangażowana w jakąś przestępczą działalność, jest absurdalny.

O Leecie wiedziałam bardzo niewiele, lecz nie miałam najmniejszych wątpliwości, że Julia nie jest wiarygodnym źródłem informacji.

– Nie sądzę, żeby kłamała na temat Leety – powiedziała Verena, dostrzegając moją sceptyczną minę. Po czym dodała ciszej: – W każdym razie mam taką nadzieję.

Kiedy ostatnio widziałam Julię, nie chciała powiedzieć, czemu Leeta tak nagle przestała dla niej pracować; w ogóle odmówiła rozmowy na jej temat. We wszystkich moich kontaktach z Julią ważniejsze od tego, co mówiła, było to, co zatajała. Spytałam Verenę, czy nie przyniosłaby mi kopii doniesień prasowych, żebym sama mogła o wszystkim przeczytać. Nadal trudno mi było uwierzyć, że Leeta dała się wciągnąć w coś takiego, choćby przez przypadek.

– Dobrze, przyniosę je następnym razem – zgodziła się Verena – ale i tak powiedziałam ci wszystko, co w nich piszą. Nie ma tego wiele. Leeta jest dla ciebie kimś ważnym, prawda?

Miałam wrażenie, że głupio będzie odpowiedzieć twierdząco, bo przecież tak naprawdę wcale jej nie znałam. Ona poznała mnie o wiele lepiej niż ja ją. Była dla mnie równie tajemnicza jak dla ludzi, którzy oglądali jej twarz w wiadomościach, a jednak wiedziałam, że to właśnie ona doprowadziła mnie do podziemnego mieszkania. Wyjaśniłam to wszystko Verenie.

– Chciałam porozmawiać dziś z tobą o operacji i zapytać, czy podjęłaś jakąś decyzję – powiedziała Verena.

Operacja. Miałam wrażenie, jakby ten plan należał do odległej przeszłości, do innego życia, które prowadziła inna kobieta.

– Ale myślę, że zamiast tego powinnaś coś zobaczyć.

Podniosła z podłogi torbę i zaczęła w niej szperać. Wyciągnęła czerwony notes na spirali. Z początku go nie rozpoznałam. Podała mi go, a ja otworzyłam na pierwszej stronie i zaczęłam czytać:

18 maja: louise b. w kawiarni, pisze na laptopie. chyba jest zajęta pracą dla kocicy. siedzi tu już kilka godzin – ale nuda. dwóch nastolatków mówi coś do niej (co?) & się śmieje, ale ona nie zwraca na nich uwagi. chętnie bym im przywaliła. (chyba przyjaźni się z właścicielką kawiarni) pytanie: louise b. poszła dziś rano do kościoła. Dlaczego??

– „Louise B.”? – spytałam, nic nie rozumiejąc.

– Tak cię nazywała w notatkach. Twoja fryzura i czarne włosy skojarzyły jej się z tą aktorką z lat dwudziestych, Louise Brooks.

Ten pseudonim wydał mi się czarujący i przesunęłam rękami po notesie jak po bezcennym skarbie.

– Skąd to masz?

– Julia mi dała, kiedy wczoraj tu przyszła. Nie chciała, żeby w jej biurze pozostał jakikolwiek ślad po Leecie, tak na wszelki wypadek.

– Jaki wypadek?

– Wiesz, jaka z niej paranoiczka. Uważa, że policja podejrzewa ją o ukrywanie tajnych informacji o Leecie. Już wcześniej sądziła, że wszyscy w Austen coś do niej mają, a teraz na dodatek to.

Bez względu na powód cieszyłam się, że Julia przekazała Verenie notes Leety.

Verena zostawiła mnie samą, żebym mogła go przeczytać, zapowiadając, że niedługo wróci na kolejną sesję. Tylko jakieś dziesięć stron notesu było zapisanych – wypełniały je pełne zakrętasów litery nabazgrane niebieskim długopisem, który często widziałam w dłoni Leety. Teraz wreszcie się dowiem, co tak skrzątnie nim pisała.

21 maja: sukces!! wreszcie się dowiedziałam, dlaczego louise b. i tyle innych kobiet zagląda w ciągu tygodnia do tego kościoła. wcale nie są religijnymi fanatyczkami – gorzej, należą do strażników wagi. (!!) kościół wynajmuje im salkę spotkań na dole. teraz wiemy, że louise b. jest na diecie (też mi niespodzianka)

(jules, czy ty to w ogóle czytasz?)

22 maja: ciekawe, jakim cudem louise b. stać na mieszkanie w kamienicy w tej części brooklynu (??) pełno tu pretensjonalnych dupków. lepiej by jej było gdzie indziej (moim skromnym zdaniem). ale jak ona może sobie na to pozwolić? pensje w austen media są gówniane, a nie sądzę, żeby miała współlokatorkę (na skrzynce pocztowej tylko jej nazwisko). do tego jest za

sztynna jak na dilerkę prochów. bogata rodzinka? hmm, jakoś mi się nie wydaje.

23 maja: nigdy nie widziałam u louise b. nikogo z austen media. jules, raczej nie musisz się obawiać, że louise b. przyjaźni się z kimś z tej kliki. w ogóle nigdy nie widziałam, żeby rozmawiała z kimkolwiek spozakawiarni, nigdy nigdy nigdy. zawsze jest sama.

straszny dziś upał, ale louise b. ma na sobie długą spódnicę i bluzkę z długim rękawem. nigdy nie odsłania skóry, nie licząc dłoni, szyi i twarzy. wszystkie jej ubrania są czarne. idąc ulicą, ciągle patrzy w ziemię. biedna louise b., zawsze wygląda, jakby szła na pogrzeb.

cały dzień w kawiarni. nudy na pudy. (tyle że kawa dobra)

24 maja: cały dzień przesiedziała w tej kawiarni. w drodze do domu wstąpiła do supermarketu & zauważyłam kilka z rzeczy, które wrzuciła do koszyka:

– mrożone posiłki z diety punktowej: fettucine alfredo/

kurczak z ryżem po szanghajsku/ryba z frytkami

– jabłka

– tuńczyk w puszcze

– beztłuszczowy jogurt jagodowy (!)

– beztłuszczowy majonez (!)

– laseczki lukrecji (o co tu chodzi?)

w dziale mrożonek dwóch białych gostków (około 25 lat, chudzi z zarostem) zrobiło jej od tyłu zdjęcie telefonem. śmiali się z niej. nic nie zauważyła. chujki.

w drodze do domu; louise b. spytała, czy ją śledzę (oj!). muszę popracować nad techniką. (zgrywałam głupa).

25 maja: bla bla bla, bla bla bla. wszystko po staremu. louise b. poszła do kawiarni, pracowała na komputerze, wróciła do domu. po co tak haruje dla kocicy (tej patronki dziewcząt, świętej panienci od nastoletnich problemów, królowej austen media!)? stać ją na więcej.

(jules, mówiłam ci o tej plotce, która rozeszła się na 4. piętrze? podobno kocica jest tak naprawdę lesbijką, a jej facet to tylko fasada. ha! to by tłumaczyło jej nową kolumnę – „dlaczego tak trudno zrozumieć chłopaków?” he he he)

7.00 wieczorem. jestem pod domem louise b. światła włączone, zasłony zaciągnięte. nie wytknie nosa na zewnątrz. Nigdy nigdzie nie wychodzi. Zmywam się.

26–28 maja: długi weekend. siedziałam pod jej domem całymi GODZINAMI. jules, masz szczęście, że wzięłam sobie dobrą muzykę, ale zaczyna mnie to nudzić. tu nie ma czego obserwować. w sobotę wyszła na trochę, ale nic poza tym. taki ładny dzień, a ona siedzi za zaciągniętymi zasłonami. jakbym miała tak żyć, tobym się pochlastała. przez louise b. nabawię się depresji.

wiem, że zabroniłaś mi z nią rozmawiać, ale zamierzam jej dać książkę twojej koleżanki vereny. słuchaj: louise b. potrzebuje kopa w dupę. kiedy ją obserwuję, mam wrażenie, jakbym patrzyła na zwierzę w zoo, tylko że ona nie wie, że jest w klatce, nie widzi krat. naprawdę sądzę, że gdybym wróciła tu za 30 lat, ona nadal żyłaby dokładnie w ten sam sposób – wciąż na diecie, wciąż sama, wciąż wykonując pracę poniżej swoich możliwości. zasługuje na coś więcej. jules, ja ją lubię. może i mnie przygnębia, ale ją lubię. nie złość się, że daję jej tę książkę, ok?

mój werdykt: myślę, że możesz jej zaufać ze szpiegowaniem kitty. być może nie zgodzi się tego robić, ale nie zaszkodzi spytać. przyciśnij ją trochę. może tego właśnie jej potrzeba??

ps fajnie by było, gdyby poznała twoją znajomą verenę. jules, mogłabyś to zaaranżować? pięknie proszę!

Chciewie przeczytałam cały notes, chłonełam każdą linijkę. Uwagi Leety na mój temat bolałyby bardziej, gdybym zobaczyła je kilka miesięcy temu, ale od kiedy poznałam Verenę i resztę, słuchanie brutalnych opinii na temat mojego życia stało się dla mnie normą.

Podczas swoich obserwacji Leeta dowiedziała się całkiem sporo, ale nie poznała całej prawdy. Nie wiedziała o operacji, o moim planie ucieczki. Wcale nie zamierzałam spędzić kolejnych trzydziestu lat w tym samym miejscu, żałując niespełnionych marzeń, przeżywając życie tylko połowicznie. Wiedziała jednak, że ona nie taką ucieczkę sobie dla mnie wymarzyła: nie chodziło jej o operację i utratę wagi, o możliwość wtopienia się w tłum. Leeta nie należała do ludzi, którzy lubią się wtopiać.

Marginesy notatnika były ozdobione rysunekami motylków i stokrotek, a w jednym miejscu był też ludzik z kresek wiszący na linie. Znowu pomyślałam o twarzy Leety na telebimie przy Times Square. Nie była prawdziwa – nie mogła być. Nie wiedziałam, gdzie Leeta się znajduje ani co

zrobiła, ale to ona doprowadziła mnie do Vereny. Jej notatki były jak historia mojego życia, lecz brakowało kolejnych rozdziałów. Leeta zaczęła tę powieść, choć nie poczekala, żeby poznać jej koniec. Otworzyłam notes na czystej kartce. Zaczęłam pisać o Nowym Programie Baptist i o podziemnym mieszkaniu. Zamierałam sama opowiedzieć swoją historię. Lecz dotarło do mnie, że nie mam pojęcia, jak będzie wyglądać jej zakończenie.

Rankiem – albo w porze, którą postanowiłam uznać za ranek – wzięłam prysznic w łazience bez luster i ubrałam się w nowy komplet ubrań z szafki. Nigdy nie spędziłam tyle czasu, nie widząc swojego odbicia. Przyglądałam sobie włosy, ciekawa, jak wyglądają.

Poszłam do kuchni, żeby napić się wody, i zobaczyłam, że ktoś tam był. Na stole stał talerz z bułeczką cynamonową i ciastkiem francuskim z wiśniami; obok zobaczyłam butelkę soku pomarańczowego, batonik z granoli i banana. W pomieszczeniu przyjemnie pachniało masłem i lukrem, ale nadal nie miałam ochoty nic jeść. Na stole leżała także teczka. Otworzyłam ją i znalazłam w środku artykuły o Leecie.

LEETA ALBRIDGE POWIĄZANA Z „JENNIFER”?

NOWY JORK: [...] Otrzymałszy informację od współlokatorki, której tożsamość nie została ujawniona, policja prowadzi poszukiwania Leety Albridge celem przesłuchania [...]. Według agenta Lopeza z FBI współlokatorka twierdzi, iż Albridge wyznała, że zna tożsamość „Jennifer”. Albridge mówiła także, że zrobiła „coś złego”, lecz nie podała szczegółów [...]. Policja nie odkryła żadnych innych osób powiązanych z tą niezwykłą serią przestępstw, dlatego Albridge stała się twarzą tajemniczej grupy określanej w mediach jako „Jennifer”, choć nie ma żadnych dowodów, że naprawdę do niej należy [...].

ZNIKNIĘCIE LEETY ALBRIDGE

AMHERST, MASSACHUSETTS: Wczoraj wieczorem rodzina pochodzącej z Amherst Leety Albridge, 23 l., wzięła udział w konferencji prasowej [...]. „Leeto, wróć. Wiemy, że nie jesteś przestępczynią”, apelował jej ojciec, Richard Albridge [...]. „Ona nie skrzywdziłaby nawet muchy”, mówiła matka Albridge, Ruth [...]. Starszy brat przyrodni poszukiwanej, Jakob Albridge, strzelec wyborowy policji hrabstwa Hampshire, powiedział, że uczył siostrę strzelać z broni palnej, lecz „nie miała do tego żadnego talentu” [...]. Latem zeszłego roku Albridge ukończyła studia na Uniwersytecie Kalifornii Południowej i przeniosła się do Nowego Jorku [...]. Jako studentka w Los Angeles pracowała

ochotniczo z ofiarami gwałtów. Jesienią planowała rozpoczęcie studiów magisterskich w rodzinnym stanie Massachusetts [...].

SZOK W AUSTEN! OBAWY W ZWIĄZKU ZE STAŻYSTKĄ Z „JENNIFER”

NOWY JORK: [...] Tuż przed zniknięciem Albridge zrezygnowała ze stażu w Austen Media [...]. Członkowie redakcji lubili młodą ciemnowłosą kobietę, choć jedna z redaktorek wspomina, że Albridge miała skłonności do „wtykania nosa w nie swoje sprawy”. Asystentka redakcji „Glamour – Panna Młoda” twierdzi, że widziała, jak Albridge kseruje listę adresów domowych i numerów telefonów pracowników czasopisma [...]. Dyrektor Austen Media, Stanley Austen, złożył wyrazy uznania blisko 300 stażystom pracującym bezpłatnie dla korporacji, twierdząc, że nie ma wśród nich osób gwałtownych ani kierujących się interesem politycznym [...]. Pracownicy Austen Media mają możliwość skorzystania z pomocy psychologa [...]. Julia Cole, była przełożona Albridge z działu kosmetycznego, zaprzecza, jakoby Albridge mogła dopuścić się jakiegokolwiek przestępstwa [...]. „Jestem po prostu wstrząśnięta tym, że jej imię jest kojarzone z Jennifer”, powiedziała Cole. „Leeta ma przed sobą świetlaną przyszłość w dziedzinie zarządzania kosmetycznego. Wiem, że jej niewinność zostanie udowodniona”.

Julia. A więc wykurzono ją z cienia w światło reflektorów. Byłam ciekawa, co się z nią stanie.

Przeczytałam te artykuły po kilka razy, usiłując zobaczyć w Leecie z wiadomości młodą kobietę, która pisała o mnie w notesie. Notatnik, pomimo ciętych spostrzeżeń, był też bardzo dziewczynski i pod pewnymi względami przypominał mi listy do Kochanej Kitty. Zakrawało na absurd, by Leeta mogła wiedzieć cokolwiek o tajemniczej Jennifer, ale musiałam przyznać, że jej zachowanie, w każdym razie tak jak je opisano w tych artykułach, było podejrzane.

Zabrałam teczkę z kuchni i wyszłam na korytarz. Wypełniały go te same odgłosy co poprzedniego dnia. Tym razem były donośniejsze. Czy osoba, która przyniosła wycinki z gazet i jedzenie, wciąż znajdowała się w mieszkaniu? Żołądek mi się ścisnął na samą myśl o tamtym pomieszczeniu.

Ruszyłam ciemnym korytarzem w kierunku światła i przeszłam pod łukowatym przejściem do okrągłego pokoju. Na ekranach widać było Stellę Cross, nie martwą, lecz pełną życia i energii. Nigdy dotąd nie widziałam jej w akcji. Wiła się nago na łóżku, a potem kamera zrobiła zbliżenie na jej srom,

obramowany wewnętrznymi stronami białych ud. Ten obraz, powtórzony na wszystkich ekranach, kojarzył mi się ze stadem białych gołębi o rozłożonych skrzydłach.

Do pochwy Stelli wchodziły kolejno różne rzeczy: męski członek, sztuczny penis, a potem inne przedmioty: butelka coli, paciorki rózańca, męska pięść. Zacisnęłam powieki, chcąc wymazać z głowy te obrazy, ale czułam się tak, jakby wagina Stelli była wypalona w moim umyśle. Stella miała między nogami wyłącznie sterylną szparkę, jak otwór na monetę w automacie ze słodyczami. Wszystkie kobiety, które widziałam na tych ekranach, wyglądały w ten sposób. Ale ja nie.

Przypomniałam sobie inny ekran: moje łono na monitorze ultrasonografu.

Nie uchylając powiek, odwróciłam się do wyjścia i na kogoś wpadłam.

– Nie zamykaj oczu – powiedział czyjś głos. – W tym pokoju chodzi właśnie o to, żeby mieć oczy szeroko otwarte.

Przede mną stała kobieta z poparzoną twarzą. Uśmiechała się łagodnie. Widziałam ją w Domu Kaliope tamtego dnia, kiedy pod kierunkiem Marlowe rozpoczęłam proces przemiany. Jadła wtedy jabłko. Wydała mi się cyrkowym dziwadłem.

– Przepraszam, że cię przestraszyłam. Jestem Sana – powiedziała.

Wymawiała to „SaNA”, z akcentem na drugą sylabę. Wcisnęła guzik na panelu kontrolnym przy wejściu i wyciszyła dźwięk, ale obraz nadal się wyświetlał. Bez kontekstu, który zapewniały odgłosy, niektóre sceny wyglądały jak z horroru – twarze kobiet wykrzywiały się jakby w wyrazie przerażenia.

– Nie możesz wyłączyć tego porno? – spytałam.

– Nie da się tego wyłączyć – odparła. – Leci na okrągło.

Najwyraźniej pornografia była dla tego pomieszczenia jak tapeta.

Sana powiedziała, że pracuje na górze z Veroną i że to ona przyniosła mi śniadanie i artykuły z gazet. Wyglądała, jakby pochodziła z Bliskiego Wschodu, i mówiła ze śladem obcego, ale miłego dla ucha akcentu. Oparzenia pokrywały tylko jedną stronę jej twarzy – domyślałam się, że Sana doznała ich w pożarze. Skóra pod jej prawą kością policzkową wydawała się zapadnięta, niczym odkształcona glina na kole garncarskim. Blizny rozchodziły się z twarzy na szyję i niknęły pod ubraniem. Lewa strona była jednak nieskazitelna, przez co Sana miała dwa różne profile.

Nie wiedziałam, gdzie podziąć oczy. Czułam się tak niezręcznie, że prawie odwróciłam się z powrotem do ekranów, żeby skupić wzrok na czymś innym. Gapienie się na spalone ciało Sany byłoby niegrzeczne, ale unikanie tego widoku również mogło zostać tak odebrane.

– Martwi mnie, że nic nie jesz – powiedziała Sana. – Nawet nie tknęłaś tego, co ci zostawiłyśmy.

Niepokoiliła się o mnie, choć w ogóle mnie nie знаła.

– Nie mam apetytu.

– Jak nic nie zjesz, to się rozchorujesz. Przyniosę ci na lunch coś smacznego. Masz ochotę na burrito?

– Nie chce mi się jeść.

– To może coś z kuchni wietnamskiej? Albo tajskiej? Będę wymieniać kolejne kraje Azji Południowo-Wschodniej, dopóki nie powiesz, co byś chciała.

– Chciałabym opuścić ten pokój.

– Nie wychodź – poprosiła Sana. – Wiem, że to pomieszczenie jest zwariowane i nienormalne, ale jest też konieczne. To Marlowe je stworzyła.

Na dźwięk jej imienia wszystko natychmiast nabrało sensu.

– Mogłam się domyślić.

Poczułam się jak idiotka, że sama na to nie wpadłam.

– Właśnie tutaj napisała *Teorię ruchalności*, a teraz pracuje tu nad drugim tomem. Mówi, że jeśli chce się napisać książkę o seksualizacji i uprzedmiotowaniu kobiet, to trzeba z tym stanąć twarzą w twarz. Mówi, że zbyt wiele kobiet odwraca wzrok. Zamykają na to oczy, tak jak ty.

Moje oczy były teraz otwarte. Na ekranach Stellę Cross zastąpiła inna kobieta. Jakiś mężczyzna wepchnął jej członek do gardła tak głęboko, że poczerwieniała na twarzy. Krztusiła się, jakby miała wymiotować. Mężczyzna przechodził w ten sposób od kobiety do kobiety. A one ustawiały się jak pisklęta z otwartymi dziobkami, przyjmując wszystko, co w nie wpychano.

– Czy bycie ruchalną koniecznie musi oznaczać przemianę w coś takiego? – spytałam, wskazując otwarte usta na ekranie. Żadnej twarzy, żadnego ciała, tylko wargi należące do anonimowej kobiety.

– Myślisz o tym zbyt dosłownie – powiedziała Sana. – Wyobraź sobie

raczej, że ten pokój jest niczym zerwana zasłona.

Wolałabym, żeby ta zasłona pozostała na miejscu. Odsunęłam się od Sany i schroniłam w łukowatym przejściu.

– Masz szczęście, że możesz to oglądać – powiedziała.

Rzuciłam jej sceptyczne spojrzenie.

– Kobiety przyjeżdżają z całego świata, żeby zobaczyć ten pokój – ciągnęła. – Na dzień przed twoim przybyciem wyjechały stąd dwie egipskie aktywistki. Były u nas przez dwa tygodnie, przesiadywały tutaj dniem i nocą, praktycznie tu zamieszkały. Nigdy już nie będą takie same.

– W to nie wątpię.

– Nie, ale to dobrze – wyjaśniła Sana. – One zmieniają świat. Na tym polega moc tego pokoju. Ale faktycznie trzeba zachować ostrożność.

Opowiedziała mi o pewnej doktorantce z Toronto, która spędziła tutaj tydzień. Którejś nocy obudziła swoimi krzykami cały Dom Kaliope. Znaleźli ją na środku Trzynastej Ulicy. Rwała sobie włosy z głowy. Karetka zabrała ją do zakładu psychiatrycznego.

– Kilka dni później jej matka zadzwoniła do Marlowe i powiedziała, że jej córka zupełnie postradała rozum – dodała Sana. – Oczywiście Marlowe pokryła wszystkie koszty leczenia. Chodzi mi o to, że tego pokoju trzeba doświadczyć, ale nie wolno przesadzić.

Nie było takiego ryzyka. Wystarczyło kilka minut w tym pomieszczeniu, a dostawałam zawrotów głowy. Nawet nie patrząc wprost na żaden z ekranów, widziałam nagrania kątem oka – rozmyte rytmiczne ruchy, pchnięcia miednicy, brutalność. Ta repetycyjność budziła wrażenie kołysania się w przód i w tył, jakbym znajdowała się na statku, unosila na morzu. Oparłam się o ścianę pod łukiem przejścia, żeby nie upaść.

Na ekranie znowu pojawiła się Stella Cross.

– Dlaczego Marlowe puszcza tyle Stelli? – spytałam, oddychając głęboko, żeby zapanować nad mdłościami.

– Marlowe nie kontroluje tego, co się tu wyświetla. Wszystko jest puszczone bezpośrednio z Porn Hub U.S.A. W tej chwili masy mężczyzn i chłopców na całym świecie siedzą z gaciami przy kostkach i masturbują się przed filmami z martwą kobietą – powiedziała Sana. – W innej epoce jakiś wielki poeta mógłby napisać o tym balladę.

Stojąc na środku pokoju, Sana z jej brązową skórą i poparzoną twarzą

wydawała się nie pasować do otaczających ją fragmentów białych ciał, tak identycznych, jakby odlano je z jednej formy. Jej obecność napełniła mieszkanie inną energią. Sana była gadatliwa, życzliwa i wydawała się aż nazbyt pełna życia jak na to mroczne podziemne miejsce. Wolałabym poznać ją na górze.

– Często schodzisz tu na dół? – spytałam.

– Kiedy muszę. Wszystkie kobiety z Domu Kaliope tu przychodzą.

Gdy znowu zobaczyłam na ekranie Stellę Cross, pomyślałam o „Jennifer”, co z kolei przypomniało mi o Leecie, która zawsze znajdowała się na obrzeżach moich myśli. Czy Leeta kiedykolwiek była w pokoju Marlowe?

– Nie – powiedziała Sana, gdy ją o to spytałam. – Dostęp do tego pomieszczenia jest ściśle kontrolowany. Marlowe nigdy nie spotkała Leety, a nikomu nie pozwala tu wchodzić, o ile sama nie spotka się najpierw z daną osobą i nie nabierze pewności, że nic jej się nie stanie. Raz popełniła błąd, ale myślę, że co do ciebie się nie myliła.

– Jak to?

– Mówiła, że jesteś silna. Że masz w sobie wolę przetrwania.

Trudno mi było pojąć, że te słowa mogą się odnosić do mnie.

– Ja tego tak nie widzę – odparłam.

– Trudno się żyje w takim ciele, prawda? W każdym razie w tej kulturze, w otoczeniu tylu nienawistnych dupków. Nie było ci łatwo. Każdy, kto przeżyje coś takiego, musi być silny.

Odwróciłam się od Sany i ekranów i spojrzałam na chwilę w przeciwnym kierunku, w stronę ciemnego korytarza, uspokajającej czerni. Zawsze miałam się za kogoś, kto zwyczajnie egzystuje. Ale Marlowe uważała, że mam w sobie siłę. Leeta, Verena, Marlowe – odkąd je poznałam, patrzyłam na otaczający mnie świat zupełnie innymi oczami.

Minęły kolejny dzień i kolejna noc, w każdym razie tak mi się wydawało. Żyłam zgodnie z rytmem własnego ciała – spałam, kiedy byłam zmęczona, piłam, kiedy byłam spragniona. Wreszcie zaczął się też budzić głód. Tak długo nie dostarczałam organizmowi składników odżywczych, że w ogóle nie miałam energii i tylko siłą woli dowlokłam się z sypialni do łazienki. Bez lusterka nie mogłam się obejrzeć, ale wiedziałam, że włosy mam splątane i w strąkach. Zapewniono mi tylko podstawowe wyposażenie: pastę do zębów i mydło, szczotkę do włosów. Nie miałam dezodorantu, suszarki, golarki,

pęsety ani nic do makijażu. Przesunęłam językiem nad górną wargą i poczułam drapanie włosków. Powoli wracałam do naturalnego stanu.

Większość czasu spędzałam na pisaniu w notesie Leety, który sobie przywłaszczyłam. W głowie odtwarzałam od początku Nowy Program Baptist: lekarz i jego czarny marker, mężczyzna na stacji metra, randki w ciemno, sen pod wpływem dabsitafu. Czułam się upokorzona i smutna, ale było we mnie także coś innego, jakieś uczucie, któremu nie umiałam jeszcze nadać nazwy.

Kiedy wreszcie pojawiła się Verena, miałam za sobą dzień spędzony w większości na pisaniu dziennika.

– Gotowa do rozmowy? – spytała, siadając na krześle przy biurku.

Tak, byłam gotowa. Verena spytała, czy przeczytałam zapiski Leety. Potwierdziłam. „biedna louise b., zawsze wygląda, jakby szła na pogrzeb”. Były tam uwagi, których nigdy nie zapomnę.

– Co widziała Leeta, kiedy na ciebie patrzyła? – zaczęła Verena.

– Kobietę, która cierpi.

– Ja też to widzę. Nosisz w sobie dużo bólu, Plum. Wyobrażasz sobie, że kiedykolwiek mogłabyś się go pozbyć?

– Bólu nie można się pozbyć. To nie balon, który da się wypuścić, żeby uleciał w niebo.

– No dobrze, ale wyobraź sobie na chwilę, że tak właśnie jest. Możesz umieścić swój ból w balonie i go wypuścić. Żeby odleciał. Jak się czujesz?

Gdybym pozbyła się bólu, pozostałaby po nim tak wielka pustka, że przestałabym istnieć. To ja byłabym ulatującym w niebo balonem, a nie odwrotnie. Nic by mnie nie trzymało na ziemi, moje stopy nie miałyby oparcia. Ból był moją grawitacją.

– Bez bólu nie byłabym już sobą.

– Ból zajmuje dużo miejsca – powiedziała Verena. – Ale można je wypełnić czymś innym. Na przykład miłością. Podczas naszej pierwszej sesji powiedziałaś, że chcesz być kochana.

– Nie wyobrażam sobie, że ktoś mógłby mnie pokochać, jeśli nadal będę tak wyglądać.

– Tylko dlatego, że nigdy nie *pozwoliłaś* sobie tego wyobrazić. Jak ktokolwiek może cię pokochać, jeśli ty sama się nienawidzisz?

– Wiem, czego chcesz, Vereno. Chcesz, żebym zrezygnowała z operacji, żebym taka pozostała. – Przesunęłam rękami po swoim ciele. – Prosisz mnie, abym żyła życiem, którym nie umiem żyć.

– Dom Kaliope jest pełen kobiet, które wybrały inną drogę. To nie jest niemożliwe.

– Więc musiałabym na resztę życia zamieszkać w Domu Kaliope?

– Oczywiście, że nie. Myśl o nim bardziej jako o przystanku.

Podniosłam notes z łóżka obok siebie, gdzie go odłożyłam, i przejrzałam kartki zapisane obserwacjami Leety, tymi o facetach, którzy robili mi zdjęcia w sklepie i się ze mnie śmiali, o szydzących ze mnie nastolatkach.

– Myślę, że bycie grubą ma swoje zalety – stwierdziłam.

Dobrze było wymówić słowo „gruba”. Zawsze go unikałam, ale miało w sobie tę samą siłę i moc co „kurwa” – było to słowo zakazane, język wibrował mi na podniebieniu, kiedy wypluwałam dźwięczne „r”: *gruba*.

– Dzięki temu wiem, jak okropni są ludzie – ciągnęłam. – Gdybym wyglądała jak normalna kobieta, chociażby tak jak ty, nigdy bym się nie dowiedziała, jacy są okrutni i płytki. Dostrzegam inną stronę ludzkości. Ci faceci, z którymi mnie umówiłaś, traktowali mnie, jakbym nie była w pełni człowiekiem. Gdybym była szczupła i ładna, pokazaliby mi inne oblicze, fałszywe, ale ponieważ wyglądam tak, jak wyglądam, wiem, jacy są naprawdę.

– Wytłumacz mi, dlaczego to zaleta.

– To jak magiczna moc. Mogę przejrzeć maskę i zobaczyć prawdziwego człowieka pod spodem. Nie żyję w kłamstwie, w przeciwieństwie do wielu innych kobiet. Nie jestem głupia.

– Czy Alicia jest głupia?

– Alicia pragnie akceptacji ze strony tych strasznych ludzi.

– A czego pragnie Plum?

– Nie mów już o mnie w trzeciej osobie. To moje prawdziwe życie. Już teraz je przeżywam, pamiętasz?

– No dobrze, więc czego ty pragniesz?

– Nie zależy mi na ich akceptacji.

– Przedtem jej chciałaś.

– No ale teraz już nie chcę. Niech się jebią.

– Wydajesz się wściekła.

– Bo jestem wściekła. – Właśnie tego słowa brakowało w moim dzienniku.

– Ale czy celem Nowego Programu Baptist nie było właśnie doprowadzenie mnie do wściekłości? O to przecież chodziło w tych konfrontacjach i randkach w ciemno.

– Nie wiedziałam, jak zareagujesz na ten program. Nie wykluczałam możliwości, że wzmocni on w tobie pragnienie poddania się operacji.

– Nie zrobił tego.

– Zawsze byłaś wściekła, Plum. Ja tylko chcę, żebyś skierowała tę wściekłość na to, co ją spowodowało, a nie przeciwko sobie.

Verena nadal próbowała mi pomóc, choć tyle już dla mnie zrobiła, i byłam jej wdzięczna, ale czasem nie potrafiłam się na nią nie irytować. Ona nie miała pojęcia, jak to jest być mną, pomimo całej swojej empatii. Dzieliła nas linia, ta sama linia, która przebiegała pomiędzy mną a większością ludzi.

– Chciałabym zostać teraz sama – powiedziałam.

Położyłam się na boku i oparłam głowę na poduszce, zwijając się w kłębek i nakrywając kołdrą.

Verena nie oponowała. Podniosła się i pozbierała swoje rzeczy. Wychodząc, położyła na szafce nocnej, tuż przed moją twarzą, kawałek papieru. Był to czek na dwadzieścia tysięcy dolarów.

– Czemu dajesz mi to właśnie teraz?

– Już czas – odparła. – Wykonałaś ostatnie zadanie Nowego Programu Baptist. Nieważne, co postanowisz zrobić ze swoim życiem. Tak się umówiliśmy. A baptystka zawsze dotrzymuje słowa.

Wzięłam czek i popatrzyłam na wszystkie zera.

– Jeśli nie poddam się operacji, będę musiała pożegnać się z Alicią. Będzie mi jej brakować. Czy to nie głupie?

– Będziesz ją opłakiwać – powiedziała Verena. – A potem będziesz żyć dalej.

Kiedy odeszła, nakryłam głowę kołdrą i zaczęłam płakać. Przyniosło mi to ulgę. Płacz istniał poza myśleniem, poza słowami. Dobrze mi zrobił. Kiedy już się wypłakałam, zaczęłam się zastanawiać nad tym, co powiedziała Verena. Balon w mojej wyobraźni był czerwony jak ściany Domu Kaliopie.

Pomyślałam o wszystkich bolesnych rzeczach, które mogłabym do niego włożyć. Wyobraziłam sobie, że go wypuszczam, a on ulatuje wysoko.

– Puk, puk.

Sana weszła do sypialni, niosąc białe pudełko. Spałam, ale teraz podniosłam głowę z poduszki.

– Która godzina?

– Koło czwartej po południu.

Sana postawiła pudełko na biurku. Usiadłam z trudem; podejrzewałam, że twarz mam czerwoną od płaczu. Oczy nadal wydawały się opuchnięte.

Sana miała na sobie luźne spodnie i białą koszulkę, a na nogach trampki. Jej ciało nie było ani szczupłe, ani grube, ale gdzieś pośrodku, lekko zaokrąglone i mocne, pełne siły. Pachniała jak świeże powietrze i słońce.

– Musisz coś zjeść – stwierdziła i nie była to sugestia.

Wyjęła z pudełka talerzyk z ciasteczkami oraz innymi wypiekami, a także pojemnik z czymś, co, jak powiedziała, było kremem szafranowym. Odsunęła na bok książki, w tym *Przygody w Krainie Diet Vereny*, żeby zrobić miejsce.
– Jak nie będziesz jeść, to się rozchorujesz.

– Sama to wszystko zrobiłaś?

– Żarty sobie robisz? – Położyła na serwetce nóż, widelec i łyżeczkę. – Przy Siódmej Alei jest taka perska piekarnia, którą lubię. Pomyślałam, że przyniosę ci coś specjalnego.

Doceniałam jej życzliwość, ale byłam skrupowana.

– Muszę opłukać twarz. Okropnie się czuję.

– Nie spiesz się.

W łazience ogarnęła mnie nagła potrzeba, żeby wziąć prysznic. Miałam ochotę umyć się od stóp do głów. Stałam w strumieniach wody, otoczona parą i gorącym, o wiele dłużej, niż to było konieczne. Zostałam odcięta od letniego słońca, a to było najlepsze, czym mogłam je zastąpić.

Kiedy wróciłam do swojego pokoju, wypieki oraz naczynie z kremem stały na stoliku, ale Sana zniknęła. Podniosłam palcami kawałek ciasta – białego biszkoptu z lukrem posypanego kruszonymi pistacjami. Kiedy go ugryzłam, poczułam smak kardamonu i wody różanej. Cudowne uczucie szybko rozprzestrzeniło się z moich ust do żołądka, wypełniając pustą przestrzeń, i pochłonęłam ciasto w trzech kęsach. Czuję się jak w niebie, niemal

widziałam dookoła siebie anioły.

Jadłam i jadłam. Znowu pomyślałam o karmionych pisklakach, ale tym razem było inaczej. Nie przejmowałam się liczeniem kalorii. Nie miałam czasu na matematykę. Nigdy jej nie lubiłam. Wkładałam do ust kawałki filo z miodem i orzechami; smażone w głębokim tłuszczu ciasto było słodzone syropem, a miękkie ciasteczka przyprawiono kokosem i migdałami. Maczałam je w kremie szafranowym. Przenikała mnie wibrująca rozkosz. Z każdym kęsem otrząsałam się z letargu i czułam się coraz bardziej jak normalny człowiek.

Kiedy skończyłam, położyłam sobie ręce na brzuchu, nie mogąc zapanować nad uśmiechem. Po kilku minutach zachciało mi się pić, więc poszłam do aneksu kuchennego i wypłam dwie szklanki wody. Wychodząc, usłyszałam, jak odgłosy z pokoju Marlowe przybierają na sile, a potem nagle cichną.

– Sana, jesteś tam? – zawołałam.

– Tak!

Po raz ostatni ruszyłam ciemnym korytarzem do okrągłego pomieszczenia, najedzona i zadowolona. Sana siedziała na jednym z krzeseł na środku pokoju.

– Nie wiem, jak ty możesz tu wytrzymać – powiedziałam.

– Czasami wyobrażam sobie, że to mój kościół.

– Nie rozumiem.

Zauważyłam, że podczas rozmów z kobietami z Domu Kaliopie często zdarzało mi się nie rozumieć.

– No wiesz, chrześcijanie wierzą, że Chrystus umarł za ich grzechy, prawda? I robią o tak. – Wykonała znak krzyża. – Dla mnie ten pokój jest właśnie czymś takim. Przypomina mi najważniejszą prawdę w moim życiu. Czasem trzeba ją sobie na nowo uświadomić.

Nie odpowiedziałam, ale spojrzałam na nią pytająco, sygnalizując, że potrzebuję objaśnienia. Sana podniosła się z krzesła i podeszła do mnie.

– Ty i ja nigdy nie będziemy wyglądać tak, jak powinny wyglądać kobiety.

Ty i ja. Jeszcze kilka tygodni temu takie porównanie wprowadziłoby mnie w rozpacz, ale teraz rozumiałam, o co jej chodzi.

– Twoim zdaniem jesteśmy takie same?

– Zasadniczo owszem. Różnimy się od innych w sposób, którego nie da się ukryć. Nie możemy tego zamaskować ani udawać, że to nieprawda. Nigdy nie spełnimy oczekiwań społeczeństwa co do tego, jak kobiety powinny wyglądać i jak się zachowywać, ale czemu mamy uznawać to za tragedię? Jesteśmy wolne, możemy żyć tak, jak chcemy. Taka świadomość wyzwala, tylko trzeba się nauczyć patrzeć na to w odpowiedni sposób.

Linia, która oddzielała mnie od większości ludzi, nie istniała pomiędzy mną a Saną. Zapragnęłam dotknąć jej twarzy. Nie spytałam, czy mogę, po prostu położyłam dłonie po obu stronach, dotykając blizny i czując pod palcami gładkie perłowe ciało. Moje ręce napełniły się ciepłem emanującym z jej skóry. W jej źrenicach widziałam maleńkie odbicia ekranów, jak białe plamki. Zamrugła i zniknęły.

– Dziękuję, że mnie nakarmiłaś.

– Nie ma za co, Śliweczko. Nie masz nic przeciwko temu, żebym cię tak nazywała?

– Nie przeszkadza mi to.

– Mam nadzieję, że wkrótce zobaczymy się na górze – powiedziała Sana.

Zostawiła mnie samą w otoczeniu ekranów. W pierwszym odruchu chciałam się odwrócić, ale prosiła przecież, żebym tego nie robiła. Pokój wypełniały tamte sterylne szparki, wrota świata.

Szparki zniknęły, a zamiast nich pojawiła się naga młoda kobieta, która klęczała na trawie. Znajdowała się w ogrodzie albo w parku, a dookoła niej stała grupa mężczyzn. Widać ich było tylko od pasa w dół, a ich głosy były stłumione i niewyraźne. Kolejno wpychali członki w usta młodej kobiety. Chwyтали jej ciało, szarpali za włosy i odciągali jej głowę do tyłu. Była mokra od ich płynów, lecz mimo to nadal się uśmiechała – ta wzbudzaczką masowej erekcji – a obraz jej ciała transmitowany był na cały świat do odbiorców Porn Hub U.S.A. Scena trwała i trwała, dopóki wszyscy mężczyźni nie doszli. Na koniec młoda kobieta wytarła sobie z oczu spernę.

Sana ucieszyłaby się z tego, że nie odwróciłam wzroku. To, co zobaczyłam, było dla mnie zaskoczeniem. Nawet gdybym chciała, nie mogłabym się odwrócić od tej młodej kobiety klęczącej na trawie. Miałyśmy ze sobą coś wspólnego. Jeśli istniało jakieś spektrum, to ona się w nim znajdowała, i ja także, i wszystkie inne znane mi kobiety. Była w nim również Eulayla Baptist przedzierająca się przez zdjęcie swoich dzinsów. „Za dziewięć miesięcy będziesz wyglądać jak ta lala!”. Tak powiedziała Gladys na moim pierwszym spotkaniu Programu Odchudzającego Baptist.

„Seksowna”, „ostra”, „do wyruchania”. Jakkolwiek by to nazwać, taka właśnie pragnęłam kiedyś być – pociągająca, wzbudzająca pożądanie mężczyzn i zazdrość kobiet. Ale teraz zdałam sobie sprawę, że już tego nie chcę. To wymagałoby życia w Krainie Diet, co oznaczało kontrolę, ograniczenia – wręcz paraliż – a przede wszystkim posłuszeństwo. Miałam już dość bycia posłuszną.

Wyszłam z okrągłego pokoju, przeszłam pod łukiem i energicznie ruszyłam mrocznym korytarzem do wyjścia z podziemnego mieszkania. Nacisnęłam klamkę i rozległ się trzask – drzwi się otworzyły, odsłaniając maleńki przedpokój, a dalej następne drzwi, czerwone, prowadzące na zewnątrz. Nacisnęłam drugą klamkę i czerwone drzwi również stanęły otworem. Po raz pierwszy od kilku dni poczułam na twarzy ciepło słońca i świeże powietrze. Zerwałam pąk róży z pnącza przy wejściu i potarłam policzek jego płatkami.

Zatrzasnęłam za sobą drzwi i weszłam po stromych betonowych schodkach; czułam ich ciepło pod bosymi stopami. Na zewnątrz nie było żadnego wpychania, żadnego rytmicznego ruchu, i wspinając się, powoli dochodziłam do siebie. Na szczycie schodków obmyły mnie promienie słońca. Jasność przepalała wszystko, co się przede mną znajdowało, i z początku dostrzeżałam tylko cienie i kontury.

– Przyszła – odezwał się czyjś głos.

Chwilę potrwało, zanim poznałam, że to Marlowe.

– Dała radę. – To była Sana.

– Co tak długo? – spytała Verena.

Pojawiły się przede mną na tle światła, skąpane w blasku słońca.

– Jestem – powiedziałam.

Udało mi się uciec.

Zjedz mnie

Od ponad tygodnia mieszkałam na górze, w Domu Kaliope, i co noc spałam spokojnie. Aż nagle pojawiło się zagrożenie bombowe. Zbudziły mnie odgłosy walenia. Zaczęły się od drzwi frontowych, a potem rozeszły po całym domu – z początku rozbrzmiewały daleko, ale stopniowo zbliżały się do mnie, jak wzbierająca burza.

Drzwi mojej sypialni stanęły otworem i w szczelinie światła pojawiła się twarz Sany.

– Alarm bombowy – powiedziała, jakbym wiedziała, co to znaczy. Zanim zdążyłam zadać pytanie, zniknęła. Słyszałam pospieszną krzątanicę na wyższym i niższym piętrze. Wytoczyłam się z łóżka i przebrałam z piżamy w codzienne ciuchy. Gdyby naprawdę była tam jakaś bomba, zdążyłaby wybuchnąć, podczas gdy ja marnowałam czas na wkładanie stanika i butów.

Młody policjant, który stał na schodkach domu, kiedy się ewakuowaliśmy, zastanawiał się pewnie, skąd te wszystkie kobiety wzięły się pod jednym dachem, bez żadnego mężczyzny. Przytrzymał nam drzwi, a kiedy wyszła Verena, spytał:

– To już wszyscy?

Zaprowadzono nas na koniec kwartału i wraz z sąsiadami odgrodzono kordonem. W migoczącym blasku czerwonych i niebieskich policyjnych świateł nasza elegancka uliczka wyglądała jak dyskoteka, ale my szliśmy powoli, powłócząc nogami, na wpeł przytomne. Na Szóstej Alei Verena zajęła dla nas dwie ławki. Było nas osiem: ona, ja, Sana, Rubí i cztery kobiety, które mieszkały u nas gościnnie. Wyglądałyśmy jak uciekinierki z piżama party. O trzeciej nad ranem na ulicy nie było dużego ruchu, ale mijające nas samochody zwalniały, bo kierowcy chcieli się na nas pogapić.

Sana ziewnęła i oparła głowę o moje ramię, obejmując mnie ręką przez plecy.

– Czy ty masz na sobie *stanik*? – spytała nagle.

– Włożyłam, zanim wyszliśmy z domu.

– W obliczu możliwej śmierci w wyniku eksplozji bomby ty postanowiłaś włożyć stanik? – upewniła się Rubí.

– To wbrew regułom etykiety bombowej – stwierdziła Verena.

– Cha, cha. – Pozwoliłam, żeby się ze mnie nabijały.

Nikt nie zadał sobie trudu, żeby wyjaśnić, co się dzieje, i założyłam, że ktoś chciał wysadzić w powietrze Verenę – może jakaś niezadowolona eksbaptystka albo ktoś inny, komu jej zjadliwa krytyka przemysłu dietetycznego podziałała na nerwy. Kiedy siedziałyśmy tak w środku nocy na ławce, wydawało się to sensowne. Ale wtedy podszedł do nas mężczyzna w piżamie i skórzanych kapciach. Piżama była we wzorek z maleńkimi kowbojami, którzy łapali na lasso małe byki. Mężczyzna przestąpił nad leżącym w pijackim stuporze bezdomnym, którego dotąd nie zauważyłam.

– Musimy coś z tym zrobić – powiedział do nas. – Panie lubią, kiedy wrywa się je z łóżek w środku nocy?

Verena podniosła na niego wzrok.

– Nie zamierzam panu pomagać w wyrzucaniu stąd tych Żydów – oświadczyła.

W świetle latarni w swojej białej koszuli nocnej i z jasnymi włosami wyglądała jak marmurowy posąg.

– To nie ma nic wspólnego z tym, że są Żydami – powiedział mężczyzna. – Niech pani nie mówi tego w ten sposób.

– Gdyby nie byli Żydami, terroryści by ich nie terroryzowali – odparła Verena.

Mężczyzna machnął ręką z niesmakiem.

– Z panią czy bez pani, weźmiemy się do roboty – zapowiedział. – Niech pani nie zapomina: jak ktoś ich wysadzi, to wyleciecie w powietrze razem z nimi.

Odszedł zagniewany, a Verena wyjaśniła, że chodziło mu o naszych sąsiadów, Fundację Bessie Cantor dla Pokoju i Zrozumienia – organizację non profit, która miała siedzibę w sąsiedniej kamienicy. Budynek Domu Kaliope przylegał do niej. Od lat nieznani terroryści kierowali pod jej adresem częste groźby, twierdząc, że to przykrywka Mosadu. Okoliczni mieszkańcy i właściciele firm chcieli, żeby fundacja się wyniosła, bo mieli dość stałych alarmów bombowych, ewakuacji, policji i groźby masowych ofiar. Verena jednak nie zgadzała się na udział w kampanii, która przybierała na sile.

– Najpierw Żydzi, potem my – powiedziała.

Mężczyzna w piżamie z kowbojami podszedł do innej grupki

ewakuowanych i było jasne, że rozmawiają o nas. Gapili się i pokazywali nas palcami – kobiety siedzące na ławkach jak na wyspie.

Byłyśmy wyrzutkami.

O świcie puszczono nas z powrotem do domu. Inne mieszkanki wróciły do łóżek, licząc, że prześpią się jeszcze godzinę czy dwie, ale ja poszłam prosto do czerwonej kuchni. Od kiedy opuściłam podziemne mieszkanie i przeniosłam się na górę, większość czasu spędzałam właśnie tutaj. Verena miała dobrze zaopatrzoną spiżarnię, ale ja w ciągu kilku szalonych dni zdołałam ją opróżnić, gotując i jedząc w cieniu grubych dżinsów Eulayli Baptist. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio byłam taka szczęśliwa i beztroska. Najbardziej lubiłam piec: ciasta, chleby i placki z owocami. Pieczenie było dla mnie jak balsam. Suszone owoce przypominające klejnoty i żółtka jajek przebijane widelcem koily moją duszę. Uwielbiałam też konsystencję ciasta, wsuwanie rąk w miękką mąkę, wkrawanie się w biały miąższ jasnozielonego jabłka, z którego wyciekał na palce sok. Po pobycie pod ziemią te jabłka wydawały mi się teraz niewinne, zdrowe i czyste.

Dzieliłam się tym, co upiekłam, z pozostałymi kobietami, ale zawsze pilnowałam, żeby nie zabrakło też dla mnie. Potrafiłam zjeść naraz sześć babeczek i popić je ogromną ilością zimnego mleka. Byłam zdolna pochłonąć przy jednym posiedzeniu cały placek z brzoskwiniami i bitą śmietaną i splukać go dzbankiem kawy. Ilekolwiek bym jadła, nie mogłam się nasycić. W przeszłości po napadzie obżarstwa zawsze brałam się w karby. Trwało to latami: dieta – obżarstwo, dieta – obżarstwo, w kółko te same dwa kroki, ale tym razem było inaczej. Nigdy nie czułam się najedzona, nieważne, ile zjadłam. Miałam wrażenie, jakbym przez ostatnie dziesięć lat nagromadziła w sobie pokłady głodu i teraz wreszcie pętające go łańcuchy zaczynały pękać.

Tego ranka, kiedy pozostałe kobiety spały, poszłam do kuchni i w błękitnym półmroku poranka przygotowałam śniadanie. Włożyłam do piekarnika kisze i rozgrzałam gofrownicę. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy z zagrożenia bombowego, ale nawet po tej nowej informacji i mimo świadomości, że w każdej chwili możemy wylecieć w powietrze, czułam się bezpieczna jak nigdy dotąd. Dom Kaliope był pełen poranionych, pokrytych bliznami kobiet, takich jak ja. Niektóre blizny dało się zobaczyć, innych nie.

Tylko kilka z nas mieszkało tam na stałe. Codziennie około dziewiątej rano pojawiała się jednak reszta współpracowniczek Vereny, tak że w całym domu wrzało jak w ulu, wypełniały go gwar i energia. Po moim przybyciu kuchnia zmieniała się w miejsce spotkań. Zamiast posiłków na wynos pochłaniano w niej jedzenie, które szykowałam. Poranek po ewakuacji niczym się nie

różnił od pozostałych dni. Postawiłam na stole kische i sterty gofrów oraz dzbanki soku pomarańczowego. Zapachy wypełniły dom jak ciepły wonny oddech. Wkrótce pojawiło się towarzystwo.

Jako pierwsza zeszła Rubí. Już na wstępie wyznałam jej, że zniszczyłam letnią sukienkę z popeliny, którą dla mnie uszyła podczas przemiany wizerunku, ale powiedziała, że nadal ma wykroj i materiał, gdybym chciała, żeby uszyła mi nową. Następna w kolejce do śniadania była Sana. Kiedy się poznałyśmy, krępowalam się na nią patrzeć, ale teraz nie widziałam już blizn, tylko zwyczajną twarz. Dzięki temu wreszcie zaczęłam dostrzegać jej urodę, zwłaszcza piękne oczy, które uniknęły obrażeń. Były w kolorze głębokiego brązu z drobinkami złota, jak dwa wypolerowane kamienie.

Kiedy Rubí i Sana zajmowały miejsca przy stole, pojawiła się Marlowe z małym Huckiem.

– O, Plum znowu coś ugotowała? – Zatarła z radością dłonie.

– Plum nieustannie coś gotuje – odparłam, stawiając na stole talerz z bekonem i zerkając przy okazji na jej tatuaż: „Kobiety nie chcą mną być, a mężczyźni nie chcą mnie ruchać”. Wreszcie zrozumiałam jego znaczenie.

– Wyglądacie na niewyspane – powiedziała Marlowe. – Niech zgadnę: kolejne ostrzeżenie o bombie?

Wszystkie jęknęłyśmy twierdząco, a ja postawiłam przed resztą kolejny dzbanek z kawą. Jadłyśmy i wymieniałyśmy uwagi o groźbie zamachu, po czym przeszłyśmy do o wiele bardziej intrygującego tematu: Jennifer. Codziennie o niej rozmawiałyśmy. Po całej kuchni wały się poranne gazety. Telewizor w kącie był włączony. Leeta nadal się nie odnalazła, przez co informacje jej współlokatorki zaczęły zyskiwać na wiarygodności: Leeta wiedziała, kim jest Jennifer, i naprawdę zrobiła coś złego. W wiadomościach z ostatniej chwili podano, że widziano ją na Alasce. Dzień wcześniej ktoś zauważył ją w Salwadorze, a jeszcze przedtem w Kentucky. Za każdym razem, kiedy widziałam płaski, dwuwymiarowy obraz jej twarzy na zdjęciu w gazecie albo na ekranie telewizora, przeżywałam szok. To wydawało się niemożliwe – a jednak było prawdą.

– Ci ludzie są święcie przekonani, że naprawdę ją widzieli – powiedziała Sana, pochłaniając kawałek kishu. – To jakieś masowe złudzenie.

– Ona wchodzi człowiekowi do głowy i nie można o niej zapomnieć – odparłam.

Leeta zrobiła to najpierw ze mną, a teraz z całą Ameryką. Kobiety w Domu

Kaliope wiedziały, co mnie z nią łączyło, ale nigdy nie pokazałam im czerwonego notesu na spirali. Tylko Verena i Julia go czytały.

– Wczoraj próbowałam dodzwonić się do Julii – dodałam, smarując gofra masłem. Usiłowałam się z nią skontaktować, od kiedy opuściłam podziemne mieszkanie. – Rozpłynęła się w powietrzu.

– Nic dziwnego – stwierdziła Rubí. – Patrzcie.

Podniosła jedną z gazet, poznaczoną odciskami palców tłustych od bekonu. Nagłówek brzmiał: CZY JULIA COLE ZNA TAJEMNICĘ LEETY? Julia należała do Austen Media, a to czyniło z niej wspaniały cel dla nowojorskich brukowców, które już wcześniej miały obsesję na punkcie Stanleya Austena i jego pracowników.

– Julia znalazła się na celowniku – powiedziała Marlowe. – Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby ona i jej szurnięte siostry naprawdę coś wiedziały.

Verena popijała kawę. Jej zwykłą pogodę ducha tłumił dziś brak snu.

– Jeśli rzeczywiście ma jakieś informacje, to ja nie chcę nic o tym wiedzieć. Wolę nie ryzykować, że ktoś nas skojarzy z tą paskudną sprawą, nawet jeśli byłby to nikły związek. – Kiwnęła głową w kierunku telewizora, w którym pokazywano właśnie kilka największych hitów Jennifer: ślimak na autostradzie Harbor, ciała na pustyni w Nevadzie, Stellę Cross i jej męża. – To nie jej wina, że jej była stażystka się w to uwikłała, ale nie jest mi przykro, że Julia nas unika. Wolę, żeby trzymała się z daleka. To chyba zrozumiałe?

Wokół stołu rozległy się twierdzące pomruki. Wszystkie kobiety zapewniały Verenę, że zgadzają się z jej punktem widzenia – każda z nich ciężko pracowała nad różnymi projektami Domu Kaliope i byłoby nie fair, gdyby relacja Julii z Leetą zaczęła rzutować na ich dobrą robotę. Zresztą Julia nie należała do organizacji, po prostu czasem tu zaglądała.

– Już widzę te nagłówki – dodała Verena. – „Dziedziczka fortuny Baptist powiązana z Julią Cole, była szefową Leety Albridge”. Łatwo sobie wyobrazić, jakie bzdury by o mnie wypisywali.

– I o mnie – rzuciła Marlowe.

Słuchałam, jak próbują się zdystansować do afery, i nie miałam do nich pretensji. Nic dziwnego, że Julia – ze swoją paranoją, tajnymi projektami i patologiczną skrytością – nie zyskała ich sympatii. Mnie również irytowała, ale nie chciałam jej jeszcze odrzucać. Łączyła nas więź z uciekinierką. Więź, której pozostałe mieszkanki domu nie potrafiły zrozumieć. Nigdy nawet nie widziały Leety.

W miarę jak pojawiały się inne kobiety, dostawiałam na stół kolejne porcje tostów oraz słoiki z dżemem, które entuzjastycznie witano. W domu Vereny nikt nigdy nie wspominał o kaloriach, nie słyszało się tekstów w rodzaju: „Nie powinnam jeść tego, nie powinnam jeść tamtego”. Talerze wylizywano do czysta, jedzenie chwalono głośnymi achami i ochami i wszyscy dopraszali się o dokładki. Nie składano żadnych modłów na ołtarzu bogów diety: „Później pójdę na siłownię” albo „Wczoraj nie jadłam kolacji”. Istniała tylko przyjemność jedzenia, której nie trzeba było niczym usprawiedliwiać.

– Mówiłam wam, że wczoraj dzwoniłam do Szirazu, do taty? – zagadnęła Sana. – Powiedział, że to, co robi Jennifer, przypomina mu Dziki Zachód z amerykańskich westernów.

– To w Iranie też się mówi o Jennifer? – zdziwiła się Rubí.

– *Wszędzie* się o niej mówi. To najsłynniejsza kobieta na świecie – powiedziała Sana.

Jak wszyscy, tak i my wyrażaliśmy się o Jennifer, jakby chodziło o jedną osobę, choć wiedziałyśmy, że jeśli ktoś taki naprawdę istnieje, na pewno ma wielu pomocników. Dla niektórych Jennifer była bohaterką, dla innych – postrachem.

– Widziałyście dzisiejszy felieton w „New York Daily”? – spytała Marlowe. – Autor twierdzi, że Jennifer po prostu brakuje seksu, a faceci w komentarzach wypisywali rzeczy w rodzaju: „Założę się, że jest gruba” i „Ta Jennifer to straszna suka” albo „I tak nikt by jej nie przeleciał”.

– Ich jedyna broń to stwierdzenie, że Jennifer jest nieruchalna. Super, nie? – rzekła Rubí.

– Faceci zawsze próbują uciszyć kobiety w ten sam sposób – stwierdziła Sana.

– Aby zadośćuczynić wyrządzonym krzywdom, Jennifer wreszcie się ujawni i weźmie udział w rozbieranej sesji dla „Playboya” – zaintonowała Marlowe.

– Albo nakręci reklamę dla Strażników Wagi – podsunęłam. – I powie tak: „Nie umiałam zapanować nad morderczym szalem, dopóki ci goście w internecie nie powiedzieli, że jestem gruba. To był otrzeźwiający sygnał, którego potrzebowałam. Teraz odzyskałam kontrolę nad swoim życiem i straciłam trzynaście kilo!”.

– *Trach!* – krzyknęła Verena.

Wszystkie wybuchnęłyśmy śmiechem. Sana i Rubí waliły pięściami w stół. Nawet Huck zaczął chichotać.

– Nie sędzę, żeby ktokolwiek zdołał ją powstrzymać – powiedziała Verena. – Ona jest jak mścicielka, wcielona furia. Przebywa wśród nas, ale myślę, że jednocześnie pozostawiła już ten świat za sobą.

– Kiedy skończę drugi tom *Teorii ruchalności*, napiszę książkę o tej całej sytuacji – zapowiedziała Marlowe. – Mówiłam wam, że wczoraj dzwonił do mnie jakiś dziennikarz z pytaniem, „tak między nami”, czy to ja za tym wszystkim stoję?

– A stoisz? – zapytała Verena, unosząc brwi.

Ja również odwróciłam się ku Marlowe.

– Czy Jennifer to właśnie ty?

– Myślałam, że ty – odparła.

– A może to ja jestem Jennifer, tylko o tym nie wiem – zasugerowała Sana.

– Każda może być Jennifer – stwierdziła Rubí.

Na ekranie telewizora pojawił się żółty pasek: KOLEJNA OSOBA WIDZIAŁA LEETĘ ALBRIDGE. Pospiesznie złapałam pilota i pogłośliłam. Jakiś reporter zdawał relację z parkingu przy Dairy Queen w El Paso, gdzie rzekomo znowu widziano poszukiwaną. Lokal, w którym nie paliły się żadne światła, był otoczony przez rój policjantów, wielu z nich było uzbrojonych w karabiny automatyczne. Teren przeczesywały owczarki niemieckie na smyczach, a w górze unosił się helikopter.

– Co oni zrobią, jeśli ją znajdą? – zapytałam. Ogarnęły mnie mdłości i strach o Leetę.

– Nie byłaby taka głupia, żeby uciekać do Teksasu – stwierdziła Sana. – To ostatnie miejsce, gdzie próbowałabym się ukryć, gdyby poszukiwało mnie FBI.

– Fakt. A poza tym szukanie schronienia w Dairy Queen to zbyt prozaiczne jak na nią – zgodziła się Marlowe.

Byłam im wdzięczna, że starają się mnie pocieszyć, ale widok uzbrojonych mężczyzn w pościgu za Leetą stanowił przypomnienie, że kwestia Jennifer to nie żarty. Podobnie jak wszyscy dookoła, my również mówiłyśmy o całej tej sytuacji jak o westernie – żeby użyć określenia Sany – albo o komiksie czy filmie o superbohaterach, bo w prawdziwym życiu nie znajdowałyśmy żadnego porównania. Ale tym razem nie mieliśmy do czynienia z fikcją.

Czasem trudno było to przyjąć do wiadomości.

– Ta demonstracja siły przy poszukiwaniach to jakiś absurd – stwierdziłam.
– Ona była zwyczajną stażystką w Austen Media. A nie żadną przestępczynią, którą wyjęto spod prawa.

– Tylko że teraz właśnie znalazła się poza prawem, w tym cały problem – powiedziała Verena. – A ponieważ nie ma żadnych innych tropów, które mogą prowadzić do Jennifer, policja skupiła wszystkie siły na niej.

Sana wyjęła mi z ręki pilota i wyłączyła telewizor.

– Starczy już tego dobrego – oświadczyła, klepiąc mnie po głowie. – W Ameryce dzień powinno się zaczynać od cheeriosów, prawda? Albo od jakichś innych płatków. W każdym razie, moja kochana Śliweczko, na pewno nie od nagrań uzbrojonej policji.

Miała rację. Wzięłam swój talerz i zaniósłam go do zlewu. Pora rozpocząć dzień.

W swoim nowym życiu większość czasu spędzałam z Saną. W podziemnym mieszkaniu nawiązała się między nami więź, która w świetle dnia jeszcze bardziej się zacieśniła. Sana wiedziała o szczupłej kobiecie imieniem Alicia, która kiedyś we mnie żyła, o Nowym Programie Baptist i o tym, że odstawiłam Y..., ja z kolei wiedziałam, że blizny na jej twarzy to skutek pożaru domu, w którym zginęła jej matka. Sana miała wtedy trzynaście lat. Do Nowego Jorku przyjechała przed dziesięciu laty, żeby zrobić magisterkę w dziedzinie pracy socjalnej. Została tu na stałe, a rok temu zamieszkała w Domu Kaliope. Niedawno skończyła trzydzieści trzy lata – była właśnie, jak to określiła, „w wieku Chrystusowym”. Chciała założyć z Vereną dom pomocy dla nastoletnich dziewcząt z nieuprzywilejowanych grup społecznych. Planowały, że nastąpi to w ciągu sześciu miesięcy. Sana miała kierować tą instytucją.

Jej projekt był tylko jednym z wielu, które prowadzono w Domu Kaliope. Pozostałe obejmowały między innymi szykowany przez pewną prawniczkę pozew zbiorowy wobec amerykańskiego koncernu kosmetycznego, który zatruwał ludzi w Afryce i Azji kremami do rozjaśniania skóry. Był też fundusz dla kobiet i dzieci imigrujących do USA z Meksyku oraz Ameryki Środkowej. Był cały zespół kobiet, które prowadziły działania w Nowym Jorku i Waszyngtonie na rzecz obrony praw reprodukcyjnych w kraju i za granicą. Były wreszcie projekty, w których nieco lepiej się orientowałam: Marlowe pisała swoją książkę, Verena poświęcała nieco czasu na pracę z byłymi baptystkami, którym pomagała dojść do siebie. Powiedziała mi

jednak, że Nowy Program Baptist to usługa deluxe, przeznaczona wyłącznie dla mnie. Współpracowała także z Rubí przy działaniach związanych z przemysłem dietetycznym. Obecnie skupiały się na kampanii przeciwko dabsitafowi. Zastanawiałam się, czy te tabletki zdołałyby teraz wywrzeć na mnie jakikolwiek wpływ. Mój apetyt wydawał się nie do poskromienia. Wszystkiego byłam głodna – i jedzenia, i życia. Dziwnie było pomyśleć, że jakieś pigułki mogłyby mi to odebrać. I że kiedykolwiek tego pragnęłam.

W przeciwieństwie do Sany oraz pozostałych kobiet nie skupiałam się na żadnych konkretnych działaniach, nie licząc gotowania, ale Verenie to nie przeszkadzało. Po prostu zapewniała mi przestrzeń do życia.

– Projekt Plum należy jeszcze nadzorować – powiedziała i wyznaczyła mi nawet pensję, dwa razy większą niż ta, którą płaciła mi Kitty. Jej źródłem były ogromne zasoby finansowe z programu dietetycznego rodziców.

Popołudnia – po lunchu, ale przed podwieczorkiem i kolacją – spędzałam w swojej sypialni o czerwonych ścianach. Znajdował się w niej lśniący białą gzyms kominka, choć samo palenisko zamurowano, oraz meble z targu staroci: jednoosobowe łóżko z kutego żelaza, czerwony fotel uszak, biurko i komoda. Na żyrandolu wisiała oderwana głowa lalki Barbie – prezent powitalny od Rubí i Sany.

Podczas pierwszej wizyty w Domu Kaliope Verena opowiedziała mi o katolickiej instytucji dobroczynnej, która się tu kiedyś mieściła. W garderobie mojej sypialni jedna z nastoletnich matek wyskrobała na ścianie wiadomość: *w tym pokoju urodziła się kaliope / styczeń 1973.*

Dom Kaliope. Verena uznała, że to odpowiednia nazwa – chciała uhonorować tamtą młodą matkę i jej córeczkę, które na zawsze zostały rozdzielone. Cieszyłam się, że ulokowano mnie w tym pokoju.

Większość popołudni spędzałam przy biurku pod oknem, pisząc w czerwonym notesie na spirali. Czasem dzwoniłam do matki, żeby opowiedzieć jej o moim nowym życiu. Posłałam jej egzemplarz książki Vereny i mama właśnie ją czytała. Szukałam w internecie informacji o Leecie i pisałam maile do Carmen, żeby wiedziała, co u mnie słychać. Lubiałam te spokojne chwile. Przepadałam za panującym w domu Vereny gwarem i za towarzystwem, które znalazłam po tylu latach samotności, ale potrzebowałam też odrobiny czasu dla siebie.

Po dyskusji na temat Julii przy śniadaniu postanowiłam napisać do niej maila. Ku mojemu zdziwieniu już po kilku minutach dostałam odpowiedź.

Od: JuliaCole

Do: PlumK

Temat: Re: Gdzie jesteś???

Kochana Plum

Nie wiedziałam, że do mnie dzwoniłaś. Wyrzuciłam telefon do śmieci, przy odrobinie szczęścia trafił już na jakąś hałdę odpadków. I z Bogiem. Mam dość dziennikarzy zamęczających mnie o Leetę, więc w tej chwili staram się zniknąć z radaru. Mogę Ci powiedzieć dokładnie to samo co całej reszcie: kiedy pracowałam z Leetą, nie mówiła mi zbyt wiele o swoim życiu prywatnym. Nie wiem, gdzie teraz jest. Nie sądzę jednak, żeby była uwikłana w jakąkolwiek działalność przestępczą. Może nie wiesz, ale Leeta jest bardzo niestała. Nie chcę źle o niej mówić, lecz zawsze mnie to irytowało. Nie żebym znała osobiście jakichś terrorystów, ale wyobrażam sobie, że taka działalność wymaga samodyscypliny i zdolności koncentracji.

To niestety już wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat. Muszę lecieć. Szminki same się nie posortują.

J.

PS Niedługo wpadnę do Domu Kaliope. Muszę Cię prosić o pewną przysługę...

Ten wielokropek na końcu równie dobrze mógłby być migającym neonem. Cała Julia. Obchodziło ją wyłącznie to, co mogłam dla niej zrobić, a najważniejsze kwestie zupełnie pominęła. Verena nie ucieszy się na jej widok, ale ja byłam ciekawa, o co może chodzić. Ostatnim razem, kiedy prosiła mnie o przysługę, przekazałam jej pięćdziesiąt tysięcy adresów mailowych i dotąd nie wiedziałam, co z nimi zrobiła. Nie udzielę jej żadnej dalszej pomocy, o ile nie powie mi czegoś więcej o Leecie. Podejrzewałam bowiem, że miała o niej jakieś informacje. Była mi to winna. To ona sprawiła, że Leeta weszła w moje życie.

Wróciłam do pisania w czerwonym notesie – notesie Leety. Wycięłam z gazety jej zdjęcie i przyczepiłam je do ściany. Patrzyła na mnie, kiedy byłam zajęta pisaniem. „Gdzie się podziałaś, Leeto?”, nagryzmoliłam na marginesie. „I co takiego zrobiłaś?”. Zapełniłam kilka stron notatkami o dniach spędzanych w Domu Kaliope na gotowaniu i jedzeniu. Kiedy skończyłam, schowałam notes do dolnej szuflady komody.

Nad komodą wisiało owalne zwierciadło. Po czasie spędzonym pod ziemią, gdzie nie było żadnych lusterek, moje odbicie wciąż było dla mnie czymś zaskakującym. W efekcie Nowego Programu Baptist wyraźnie schudłam, ale biorąc pod uwagę, ile teraz jadłam, wiedziałam, że wkrótce odzyskam stracone kilogramy. Znajdą mnie, jak zawsze. Tak wiele przeszłam, a mimo to nadal wyglądałam mniej więcej tak samo jak przedtem. Byłam jednak odmieniona w sposób, którego nie dało się dostrzec gołym okiem. Przeszłam prawdziwą przemianę.

– „...poliż mnie po jajach, suko, i stąd wypierdalaj...”.

Kolejny wspaniały dzień.

W Domu Kaliope od poniedziałku do piątku nie było wylegiwania się w łóżku. O siódmej trzydzieści w całym domu rozlegała się mizoginistyczna muzyka. Leciała dokładnie przez minutę. Verena mówiła, że ma być przypomnieniem o celu naszych działań, na dobry początek dnia.

W brzuchu mi burczało, więc wzięłam prysznic i szybko się ubrałam, a potem zeszłam do kuchni z zamiarem przyrządzenia francuskich tostów. Obwiązałam się w pasie fartuchem i włączyłam telewizor, żeby dotrzymywał mi towarzystwa przy pracy. Nastawiłam kawę, a potem wyjęłam z lodówki jajka i mleko, prawie nie słuchając, o czym mówią w wiadomościach. Powinnam się była jednak domyślić, że nie będzie to zwykły dzień, gdy tylko zobaczyłam, że poranny serwis informacyjny prowadzi sama Cheryl Crane-Murphy.

– Teraz przynajmniej mamy wyraźny trop łączący Leetę Albridge z jednym z przestępstw popełnionych przez Jennifer.

Odstawiłam wytłoczkę z jajkami na blat i podbiegłam do telewizora. Cheryl omawiała sprawę Luz, dwunastolatki, która została zgwałcona, a potem rzuciła się pod pociąg. Zobaczyłam znajome zdjęcia parszywej dwunastki, w tym dwóch gwałcicieli Luz, oraz pustynię, na której odnaleziono ich ciała. Pokazano też matkę dziewczynki, Soledad, i konferencję prasową, w której wzięła udział.

– Powiedz nam, Jennifer: kiedy nadejdzie kres tej przemocy? – pytała kobieta na oczach całego świata.

Napełniając swój głos jak największym dramatyzmem, Cheryl powtórzyła wiadomość dnia: jako studentka w Kalifornii Leeta poznała zarówno Luz, jak i Soledad. Przebywała w Los Angeles w czasie pogrzebu dziewczynki, a także kiedy dwóch z gwałcicieli, Lamar Wilson i Chris Martinez, zostało uprowadzonych.

Opadłam na krzesło, jakby zeszło ze mnie powietrze. Do tej pory czepiałam się nadziei, że Leeta tylko przypadkiem uwikłała się w tę sprawę. Teraz wydawało się to mało prawdopodobne.

Do kuchni weszła Sana z włosami mokrymi po kąpieli.

– Nie ma śniadania?

– Ważna informacja. Leeta знаła Luz i jej matkę.

Sana dołączyła do mnie przed telewizorem. Po całej przemocy i rozlewie krwi, za który obwiniano Jennifer, historia wróciła do jednego ze swoich najsmutniejszych epizodów: do zgwałconej dziewczynki.

– Zastanawiam się, czy nie tu właśnie kryje się rozwiązanie tajemnicy Jennifer – powiedziała Cheryl. – Może po prostu jeszcze go nie dostrzegamy.

Odwróciła się w stronę korespondenta z Los Angeles, który powiedział, że podczas studiów na Uniwersytecie Kalifornii Południowej Leeta pracowała jako wolontariuszka w miejscowej poradni dla kobiet, gdzie pomagała ofiarom gwałtu. Zaś matka Luz, Soledad, była tam zatrudniona na częściowym etacie jako szkoleniowiec.

– I dopiero teraz się o tym dowiedziano? – zdziwiła się Cheryl.

– Poradnia nie przechowuje dokumentacji na temat wolontariuszy, którzy zakończyli pracę ponad dwa lata temu – odpowiedział korespondent. – Jeden ze świadków przypomniał sobie jednak, że Leeta i Soledad nie tylko pracowały tam w tym samym okresie, ale niewykluczone, że spędzały razem czas poza ośrodkiem.

Cheryl Crane-Murphy była zirytowana. Przez ostatnie tygodnie widywałam jej twarz tak często, że nauczyłam się odczytywać jej mimikę.

– To niewątpliwie ważne odkrycie, ale co *dokładnie* oznacza to dla śledztwa?

– Jeszcze tego nie wiemy – odparł korespondent – lecz uprowadzenie Wilsona i Lamara było chronologicznie pierwszym wydarzeniem powiązaniem z Jennifer, choć wtedy jeszcze nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. I oni, i reszta parszywej dwunastki byli przetrzymywani przez jakiś miesiąc po porwaniu, zanim wyrzucono ich z samolotu na pustynię. A w tym czasie rozpoczęły się pozostałe ataki przeprowadzane przez Jennifer.

Na ekranie pojawiły się nagrania z autostrady Harbor oraz zdjęcia brązowych worków z ciałami Simmonsa i Greena, którzy wtedy uważani byli za pierwsze ofiary. Niedobrze mi się zrobiło na wspomnienie skrawków papieru, które wepchnięto im do gardeł – były to wizytówki, za pośrednictwem których Jennifer przedstawiła się światu.

Korespondent dodał, że matka Luz, Soledad, wyjechała niedawno do Meksyku, aby zająć się chorą ciotką, więc FBI współpracuje teraz

z meksykańską policją, żeby ustalić miejsce jej pobytu w celu dalszych przesłuchań.

– Przypominam naszym widzom, że Soledad Ayala służyła w Afganistanie jako sanitariuszka, za co została odznaczona wyróżnieniem – dodał korespondent. – Niemniej po zaginięciu, a następnie śmierci Lamara Wilsona oraz Chrisa Martineza, czyli dwóch z gwałcicieli jej córki, poddano ją przesłuchaniom. Miała jednak alibi i policja nigdy nie uznała jej za podejrzaną o popełnienie tego przestępstwa.

– Co zatem powinniśmy o tym myśleć? – spytała go Cheryl. – Że Jennifer postanowiła pomścić córkę Soledad Ayali? I że Leeta Albridge pomogła jej w tym, ponieważ znała rodzinę ofiary?

– To jedna z teorii – przyznał korespondent.

– Czy Soledad też im w tym pomogła?

– Niczego nie można wykluczyć – powiedział korespondent.

Sana podniosła się z krzesła i westchnęła.

– Innymi słowy, nie mają pojęcia, co to wszystko oznacza. Widać, że Cheryl ma ochotę zwyczajnie wrzasnąć na cały głos: „Kim, do diabła, jest Jennifer?!”. Patrz, jakie ma worki pod oczami. Pewnie od tygodni nie spała.

Podeszła do kredensu i zdjęła z półki karton z płatkami.

– Zakładam, że musi mi wystarczyć to obrzydlistwo, bo chyba nie masz zamiaru mnie dziś nakarmić.

Przeprosiłam i dodałam, że ta informacja zupełnie wytrąciła mnie z równowagi.

– Dobrze się czujesz, Śliweczko?

Odparłam, że nie wiem, co sądzić o związku Leety z Luz i Soledad. Znałyśmy je tylko z wiadomości – były postaciami w dramacie, który oglądał cały kraj. Myślałam o niej i o tamtych dniach sprzed zaledwie kilku miesięcy, kiedy mnie śledziła. Żałowałam, że nie może cofnąć się w czasie i na powrót stać się ową młodą, beztroską kobietą, lecz tamta Leeta zniknęła, być może na zawsze. Pomyślałam o policjantach szukających jej z palcami na spustach karabinów.

Zaczęła się przerwa na reklamy, więc dołączyłam do Sany i też przygotowałam sobie miseczkę płatków. Nadal nie wiedziałyśmy, co właściwie zrobiła Leeta, ale obawiałam się, że nie uniknie schwytania i uwięzienia. Gdyby nie zrobiła nic złego, nie uciekłyby. W języku prawnym

nazywa się to „świadomością winy”.

– Nigdy nie znałam żadnego przestępcy – powiedziałam, pakując sobie płatki do ust, choć w ogóle nie czułam ich smaku.

– Ja też nie – odparła Sana.

W kuchni zaczęły się pojawiać pozostałe kobiety i Sana przekazała im informacje. Chyba wyglądałam na wstrząśniętą, bo wszystkie chodziły dookoła mnie na paluszkach i sięgały po płatki i jogurt albo robiły sobie tosty, nie próbując wciągnąć mnie w rozmowę. Po śniadaniu znowu zostałam w kuchni sam na sam z Saną. Zapytała, czy może mi coś zasugerować.

– Czy od czasu opuszczenia podziemi w ogóle wychodziłaś z Domu Kaliope?

– Tylko podczas ewakuacji.

– Myślę, że dobrze by ci zrobiło, gdybyś wyszła na zewnątrz. Może pojechałabyś na Brooklyn i przywiozła sobie z domu trochę ubrań?

Dotąd nosiłam tylko beżowe tuniki i czarne legginsy z podziemnego mieszkania. Nie miałam tu nic innego.

– Nie, nie chcę tam wracać.

Wyobraziłam sobie, jak stoję na progu dawnego domu, niczym homar, który zaraz wpadnie do garnka z wrzątkiem. Jeśli nie uchylę tamtych drzwi, moje dawne nieszczęśliwe życie pozostanie zamknięte w środku, zapieczętowane.

– W takim razie przejdź się gdzie indziej. Świeże powietrze dobrze ci zrobi – namawiała Sana. – Powinnaś mnie słuchać, wiesz? Mam dyplom z pracy socjalnej. Jestem też niezwykle mądra.

Może Sana miała rację. Od kiedy przeprowadziłam się do Domu Kaliope, wciąż tuliłam się do jego łona, czy może raczej do jego matczynej piersi – dom Vereny zawsze przywodził mi na myśl metafory związane z kobiecością – ale na zewnątrz rozciągał się cały świat, czekał tuż za progiem. Nie mogłam w nieskończoność się przed nim chować.

Wcisnęłam stopy w znoszone czarne buty na płaskim obcasie i otworzyłam drzwi Domu Kaliope. Na zewnątrz czekało powietrze, słońce i ludzie, którzy się na mnie gapili. Nic się tam nie zmieniło – ale we mnie owszem.

Obok przemknęły na autobusie kobiece piersi.

Musiałam odetchnąć świeżym powietrzem, ale potrzebowałam także

ubrań. Przy Szóstej Alei zatrzymałam taksówkę. Na Manhattanie było kilka butików, w których sprzedawano odzież dla kobiet w moim rozmiarze, więc pokierowałam taksówkarza do najbliższego z nich. Większość klientek w ciasnym sklepie miała zrezygnowany wyraz twarzy; wygnano je na same rubieże świata mody. Nie chciałam pozwolić, żeby wessała mnie ich negatywna energia. Ominęłam szerokim łukiem długie czarne sukienki, te całuny, w które zawsze się spowijałam niczym w opończę niewidzialności. Nie zamierzałam kupować wielu ciuchów. W podziemnym mieszkaniu straciłam na wadze, ale od tamtej pory nieustannie jadłam i nie byłam pewna, jak to się skończy. Rubí radziła sobie z maszyną do szycia, ale nie była cudotwórczynią.

Po sklepie kręciła się ekspedientka, spora kobieta z rzadkimi włosami, które ledwie zakrywały skórę głowy. Miała okulary w żółtych oprawkach i krótką sukienkę w kolorze awokado, która odsłaniała umięśnione brązowe nogi o łydkach poznaczonych rozstępami, jakby ktoś przejechał paznokciami po jej skórze. Nie próbowała maskować ich rajstopami. Jej sandały zdobiły maleńkie koraliki. Widać było, że dobrze się czuje w swoim ciele.

– Mogłaby mi pani pomóc? – spytałam. – Nie wiem, od czego zacząć.

Wyrzekłam się długich czarnych całunów, ale nie wiedziałam, czym je zastąpić. Do czasu, kiedy poznałam Marlowe i Rubí, nie miałam grubych przyjaciółek, nie miałam nikogo, na kim mogłam wzorować swój styl ubierania. Jedyne grube kobiety, jakie znałam, należały do Programu Odchudzającego Baptist i do Strażników Wagi, ale one były smutne i nie inwestowały w garderobę. Swoją tuszę postrzegały jako stan przejściowy bez względu na to, od jak dawna były grube. Sądziły, że przejeżdżają tylko przez Wioskę Grubasów w drodze do Miasta Szczupłości. Wiedziałam, co myślą. Byłam jedną z nich.

Sprzedawczyni, która miała na imię Desiree, wydawała się bardzo chętna do pomocy.

– Co pani ma w domu, żebyśmy mogły skompletować do tego resztę?

– Nic. Jestem niezapisaną tablicą. *Tabula rasa*.

Desiree zainstalowała mnie w przymierzalni i zaczęła znosić ubrania. Na pierwszy ogień poszła czerwono-biała sukienka z paskiem. Sama nawet bym na nią nie spojrzała. Przymierzyłam ją i natychmiast pomyślałam o Janine. Spędziłam w jej towarzystwie nie więcej niż dwadzieścia minut, a mimo to po dziesięciu latach tamta barwnie odziana banitka z Programu Baptist wyraźnie rysowała się w mojej pamięci, niczym ślad płomienia na celuloidzie.

Zaprosiłam Desiree do przymierzalni. Stała obok mnie i obie popatrzyłyśmy w lustrze na moje ciało.

– Ta sukienka wygląda fantastycznie – oświadczyła Desiree.

Nie byłam do końca przekonana. Widziałam swoje białe nogi, bulwiaste kolana i wielkie łydki. Nigdy ich nie pokazywałam. Odślonięte bywały tylko, kiedy przebierałam się w koszulę nocną, a w takim stroju nikt mnie nie oglądał. Mogłam nosić do tej sukienki rajstopy, ale nie zrobiłoby to wielkiej różnicy. Nogi wciąż byłyby widoczne, ogromne i nie do zamaskowania.

– Zastanowię się – powiedziałam.

W drugiej kolejności Desiree przyniosła kilka par spodni w różnych kolorach. W żadnych nie było ani odrobiny streczu. Nigdy dotąd nie nosiłam materiałów, które się nie rozciągają, i nagle poczułam się zupełnie inaczej. Wreszcie przestałam mieć wrażenie, że moje ciało jest bezgraniczne. Chętnie włożyłabym takie spodnie z jakimś workowatym swetrem, który mogłabym obciągnąć na brzuchu, ale Desiree przyniosła mi dopasowane bluzki: koralową z drewnianymi guzikami i turkusową z szarfą. Były to te same jasne kolory, które kupowałam dla Alicii, lecz teraz przeznaczono je dla Plum.

Desiree zostawiła mnie samą. Ubrana w spodnie khaki i koralową bluzkę, patrzyłam na swoje odbicie w trzyczęściowym lustrze. Przyglądałam się sobie pod każdym możliwym kątem. Jedyny okres, kiedy ubierałam się w ten sposób, to te kilka zwariowanych dni podczas przemiany z Marlowe i bezpośrednio po niej. Usiłowałam zdecydować, czy podobają mi się te ubrania, nie zastanawiając się, co zobaczą inni ludzie, kiedy na mnie spojrzą. Alicia pragnęła ich akceptacji, ale Plum już na tym nie zależało.

W mojej głowie kryła się widmowa kobieta, z którą się porównywałam, i musiałam wyprosić ją z przymierzalni. Kiedy zniknęła, popatrzyłam na swoje ciało – to, które pozwoliło mi przeżyć prawie trzydzieści lat bez żadnych poważniejszych problemów zdrowotnych, które zabierało mnie tam, dokąd chciałam dojść, które mnie chroniło. Nigdy go nie doceniałam ani nie kochałam, choć tyle dla mnie zrobiło. Myślałam o nim jak o wrogu, o skorupie, która ukrywała moje prawdziwe ja, ale to nie była żadna skorupa. To ciało *było mną*. „To twoje prawdziwe życie. Już je przeżywasz”. Zdjęłam ubrania i stanęłam nago przed lustrami, obracając się w jedną i w drugą stronę. Byłam okrągła i ładna w sposób, którego nigdy dotąd nie zauważyłam.

Powiedziałam Desiree, że wezmę tę biało-czerwoną sukienkę oraz spodnie i bluzki. Na wieszaku znalazłam też szorstką jasnobezową spódnicę, która mnie zachwyciła, więc ją także kupiłam, a do tego jeszcze trzy inne sukienki

do kolan: jedna była ciemnobrązowa w fioletowe gwiazdki, druga szmaragdowa, a trzecia biała z kolorowymi makami przy dekolcie i rąbku. Kupiłam też trochę podstawowych rzeczy – rajstopy i bieliznę, spodnie dresowe i koszulki do noszenia po domu. Zafundowałam sobie również nową torbę.

Desiree podsumowała moje zakupy i zdałam sobie sprawę, że kupuję więcej, niż zamierzałam, biorąc pod uwagę moje puchnące ciało, ale uznałam, że to nie ma znaczenia. Alicia miała całą szafę modnych ciuchów – Plum również na nie zasługiwała. Mimo to patrząc, jak Desiree składa te kolorowe ubrania, zaczęłam się martwić, że po wyjściu ze sklepu opuści mnie odwaga i nie będę nosić tego, co kupiłam. Po zapłaceniu wróciłam więc do przebieralni i włożyłam czerwono-białą sukienkę i czerwone rajstopy. Beżową tunikę i czarne legginsy, które miałam na sobie przedtem, wyrzuciłam do kosza na śmieci.

Kiedy wyszłam na ulicę z torbami zakupów, początkowo czułam się jak w tym koszmarze sennym, gdzie człowiek nagle staje nagi na oczach tłumu. Odnosiłam wrażenie, że wszyscy na mnie patrzą, a ja nie mogę się zasłonić, nie mam się gdzie ukryć. I rzeczywiście się na mnie gapiono, ale w końcu zawsze tak było. Zdałam sobie sprawę, że nie ma znaczenia, co na siebie włożę.

Obok przemknęły na autobusie kobiece piersi.

Ruszyłam dalej, odzyskując pewność siebie i unosząc wyzywająco brodę, jakbym pytała, czy ktoś ma ochotę skomentować mój wygląd. Ludzie zawsze wołali za mną „grubaska!”, żeby mnie obrazić, ale teraz nie byli w stanie zranić mnie tym słowem. *Byłam* gruba, a ponieważ nie uważałam już tego za coś złego, broń, którą przeciwko mnie kierowali, straciła moc.

Ubrałam się kolorowo i nie zamierzałam przeproszać za swój rozmiar. Sukienka dała mi pewność siebie. Po raz pierwszy nie przeszkadzało mi, że zajmuję więcej miejsca niż inni.

Po całym tym chodzeniu i zakupach zrobiłam się głodna. Wstąpiłam do baru przy Dwudziestej Trzeciej Ulicy i zamówiłam omlet z szynką, a do tego placuszki ziemniaczane. Kiedy zjadłam, poczułam ochotę na więcej, więc poprosiłam jeszcze o kanapkę z grillowanym serem z dodatkową porcją frytek. Dwie nastolatki przy stoliku po przeciwnej stronie zerkały na mnie ukradkiem, szepcząc coś do siebie i chichocząc. Wiedziałam, że śmieją się ze mnie i z tego, że ledwo mieszczę się za stołem, z mojej czerwono-białej sukienki i pulchnych palców, w których trzymałam kanapkę. Mój odzieżowy

triumf sprawił, że czułam uniesienie, a one usiłowały to popsuć. Jak śmiały! Coś we mnie pękło niczym zbyt napięta recepturka i poczułam przyływ gniewu. Miałam ochotę wyciągnąć ręce i urwać obu dziewczuchom głowy.

– No i co się tak gapicie, do cholery? – spytałam głośno. Wargi miałam śliskie od oleju.

Zaskoczyła mnie własna porywczosć. Słowa zwyczajnie wyslizgnęły mi się z ust, omijając filtr, który zawsze je hamował.

Nastolatki nie odpowiedziały, tylko odwróciły głowy. Inni goście baru popatrzyli w moją stronę. Podszedł kelner i stanął pomiędzy moim stolikiem a dziewczynami.

– Jakiś problem? – spytał ojcowskim tonem.

– Najmniejszego – odparłam. – Poproszę porcję bezy cytrynowej.

Czekając na ciasto, odwróciłam się całym ciałem w kierunku obu dziewczyn, świdrując je wzrokiem. Śledziłam każdy ich ruch i od czasu do czasu śmiałam się pod nosem. Przez kilka minut nie odrywałam od nich oczu. Robiły, co mogły, żeby uniknąć spoglądania w moją stronę, i udawały, że w ogóle ich to nie rusza, ale w przeciwieństwie do mnie nie wiedziały, jak się zachować pod ciągłą obserwacją. Wreszcie wyciągnęły portfele, pozbierały swoje torebki oraz zakupy i wyszły z baru.

Kelner przyniósł mi bezę, a ja rozkoszowałam się jej smakiem, czując, jak uchodzi ze mnie gniew. Kiedy dostałam rachunek, otworzyłam plecak, żeby wyjąć portfel, i zauważyłam skrawek papieru, który wysunął się z wewnętrznej kieszonki. Był to czek na dwadzieścia tysięcy dolarów. Schowałam go tam, żeby mi nie zginął, i zupełnie o nim zapomniałam.

Spojrzałam na nazwisko Baptist na górze. Mogłam go zainkasować, ale coś mnie powstrzymywało. Miałam prawo do tych pieniędzy, w końcu wypełniłam wszystkie zadania Nowego Programu Baptist, lecz Verena mówiła, że po zakończeniu będę całkowicie odmieniona. Zagwarantowała mi to. Ja zaś po zawirowaniach dzisiejszego dnia nadal nie byłam do końca pewna. Czy naprawdę tak się zmieniłam?

Przeszłam kilka kwartałów. Spojrzałam na witrynę jakiegoś butiku, zobaczyłam swoje odbicie i z początku trudno mi było uwierzyć, że ta kobieta ubrana w kolorową sukienkę to ja.

Obok przemknęły na autobusie kobiece piersi.

Zauważyłam sklep obuwniczy i postanowiłam kupić sobie coś zamiast

płaskich czarnych butów. Oglądałam pantofle i szpilki, espadryle i tenisówki. Nie znalazłam nic, co miałabym ochotę przymierzyć, ale w końcu w głębi sklepu wpadłam na różne botki, futrzane, białe, gumowe albo na cieniutkim obcasie. W kącie zaś stała para czarnych gładów. Sprzedawca opierał się leniwie o ścianę. Powiedziałam, że chciałabym przymierzyć te buty.

– To męski model – odparł.

Nie zmieniając pozycji, wskazał mi damski odpowiednik: wąskie czarne botki o zaokrąglonej linii, na małym obcasie. Nie zmieściłabym w nie łydek, zresztą i tak mnie nie interesowały.

– Nie, dziękuję. Poproszę te męskie.

Sprzedawca niechętnie zaczął przynosić różne rozmiary i wreszcie znalazłam taki, który idealnie na mnie pasował. Zasznurowałam gładny, wiążąc sznurówki w węzeł, a nie na kokardkę.

– No i? – zapytał sprzedawca.

Stanęłam przed lustrem, obracając się pod różnymi kątami, wciąż nieprzyzwyczajona do widoku swoich odsłoniętych nóg, ale nie potrafiłam się oprzeć połączeniu kolorowych rajstop z czarnymi buciorami.

– Dokładnie o to mi chodziło.

– Na pewno wyglądają niebanalnie.

Podałam mu swoje płaskie buty i poprosiłam, żeby wyrzucił je do śmietnika. Wyszłam na chodnik i ruszyłam przed siebie, tupiąc energicznie, niemal triumfalnie. Gładny zmieniły mój chód, wymagały bardziej zdecydowanego kroku. Nie spodziewałam się, by przyszło mi rozdeptać kogoś na miąsgę, ale wiedziałam, że byłabym w stanie to zrobić.

Po kilku skrzyżowaniach znalazłam kusząco pustą ławkę i przysiadłam na niej, ciesząc się, że mogę odstawić na chwilę torby z zakupami. Wyciągnęłam przed siebie nogi, podziwiając swoje gładny i jednocześnie zastanawiając się nad kolacją – może w drodze do domu wstąpię do supermarketu. Przedemną zatrzymał się autobus, czekał na czerwonym świetle jak zniecierpliwione zwierzę. Znowu zobaczyłam te piersi, które prześladowały mnie przez cały dzień. Umieszczone były na autobusie jako reklama bieliznianej sieciówki V... S... W *Teorii ruchalności* Marlowe poświęciła jej cały rozdział. Salony tej firmy określała nazwą Przystanek Wzwodowice. Modelka na zdjęciu leżała na boku w przejrzystym liliowym peniuarze, z którego wylewały się jej piersi, każda wielkości mojej głowy.

Autobus odjechał, unosząc piersi w dal. Kiedy przejechały wszystkie samochody, zobaczyłam na środku jezdni młodego człowieka, który siedł w moją stronę. Miał osiemnaście, może dziewiętnaście lat i był wyjątkowo szczupły, ubrany w dżinsy i czarny melonik. To właśnie kapelusz zwrócił moją uwagę, ale kiedy chłopak podszedł bliżej, zobaczyłam nadruk na jego liliowym T-shircie: był to rysunek kobiecej twarzy – twarzy okolonej ciemnymi włosami, z oczami obrysowanymi czarnym eye-linerem.

Znałam tę twarz.

Chłopak zauważył, że gapię się na jego koszulkę.

– Fajna, nie? – spytał, napinając ją na piersi.

– Ale jak... skąd ona się wzięła na twoim T-shircie?

– Sprzedają je w East Village. Możesz sobie kupić. – Chłopak ruszył dalej chodnikiem. – Czołem, siostruniu! – krzyknął przez ramię.

Patrzyłam, jak się oddala w swojej lawendowej koszulce, zastanawiając się, jak to możliwe, że dziewczyna, która śledziła mnie w kawiarni, widnieje teraz na T-shirtach niczym Che Guevara. W ciągu kilku tygodni Leeta stała się jednocześnie symbolem rebelii i modowym akcesorium. Była jedyną twarzą ruchu.

Ale wkrótce miały się pojawić kolejne.

Kapitan Tompkins

Podczas misji w Afganistanie Missy Tompkins, służąca w Siłach Powietrznych Stanów Zjednoczonych Ameryki w randze kapitana, wyeliminowała ponad dwustu nieprzyjacielskich bojowników. Po zakończeniu aktywnej służby wróciła do kraju i zamieszkała z matką w Reno, ale nie chciała opowiadać o doświadczeniach na wojnie ani o ludziach, których zabiła. Swoje wrażenia z tym związane zachowywała dla siebie.

Córka, która wróciła z frontu, nie była już córką, którą zapamiętała pani Tompkins. Nowa Missy była zamknięta w sobie. Rzadko się odzywała, większość dnia przesypiała, a wieczorami przesiadywała przy kuchennym stole, paląc skręty i popijając jacka danielsa. Nie dbała o wygląd, jej włosy w kolorze ciemnego blondu wisały w tłustych strąkach, a skórę pokrywały wypryski, których nawet nie próbowała maskować. Czasami późnym wieczorem wydzwaniła dokądś z parkingu za blokiem, chowając się w zaroślach za śmietnikami, żeby matka jej nie słyszała. Kiedy indziej zniknęła bez słowa na kilka dni. Gdy pani Tompkins usiłowała nakłonić ją do rozmowy, Missy mówiła, że matka i tak nic by nie zrozumiała.

Któregoś dnia wyszła po tytoń i więcej nie pojawiła się już w domu. Pani Tompkins przez wiele dni wracała z restauracji Silver Dollar Steakhouse, w której pracowała, z nadzieją, że zastanie córkę przy kuchennym stole - teraz ucieszyłby ją ten widok. Minął tydzień i zastanawiała się, czy nie zadzwonić na policję, ale Missy była dorosłą kobietą i nie musiała zdawać matce sprawozdania ze swoich poczynań. Zamiast tego pani Tompkins przeszukała jej sypialnię, gdzie znalazła liścik. Missy zostawiła go w puzderku na biżuterię, które miała od dziecka. Pisała, że kocha swoją matkę i swój kraj, po czym wyznała, że to ona pilotowała samolot, z którego wyrzucono na pustynię parszywą dwunastkę.

Matka Missy nie śledziła wiadomości, ale informacje

o morderstwach przedostały się do brukowców, które kartkowała podczas przerw w pracy. Missy pisała, że chciałyby, aby matka pogodziła się z tą wiadomością, a kiedy będzie gotowa, przekazała jej list do „Los Angeles Times”, żeby go opublikowano.

Pani Tompkins nie wiedziała, co się stało z jej córką, ale wiedziała, że już nigdy jej nie zobaczy. Postanowiła spalić liścik i nawet się do tego zabrała – róg kartki był przypalony i poczerniały – ale w ostatniej chwili zgasła płomień. Jeszcze raz przeczytała notkę i uznała, że nie ma prawa sprzeciwiać się prośbie Missy. Nie do końca rozumiała, o co chodziło, ale wiedziała, że jej córka była na wojnie i że ludzie wysłuchają tego, co miała do powiedzenia. Przesłała liścik do gazety, która opublikowała go na pierwszej stronie.

„Jennifer zwróciła się do mnie o pomoc i nie żałuję tego, co zrobiłam”, pisała Missy. „To też jest wojna, może nie taka oficjalna, ale kto decyduje, które wojny są prawdziwe?”.

Efekt Jennifer

Jennifer i tak stanowiła już narodową obsesję, ale po ujawnieniu liściku Missy Tompkins cały kraj dostał na jej punkcie prawdziwego szału.

ZAGINIONA PILOTKA MÓWI: „TO JEST WOJNA!”

Na osiedle mieszkaniowe w Reno opadła chmara agentów FBI. Panią Tompkins całymi dniami przesłuchiowano na temat córki, nie pozwalając jej prawie spać ani jeść. Ona i jej syn, brat Missy, wzięli udział w transmitowanej na cały kraj konferencji prasowej, podczas której pani Tompkins w asyście agentów FBI, oficerów armii oraz członków Kongresu apelowała do córki, żeby oddała się w ręce policji.

Natychmiast po konferencji Cheryl Crane-Murphy odwróciła się do gościa swojego programu, emerytowanego generała, i spytała, czy zastanawiał się, dlaczego Missy Tompkins napisała ten liścik i chciała, żeby go opublikowano.

- Czemu miałyby publicznie przyznawać się do winy? Przepraszam, że posłużę się tym zwrotem, panie generale, ale czy ten liścik nie jest w gruncie rzeczy środkowym palcem pokazanym wojsku?

Generał ścisnął mocno podłokietniki, jakby chciał się rzucić na kamerę, i udzielił odpowiedzi, która żadną odpowiedzią nie była:

- Nie szkolimy Amerykanek do walki po to, żeby po powrocie do domu wykorzystywały te umiejętności przeciwko swoim rodakom.

- Czy to możliwe, że Jennifer również służy w armii? - spytała Cheryl Crane-Murphy. Wzmianka o Jennifer w liściku Missy umocniła we wszystkich przeświadczenie, że chodzi o rzeczywistą osobę, przywódczynię ruchu.

Ta sugestia rozwścieczyła generała do tego stopnia, że odwrócił się do obiektywu i oświadczył:

- Nie wiemy, kim jesteś, Jennifer, ale znajdziemy cię i skopujemy ci dupę.

Analizowano i drobiazgowo roztrząsano wszystko, co miało związek z życiem Missy Tompkins, od jej dzieciństwa w Reno po wstąpienie do Akademii Sił Powietrznych i lata służby wojskowej, gdy pilotowała myśliwce. Nie minęło wiele czasu, nim prowadzący śledztwo odkryli, że czas nauki w liceum Missy spędziła z ojcem w południowej Kalifornii i że jej koleżanką z klasy była Soledad Ayala.

- Historia się zagęszcza - powiedziała Cheryl Crane-Murphy. - Leeta Albridge również była powiązana z Soledad, matką tragicznie zmarłej Luz, a teraz wyszło na jaw, że to samo odnosi się do Missy Tompkins.

Soledad przebywała rzekomo u chorej ciotki w Mexico City, lecz okazało się, że taka ciotka nie istnieje. Policja chciała przesłuchać byłą sanitariuszkę w sprawie wydarzeń, do których doszło w Stanach, ale ta rozplynęła się w powietrzu.

Dyrektor FBI znowu wystąpił w telewizji z kolejnym - jak nazywano to w mediach - „raportem Jennifer”:

- Wydaliśmy nakaz aresztowania kapitan Missy Tompkins, a sanitariuszce Ayali nadaliśmy status istotnego świadka - oświadczył. - Prowadzimy intensywne działania, mające na celu odkrycie tożsamości osoby znanej jako Jennifer, o ile taka osoba naprawdę istnieje. Jeśli tak, jest członkiem rozwiniętej siatki przestępczej, do której należy, jak widać, co najmniej jedna amerykańska oficer, a być może i więcej.

W audycji *Nola i Nedra* Nola Larson King powiedziała:

- Ewidentnie mamy tu do czynienia z jakąś kobietą organizacją terrorystyczną, na której czele stoi ktoś o imieniu Jennifer.

- Nie podoba mi się określanie członkiń naszych sił zbrojnych słowem „terrorystki” - stwierdziła Nedra Feldstein-Delaney.

- To jak inaczej byś je określiła? - zareplikowała Nola Larson King.

Trzy dni później do redakcji „Los Angeles Times” trafiło coś nowego: list z „czarną listą penisów”, podpisany przez Jennifer. Była na nim pieczętka urzędu pocztowego w Phoenix i nic poza tym.

Czarna lista penisów obejmowała nazwiska stu mężczyzn, których członkom, jak pisano w załączonej wiadomości, „żadna kobieta nie może udzielić schronienia w swoim ciele”. Redakcja gazety nie wiedziała, czy przesyłka jest prawdziwa, czy może ktoś stroi sobie żarty, ale i tak opublikowała te nazwiska. Wszystko, co wiązało się z Jennifer, wzbudzało ogromne zainteresowanie.

Jedną z wymienionych na liście osób był senator Craig Bellamy (reprezentant stanu Missisipi z ramienia partii republikańskiej), mocno sprzeciwiający się prawu do aborcji. Toczyło się dochodzenie w jego sprawie, ponieważ rozniosła się informacja, że zmusił do usunięcia ciąży dziewczynę, z którą się potajemnie spotykał, a potem próbował skłonić ją do milczenia szantażem. Kiedy pani Bellamy dowiedziała się z ust dziennikarza, że jej mąż trafił na czarną listę penisów, wpadła w panikę i zgodziła się wystąpić w programie *Dzień dobry, Ameryko*.

- Craig i ja nie uprawiamy seksu - powiedziała prosto do kamery. - Ostatni raz robiliśmy to, kiedy poczęliśmy naszego syna, Craiga Juniora. A on ma już trzydzieści lat.

Kolejną osobą na liście był Todd Wright, producent popularnych klipów, w których pijane studentki imprezujące podczas wiosennych ferii zachęcano do pokazywania piersi, zdejmowania majtek i całowania się z innymi dziewczynami. Kiedy ekipa CNN zapytała o to jego partnerkę, ta powiedziała do kamery:

- Nie mam najmniejszego zamiaru przestać sypiać z Toddem tylko dlatego, że jakaś [piiiip] suka o imieniu Jennifer tak mówi. Niech się [piiiip].

Następnego dnia przekręciła kluczyk w stacyjce i jej samochód wyleciał w powietrze.

W odpowiedzi Todd Wright, który nie wydawał się specjalnie zrozpaczony, stwierdził:

- Jennifer może mi obciągnąć.

Trzy dni później znaleziono go uduszonego pod molo w Santa Monica, z odciętym członkiem wepchniętym do ust.

Po zabójstwie Todda Wrighta i jego dziewczyny dyrektor FBI znowu wystąpił w telewizji z prezentacją w PowerPoincie, składającą się z dziewięćdziesięciu dziewięciu slajdów, po jednym na każdego z żyjących mężczyzn figurujących na czarnej liście penisów. Wszystkie slajdy zawierały ich zdjęcia, a także informacje o zawodach i miejscach zamieszkania. Byli wśród nich sportowcy, dyrektorzy firm, światowi przywódcy, Stanley Austen oraz członkowie amerykańskiego kongresu, którzy głosowali za odebraniem kobietom praw reprodukcyjnych.

- Traktujemy tę sprawę bardzo poważnie - powiedział dyrektor FBI. - Nie zalecamy ulegania groźbom terrorystów, ale zwracamy się do kobiet z prośbą, by nie utrzymywały stosunków seksualnych z żadnym z wymienionych na tej liście mężczyzn. Nie umawiajcie się z nimi, nie pozwólcie, by was z nimi widziano, dla waszego bezpieczeństwa.

Córka senatora Bellamy'ego postanowiła, że w dniu ślubu do ołtarza poprowadzi ją nie ojciec, tylko matka, na wszelki wypadek.

Poszukiwania Jennifer przybrały na sile, a tymczasem wiele kobiet noszących to imię zaczęło się skarżyć, że stały się celem ataków. W programie Cheryl Crane-Murphy pojawiła się właścicielka salonu sukien ślubnych Jennifer z Idaho Falls.

- Wczoraj ktoś rzucił kamieniem w moje okno - opowiadała. - Do kamienia była przywiązana kartka ze słowami: „Jesteś lesbą, która nienawidzi mężczyzn”.

Policjantka Jennifer Leoni z małej miejscowości Caldwell w stanie Delaware powiedziała, że ktoś wypisał sprejem słowo „lesba” na drzwiach jej garażu.

- Dostrzegam pewien trend, jeśli chodzi o wyzwiska związane z homoseksualizmem - skomentowała Cheryl Crane-Murphy, kręcąc głową. - Na miejscu tych młodych chuliganów postugiwałabym się raczej słowem

„terrorystka”, ale być może „lesbijka” to dla nich coś gorszego.

W telewizji znowu wystąpił dyrektor FBI.

- To bardzo mało prawdopodobne, by za tymi zamachami stał ktoś, kto naprawdę nazywa się Jennifer. Apeluję do wszystkich o zachowanie spokoju i zdrowego rozsądku. Nie kierujcie podejrzeń pod adresem kobiet tylko dlatego, że noszą to imię. W latach 1970-1984 Jennifer było najpopularniejszym imieniem żeńskim w Stanach. W całym kraju żyje obecnie ponad milion kobiet, które się tak nazywają. To praktycznie najbardziej typowe żeńskie imię, jakie można sobie wyobrazić. Jennifer to nasze córki, siostry, żony i matki. Jennifer są wszędzie wśród nas.

- Jeśli Jennifer są wszędzie wśród nas - spytała w odpowiedzi Cheryl Crane-Murphy - to jak mamy być spokojni?

Wkrótce zaczęło się szerzyć coś, co media nazwały „efektem Jennifer”.

Na pewnym prestiżowym uniwersytecie w stanie Connecticut nowi członkowie jednego z bractw studenckich podczas ceremonii inicjacyjnej przemaszerowali pod żeńskim akademikiem, skandując: „Nie oznacza tak, tak oznacza anal!”. W poprzednich latach podobnym wybrykiem zajęłaby się komisja dyscyplinarna złożona ze starszych facetów w tweedowych garniturach, a posiedzenie odbyłoby się w sali konferencyjnej przy kawie i ciasteczkach, lecz tym razem studentki wzięły sprawy w swoje ręce. Masowo wyległy z akademików, żeby zniszczyć dom bractwa, potłukły w nim wszystkie szyby i podłożyły ogień. Do rana pozostały z niego same zgliszcza.

Jedna z uczestniczek zajścia powiedziała w programie Cheryl Crane-Murphy:

- Kiedy usłyszałam, co krzyczą ci faceci, pomyślałam: co zrobiłaby Jennifer? A potem złapałam swój kij do lacrosse'a i poleciałam.

Cheryl poinformowała, że studentki uczelni dodały nazwiska członków bractwa do swojej własnej czarnej listy

penisów. Była to akcja, którą szybko zaczęły przejmować kobiece grupy w innych kampusach.

Nie zapowiadało się na to, żeby efekt Jennifer miał szybko wygasnąć. Kobiety sięgały po akty przemocy i obywatelskie nieposłuszeństwo. Mężczyźni zaczęli podejmować środki ostrożności. Lider najślynniejszego zespołu rockowego w Ameryce, typ niegrzecznego chłopczyka, miał na bicepsie tatuaż z nagą syrenką, której karykaturalne piersi wyglądały jak okrągłe babeczki uwieńczone jaskrawoczerwonymi wisienkami. Przed sesją zdjęciową dla magazynu „Rolling Stone” wizażystka zamalowała biust syrenki, ubierając ją w skromny top z długimi rękawami, który nie wzbudziłby oburzenia nawet w katalogu ubrań dla całej rodziny. Gwiazdor nie protestował ani nie zrobił sceny. Nie uśmiechała mu się perspektywa wypadnięcia z samolotu.

W audycji *Nola i Nedra* Nola Larson King oświadczyła:

- Zastanawiałam się nad tym, co mówiłaś wcześniej, Nedro, i zgadzam się z tobą. Nie uważam tego za *terrorizm* ani za *kobięcy terrorizm*. Wiesz, co to moim zdaniem jest?

- Umieram z ciekawości - odparła Nedra Feldstein-Delaney.

- Myślę, że to *odpowiedź* na terrorizm. Dziewczynkom od najmłodszych lat wpaja się strach przed „złymi mężczyznami”, którzy mogą nas skrzywdzić. Żyjemy w obawie przed tym, że owi źli mężczyźni nas zgwałcą, pobiją, nawet zamordują, ale problem w tym, że nie ma sposobu, żeby odróżnić tych złych od tych dobrych, więc trzeba się wystrzegać wszystkich. Powtarza nam się, żebyśmy nie wychodziły same wieczorami, nie ubierały się w taki czy inny sposób, nie rozmawiały z nieznajomymi, nie prowokowały mężczyzn, okazując im fałszywe zainteresowanie. Chodzimy na zajęcia z samoobrony, chowamy się za zamkniętymi drzwiami, nosimy ze sobą gaz pieprzowy i gwizdki alarmowe. Od dzieciństwa zaszczepia się w nas strach przed mężczyznami. Czy to nie jest forma terrorizmu?

- Nola, na litość boską! Przez ciebie wyrzucą nas z radia -

odparła Nedra Feldstein-Delaney.

Poszukiwania Jennifer i jej kohorty nadal trwały. Do września sprzedaż *Teorii ruchalności* niebywale wzrosła, a Marlowe zapraszano do wiadomości jako analityczkę kwestii związanych z działalnością Jennifer. Także Verena była pytana o zdanie, zwłaszcza przez japońskie media, ponieważ film dokumentalny Eulayli, *Nowo narodzona*, był tam wręcz kultowy. Verena jednak odmawiała. Mówiła, że kwestia Jennifer odwraca tylko jej uwagę od prawdziwej pracy.

W przerwach pomiędzy udzielaniem wywiadów Marlowe zaczęła pisać nową książkę: *Efekt Jennifer*. Kiedy kończyłam poranne wypieki, w kuchni słychać było odgłosy jej wściekłego walenia w klawiaturę. Owijałam ciasta i ciasteczka w folię, po czym zaczynałam sortować gazety i magazyny porzucane po całym stole. „Leeta Albridge w Montanie?”, brzmiał jeden ze znajomych już nagłówków. Prawie przestałam zwracać uwagę na podobne artykuły. Nie miałam pojęcia, gdzie się podziewała Leeta, ale byłam pewna, że nie w żadnym fast foodzie ani w centrum handlowym, w których co raz to rzekomo ją widziano.

Marlowe oraz pozostałe kobiety były pochłonięte swoimi projektami, więc zaczęłam się zastanawiać, czym mogłabym się zająć poza gotowaniem i jedzeniem, pisanem w notesie i rozmyślanem o Jennifer. Marlowe tak się wciągnęła w swoją książkę, że nie odpowiedziała, kiedy spróbowałam nawiązać rozmowę, więc pozmywałam naczynia i przygotowałam się do popołudniowego spaceru.

Zmuszałam się, żeby codziennie choć na trochę wychodzić z domu. Często wpadałam na ludzi, którzy gapili się na mnie w denerwujący sposób albo zachowywali się niegrzecznie. Wypracowałam sobie świetne zabójcze spojrzenie i teraz już bez żenady pytałam: „Na co się gapisz?”, a czasem uciekałam się do mocniejszej wersji: „Na co się, kurwa, gapisz?”. Zaczęłam niecierpliwie wyczekiwać tych incydentów. Ludzie, z którymi się konfrontowałam, wydawali się wstrząśnięci już samym faktem, że reaguję, i nie próbowali się awanturować. Czasem zastanawiałam się wręcz, czy właśnie nie miałabym ochoty na awanturę. Po latach ignorowania takich zachowań byłam teraz gotowa do ataku, jak zwinięty wąż.

Zabrałam z kuchni porcję świeżo upieczonych kocich języczków i zjadłam je w drodze na przystanek autobusowy, zasypując sobie dekolt cukrem pudrem.

– Patrz, jaka wielka pani – powiedziała jakaś mała dziewczynka, która minęła mnie w towarzystwie matki albo niani.

Kobieta zarumieniła się i już miała ją upomnieć, ale ja odezwałam się pierwsza:

– No właśnie, patrzcie na mnie – rzekłam, wrzucając sobie do ust ostatni herbatnik i otrzepując dłonie z okruchów. – Prawda, że wyglądam wspaniale?

Podjechałam autobusem do centrum, wysiadłam i przeszłam się kawałek. Podniosłam głowę i ponad lasem budynków zobaczyłam fragment chromowanego pnia Austen Tower. Na jego szczycie przebywała Kitty, a w otchłaniach pod ziemią – Julia.

Kiedy wróciłam spojrzeniem na ulicę, dostrzegłam inny znajomy widok: plakat przedstawiający kobietę w liliowym peniuarze, której biust widziałam sunący po całym mieście na autobusach. Wersja na jednym z głównych salonów V... S... była wysoka na ponad dwa piętra, a piersi modelki miały na niej wielkość opon samochodowych. Gdybym miała taką moc jak Jennifer, zażądałabym, żeby pozdejmowano te plakaty. Były wszędzie, jak ulotki rozrzucone na ulicach w czasie wojny. Propaganda.

Gdy hordy pieszych się przeredziły, ujrzałam swoje odbicie w szklanej ścianie sklepu, na tle kolan kobiety w liliowym peniuarze. Miałam na sobie jedną z nowych sukienek, tę brązowo-fioletową, a do tego fioletowe rajstopy i moje nowe czarne glany. Uśmiechnęłam się do odbicia, które w tym momencie zniknęło, zasłonięte przez grupę przechodniów. Ale nieważne, jak wielki tłum się tam kręcił, modelka na plakacie i tak nad wszystkimi dominowała, jej piersi podbiły cały Manhattan. Pierwszy raz zauważyłam ją w dniu, kiedy zobaczyłam koszulkę z twarzą Leety: dwie kobiety, dwa różne przekazy. Nigdy nie zdołam być taka jak ta dziewczyna w peniuarze – i już tego nie pragnęłam – jednak zastanawiałam się, czy mogę się upodobnić do Leety.

Baptystka nie boi się stanąć poza prawem.

Weszłam do apteki, żeby kupić potrzebne artykuły i przygotować się psychicznie. Potem wkroczyłam swobodnie do V... S... starając się wyglądać nonszalancko. Na Przystanku Wzwodowice nie sprzedawano zbyt dużych rozmiarów, więc na mój widok w sklepie uniosło się kilka brwi. „Znajdź na obrazku element, który nie pasuje do pozostałych!”. Przy wejściu ekspedientka z wymodelowanymi włosami zmierzyła mnie wzrokiem.

– W czym mogę pani pomóc? – spytała.

– Robię zakupy dla osoby w normalnym rozmiarze. Mam nadzieję, że moja obecność nie stanowi problemu.

– Ależ skąd. Proszę mnie zawołać, gdyby potrzebowała pani pomocy – odparła dziewczyna, z wprawą ignorując mój sarkazm.

Zostawiła mnie, a ja zaczęłam rozglądać się po sklepie, którego ściany były oklejone zdjęciami bielizny prezentowanej przez naturalnej wielkości Szwedki i Brazylijki. Udając, że przeglądam towar, dyskretnie wsuwałam do torby różne rzeczy, posługując się swoim wielkim ciałem jak zasłoną. Ta część poszła nieoczekiwanie łatwo. Trudność polegała na usunięciu klipsów zabezpieczających. W tym celu musiałam się schować w przymierzalni, ale nie miałam żadnego pretekstu, żeby to zrobić. Jako kobieta nieruchalna nie zmieściłabym się nawet w tutejsze szlafroki.

Powiedziałam co prawda, że robię zakupy dla kogoś innego, ale na środku sklepu zauważyłam regał z szalami, naszyjnikami oraz innymi dodatkami. Tam mogłam udać, że wybieram coś dla siebie. Wzięłam kilka rzeczy, które pasowały do mojej sukienki, i spytałam ekspedientkę, czy mogłabym je zabrać do przymierzalni, żeby sprawdzić, jak na mnie wyglądają. Dziewczyna nie nabrała żadnych podejrzeń – w ogóle rzadko je budziłam.

W zaciśniętej przymierzalni wyjęłam kupione w aptece nożyczki i odcięłam od bielizny klipsy w kształcie spodeczków. Nożyczki nie były zbyt ostre, więc musiałam szorować nimi po tkaninie, niszcząc przy tym bieliznę, na co przeciętna złodziejka by się nie zdobyła – ale ja przecież nie zamierzałam tego wszystkiego nosić. Nie wiedziałam jeszcze, co zrobię z łupem, lecz sama kradzież sprawiła mi przyjemność.

Podchodząc do wyjścia, przygotowałam się na wycie alarmu albo na atak znudzonego ochroniarza, ale nic się nie wydarzyło. To był jeden z najbardziej bezczelnych czynów, jakich kiedykolwiek się dopuściłam. Co prawda nie spodziewałam się ujrzeć swojej twarzy na koszulkach, ale mimo to poczułam dreszcz emocji.

W domu wrzuciłam liliowy peniurek i resztę kontrabandy do garderoby.
w tym pokoju urodziła się kaliopie / styczeń 1973.

– Co zamierzasz zrobić z tą całą bielizną? – zapytała Sana, kiedy przyszła na górę i spojrzała na kolorową stertę postrzępionych rzeczy na podłodze garderoby. Wyznałam, że wszystko ukradłam. Widziałam, że tego nie pochwała, ale mnie nie skarciła.

– Zachowam je na specjalną okazję – powiedziałam.

– Czekasz na księcia z bajki?

– Już go spotkałam, nie mówiłam ci o tym? Poznaliśmy się na stacji metra. Przywalił mi prosto w twarz.

Do końca tygodnia wypracowałam sobie rutynę. Rano wstawałam przy dźwiękach muzyki i robiłam dla wszystkich śniadanie. Kiedy reszta opuszczała kuchnię, poświęcałam kilka godzin na pieczenie, nadal w szlafroku, i słuchałam radia, czekając na wieści o Leecie. Potem dzwoniłam do matki, obżerając się babeczkami, słodkimi bułeczkami czy innymi smakołykami, które przygotowałam. Matka chciała rozmawiać o książce Vereny i bezustannie wypytywała o moje nowe życie i miejsce zamieszkania. Ulżyło jej na wieść, że wyniosłam się z Brooklynu i znalazłam nowych przyjaciół. Po pieczeniu i jedzeniu odkładałam resztę słodkości na półmiski i tace dla moich współlokatorek, a potem brałam prysznic, przebierałam się w nowe ubrania (które zaczynały się robić nieco przyciasne) i szłam do jednego z salonów V... S...

Czwartego dnia, kiedy zeszłam na dół, gotowa do wyjścia, przystanąłam w czerwonym przedpokoju, żeby sprawdzić, czy na pewno włożyłam do torby nożyczki. Nagle rozległ się brzęk tłuczonego szkła, a potem pisk opon. Przestraszyłam się, że tym razem w Fundacji Bessie Cantor naprawdę podłożono bombę i że właśnie przeżywam w zwolnionym tempie eksplozję. Stałam jak wrośnięta w ziemię, póki nie zyskałam pewności, że żaden wybuch jednak nie rozsadził ścian.

Weszłam do salonu i nachyliłam się, żeby podnieść coś, co okazało się cegłą owiniętą w przymocowany recepturką papier. Po jednej stronie drukowanymi literami napisano: TY SUKO. Po drugiej: EULAYLA 4-EVER.

– Co się tu dzieje? – spytała Verena, wchodząc do pokoju i wyjmując mi cegłę z dłoni. Odczytała wiadomość i zmarszczyła brwi bardziej z rezygnacją niż z zaskoczeniem.

– Zdarza się – powiedziała. – Dawne baptystki. Wiele z nich mnie nienawidzi. – Oddała mi cegłę, prosząc, żebym zdjęła gumkę i zachowała kartkę.

– Gdyby dodali jedną literę, wyszłoby „Tyj suko” – zauważyłam. – Co byłoby o wiele dowcipniejsze.

Verena się nie roześmiała. Przyniosła zmiotkę z szufelką i zaczęła sprzątać odłamki szkła. Odwinęłam kartkę i położyłam ją na stoliku. Zamierzałam wynieść cegłę za dom, ale kiedy Verena się odwróciła, wsunęłam ją do torby. Jej martwy ciężar sprawiał mi przyjemność.

Wyszłam na ulicę. Byłam nieco wstrząśnięta, ale nie zamierzałam rezygnować ze swoich planów na ten dzień. Odhaczałam kolejne salony V... S... w całym mieście i znosiłam do domu stopy kradzionych koronkowych dóbr. Tego popołudnia zamierzałam zapuścić się nieco dalej, aż do centrum handlowego w Queens. Najpierw poszłam do toalety w dziale restauracyjnym – uznałam, że rozsądek nakazuje wysiusiać się zawczasu, na wypadek gdyby mnie aresztowano, ale i tym razem kradzież uszła mi na sucho. Kiedy wychodziłam z centrum z torbą pełną bielizny, mój telefon zaczął wibrować. Numer wyglądał znajomo, ale nie mogłam go skojarzyć.

– Pani Kettle? Mówi Deborah z gabinetu doktora Shearera. Nie kontaktowała się pani z nami od kilku miesięcy. Zbliży się termin pani operacji i chciałam wszystko potwierdzić.

Przystanęłam w podwójnych drzwiach. Ludzie wpadali na mnie z obu stron, ale nie ruszyłam się z miejsca.

– Halo, pani Kettle?

Wyłączyłam komórkę. Ten telefon był nieprzyjemnym zgrzytem w skądinąd idealnej wyprawie do galerii – był ręką wyciągającą się z przeszłości, żeby mnie powalić.

Powinnam była powiedzieć sekretarce doktora, że rezygnuję z operacji, ale w ogóle się nie odezwałam. Przez większość następnego dnia pisałam w notesie, próbując zaprowadzić ład w swoich emocjach. Zabijałam tę szczupłą dziewczynę, która się we mnie kryła, kobietę idealną, mój cień – tylko skąd miałam wiedzieć, czy naprawdę zniknęła?

Postanowiłam wyrwać się z domu i popisać w jakiejś kawiarni, jak za dawnych czasów. Zeszłam na dół do Sany i spytałam, czy nie wybrałyby się ze mną.

– Przyda mi się przerwa na kofeinę – zgodziła się, przysiadając na skraju biurka. Miała na sobie dzinsy i luźny granatowy top bez rękawów, a włosy związała jak zwykle w kucyk. Powiedziała, że dołączy do mnie za jakieś pół godziny. Wyruszyłam pierwsza. Zapełniłam już prawie cały notes, więc zabrałam ze sobą także laptopa.

W kawiarni Dzień i Noc usiadłam przy stoliku pod oknem. Zamówiłam lemoniadę i kawałek ciasta czekoladowego. Przejrzałam wszystko, co napisałam w notesie przez kilka ostatnich tygodni. Niebieskie niechlujne bazgroły Leety ustępowały miejsca mojemu porządnemu pismu. Cieszyłam się, że wzięłam ze sobą komputer – najwyższa pora wprowadzić jakiś ład do tych zapisków. Może któregoś dnia napiszę książkę, jak kilka innych kobiet z Domu Kaliope. Kiedy pracowałam dla Kitty, całymi dniami przesiadując z laptopem w kawiarni Carmen, chciałam pisać eseje i artykuły, lecz teraz może bym się porwała na jakąś większą formę. Owszem, kotłowało się we mnie sporo emocji, ale wreszcie miałam do powiedzenia coś więcej.

Na dole ekranu znajdowała się ikonka odsyłająca do skrzynki pocztowej Kochanej Kitty. Jakoś do tej pory nie zebrałam się, żeby ją wykasować. Kliknęłam na nią z zamiarem przeciągnięcia do kosza. Nie wiem dlaczego, ale zamiast tego ikonka się otworzyła, tak nagle i niespodziewanie, że aż zasłoniłam ręką oczy, jakby oślepił mnie błysk. Kiedy wreszcie odważyłam się spojrzeć na ekran, zobaczyłam, że zanim w Austen Media odcięli mi dostęp, do skrzynki zdążyło napłynąć piętnaście wiadomości. Błagania o pomoc, które marniały bez odpowiedzi. Dla zabawy otworzyłam jedną z nich. *Kochana Kitty, mój chłopak twierdzi, że mam grubą cipkę. Co mam...*

Lekturę przerwał mi znajomy głos:

– Cześć, kochana!

Sana szła w moim kierunku, w samą porę, żeby mnie uratować. Głośne powitanie ściągnęło na nią spojrzenia wszystkich gości kawiarni, ale ona nie bała się zwracać na siebie uwagi. Wiedziała, że ludzie i tak będą się gapić na jej poparzoną twarz. Odsunęłam komputer na bok. Zjadłam już ciasto i dopijałam właśnie lemoniadę, więc Sana poszła do kasy zamówić coś więcej i wróciła po kilku minutach z coca-colą oraz talerzykiem makaroników udekorowanych paskami czekolady.

– To co dziś porabiałaś, Śliweczko? – zapytała, otwierając puszkę z colą. Srebrne bransolety zsunęły się jej do łokci. – Znowu bielizna?

– Nie dzisiaj.

– Całe szczęście. Któregoś dnia będę musiała jechać na policję, żeby wpłacić za ciebie kaucję. Wiesz o tym, prawda?

– Nigdy mnie nie złapią. Jestem przebiegła jak lis.

Sana uśmiechnęła się, ale nie zrezygnowała z tematu:

– Pytam poważnie: mam się zacząć martwić? Jako twoja przyjaciółka i jako pracownica socjalna jestem prawnie zobowiązana, żeby o to spytać.

– Lubię to robić – odparłam, wzruszając ramionami.

Sana ustąpiła. Nie powiedziałam jej o moich innych wybrykach, takich jak obrzucenie przekleństwami kobiety z matą do jogi, która w supermarkecie głośno prychnęła na widok zawartości mojego koszyka z zakupami, albo to, że nosiłam w torbie cegłę.

– Chciałabym cię o coś spytać – zaczęłam – jeśli mogłabyś wcielić się na chwilę w rolę pracownicy opieki społecznej.

Powiedziałam, że dzwonili do mnie z gabinetu lekarskiego i że nie odwołałam operacji.

– Zastanawiam się – ciągnęłam – jak mogę zyskać pewność, że Alicia, ta chuda kobieta wewnątrz mnie, naprawdę zniknęła. A co, jeśli wróci do życia?

– Znaczą jak zombie? Żeby zabić zombie, trzeba mu strzelić w głowę.

– Odpada – rzekłam w podobnym tonie. – Ona żyje we mnie, pamiętasz? Gdybym chciała ją zastrzelić, musiałabym zastrzelić siebie.

Po czym już na poważnie opowiedziałam o swoich obawach, że to nowe życie w końcu mi zbrzydni, że pociąga mnie w nim tylko urok nowości. Kiedy siedziałam z Saną w kawiarni, wydawało mi się to niemożliwe, ale nie byłam w stanie przewidzieć przyszłości.

– To proces, który będzie trwać całe życie, nigdy nie będzie ci łatwo – odparła Sana. – Ale nadejdzie moment, kiedy zdasz sobie sprawę, że zaszły w tobie nieodwracalne zmiany i że już nigdy nie będziesz taka jak dawniej. Myśl o tym jak o podróży w nowe miejsce.

Spodobał mi się ten obraz.

– Ale skąd będę wiedziała, że to już się wydarzyło?

– Jeśli nie jesteś pewna, to znaczy, że jeszcze do tego nie doszło. Nadal jesteś w okresie przejściowym.

Okres przejściowy – dokładnie tak się czułam. Sana pomogła mi zrozumieć własne emocje, zupełnie tak, jak się spodziewałam.

Zauważyła mój komputer, więc wyjaśniłam, że zamierzam przepisać do niego zapiski z notesu, nie wspominając jednak o pomyśle napisania książki. Był zbyt nowy, żeby się nim dzielić. Sana opowiedziała mi, jak spędziła dzień. Zbierała fundusze na swój dom pomocy. Chciała go prowadzić przez kilka lat w Nowym Jorku, a potem wrócić do Iranu i otworzyć tam oddział. Myśl o jej wyjeździe była nie do zniesienia.

Sana opowiadała też o nastolatkach, którym chciała pomagać. Dużo z tego, co mówiła, brzmiało dla mnie znajomo.

– Czuję, że na swój sposób są mi bliskie, a ty? – spytała.

Nigdy nie myślałam tak o swojej pracy. Moje korespondentki były dla mnie ciężarem. Czasami miałam do nich wręcz żal, może dlatego, że w tamtym okresie sama w gruncie rzeczy byłam niedojrzała jak nastolatka.

– Nasz dom spłonął, kiedy miałam trzynaście lat. Byłam mniej więcej w wieku, kiedy rozpoczyna się pokwitanie – powiedziała Sana. – Zawsze byłam chłopczycą... tak na to mówicie? I ja, i moje przyjaciółki zaczynałyśmy miesiączkować, rosły nam piersi... sama wiesz, jaki to dziwny czas... i nagle przytrafiła mi się ta straszna rzecz. W moim umyśle te dwa przeżycia zawsze są połączone: blizny i proces stawania się kobietą. Oba były na swój sposób traumatyczne. To był atak na moje poczucie tego, kim jestem.

Trauma stawania się kobietą – w gruncie rzeczy wszystkie listy do Kochanej Kitty sprowadzały się właśnie do tego. Odpowiadałam tym dziewczynom, próbując uciszyć ich lęki, ale sama nie czułam się wtedy prawdziwie dorosła.

Sana wróciła do Domu Kaliopie na jakieś spotkanie, a ja zdecydowałam, że zostanę jeszcze w kawiarni. Pod wpływem naszej rozmowy postanowiłam

przed wykasowaniem przeczytać ostatnie wiadomości do Kochanej Kitty. Zamówiłam sobie kanapkę i zupę, po czym otworzyłam pierwszego maila z brzegu.

Od: dolcevita95

Do: Stokrotka

Temat: **poufne**

Kochana Kitty,

mam bardzo małe piersi. Właściwie to wcale ich nie mam. Znacząco owszem, mam sutki, dwie różowe kropeczki, ale dosłownie nic poza tym. Równie dobrze mogłabym być chłopakiem. W czerwcu kończę liceum i babcia ma mi dać 5000 dolarów. W przyszłym roku chcę studiować historię sztuki w Stanwyck College, więc zamierzam wydać te 5000 dolarów na wycieczkę do Włoch, żeby pooglądać dzieła sztuki i zabytki. Ale może zamiast tego powinnam je przeznaczyć na implanty w piersiach? Jak uważasz? Wiem, że to wydaje się płytkie... Jestem inteligentna, ale naprawdę mam wrażenie, że z większymi piersiami czułabym się normalniejsza.

Pozdrawiam

Alexis J. z L.A.

Jak to możliwe, że zajmowałam się tym przez całe trzy lata? Gdybym wydrukowała wszystkie swoje maile z odpowiedziami, uzbierałoby się tyle papieru, że starczyłoby na kilka książek – książek, które napisałam, podszywając się pod kogoś innego.

Wpatrywałam się w wiadomość od Alexis z palcem zawieszonym nad klawiszem „usuń”, ale czułam, że nie powinnam odsyłać jej w nicość. Wiedziałam, jak bym odpowiedziała, gdybym nadal pracowała dla Kitty: „Alexis, niepotrzebne ci żadne implanty! Jesteś piękna taka, jaka jesteś!”. Kitty nalegała, żebym jak najczęściej używała tego ostatniego tekstu. Mówiłam jej, że to brzmi nieszczerze, skoro nigdy nie widziała autorek listów, ale ona twierdziła, że to nie ma znaczenia. „Wszystkie dziewczęta są piękne”, powtarzała w kółko, choć w swoim czasopiśmie pokazywała tylko te o wyglądzie modelek.

Postanowiłam odpisać Alexis z prywatnego konta.

Od: PlumK

Do: dolcevita95

Temat: Re: **poufne**

Kochana Alexis J.

Kitty nie zawraca sobie głowy odpowiadaniem na maile czytelniczek, ale może ja będę mogła Ci pomóc. Stoisz w tej chwili na rozstaju dróg. Czysto teoretycznie założmy, że wybierasz ścieżkę, która zaczyna się od włożenia do Twojej klatki piersiowej dwóch torebek z silikonem. Wreszcie masz biust, o którym marzyłaś. Przekraczasz limit na dwóch kartach kredytowych, bo wydajesz wszystko na ciuchy z głębokim dekoltem - no bo w końcu na co Ci duże piersi, jeśli nie będziesz ich pokazywać? Mężczyźni otaczają Cię względami i jesteś przeszczęśliwa, w związku z czym pierwszy semestr w koledżu spędzasz nie na studiowaniu malarstwa Fridy Kahlo, tylko na imprezach. Poznajesz facetów, którzy są tak zajęci podziwianiem Twojego prezentu na zakończenie liceum, że nie mają czasu patrzeć Ci w oczy. Z wieloma z nich idziesz do łóżka. Stale spóźniasz się na zajęcia, skacowana i bez pracy domowej, stopnie lecą w dół, aż wreszcie wylatujesz ze studiów. Wyprowadzasz się z akademika i zamieszkujesz z dwiema innymi dziewczynami na osiedlu Ogrody Pacyfiku. Znajdujesz pracę jako recepcjonistka w klinice dentystrycznej. Twój szef, Irwin Michaelson, dr n. med., pięćdziesięcioletni wdowiec, komplementuje Cię, kiedy wkładasz bluzki z głębokim dekoltem. W przerwach pomiędzy borowaniem ubytków z upodobaniem boruje też Ciebie w schowku z zaopatrzeniem. Wkrótce zostajesz panią doktorową Irwinową Michaelsonową. Przeprowadzasz się do jego mieszkania w Santa Monica i rzucasz pracę, bo Irwin mówi, że jego żona nie musi pracować. Uczysz się codziennie serwować mężowi wspaniały obiad, bo inaczej się piekli. Zaczynasz się zastanawiać, czy jego pierwsza żona naprawdę zginęła w wypadku podczas nurkowania, jak Ci powiedział. Wyszukiwania w internecie pod hasłem „Gloria Michaelson, wypadek podczas nurkowania” nie przynoszą żadnych wyników. Zastanawiasz się, czy nie

zostawić Irwina i nie wrócić na studia, ale wtedy on robi Ci dziecko i kupujecie dom w Redondo Beach. Zanim się orientujesz, masz trzydzieści lat, syna Irwina Jr oraz córki bliźniaczki Maddison i Maddalyn i jeździsz kią sedona, w której śmierdzi frytkami i dziecięcą kupą. Podejrzewasz, że Irwin ma romans. Zaczynasz pić. I to dużo. Irwin mówi, że trochę się zaniedbałaś, więc fundujesz sobie odsysanie tłuszczu i lifting brzucha, ale to nic nie daje. Na dzień przed waszą dziesiątą rocznicą Irwin oświadcza, że chce rozwodu, bo zamierza ożenić się z Angie, swoją nową asystentką. Proponujesz, że jeszcze bardziej powiększysz sobie piersi, a on się wścieka, że uważasz go za płytkiego fiuta. Wygrażasz, że w sądzie zedrzesz z niego skórę, ale on tylko się śmieje. Cha, cha, cha! Mówisz więc, że oskarżysz go o przemoc domową, na co on rzuca w Ciebie hawajskim posążkiem, który kupiliście podczas miesiąca miodowego w Oahu. Posążek rozbija się o gzyms kominka i odłamek uderza Cię w oko. Musisz nosić opaskę jak pirat. Nie mówisz już nic więcej, bo się boisz, że skończysz na dnie oceanu jak pierwsza pani Michaelson. Irwin wychodzi i nie wraca przez trzy dni. Kiedy wreszcie się pojawia, policja aresztuje go za przemoc domową. Gliny zakuwają go na podjeździe w kajdanki, podczas gdy on wrzeszczy: „Co ja ci takiego zrobiłem, ty gruba krowo?!”. Słyszą go wszyscy sąsiedzi. Maddalyn płacze. A może to Maddison? Zatrudniasz prywatnego detektywa, żeby zrobił Irwinowi i Angie zdjęcia *in flagranti*, bo jako matka trójki dzieci tylko tak możesz sobie zagwarantować standard życia wyższej klasy średniej, do którego przywykłaś przed rozwodem. Jeśli nie dostaniesz połowy konta Irwina, masz przesrane.

Nie jest to zbyt piękna wizja, co, Alexis? Czy naprawdę chcesz skończyć jako samotna zgorzkniała gospodyni domowa z problemem alkoholowym? Bądź wdzięczna za swoje miseczki w rozmiarze A. Jedź na wakacje do Włoch. Jedz mnóstwo *gelato*.

Pozdrawiam

Plum

PS Jeśli podasz mi swój adres, prześlę Ci egzemplarz *Teorii*

ruchalności.

Siedziałam w kawiarni aż do czasu zamknięcia, odpowiadając na maile pozostałych dziewcząt i proponując im po egzemplarzu książki Vereny albo Marlowe, do wyboru, z autografem autorki. Potem otworzyłam arkusz z pięćdziesięcioma tysiącami adresów dla Julii, który wciąż trzymałam na ekranie. Zamierzałam podzielić odbiorczynie na grupy i kolejno proponować im książki oraz dyskuszę na ich temat, o ile miałyby na to ochotę. Nawet jeśli tylko kilka z nich się zgodzi, nie będzie to stracony czas.

Chciałam mieć własny projekt. Może w ten sposób lepiej spożytkuję energię, niż wykradając ze sklepów bieliznę. Zacznę pisać po kryjomu do dziewcząt Kitty – to też będzie działanie poza prawem, tylko innego rodzaju.

W ciągu zaledwie kilku dni od rozpoczęcia nowego przedsięwzięcia otrzymałam wiele próśb o egzemplarze *Teorii ruchalności* i *Przygód w Krainie Diet*. Codziennie godzinami adresowałam koperty i dźwigałam paczki na pocztę, co pozostawiało mi mniej czasu na chodzenie po mieście i pakowanie się w kłopoty.

Któregoś popołudnia, kiedy wracałam z urzędu pocztowego, skręciłam w Trzynastą Ulicę i zobaczyłam przed sobą Julię drepcącą na wysokich obcasach z walizką na kółkach. Jak zwykle miała na sobie trencz. Kiedy obejrzała się za siebie – widać nie opuściła jej paranoja – zauważyła, że za nią idę. Od tak dawna rozmawiałam o niej z innymi, nie mając okazji się z nią spotkać, że jej postać nabrała cech mitycznych. Widząc ją, poczułam się, jakbym nagle ujrzała zwierzę zagrożone wyginięciem; ogarnęła mnie ochota, żeby zrobić jej zdjęcie albo przyjrzeć się jej przez lornetkę.

– Spędzę u was noc – powiedziała, kiedy się z nią zrównałam. Na policzkach miała czarne smugi.

– Co ci się stało?

– Miałyśmy w pracy mały wyciek. Tusz do rzes – odparła, próbując wytrzeć ślady. – Skoro już musisz wiedzieć, to nie był szczególnie udany dzień. Musiałyśmy wypakować nową dostawę i jedna ze stażystek, Abigail czy Anastasia, coś w tym stylu, weszła do kontenera. Prawie zginęła pod ciężarem kilku tysięcy kredek do oczu. Teraz kuleje. Te dziewczyny są kompletnie do niczego. Każda to tylko młodsza kopia Kitty.

– Kiciaki.

Julia wołała, żebym ruszyła przodem, a sama szła za mną. Cieszyłam się, że Verena i Rubí pojechały na cały dzień do Waszyngtonu na spotkanie w sprawie dabsitafu; Verena nie byłaby zadowolona z tej wizyty.

Kiedy weszłyśmy do Domu Kaliope, Marlowe zdumiała się na nasz widok.

– Ona żyje! – krzyknęła, wyciskając na policzku Julii przelotnego całusa.

Julia nie okazała żadnych emocji. Weszła do salonu i wyjęła z przedniej kieszonki walizki plastikową torebkę wypełnioną kosmetykami.

– Na fundusz stypendialny – powiedziała. Podała ją Marlowe, która wyjaśniła mi, że Julia wykrada z pracy markowe produkty i razem sprzedają je w internecie, a dochód idzie na pokrycie kosztów studiów dla kobiet

z biednych rodzin.

Julia cisnęła trencz na oparcie krzesła i rozsiadła się na sofie, nie zadając sobie trudu, żeby rozpocząć z nami rozmowę.

– Zostaw ją w spokoju – szepnęła Marlowe, wychodząc z salonu. – To trochę potrwa.

– Ale co?

– Transformacja. Czekać i patrzeć.

Julia zsunęła pantofle i rozmasowała sobie czerwone opuchnięte stopy, krzywiąc się z bólu. Zdjęła srebrną biżuterię – kolczyki, naszyjnik, bransoletkę i pierścionki – po czym odłożyła to wszystko na stół. Następnie sięgnęła do bluzki i wyjęła sobie piersi. Były to różowe galaretowate woreczki, które położyła obok biżuterii. Schowała ramiona w rękawach bluzki, powierciła się trochę i wyciągnęła spod spodu biustonosz, różowy, z V... S...

Pozbywszy się butów, dodatków, piersi i biustonosza, zniknęła na górce, żeby zdjąć obcisłe ubrania i thinz, który nadawał jej krągłemu ciału chłopięce kształty, a także resztę striptizerskiej bielizny. Zmyła makijaż i wzięła prysznic. Kiedy po trzydziestu minutach zeszła na dół w legginsach, koszulce i w czapce z daszkiem, wyglądała jak zupełnie inna osoba.

– To ja, Julia – powiedziała na widok mojego zdumienia. Gdyby nie jej głos, nie zdołałabym jej rozpoznać. Z twarzy nie przypominała już wielkookiej kreskówkowej księżniczki, tylko zmęczoną trzydziestokilkulatką.

W kuchni poszperała w lodówce i wyciągnęła indycze udko oraz tłuczone ziemniaki, a także lody pistacjowe i maślane ciasteczka, które rano upiekłam. Postawiła wszystko na stole i zaczęła po kolei pałaszować. Sama też miałam ochotę na to mięso, ale nic nie powiedziałam. Julia dokładnie obgryzała kości.

Normalnie przyłączyłabym się do niej i również coś zjadła, ale zbyt mnie zafascynował ten widok: Julia Cole obżerająca się pod grubymi dżinsami Eulayli Baptist. A zazwyczaj była taka powściągliwa. Skończyła ziemniaki i przeszła do lodów i ciasteczek.

– Ile to ma kalorii? – spytała, podnosząc kawałek ciastka.

W kącikach ust zebrały jej się drobinki tłuszczu.

– Pewnie po kilkaset na sztukę.

– O nie. – Julia odłożyła niedojedzone ciastko na talerz.

Nikt w Domu Kaliope nigdy nie przejmował się kaloriami. Julia jednak musiała to robić przez wzgląd na rolę, którą odgrywała. Jeśli nie chciała odstawać od standardów Austen Media, musiała się odchudzać.

– Ostatnio ciągle się objadam – powiedziała.

– Tak się kończy każda dieta.

– Dłużej nie dam rady. Kobiety w mojej rodzinie nigdy nie były *lekkie*. Ta walka jest skazana na porażkę. Wiesz, czemu te babki z Austen Media to takie zołzy? Bo ciągle chodzą głodne.

– Więc czemu nie zrezygnujesz z odchudzania się?

– Nie mogę. Ostatnio przytyłam. Thinz pomaga, ale cudów nie zdiąła. Jak zobaczą, że przybrałam na wadze, dowiedzą się, że nie jestem jedną z nich. Przestaną mi się zwierzać. – Wszystko w Julii było teraz inne, nawet sposób, w jaki mówiła.

– Nigdy nie należałam do ich klubu, więc nie wiem, jak to jest – powiedziałam.

– Myślisz, że ja należę? To tylko pozór. Udaję szczupłość. I białość. Wiesz, że moja matka była czarna?

Zdjęła czapkę, odsłaniając jedwabiste loki.

– Prostowanie zajmuje mi dwie godziny. I nie mogę wychodzić na słońce, żeby zachować jasną cerę. – Podwinęła rękaw, odsłaniając skórę pokrytą lekką opalenizną. – Ale najgorsze jest to odchudzanie.

Odwróciła się w kierunku kuchennego blatu, jakby wyczuła ciasto wyostrzonymi zmysłami. Na szklanej paterze stała połowa czekoladowego tortu z kremem, który zrobiłam poprzedniego dnia.

– Sama upiekłaś? Mogę?

Zabrała się do tortu, jednocześnie pakując sobie do ust zielone lody pistacjowe. Wkrótce na paterze pozostała tylko smuga kremu i trochę okruchów. Kiedy człowiek się odchudza, napad głodu potrafi uderzyć jak fala tsunami. To żywioł, nie można mu się oprzeć. Obawiałam się, że Julia dała mu się ponieść – a ja patrzyłam tylko z brzegu.

Kiedy skończyła, odchyliła się na krzesło, zarumieniona, i zaczęła masować się po brzuchu.

– Niedobrze mi.

A to niespodzianka.

– Zaparzyć ci herbaty?

Pokręciła głową.

– Muszę coś zrobić. Daj mi chwilę.

Wyszła z kuchni, a ja umyłam naczynia porozstawiane na stole i blatach. Nie znosiłam bałaganu w swojej kuchni. Kiedy zakręciłam wodę, usłyszałam odgłosy wymiotowania.

– Julio?! – zawołałam przez zamknięte drzwi łazienki.

– Zaraz wyjdę – odparła. Miałam wrażenie, że płacze. – Daj mi spokój.

Odgłosy jej torsji napełniły mnie smutkiem. Nie mogłam tego słuchać.

Nikt nie znał całej prawdy, ale Marlowe i Verena podały mi wystarczająco dużo informacji o Julii, bym mogła je złożyć w pewną całość. Każda z sióstr Cole miała swoją działkę: Julia pracowała w Austen Media, najstarsza siostra, Jacintha, zajmowała wysokie stanowisko w dziale rozrywki w NBC, najmłodsza, Jillian, została menadżerką w jednej z największych agencji reklamowych w kraju, Jessamine była nowojorską asystentką legendarnego hollywoodzkiego reżysera, Josette zaś udało się zdobyć ważne stanowisko u Calvina Kleina. Wszystkie miały swoje siatki szpiegów oraz informatorów – niewielkie, ale doborowe. Składały się głównie z pracowników najniższego szczebla, którzy nigdy nie słyszeli o siostrach Cole; wiadomości przesyłali przez pośredników.

To, co Julia i jej siostry robiły z uzyskanymi informacjami, stanowiło w Domu Kaliope temat wielu dyskusji. Julia mówiła różnym ludziom różne rzeczy, na przykład: „Żeby pokonać przeciwnika, trzeba go poznać” i „Obalimy ich od środka”. Nie można było mieć pewności, czy nie uległa maniakalnym złudzeniom.

Dzięki Marlowe dowiedziałam się czegoś więcej o planowanym demaskatorskim artykule Julii na temat Austen Media. Macki menadżerki Kącika Kosmetycznego sięgały w głąb całego imperium Austena. „Jedno, czego każdy tam potrzebuje, to makijaż”, mawiała Julia. Wszyscy w korporacji byli przekonani, że Julia jest jedną z nich. Brała udział w konferencjach z redaktorami magazynów i producentami programów, potajemnie nagrywając ich rozmowy i spotkania, często pełne rasistowskich albo seksistowskich podtekstów. Nagrała tajną imprezę na cześć starszego francuskiego naukowca, który wynalazł cellulit. Była obecna przy wymyślaniu nowych problemów, którymi kobiety mogłyby się zadrećzać, choćby kiedy wykuwano termin „obsuw piersi”, czyli określenie na sposób,

w jaki biust rozsuwa się na boki i rozpląszcza, gdy kobieta leży na plecach. „Uchron się przed obsuwem dzięki naszym wskazówkom!”, brzmiał nagłówek na okładce jednego z magazynów Austen Media. Julia uczestniczyła też w spotkaniu dla całej korporacji, podczas którego stworzono postać doktor Sapphire Liebermann, psycholożki ewolucyjnej, która pracowała rzekomo na Uniwersytecie Stanu Arizona. W publikacjach Austen Media cytowano jej teorie, że mężczyźni z natury zdradzają, kobiety zaś z natury są nadmiernie emocjonalne i lubią róż. „Dr Liebermann” przez wiele miesięcy była główną ekspertką korporacji Austena, ale kiedy pewne nowojorskie wydawnictwo zaproponowało jej kontrakt na napisanie książki, wygodnym zbiegiem okoliczności „zginęła” tragicznie podczas górskiej wspinaczki. Julia przyłapała też jedną redaktorkę na masturbowaniu się w Kąciku Kosmetycznym za pomocą szminki, co posłużyło jej jako inspiracja do tytułu rozdziału siódmego: „Wyruchane przez Revlon”.

Julia zapowiadała, że jej książka zniszczy ich wszystkich. Miała być jak bomba, która zmiecie Austen Tower z powierzchni ziemi.

Kiedy doszła do siebie po ataku obżarstwa i opróżnieniu żołądka, zajrzała do swojej sypialni. Siedziałam akurat przy biurku. Padła na łóżko i otworzyła swoją wielką torbę, po czym zaczęła z niej wyjmować różne rzeczy i układać je przed sobą: para czarnych szpilek, szczotka do włosów, telefon, który rzekomo wyrzuciła do śmieci. Na koniec wyjęła pistolet. Kiedy odłożyła go na materac, srebrzysty metal pochwycił refleks wpadającego przez okno światła. Julia milczała i dalej grzebała w torbie, aż w końcu znalazła paczkę miętówek.

– No wreszcie – rzekła, kładąc sobie jedną na języku. – Chcesz? To największy przyjaciel bulimiczki.

– Po co ci pistolet?

Julia podniosła go jak zabawkę.

– Dostałam od ojca w prezencie na dwudzieste pierwsze urodziny. Wszystkie takie mamy.

– I zawsze go ze sobą nosisz?

– Do pracy już nie, odkąd zainstalowali wykrywacze metalu. Tam jest jak w państwie policyjnym i robi się coraz gorzej. Od kiedy nazwisko Stanleya Austena pojawiło się na czarnej liście penisów (czyli odkąd stał się penitem non grata) zupełnie mu odbiło. – Wyjęła z paczki kolejną miętówkę. – Masz do mnie mnóstwo pytań i nawet wiem dlaczego. To przez nią nabrałaś wobec mnie podejrzeń.

No wreszcie.

– Wiem, że chciałabyś o niej porozmawiać, ale powiedziałam ci już wszystko, co wiem. – Julia przeciągnęła się, jakby szykowała się do drzemki.

– Właściwie to nic mi nie powiedziałaś.

– Nie przyszedłam tu, żeby rozmawiać o Leecie. Mam do ciebie sprawę.

– Nie ma mowy.

– Ale...

– Nie obchodzi mnie to.

Odwróciłam się z powrotem do laptopa. W mojej skrzynce pojawiły się trzy nowe wiadomości od czytelniczek Kitty. Komputer obwieścił ich przybycie cichym „ping!”. Przeczytałam je, udając, że nie widzę, jak Julia świdruje mnie wzrokiem. Tak długo czekałam, żeby z nią porozmawiać, a teraz, kiedy wreszcie tu była, usiłowałam ją ignorować.

– Rozumiem – stwierdziła. – Chcesz, żebym wzięła cię pod włos.

Rzuciłam jej zirytowane spojrzenie.

– Chcę, żebyś przestała pieprzyć głupoty i choć raz normalnie ze mną pogadała. Leeta była dla mnie ważna. Martwię się o nią.

– No, no, widzę, że zmieniły się w tobie nie tylko ubrania. Nawiasem mówiąc, świetne te rajstopy i buty. – Julia usiadła po turecku i koszulka zsunęła jej się trochę, odsłaniając ciemne róże wytatuowane na piersiach. Nie zrobiła żadnego ruchu, żeby poprawić ubranie, ale pokazała palcem ścianę, do której przypięłam wycięte z gazety zdjęcie Leety. – Zdejmij to, wtedy pogadamy. Nie chcę, żeby się na mnie gapiała.

Zrobiłam, o co prosiła, i położyłam zdjęcie na biurku tak, że Leeta patrzyła już tylko na mnie.

– W Kąciku Kosmetycznym mam sporo stażystek, ale tylko nieliczne z nich to specjalne stażystki, jeśli rozumiesz, co mam na myśli – zaczęła Julia.

– Szpiegów.

Obruszyła się na to słowo.

– To są *stażystki*.

Usiłowałam nie patrzeć na jej klatkę piersiową, na biust, którego nie było.

– Wiem o tym demaskatorskim tekście, nad którym pracujesz. Właśnie do tego potrzebujesz szpiegów.

Julia nie wydawała się przejęta odkryciem, że poznałam co najmniej jedną z jej tajemnic.

– Muszę móc całkowicie ufać swoim stażystkom. Leecie zaufałam od razu i patrz, czym to się skończyło. To jakaś katastrofa.

– Jak właściwie ją poznałaś?

Nikt mi jeszcze nie mówił, w jaki sposób rozpoczęła się ta historia.

– Leeta była na stażu w „Glamour – Panna młoda”. Wiedziałam, że nie jest taka jak pozostałe. Przyszła do Kącika Kosmetycznego po zaopatrzenie i sposób, w jaki mówiła i się ubierała, całe jej zachowanie od razu ją zdradziły.

Julia opowiadała dalej, jak to Leeta przyznała, że zatrudniła się w Austen tylko na przeszeptę. Po zakończeniu studiów w Los Angeles przeniosła się do Nowego Jorku i zastanawiała się nad zrobieniem magisterki z dziedziny studiów kobiecych; chciała pisać o mediach. Uznała, że staż w korporacji Austen da jej doświadczenie.

– Była przebiegła i to mi się spodobało – powiedziała Julia. – Wyjawiłam jej, czym się zajmuję, a gdy zaprosiłam ją na staż do Kącika Kosmetycznego, natychmiast się zgodziła. Tylko ktoś, kto sam ma tajemnice, potrafi odkrywać tajemnice innych. A Leeta najwyraźniej miała ich wiele. – Zmiażdżyła w zębach kolejną miętówkę. – Z początku dobrze mi się z nią pracowało. Opowiedziałam jej o Domu Kaliope. Przeczytała książkę Vereny, a później Marlowe. Kazałam jej cię szpiegować, ale zaraz potem wszystko się zmieniło. Któregoś dnia znalazłam ją zapłakaną w alejce z korektorami. Powiedziała, że właśnie się dowiedziała o pewnej dziewczynce, która została zgwałcona, a potem rzuciła się pod pociąg. To była potworna historia, ale wtedy jeszcze imiona Luz i Soledad nic dla mnie nie znaczyły. Leeta poleciała do Los Angeles na pogrzeb i przez jakiś czas jej nie widziałam.

– Więc od początku wiedziałaś, że ona je znała?

Nie powinnam się temu dziwić. Julia ewidentnie kłamała, mówiąc, że nie wie nic o prywatnym życiu Leety. My wszystkie dopiero się dowiedziałyśmy, że Leeta przyjaźniła się z Luz i Soledad. Tymczasem ona już dłuższy czas zdawała sobie z tego sprawę.

– Z początku nie sądziłam, że to ma znaczenie. Kiedy Leeta poleciała do Los Angeles na pogrzeb, cała ta afera z Jennifer jeszcze się nie zaczęła.

Minęło wiele tygodni, zanim imiona Luz i Soledad pojawiły się w prasie w związku z parszywą dwunastką, a do tego czasu Leeta przestała dla mnie pracować.

– Dlaczego odeszła?

– Kiedy wreszcie wróciła z Los Angeles, była zupełnie innym człowiekiem. Dziwnie się zachowywała, trochę jakby coś ją dręczyło. Wiedziała o mojej tajnej działalności, a jej postępowanie wzbudzało mój niepokój, więc podziękowałam jej za współpracę. Oddała identyfikator korporacji i nigdy już jej nie widziałam. No, w każdym razie dopóki jej twarz nie zaczęła się pojawiać we wszystkich wiadomościach. Co to był za szok... Sukces mojej operacji zależy od zachowania tajemnicy, a tymczasem spośród tysięcy stażystów na całym Manhattanie musiałam wpaść na tę jedną dziewczynę, której poszukują międzynarodowe służby bezpieczeństwa. Czegoś takiego nie da się wymyślić.

– Kiedy pojawiła się u ciebie policja? – spytałam, chcąc ułożyć wszystko chronologicznie.

– Przyszli zaraz po tym, jak dostali cynk od jej współlokatorki. Potwierdziłam, że Leeta była moją stażystką, że już dla mnie nie pracuje i że nie mam żadnych informacji na temat tego, czym się obecnie zajmuje. O Luz nie wspomniałam ani słowem. Nie chciałam się jeszcze bardziej angażować w sprawę.

– Więc okłamałaś policję.

– Owszem, i co z tego? Przecież w końcu sami to odkryli. Wiedziałam, że Leeta nie zrobiła nic złego. Ta jej współlokatorka pewnie kłamie.

– Więc po co w takim razie Leeta miałaby uciekać? To nie ma sensu.

– Kto wie? – Julia wyprostowała nogi i położyła się na łóżku, opierając głowę na mojej poduszce. – Jestem zmęczona – powiedziała. Potarła narzutę poobcieranymi stopami. – Poważnie, powinni dawać jakiś zasiłek zdrowotny za noszenie tych potwornych butów.

Wreszcie miałam ją w swoich rękach, ale ona próbowała się wywinąć.

– Julio!

– Hmm? – Oczy miała przymknięte.

Moja skrzynka pocztowa znowu zabrzęczała, zapowiadając cztery nowe wiadomości. Julia spytała, nad czym pracuję, i opowiedziałam jej o swoim nowym projekcie. Skoro próbowałam wydobyć z niej odpowiedzi,

przynajmniej częściowe, powinnam też zapytać, po co jej były te wszystkie adresy mailowe.

– Chciałam cię sprawdzić. Potrzebowałam jakichś brudów na temat Kitty i pomyślałam, że byłabyś niezłym źródłem, ale nie wiedziałam, czy mogę ci zaufać.

– Więc nie zamierzasz wykorzystać tych kontaktów? – spytałam, już prawie pozwalając sobie na ulgę.

– Tego nie powiedziałam. Razem z siostrami zbieramy przeróżne informacje. W tej chwili nie mamy pomysłu, jak wykorzystać tę listę, ale nigdy nie wiadomo, czy nie przyda się w przyszłości. – Ziewnęła dramatycznie, wyginając grzbiet. Kiedy opadła z powrotem na łóżko, dodała rozspanym głosem, jakby dopiero sobie o tym przypomniała: – Leeta też ma kopię.

– Co takiego?! – zawołałam, przykładając rękę do piersi.

– Spokojnie. – Julia spojrzała na mnie jednym okiem. – Nikt się nie dowie, że dostała ją od ciebie. Jeśli ktokolwiek spyta, powiem, że sama jej to dałam.

– Ale co ona zrobi z tymi adresami?

Nie chciałam, żeby cokolwiek spotkało dziewczęta Kitty. *Moje* dziewczęta.

– Może armia Jennifer szuka rekrutów.

– Przecież mówiłaś, że twoim zdaniem Leeta nie ma nic wspólnego z Jennifer.

– Moim zdaniem powinnaś skończyć z tą obsesją na jej punkcie. Wiem, że cię oczarowała. Miała w sobie to coś, pewien magnetyzm... ale już jej nie ma, zniknęła nie wiadomo gdzie.

– Mam o niej zapomnieć? – Nigdy nie zdołałabym wyrzucić z głowy dziewczyny, która przebudziła mnie ze snu. Nawet gdybym chciała to zrobić, wszędzie prześladowała mnie jej twarz. – Wiesz, że trafiła już na T-shirty?

– Kilkoro pracowników w Austen ma płócienne torby z jej wizerunkiem – powiedziała Julia. – A teraz posłuchaj: muszę cię prosić o przysługę. – Usiadła prosto i znowu zaczęła szperać w torbie, w której najwyraźniej kryło się o wiele więcej rzeczy. Wyciągnęła srebrny twardy dysk, który mieścił jej się na dłoni.

– To, co ci teraz powiem... a właściwie wszystko, co ci dziś powiedziałam... musi pozostać największą tajemnicą. Nie wspominaj o tym nikomu, ani słowem, rozumiesz?

Kiwnęłam głową, ale nadal myślałam głównie o tym, że kopia listy adresów znajduje się w posiadaniu Leety. Ja miałam jej czerwony notes, a ona miała coś, co należało do mnie.

– Wiesz już, jakie mam zamiary, więc nie muszę ci o tym opowiadać. Ten dysk zawiera wszystko, nad czym pracowałam przez lata. W tej chwili są to głównie szczegółowe notatki i szkice. Są tu też pliki audio, skany tajnych dokumentów, zdjęcia z monitoringu, kontakty do moich informatorów, wszystko. Plum, słuchasz mnie? To ważne.

Podniosłam wzrok znad podłogi.

– Słucham.

– Chcę, żebyś to ty napisała tę książkę.

– Ja?

– Jest bardzo prawdopodobne, że może mi się przytrafić jakiś wypadek – powiedziała Julia po krótkiej przerwie. – Zastanawiałam się nad tym, przedyskutowałam sprawę z siostrami i wszystkie uważamy, że najlepiej będzie, jeśli to ty napiszesz moją demaskatorską książkę. Pracowałam w Austen Media. Wiesz, jak tam jest. Myślę, że jesteś idealną osobą do tego zadania. A poza tym ja nie znoszę pisać. – Wyciągnęła do mnie srebrny dysk, ale go nie wzięłam. – Na książce znajdą się oba nasze nazwiska – dodała. – Mam już zainteresowanego wydawcę.

– Wróc. Dlaczego uważasz, że może cię spotkać coś złego?

– Policja może się dowiedzieć, że kłamałam. A jeśli pomyśli, że w innych sprawach też nie mówiłam prawdy? Gdyby mnie aresztowali, skonfiskowaliby mój komputer, wszystko. Albo Jennifer może wysadzić Austen Tower w powietrze. Wyobraź sobie, że cały ten budynek miałby się zawalić. W Kąciku Kosmetycznym zostałyby ze mnie mokra plama.

Wyobraziłam sobie Austen Tower w ogniu, płonąca jak świeczka na urodzinowym torcie.

– To jakiś absurd – stwierdziłam, ale może wcale tak nie było. – Julio, proszę cię, powiedz mi, co się dzieje.

Nie odpowiedziała. Miałam ochotę złapać ją za ramiona i nią potrząsnąć, aż zmierzwią się jej włosy i poprosi, żebym przestała.

– Po prostu czuję jakiś niepokój, to wszystko. Chciałabym, żebyś nie była wobec mnie taka podejrzliwa. – Jej dłoń nadal wyciągała się ku mnie, srebrzysty dysk wisiał pomiędzy nami: zakazany owoc. Spojrzałam na Julię,

potem na dysk, a potem wysunęłam rękę i go wzięłam.

– Dzięki Bogu – westchnęła Julia, z powrotem kładąc się na łóżku. – Teraz, kiedy wiem, że się zgodziłaś, mogę się wreszcie rozluźnić. Nawet jeśli ktoś zdoła mnie unieszkodliwić, te fiuty z Austen Media i tak dostaną to, na co zasługują.

Zwinęła się na boku w kłębek i zamknęła oczy. Zabrałam komputer i cicho ruszyłam do drzwi, chcąc znaleźć się jak najdalej od niej. Potrzebowałam czasu, żeby przetrwać wszystko, co mi powiedziała. Kiedy przechodziłam na palcach obok łóżka, Julia wyciągnęła rękę i złapała mnie za nogę, jej palce na wewnętrznej stronie mojego uda były ciepłe.

– Wiesz, zawsze uważałam, że jesteś śliczna – mruknęła, zapadając w sen.

Julia spała w moim pokoju przez całą noc, więc postanowiłam przespać się w sypialni dla gości. Kiedy rano zeszłam na dół, już jej nie było. Nie wiedziałam, w którym ze swoich dwóch wcieleń opuściła dom. Szykując śniadanie, nie potrafiłam myśleć o niczym poza naszą rozmową. Julia sprawiała wrażenie, jakby naprawdę się czegoś bała.

Mieszkanki Domu Kaliope zaczęły schodzić się do kuchni i nakładać na talerze jajecznicę i wędzonego łososia. Pragnęłam opowiedzieć im o wizycie Julii, ale jak sama powiedziała, wszystko, o czym rozmawialiśmy, było ściśle tajne. To, że łączyła nas tajemnica, sprawiło, że poczułam dystans w stosunku do pozostałych kobiet.

Cieszyłam się, kiedy śniadanie dobiegło końca i kuchnia opustoszała, ale reszta poranka nie upłynęła mi spokojnie. Huck miał napad złości, w całym domu słychać było jego płacz. Usiadłam przy kuchennym stole i podłączyłam srebrzysty dysk do laptopa. Przebiegłam spojrzeniem po znajdujących się na nim plikach; były ich tysiące. W takim hałasie nie mogłam się skupić, więc zajęłam się adresowaniem kopert i pakowaniem do nich książek. Wkrótce dziewczyny w całym kraju znajdą w skrzynkach pocztowych egzemplarze *Teorii ruchalności* i *Przygód w Krainie Diet*.

Płacz Hucka nie ustawał, więc kiedy do drzwi zapukała policja, żeby poinformować o kolejnym zagrożeniu bombowym, z ulgą skorzystałam z pretekstu, żeby wyrwać się na zewnątrz. Zapakowałam wypchane koperty do dwóch reklamówek, po czym złapałam torbę i ewakuowałam się wraz z pozostałymi. Jak zwykle ulicę zamknięto i kazano nam czekać na ławkach na rogu, ale przynajmniej tym razem był środek dnia, a nie nocy, więc lodziarnia była otwarta. Kupiliśmy kilka rozków i rozdzieliliśmy je między siebie. Buzia Hucka pokryła się komiczną mieszanką lodów waniliowych i smarków, ale przynajmniej wreszcie się uciszył. Lizaliśmy lody i przyglądałyśmy się działaniom saperów.

Biedni pracownicy Fundacji Bessie Cantor dla Pokoju i Zrozumienia stali w kółku niedaleko od nas, starając się unikać oskarżycielskich spojrzeń niektórych sąsiadów. Szczególnie rozjątrzony wydawał się właściciel włoskiej knajpy z naszej ulicy. Polecenie ewakuacji nadeszło akurat w porze lunchu, więc ludzie z okolicznych firm siedzieli na krawężniku z talerzami na kolanach i usiłowali jeść swoje penne i spaghetti tak, żeby nie pobrudzić sobie szytych na zamówienie koszul.

Jakiś taksówkarz zatrzymał się na czerwonym świetle i zawołał:

– Jennifer znowu coś nabroiła?

– To nie ma z nią nic wspólnego – odkrzyknął jeden z policjantów.

Choć zamknięto tylko naszą przecnicę przy Trzynastej Ulicy i kawałek Dwunastej tuż za nami, w całej okolicy zapanował chaos. W Szóstej Alei zrobił się korek; piesi i kierowcy zatrzymywali się i gapili. To był nowojorski teatrzyk uliczny: nikt nie chciał przegapić katastrofy.

– Sama idea alarmu bombowego jest nonsensowna, nie uważacie? – spytałam, rozgryzając końcówkę wafelka.

– Co masz na myśli? – spytała Verena.

Miała na sobie dzinsy i T-shirt z napisem „Koktajl Baptist”. Była to nazwa żeńskiego zespołu punkrockowego z Georgii.

– Myślisz, że jeśli kiedyś podłożą nam prawdziwą bombę, to nas o tym ostrzegą? Po co mieliby wysadzać pusty budynek?

– To zwyczajni wariaci – powiedziała Marlowe. – Chodzi im tylko o pogrożki. Policja traktuje ich poważnie, bo taki ma obowiązek.

– I nie boisz się, że któregoś dnia dom obok nas naprawdę może wylecieć w powietrze?

Kobiety w Domu Kaliope od tak dawna żyły w cieniu zagrożenia zamachem, że zdawały się nie pamiętać, iż niebezpieczeństwo może być realne, a w takim wypadku wszystkie prawdopodobnie zginęłybyśmy podczas eksplozji.

Wstałam i zaczęłam krążyć przed ławką. Chyba nikt nie miał ochoty odpowiadać na moje pytanie, a ja na to nie nalegałam. Doszłam do wniosku, że pewnie rzeczywiście lepiej odsunąć od siebie myśl o zagrożeniu, bo dzięki temu łatwiej je ignorować. Każda z nas świadomie zdecydowała się na zamieszkanie w Domu Kaliope i znałyśmy wiążące się z tym ryzyko. Nikt nas nie zmuszał, żebyśmy tam zostały.

– Skoro już mowa o wariatach... Dlaczego Julia została wczoraj na noc? – spytała Marlowe i wszystkie kobiety skierowały wzrok na mnie. Nie przygotowałam sobie żadnego wytłumaczenia.

– Chciała... zapytać o radę w związku z jej książką, tą na temat Austen Media. Pisze właśnie rozdział o Kitty. – Kłamstwo przyszło mi gładko, ale okropnie się czułam, oszukując przyjaciółki. Nie chciałam stać po stronie Julii.

– Wspominała coś o Leecie? – spytała Marlowe. – Miałam zamiar z nią porozmawiać, ale musiałam wczoraj wcześniej wyjść. Chciałabym zrobić z nią wywiad do *Efektu Jennifer*.

Obok nas przetoczyła się furgonetka „New York Daily” z wypisanym na boku sloganem, który namawiał: „Codziennie czytaj «New York Daily», aby poznać najświeższe wieści o Jennifer”.

– Słyszaliście, co się stało dziś rano? – spytała Marlowe na widok samochodu.

Każdego dnia pojawiały się nowe informacje i cieszyłam się, że rozmowa zeszła z tematu Julii. Marlowe zaczęła opowiadać o tym, że firmy produkujące gry komputerowe dostały ostrzeżenie, aby nie tworzyć gier, w których kobiety są tylko erotycznymi akcesoriami albo ofiarami przemocy.

– Ojej, i w co teraz będą grały dzieci? – rzuciła Rubí. – Połowa frajdy z dzieciństwa polega na rozwalaniu prostytutkom głów bejsbolem.

Sana przeczytała na telefonie fragment artykułu: „W następstwie tych pogróżek akcje kilku firm straciły na wartości”.

Marlowe pokręciła z niedowierzaniem głową i podała Hucka Verenie, a sama zaczęła robić jakieś notatki. Verena przytrzymała lepkiego bobasa przed sobą.

– Dziś rano czytałam o kilku nastolatkach z Teksasu, które jeżdżą po barach ze striptizem – powiedziała Rubí. – Siedzą sobie na parkingu, a kiedy klienci wchodzą do baru, one przebijają im opony i tłuką szyby. Komisarz policji w jednym z miasteczek powiedział, że na jego posterunku nie ma dość ludzi, żeby uporać się ze wzrostem przestępczości wśród kobiet.

Sana nachyliła się i szepnęła mi do ucha:

– Miał na myśli takie kobiety jak ty.

Odepchnęłam ją łokciem, nie chcąc, żeby reszta usłyszała jej słowa. Sana jako jedyna wiedziała o moich niedawnych wybrykach.

Pojawiło się więcej radiowozów, więc domyśliłam się, że nieprędko pozwolą nam wrócić do domu. Mijała właśnie pora lunchu, robiłam się głodna i poirytowana, a lody nie mogły zaspokoić łaknienia. Podniosłam reklamówki z książkami. Długi pasek torby przechodził przez moje piersi i wżynał się w ramię pod ciężarem cegły, którą nadal ze sobą nosiłam.

– Ja idę – oświadczyłam. – Mam do załatwienia kilka spraw.

Byłam tak zajęta rozsyłaniem książek i pisaniem maili do czytelniczek

Kitty, że od kilku dni zaniedbywałam popołudniowe spacerowanie, ale tego właśnie było mi trzeba. Po wizycie Julii buzowała we mnie adrenalina. Uwielbiałam Dom Kaliope, ale musiałam się wyrwać na kilka godzin z zamknięcia.

– Jakich spraw? – spytała podejrzliwie Sana.

– Powinnam powysłać te książki – powiedziałam, potrząsając reklamówkami.

– I co jeszcze?

– Może pójdę na zakupy.

– Chcesz powiedzieć, że zamierzasz za nie zapłacić? – Sana rzuciła to żartobliwym tonem, ale w pytaniu kryła się szpila.

Marlowe, Verena i Rubí spojrzały na mnie, nie rozumiejąc, o co chodzi, ale ja już wmieszałam się w tłum.

Najpierw poszłam na pocztę wysłać książki, żeby nie targać ich ze sobą przez cały dzień. Kobieta w okienku podstemplowała koperty z adresami dziewczyn. Zastanawiałam się, czy Leeta też zamierzała do nich napisać, a jeśli tak, to co, ale pewnie trudno się skupić na korespondencji mailowej, kiedy policja depta ci po piętach.

Z poczty poszłam na lunch. Moje ciało odzwyczało się od odmawiania sobie pokarmu, więc pochłonęłam cheeseburgera czterema dużymi kęsami, po czym zamówiłam drugiego. Z okna restauracji widziałam salon V... S... po przeciwnej stronie ulicy, z ogromnym plakatem kobiety w liliowym peniuarze, tylko że tym razem miała na sobie różowy gorset i pończochy, a jedyną osłonę nagich części intymnych stanowiły zsunięte i przechylone uda. Mogliby umieścić tę reklamę nad samym wejściem i kazać modelce rozsunąć nogi – na pewno cały Manhattan rzuciłby się do środka.

Wpatrywałam się w to zdjęcie, kończąc drugiego cheeseburgera, aż wreszcie wyszłam z restauracji, czując w swoim oddechu i na ustach smak mięsa. Stałam przed V... S... i ogarnęła mnie ogromna ochota, żeby ukraść ten różowy gorset. Buzowałam od niespożytej energii, musiałam ją jakoś spalić i miałam potrzebę zrobić coś nieodpowiedzialnego. Lubiłam pisać do dziewcząt Kitty, ale brakowało mi adrenaliny płynącej z aktywnego działania. Krążyłam po chodniku, zastanawiając się, co mogę zrobić. Wszędzie wokół widziałam okładki „New York Daily” z twarzami Leety, Missy i Soledad; na przejeżdżającej furgonetce, na kiosku z prasą, w rękach przechodnia. Były jak rój czarno-białych insektów, który miałam ochotę rozpedzić dłonią, bo nic zza niego nie widziałam, nie byłam w stanie odetchnąć.

Uznałam, że nie mogę wrócić na miejsce pierwszej zbrodni, więc postanowiłam wybrać się kilka kroków dalej, do centrum drogeryjnego – wielkiego, trzypiętrowego domu handlowego, gdzie sprzedawano artykuły do tapetowania twarzy. W środku znalazłam sklep zaprojektowany na wzór statku kosmicznego, z kopułowym sklepieniem, jasnymi światłami i obsługą o wyglądzie kosmitek, z włosami ściągniętymi w ciasne koki, co zapewniało natychmiastowy efekt liftingu. Znowu poczułam się jak w Kąciku Kosmetycznym, brakowało tylko Julii i Leety. Czekałam na sposobność, żeby wsunąć coś do torby, ciesząc się na towarzyszący temu dreszczyk emocji, ale ochroniarz nie spuszczał mnie z oka, jakby tknął go szósty zmysł. Udałam zainteresowanie różem do twarzy i wzięłam do ręki kompakt z pudrem. Rumieniec zawsze kojarzył mi się ze wstydem i zażenowaniem.

– Szuka pani czegoś, co doda pani kolorów? – Ponad monotonne dźwięki statku kosmicznego wybił się kobiecy głos.

Ekspedientka w białym kitlu była pulchna, wyróżniała się spośród koleżanek. Ochroniarz nadal mnie obserwował i zdecydowałam, że tym razem jednak coś kupię, zamiast kraść. Będzie to akt solidarności z tą krągłą kobietą.

– A co jest przeciwieństwem dodawania kolorów? – spytałam. Zauważyłam ekspozycję kredek do oczu w różnych odcieniach czerni. Jak u Leety. – Interesuje mnie najciemniejszy z tych eye-linerów.

Poprosiłam ekspedientkę, żeby pomogła mi się umalować. Dziewczyna kazała mi usiąść na stołku i obrysowała mi oczy, ale kiedy spojrzałam w ręczne lusterko, które mi podsunęła, uznałam, że kreski są za delikatne.

– Jeszcze – powiedziałam.

Dodała kolejną warstwę, ale nadal niedostatecznie grubą.

– Jeszcze.

– Jest pani pewna?

– Nie chodzi mi o to, żeby wyglądać jak ktoś, kogo fajnie by się ruchało. Chcę, żeby mój wygląd mówił: „Nie zadzieraj ze mną”.

Ekspedientka zaśmiała się ze skrępowaniem, jakby zastanawiając się, czy mam nie po kolei w głowie.

– Nigdy jeszcze nie proszono mnie o coś takiego.

Kiedy skończyła malować mi oczy, poprosiłam, żeby pokazała mi ciemne błyszczuki do ust. Przebierałam wśród pojemniczków, dopóki nie znalazłam

czegoś, co natychmiast mnie przekonało: odcień Darkest Plum. Zapłaciłam za zakupy i nałożyłam błyszczący małym palcem, pozbywając się z warg resztek mięsnego smaku. Sprzedawczyni znowu podsunęła mi lusterko i spojrzałam z podziwem na efekt swojej transformacji.

– Moim zdaniem makijaż powinien odzwierciedlać wnętrze – powiedziałam, cytując tekst wyczytany kiedyś w „Stokrotce”.

Wracając autobusem do domu, ściągałam na siebie więcej spojrzeń niż zwykle. Postanowiłam, że codziennie będę się tak malować.

Byłam już blisko domu, ale wstąpiłam do piekarni, żeby kupić sobie coś słodkiego. Kiedy przechodziłam na pasach przez Siódmą Aleję, jedząc ciastko z wiśniami, minęłam kuriera na rowerze, który stojąc na światłach, sprawdzał coś w telefonie. Zaczął nucić „Duże dziewczynki to nie są beksy”, po czym wybuchnął śmiechem. Był to gardłowy, złośliwy rechot. Obejrzałam się przez ramię. Kiedy zauważył, że patrzę, zmienił tekst piosenki:

– „Duże dziewczynki wcinają keksy”.

Zawróciłam i podeszłam do niego, wpychając sobie do ust ostatni kęs deseru.

– Wydaje ci się, że jesteś zabawny? – Spomiędzy warg wyleciała mi drobinka ciasta francuskiego.

– Panna Piggy – powiedział gostek i znowu zarechotał.

Ewidentnie budziłam w nim obrzydzenie: ja, wygnanka ze Wzwodowic. Gdyby pode mną znajdowała się zapadnia, otworzyłby ją i odesłał mnie w niebyt. Nie mogłam zapewnić mu podniety, więc jego zdaniem moje istnienie było bezcelowe.

– Z drogi, sterto smalcu – dodał.

Nie odsunęłam się, tylko stanęłam tak blisko niego, że przednie koło roweru znalazło się pomiędzy moimi kolanami. Zlizałam z kciuka odrobinę wiśni. Ta piosenka miała być strzałem od niechcienia wymierzonym w anonimową grubaskę, która przechodziła przez ulicę. Miała mnie zranić, ale tego nie zrobiła. To stojąca za nią intencja doprowadziła mnie do białej gorączki.

Chłopak nosił lustrzane okulary przeciwsłoneczne i kask, który osłaniał mu głowę i twarz jak hełm. Widać było tylko usta i brodę; odsłonięta skóra była spocona i pokryta szorstką szczeciną. Wyobraziłam sobie, że go całuję, a szczecina rozrywa mi skórę i znaczy ją krwawymi pręgami.

– Zadałam ci pytanie – powiedziałam. – Myślisz, że to było zabawne?

Światło zmieniło się na zielone i usłyszałam obok siebie świst przejeżdżających samochodów, ale nawet nie drgnęłam.

– Spieprzaj z drogi – powiedział facet, ale nie miałam zamiaru spieprzać mu z drogi.

Mógłby mnie bez problemu wyminąć, ale nie należał do takich, którzy cofają się przed wyzwaniem, nawet jeśli czekały na niego zlecenia. Zacisnęłam wolną dłoń w pięść i od stóp do głów przeszła mnie fala gorąca, jak słupek rtęci podnoszący się w termometrze.

– Chcesz się bić, grubasko? – I znowu ten rechot.

W tym momencie znienawidziłam go bardziej niż kogokolwiek w całym moim życiu. Wsunęłam prawą rękę do torby wiszącej na biodrze, której pasek przecinał mi pierś, i namacałam cegłę.

– Właśnie tego chcę. – Słowa same wyrwały mi się z ust, jakby ktoś mnie zaprogramował, żebym je wypowiedziała. Coś przejęło nade mną kontrolę, ale całkiem mi się to podobało.

Ścisnęłam ukrytą w torbie cegłę, przesuując palcami po jej chropowatej powierzchni. Twarz kuriera osłaniała zbroja, ale mogłam go uderzyć w brodę.

„Czyś ty oszalała?“, spytał jakiś głos w mojej głowie. Wymowę przypominał Sanę.

Facet podniósł się z siodelka i przerzucił nad nim nogę. „Zaraz się zacznie“, pomyślałam. Położył rower na chodniku. Ubrany był w czarne kolarskie spodenki i koszulkę bez rękawów, ramiona miał umięśnione i pokryte tatuażami. Mimo to się nie odsunęłam. Wolałam doprowadzić sprawę do końca, nawet jeśli gość przywali mi w twarz i wgniecie moją głowę w beton. Niech spróbuje. Już raz zdarzyło mi się oberwać – podczas Nowego Programu Baptist, i jakoś to przeżyłam, tylko że wtedy nawet nie starałam się bronić. Tymczasem przez ostatnie kilka tygodni rwałam się do walki. Może wreszcie ją dostanę. Poczuję ból, ale też przyjemność.

Baptystka nie boi się odrobiny bólu.

Ścisnęłam cegłę i zebrałam się w sobie. Czułam w brzuchu motyle; kilka zdołało się wyrwać i trzepotały skrzydełkami po całym moim ciele, zagrzewały mnie do boju. Chciałam otworzyć usta i wypuścić je z krzykiem. Wyciągnęłam cegłę z torby, ale nagle pomiędzy kurierem a mną pojawiło się czyjeś ramię – należące do potężnego czarnoskórego mężczyzny w mundurze

ochroniarza.

– Starczy już tego – powiedział.

Był chyba mniej więcej w wieku mojego ojca. Wokół nas na przejściu zebrał się tłumek gapiów, czego do tej pory nie zauważyłam, zamknięta w swojej bańce furii. Teraz bańka pękła.

Kurier uniósł ręce, jakby pod wpływem policyjnego rozkazu. Wielki czarny facet zrobił na nim większe wrażenie niż wielka biała babka. Podniósł rower i wskoczył na siodełko.

– Szurnięty babsztyl – rzucił, odjeżdżając.

Ustał pola, ale ja się nie cofnęłam.

Odwróciłam się z irytacją do ochroniarza. Nie prosiłam go o pomoc.

– Patrzyłem na panią – powiedział. – Co pani wyprawiała?

– Ten facet mnie obraził.

– Lepiej nie zwracać na takie rzeczy uwagi.

– Kto tak twierdzi?

– Ktoś, kto nie chce, żeby dostała pani po dupie.

Już miałam schować cegłę z powrotem do torby, ale nagle zmieniłam zdanie i postanowiłam zanieść ją do domu w ręce.

– Dziękuję za troskę – powiedziałam tonem naburmuszonej córeczki.

– Lepiej niech pani uważa – zawołał za mną ochroniarz, ale udałam, że go nie słyszę, i ruszyłam pospiesznie w kierunku Domu Kaliope, wciąż nabuzowana po starciu z kurierem. Po powrocie nie mogłam się doczekać, żeby opowiedzieć komuś o całym zajściu.

– Gdzie byłaś? – zapytała Sana, schodząc po schodach. Brakowało mi tchu, twarz miałam zaczerwienioną.

– Prawie wdałam się w bójkę z kurierem rowerowym.

– Skąd masz tę cegłę?

– Po prostu ją ze sobą noszę.

– Daj mi to – poleciła Sana, wrywając mi cegłę z ręki.

Wciąż była rozdrażniona, tak samo jak podczas ewakuacji, więc wyminęłam ją i poszłam do kuchni. Wzięłam z górnej półki lodówki karton soku jabłkowego i nalałam sobie pełną szklanekę. Sana przysłała za mną

i patrzyła, jak wypijam sok duszkiem.

- Niezły makijaż – stwierdziła.
- Dzięki. Zafundowałam sobie zmianę wizerunku.
- Czy ty się w ogóle widziałaś?

Nachyliłam się i spojrzałam na swoje odbicie w kuchenie mikrofalowej. Czarny eye-liner całkowicie się rozmazał.

- Oczy na pandę – stwierdziłam.

Kitty napisała kiedyś o tym felieton. Spróbowałam wytrzeć palcami odrobinę tłustych śladów, czarnych jak smugi po oponach na jezdni.

- Plum, czy powinnam zacząć się o ciebie martwić?
- W życiu nie czułam się lepiej. – To akurat była prawda.
- Plum...

Podniosłam rękę. Wiedziałam, co Sana chce powiedzieć, ale ona nie dała się uciszyć. Od dawna się do tego przymierzała i wreszcie wszystko się z niej wylało:

– Wiele przeszłaś... Nie przywykłaś do życia bez Y... Przejmujesz się Leetą... – i dalej wylizowała rozmaite czynniki.

– Teraz czuję się bardziej pełna życia niż kiedykolwiek do tej pory. Myślałam, że będziesz się z tego cieszyć.

– Wszystkie się z tego cieszymy, ale ile razy w ciągu ostatnich kilku tygodni groziło ci aresztowanie?

- Kilka.

– I po co ci była ta cegła?

– Fantazjowałam, że mogłabym nią komuś przywalić, ale to chyba nie takie proste.

– Czy ty w ogóle słyszysz, co mówisz?

– Ludzie oczekują od nas bierności. Ale przecież pewne zachowania należy karać.

– Hejterów jest o wiele więcej niż nas. Wszystkim zamierzasz przywalić?

Nie to spodziewałam się usłyszeć. Do tej pory przyływ adrenaliny sprawiał mi przyjemność, ale Sana zgasiła ją swoim beszaniem. Brakowało mi tego haju. W jego miejsce pojawił się niepokój.

Przeprosiłam Sanę i poszłam do siebie, zanim rozmowa zdążyła się przerodzić w kłótnię. Zachowam gniew dla tych, którzy na niego zasłużyli. Nadal rwałam się do awantury, ale nie z moją przyjaciółką.

W sypialni zdjęłam ciężkie buciory i cisnęłam je w kąt. Rajstopy miałam brudne od opony roweru, więc je otrzepałam, przesuwając rękami po krzywiźnie łydek i czując pod palcami masywne ciało. Dotykanie skóry sprawiało mi przyjemność. Uspokajało i pozwalało odzyskać równowagę.

Zdjęłam rajstopy i rozpięłam sukienkę, spoconą pod pachami i na plecach. Zdjęłam też resztę ubrań i nago położyłam się na łóżku, rozkoszując się chłodem pościeli. Powoli, rytmicznie wdychałam powietrze ustami, opierając dłonie na brzuchu, żeby czuć, jak oddech krąży po moim ciele. Myśli śmigają mi po głowie. Nie byłam w stanie nad nimi zapanować, więc zamiast tego skupiłam się na wdechu i wydechu.

Sana nie wiedziała, jak to jest, kiedy przez tyle lat żyje się w stanie odrętwienia i nagle znowu zaczyna się czuć. Przed odstawieniem Y... byłam jak zepsuta lampa, a teraz wreszcie mnie włączono, emanowałam ciepłem i światłem. Te silne doznania sprawiały mi przyjemność. Nawet emocje w rodzaju gniewu mogły być miłe – dzięki nim czułam się bardziej żywa, wściekłość miała prawie oczyszczającą moc.

Przesunęłam rękami po swoim ciele, bawiąc się sutkami, włożyłam dłoń pomiędzy nogi, eksplorując. Nie wyglądałam jak tamte kobiety na ekranach w podziemnym mieszkaniu, które między udami skrywały tylko sterylne szparki. Ja miałam tam prawdziwe ciało i włosy. Kiedy zażywałam Y..., masturbowałam się kilka razy w roku, ale gra nie była warta świeczki – tyle zachodu, a na koniec byle jaki orgazmik. Teraz podniecało mnie nawet pocieranie o siebie opuszek palców. Bez leków moje ciało przebudziło się na dotyk.

Nie zależało mi już na byciu kobietą ruchalną, więc koncentrowałam się na tym, co czuję w środku, a nie na tym, jak wyglądałabym w oczach wymyślnego obserwatora. Skupiałam się na własnych reakcjach, nie przebywałam już poza ciałem, nie osądzałam go z zewnątrz. Czasami zastanawiałam się nad seksem z partnerem. Rubí ciągle spotykała się z jakimiś facetami i proponowała, że kogoś mi znajdzie, ale nie byłam na to gotowa. Z tym krokiem wołałam jeszcze poczekać. Na razie wystarczała mi samotność i poznawanie swojego ciała, którego wcześniej nie lubiłam dotykać. Zaczęłam się pieścić, cały ten bałagan między nogami, i moja dłoń poprowadziła mnie coraz bliżej w stronę tego, czego pragnęłam: rozkoszy i ulgi.

Zdrzemnąłam się, a potem zesłam na dół, żeby przygotować kolację. Po raz pierwszy tego dnia czułam się spokojna i zrównoważona. Rubí siedziała przy kuchennym stole z kieliszkiem i butelką tequili.

– Kiepski dzień? – domyśliłam się.

– Okropny. – Wyjaśniła, że mimo wszystkich jej i Vereny wysiłków Agencja Żywności i Leków zatwierdziła dabsitaf do użytku. – Powiedzieli, że zagrożenia związane z otyłością przewyższają potencjalne ryzyko związane z zażywaniem leku.

Położyłam deskę do krojenia na stole naprzeciwko niej, żebyśmy mogły rozmawiać, kiedy będę kroić warzywa.

– To jeszcze nie koniec. Możecie przeprowadzić akcję informacyjną. Ja wam pomogę – zaproponowałam, ale ona milczała. Zaczęłam krajać bakłażana, a Rubí tymczasem dopiła drinka i nalała sobie drugiego. Nagle odstawiła butelkę i pokazała palcem telewizor za mną, włączony, ale bez dźwięku.

– Patrz – powiedziała.

Na dole ekranu pojawił się pasek wiadomości z ostatniej chwili z napisem: WIEMY, KIM JEST JENNIFER.

Upuściłam nóż na deskę i wyciągnęłam rękę, żeby pogłodzić telewizor.

– Bogu niech będą dzięki – mówiła Cheryl Murphy-Crane. – Tak, to prawda. Wreszcie wiemy, kim jest Jennifer.

Soledad

Soledad Ayala, sanitariuszka sił lądowych Stanów Zjednoczonych Ameryki, znajdowała się w południowo-wschodnim Afganistanie, w prowincji Khost. Razem z resztą konwoju zmierzała humvee do wysuniętej bazy operacyjnej w Salerno, które nazywali Miastem Rakiet. Ona i jeszcze jedna sanitariuszka były jedynymi kobietami w jednostce, siedziały na tyle ostatniego wozu, ubrane w kamuflaż w kolorze piasku i uzbrojone w karabiny M4.

Soledad czuła, że pod otaczającym jej brodę paskiem hełmu rośnie wyprysk – zbierał się tam tłusty pot, więc podniosła rękę, żeby wytrzeć skórę. Pejzaż na zewnątrz przypominał Nevadę albo Arizonę i tak też opisywała go w listach do Luz w nadziei, że dzięki temu nie będą się czuły tak od siebie oddalone. Pisała też o małpach i ich odgłosach. Były to szczegóły, które mogły zainteresować dziecko, ale Soledad obawiała się, że jej córka nie jest już dzieckiem, że się zmieniła. Ze szkoły napływały uwagi o wagarach i paleniu. Zaciągnięcie się do sił rezerwowych było błędem – Soledad zbyt późno się o tym przekonała – ale po śmierci męża rozpaczliwie potrzebowała pieniędzy i chciała iść na studia. Uzyskała dwa dyplomy: licencjat z socjologii i magisterkę ze studiów kobiecych. A teraz musiała za nie zapłacić.

Humvee godzinami przemierzał jałowe pustkowie, a Soledad rozmyślała o Luz. Przyciskała do siebie karabin; mundur i ciężkie wyposażenie ograniczały jej ciało. Marzyła, żeby zrzucić z siebie to wszystko i poczuć na skórze chłodną wodę. Siedząca obok Agnes milczała, wyglądała przez małe okienko, niczym nie zdradzając swoich myśli. Soledad była wdzięczna za tę ciszę i spodziewała się, że będzie ona trwać, dopóki nie dojadą do celu, ale nagle nastąpił wybuch.

Pulsujące światło. Gorąco. Odpryski szkła.

Buuuum!

Wybuch zdawał się trwać całymi godzinami, a ona była w nim uwięziona, unosiła się w samym środku, czuła w sobie jego wibrujące echa.

Wreszcie eksplozja ucichła i zapadła cisza, pauza; za szybą auta Soledad nie widziała nic, tylko piach i dym. Nagle usłyszała krzyzących mężczyzn i przypominające młot pneumatyczny dźwięki wystrzałów. Sięgnęła do rąk Agnes, które próbowały uwolnić ją ze szczątków samochodu.

Na zewnątrz ujrzała leżące w piasku ciała i fragmenty ciał. Szukając rannych, zostawiała za sobą krwawy ślad; sama też doznała obrażeń, ale niezbyt ciężkich. Zobaczyła leżącego na ziemi żołnierza; udo miał rozcięte aż do kości. Agnes obwiązywała je czarną opaską, a on krzychał. Soledad unieruchomiła mu kolanami ramiona, a rękami objęła jego głowę. Próbowała go uspokoić, żeby Agnes mogła pracować. Spowijała ich chmura duszącego dymu i kurzu. Karabiny strzelały, ale ona ich nie widziała; słyszała tylko dźwięki. Umierający żołnierz podniósł ku niej oczy. Jej twarz była ostatnim widokiem, jaki ujrzał na tym świecie, a przecież niczym się specjalnie nie wyróżniała.

- Mamo - powiedział.

Był jeszcze chłopcem.

Soledad otarła z czoła pot i piach. Obawiała się, że straci przytomność. Krew z rany w lewym ramieniu przemoczyła rękaw jej munduru i zabarwiła go głębokim szkarłatem. Soledad wróciła do samochodu po zaopatrzenie i na krótką chwilę pozwoliła sobie oprzeć się o niego czołem. Gdy się odwróciła, zobaczyła biegnącego ku Agnes człowieka, który krzychał coś w swoim bezsensownym języku, dźwięki ulatywały z jego ust. Soledad nadal miała przy sobie karabin. Przesunęła go przed siebie i strzeliła do mężczyzny, który biegł w kłębach dymu. Chybiła i strzeliła jeszcze raz, trafiła go w plecy. Padł na ziemię, jej wróg, milczący i nieruchomy. Martwy.

„Uważaj!” Głos z chmury pyłu, amerykański głos, jej sprzymierzeniec, usiłował ją ostrzec. Inny nieprzyjaciel

zmierzał w jej kierunku i Soledad strzeliła mu w pierś.

Kiedy trzy dni później obudziła się w szpitalu, niewiele pamiętała, ale wciąż widziała przed sobą tamtego człowieka w tumanie kurzu. Stał na uginających się nogach, a potem padł na plecy. Soledad nigdy dotąd nikogo nie zabiła, ale okazało się to łatwe. Właśnie to najbardziej zapadło jej w pamięć: że zabijanie jest takie łatwe.

W szpitalu w Kandaharze zajęto się głęboką raną w jej ramieniu, infekcją oraz skutkami utraty krwi. Jej myśli ciągle wracały do kłębow kurzu, do duszącego czarnego dymu i do piachu. Do talibskich bojowników, których zabiła. Minęło kilka dni, zanim lekarze uznali, że jej stan jest dostatecznie stabilny, żeby poinformować ją o gwałcie dokonanym na jej córce. Luz jeszcze żyła, ale minął ponad tydzień, zanim Soledad pozwolono na podróż, a do tego czasu dziewczynka rzuciła się pod pociąg. Soledad obawiała się, że Luz przed śmiercią była na nią wściekła za pozostawienie jej pod opieką babki, za to, że matki nie było na miejscu, kiedy ona jej potrzebowała.

„Gdzie była matka dziewczynki?”, pytano w Ameryce.

Do momentu, kiedy na lotnisku powitały ją trzy zapłakane siostry, Soledad nie mogła do końca uwierzyć, że Luz naprawdę popełniła samobójstwo. Gdy dotarła do domu, jakiś fotograf zrobił jej zdjęcie, które obiegło prasę: „Soledad Ayala, członkini sił rezerwowych, wraca do domu w Santa Mariana, na północ od Los Angeles”. Soledad weszła do środka i zamknęła drzwi. Jej matka leżała w łóżku, prawie nieprzytomna od środków uspokajających. Zajmowali się nią krewni z miasta. Soledad nie chciała jej widzieć – matka zawiodła Luz.

Usiadła w salonie z poczuciem całkowitego oderwania od otoczenia, jakby obserwowała całą scenę z oddali. Wróciła z wojny, odbyła podróż w czasie i przestrzeni, lecz tylko częściowo. Jej ciało znajdowało się w domu, ale jakiś fragment niej, i to bardzo ważny, pozostał tam.

Wciąż miała przed oczami tuman piachu i dymu, słyszała odgłosy wystrzałów, przeżywała zastrzelenie talibów, dni

bez świadomości przeleżane w szpitalu, wiadomość o Luz, o gwałcie i samobójstwie. Wszystko to wydarzało się naraz, w mgnieniu oka, i stanowiło wielką czarną chaotyczną chmurę, a ona uwięzła w jej wnętrzu. Pierwotnie miała wrócić do Stanów dopiero za cztery tygodnie; nie zdążyła się przygotować na przeniesienie ze świata przemocy i śmierci do domu w Kalifornii. Po pierwszym wyjeździe na teren walk nauczyła się, że powrót z wojny to przejście z jednego stanu umysłu w drugi, że musi wrócić z roli żołnierza do roli matki. Ale teraz była matką martwej córki.

„Czemu matka jej nie pilnowała?“, pytali ludzie w miasteczku.

Kiedy zakończono wszystkie formalności związane z pogrzebem, Soledad odesłała do Teksasu całą swoją rodzinę, wszystkich krewnych. Dwaj z grupy młodych mężczyzn, którzy zgwałcili jej córkę, wyszli za kaucją i Soledad zamierzała dopilnować, aby zginęli. Przecież już zabijała, to nic takiego. Była tylko sanitariuszką, i do tego kobietą, ale szkolono ją do uśmiercania wrogów. To właśnie robiła przedtem i teraz zamierzała to kontynuować.

Powrót z wojny oznaczał przejście do innego świata. Umysł żołnierza to co innego niż umysł matki, ale Soledad nie była już matką. Kiedy wyjechała do Afganistanu, coś się w niej przełączyło, a teraz, po powrocie do domu, nie dało się tego cofnąć.

W dniu, w którym odkryto tożsamość Jennifer, w Domu Kaliope zapadła cisza, jakbyśmy chciały uczcić milczeniem tę matkę, której odebrano córkę, bo od tego się wszystko zaczęło. Wciąż brakowało szczegółowych informacji; kilka pytań doczekało się odpowiedzi, ale pozostało jeszcze wiele innych. Gazety, stacje radiowe i telewizyjne szumiały od wiadomości o Soledad, lecz wiele z nich stanowiło tylko spekulacje. O Leecie nadal nic nie było wiadomo, choć ewidentnie nie kłamała, kiedy mówiła swojej współlokatorce, że wie, kim naprawdę jest Jennifer.

Po poranku spędzonym na śledzeniu informacji w mediach nadeszło popołudnie i wreszcie miałam kuchnię tylko dla siebie. Wsunęłam do piekarnika blachę z babeczkami. Fakt, że Leetę łączyło coś i ze mną, i z Jennifer (czyli Soledad), wydawał mi się nierealny. Nie wiedziałam, co sądzić o tej sprawie – nic w dotychczasowym życiu nie przygotowało mnie do czegoś takiego. Przez resztę dnia miałam ochotę udawać, że nigdy nie słyszałam ani o Leecie, ani o Jennifer, ale przeglądając pocztę, stwierdziłam, że nie mam na to szans.

Maile pochodziły głównie od nowych dziewcząt, które przesyłały mi swoje adresy i prosiły o książki. Jedna z nich zaproponowała wydanie *Teorii ruchalności* w wersji dla licealistów i odpisałam, że przekażę jej pomysł autorce, choć myśl, że Marlowe miałyby usiąść nad tekstem i ocenzurować każde zdanie ze słowem „ruchać” i jego licznymi pochodnymi, bardzo mnie rozbawiła.

Przekopywałam się przez maile, poczynając od najstarszych, kiedy nagle zobaczyłam dwa znane mi imiona: Hannah i Jasmine. Pisały do mnie już kilka razy, żeby podyskutować o książce Marlowe, więc nie zdziwiłam się na widok ich wiadomości, ale tym razem chodziło o coś innego. Obie dziewczyny donosiły, że od kilku dni otrzymują dziwne maile, za każdym razem z innego, nieznanego im adresu, z nagłówkami w rodzaju „Rewolucja!” czy „Powstań!”. W jednym z nich radzono im, aby zrezygnowały z prenumeraty „Stokrotki”, a zaoszczędzone pieniądze przeznaczyły dla organizacji non profit o nazwie Sprawiedliwość Reprodukcyjna. W innym zachęcano, by urywały się z lekcji i angażowały w akty obywatelskiego nieposłuszeństwa. Hannah przesłała mi najnowszy z nich:

Od: konto7

Do: Hannah_hannaH

Temat: Postaw się!

Policja i system „sprawiedliwości” nie traktują poważnie kwestii przemocy przeciwko kobietom i dziewczętom. Jeśli ktoś Cię zaatakował albo napastował, weź sprawę we własne ręce. Zakładaj z innymi dziewczynami obywatelskie grupy strażników sprawiedliwości. Zapisz się na zajęcia z samoobrony, ale nie wykorzystuj tych umiejętności tylko defensywnie. Ruszaj do ataku!

Hannah chciała wiedzieć, czy to ja wysłałam jej te maile.

– O Boże – szepnęłam, zatrzasnąwszy laptopa.

Przypomniałam sobie odpowiedź Julii na moje pytanie, po co Leecie lista adresów. „Może armia Jennifer szuka rekrutów”. Nie. Zachnęłam się na ten szalony pomysł. Zaczynałam popadać w paranoję, zupełnie jak Julia.

Mimo to sprawa nie dawała mi spokoju.

Jako osoba poszukiwana przez FBI Soledad miała na głowie ważniejsze rzeczy niż maile do czytelniczek Kitty, ale jej siatka była rozległa, a gdzieś na wolności przebywała też Leeta. Może ktoś z ich grupy chciał wyciągnąć rękę do tych dziewcząt – przecież „Jennifer” powstała właśnie w wyniku śmierci córki Soledad. Była w tym pewna logika. Zastanawiałam się, czy ktoś mógłby powiązać te maile ze mną lub z Julią, a jeśli tak, jakie byłyby konsekwencje.

– Co przypaliłaś? – W progu obok lodówki stanęła Sana.

Nie wiedziałam, jak długo obserwowała mnie i moją rosnącą panikę. Zupełnie zapomniałam o wypiekach i teraz, kiedy otworzyłam piekarnik, w twarz buchnął mi kłęb dymu. Postawiłam blachę ze spalonymi babeczkami na kuchence.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Sana.

Pytała mnie o to aż za często, ale nie bez powodu. Po wczorajszej kłótni nadal czułyśmy się przy sobie dość niezręcznie.

– Po prostu martwię się przez te wszystkie informacje w mediach.

Ściełam przypalony wierzch z jednej babeczki, złapałam palcami kawałek wilgotnego środka, podmuchałam i włożyłam go do ust. Byłam głodna i nie chciałam patrzeć na Sanę, więc zamiast tego zaczęłam jeść. Sana odebrała mi blachę i wyrzuciła babeczki do kosza.

– Chyba nie jest aż tak źle, żebyśmy musiały się żywić czymś, co nie nadaje się do jedzenia?

Oblizalam usta z okruchów. Sana czekała, aż coś powiem, wytłumaczę, dlaczego się tak dziwnie zachowuję, ale musiałabym ją okłamać, a tego nie chciałam. Dopóki nie przemyślę sobie wszystkiego spokojnie, nie mogę jej powiedzieć o tych mailach. Gdybym o nich wspomniała, za bardzo by się przejęła, a nie miałam w tej chwili siły, żeby się tym zajmować. Musiałam zatajać informacje i o liście adresów, i o książce Julii, i o moich podejrzeniach. Ale garnek zaczynał już kipieć i przykrywka podskakiwała gwałtownie. Wszystko, co spędzało mi sen z powiek, miało związek z Julią.

– Nadal się o ciebie martwię – powiedziała Sana. – Po prostu chcę, żebyś o tym wiedziała.

Objęłam ją i uścisnęłam mocno, chcąc w ten sposób wyrazić głęboką wdzięczność. Ona także mnie objęła. Oparłam policzek o jej ramię, żółcień jej bluzki i cytrusowy zapach mydła przeniosły mnie gdzieś daleko od tej kuchni i od rozmyślań o Jennifer, do miejsca, gdzie wszystko było prostsze, pomiędzy drzewka cytrynowe w ogródku mojej matki. Nie miałam ochoty wypuszczać Sany z ramion i odrywać się od tego wyobrażenia, więc obejmowałyśmy się dalej. Nic nas nie dzieliło.

– Przepraszam, że ostatnio nie jestem sobą – powiedziałam wreszcie, choć nie była to do końca prawda: w ogóle straciłam poczucie tego, co to znaczy być sobą.

Kiedy się od siebie odsunęłyśmy, Sana nie nalegała, żebym powiedziała coś więcej, choć wiedziałam, że tego pragnęła. Wyszła z kuchni i wróciła do swojego biurka, pozostawiając mnie samą, z laptopem, przed którym nie mogłam uciec. W końcu będę musiała znów go otworzyć.

Od: PlumK

Do: JuliaCole

Temat: SOS

Julio,

muszę z Tobą pilnie porozmawiać. **NIE IGNORUJ TEJ WIADOMOŚCI!**

PK

W ciągu kilku minut dostałam odpowiedź – był to znak, że dzieje się coś złego.

Od: JuliaCole

Do: PlumK

Temat: Re: SOS

Spotkajmy się dziś wieczorem w Café Rose. 10.00.
Potrzebuję kolejnej przysługi.

J.

No jasne.

Gdy zjawiłam się w Café Rose, Julia siedziała przy stoliku w kącie sali i pomimo późnej pory piła espresso. Była w wersji Austen, z nieskazitelnym makijażem i wyprostowanymi włosami, bladą skórą, w botkach na obcasie. Nie wiedziałam, co ma na sobie pod trenczem, ale domyślałam się, że swój roboczy uniform. Pomyślałam o jej klatce piersiowej, schowanej pod materiałem i pokrytej ciernistymi różami.

– Skąd ten makijaż? – spytała, kiedy usiadłam. – Inspirujesz się naszą ulubioną uciekinierką? Świetny pomysł na artykuł do „Stokrotki”. „Wyglądaj jak Jennifer!”.

Zauważyłam czekającą w pobliżu stolika kelnerkę.

– W końcu są już T-shirty z Jennifer, więc czemu nie? – odparłam przyciszonym głosem.

– Jennifer jako akcesorium modowe, bez dodatku przemocy i rozlewu krwi, dostępna w najlepszych centrach handlowych.

– Na pewno będzie moda na wojskowy kamuflaż.

– W to nie wątpię.

Te żarty chyba obu nam sprawiły chwilową ulgę. Kelnerka przyjęła moje zamówienie, a kiedy oddaliła się poza zasięg słuchu, Julia i ja nachyliłyśmy się do siebie.

– Ktoś rozsyła do czytelniczek „Stokrotki” maile, w których zachęca je do buntu – szepnęłam.

– To nie będzie problem – odparła Julia również szeptem.

Kelnerka wróciła z moim winem i obie usiadłyśmy prosto, uśmiechając się do niej miło. Napiałam się powoli, spoglądając na Julię sponad kieliszka.

Kiedy znowu zostałyśmy same, Julia zaczęła wyjaśniać, że sieć Austen Media od tygodni jest nieustannie atakowana.

– Hakują robocze konta mailowe, ściągają informacje o prenumeratorkach, wszystko. To działa na naszą korzyść. Nigdy nie zdołają prześledzić tych adresów z powrotem do ciebie i do mnie. Nie martw się.

Uspokoiliam się trochę i wypiliam kolejny łyk.

– Ale ja też pisałam do tych dziewczyn. To może wyglądać zbyt dziwnie jak na zbieg okoliczności.

– To przecież nie przestępstwo. Pracowałam w Austen przez lata. Nawiązałam z tymi dziewczynami więź, bla, bla, bla. Wierz mi, to naprawdę najmniejszy z naszych problemów.

Ten zwrot, „*nasze problemy*”, był pełen znaczenia. Nie wiedziałam, jakim cudem nagle stałam się częścią tej sytuacji.

– A co to za przysługa, o którą chcesz mnie poprosić? – Nie było sensu przechadzać się skrajem basenu: od razu wskoczyłam na głęboką wodę.

– Za wcześnie na to. – Julia zabębniła palcami o stół i popatrzyła ponad moim ramieniem w głąb kawiarni.

Zawsze śmiałam się z jej paranoi, ale teraz wiedziałam, że jeśli ona dała się złapać w jakąś sieć, to ja również w nią wpadnę.

– Uspokój się – powiedziałam, oglądając się do tyłu.

– Nie mogę. Robi się gorąco.

– Niby gdzie?

Nie odpowiedziała, tylko powachlowała się jadłospisem.

– Co pomyślałaś, kiedy się dowiedziałaś o Jennifer? – Chciałam się przekonać, jaka będzie jej reakcja.

– To wstrząsająca wiadomość – odparła Julia, nadal się rozglądając i wcale nie sprawiając wrażenia wstrząśniętej.

– Julio, czy to w ogóle była dla ciebie nowość?

Na powrót skoncentrowała się na mnie i przymrużyła oczy, osłaniając je umalowanymi na czarno powiekami i rzęsami, które wyglądały jak u jelonka Bambie. Zwilżyła językiem wargi, rozbawiona.

– Pamiętam, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam cię w Kąciku Kosmetycznym – powiedziała. – Byłaś taka nieśmiała. Nawet się *zarumieniłaś*, kiedy spytałam o kolor twoich sutków. A teraz? – Sięgnęła przez stół i wzięła mojego drinka. Na szkle tuż przy krawędzi widać było

odcisk moich warg, jak gąsienicę z błyszczyka. Julia napiła się dokładnie z tego samego miejsca.

– Ja także pamiętam tamto spotkanie – rzekłam. – Wtedy też byłaś skryta, tak jak teraz.

Odsunęła kieliszek z powrotem w moją stronę.

– Bardzo przyjemnie mi się gawędzi, ale pora pogadać o tej przysłudze.

Zastanawiałam się, czy nie upić kolejnego łyka, ale tego nie zrobiłam.

– Powinnaś wydrukować to sobie na wizytówkach: „Muszę cię prosić o przysługę”.

– Ufam ci. A niewiele jest osób, o których mogę to powiedzieć. – Sprawiała wrażenie, jakby mówiła szczerze. – Spotkajmy się za dwie minuty w łazience.

Wstała, poprawiła kołnierz trencza i zniknęła w toalecie. Odczekałam kilka minut i podążyłam za nią.

– Na końcu – powiedziała zza drzwi ubikacji, kiedy weszłam.

W łazience znajdowały się trzy kabiny. Dwie pierwsze były puste. Otworzyłam drzwi trzeciej i wsunęłam się do środka, co nie było łatwe. Stanęłyśmy z Julią przodem do siebie, prawie stykając się piersiami.

– Plum, mam poważne kłopoty – zaczęła i zamiast zwykłej pewności siebie usłyszałam w jej głosie coś jakby desperację.

Spróbowałam się odsunąć, ale nie było miejsca.

– Nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć jakie.

Przedtem owszem, chciałam, ale teraz się bałam.

– Proszę cię – powiedziała Julia. – Musisz wyciągnąć od Vereny pieniądze, tyle, ile zdołasz. Powiedz, że to dla ciebie. Wymyśl jakiś pretekst. Możesz powiedzieć, że masz długi.

Poczułam, że kurczy mi się żołądek.

– Po co ci pieniądze?

– To nie dla mnie.

– W takim razie dla kogo? – Domyślałam się, co powie, ale musiałam to usłyszeć.

– Dla niej.

Gdybyśmy nie tkwiły w ciasnej ubikacji, poniosłyby mnie emocje.

– Wiedziałam – jęknęłam, starając się nad sobą zapanować. – Od początku wiedziałam, że kłamałaś.

Do tej pory tkwiłam na pograniczu całej sytuacji, cokolwiek tak naprawdę się działo, ale teraz przesuwałam się bliżej środka. Sięgnęłam za Julię, żeby otworzyć drzwi.

– Ona potrzebuje twojej pomocy – powiedziała, zastępując mi drogę i kładąc mi ręce na ramionach.

Stale myślałam o Leecie, ale nigdy nie podejrzewałam, że ona też może myśleć o mnie.

– Wszystko u niej w porządku?

– Nie.

– Gdzie ona jest?

Julia pokręciła głową.

– Lepiej, żebyś nie wiedziała. Jeśli za dużo się dowiesz, narazisz się na niebezpieczeństwo.

– Jeszcze bardziej niż do tej pory? O to ci chodzi? Bo już naraziłaś mnie na niebezpieczeństwo. – Teraz nie tylko żołądek miałam ściśnięty; cała się spięłam. Sięgnęłam sobie do szyi i objęłam ją palcami. – Po co jej te pieniądze?

– Musi uciekać, zniknąć.

Przechyliłam się na bok i oparłam całym ciężarem o lśniąca metalową ściankę kabiny.

– Czy to się dzieje naprawdę? – Parsknęłam nerwowym śmiechem.

„Obudź się”, pomyślałam. „To na pewno jakiś koszmar”. Przypomniały mi się moje kradzieże, cegła, utarczki z obcymi ludźmi. Wszystko to były trzecioliigowe wybryki.

– Co ona właściwie zrobiła? – spytałam.

Wszyscy pragnęli odpowiedzi na to pytanie. Cheryl Crane-Murphy poświęciła temu tematowi kilka tygodni. A ja wreszcie miałam szansę poznać prawdę.

– Cokolwiek zrobiła, zrobiła to dla Luz – odparła Julia.

– Powiedz mi.

– Nie mogę. Lepiej, żebyś nie wiedziała. Mówię szczerze.

– Julio, dopóki się tego nie dowiem, nie mogę ci pomóc. Prosisz, żebym się w to zaangażowała.

Drzwi do łazienki się otworzyły i Julia położyła mi na ustach palec wskazujący. Ktoś odkręcił i zakręcił kran; suszarka włączyła się i wyłączyła. Po kilku minutach drzwi znowu się otworzyły i zamknęły.

Julia zdjęła palec z moich warg. Jej opuszka była lepka od mojego błyszczyka.

– Odcień Darkest Plum?

– Skąd wiesz?

– Znam wszystkie odcienie błyszczyków.

– Julio, nie zmieniaj tematu.

– Proszę, nie pytaj mnie już o nic. Wiedz tylko, że nigdy nie chciałam mieć z tym nic wspólnego. Ona poprosiła mnie o pomoc i nie mogłam jej odmówić. – Zadrżała lekko, w fasadzie jej stanowczości pojawiła się drobna rysa. – Plum, boję się. – Wymówienie tych słów kosztowało ją sporo wysiłku, głos jej się łamał, nienawykły do emocji i do prawdy.

Obawiałam się, że zacznie płakać. Już raz widziałam, jak traci nad sobą panowanie, i nie chciałam, żeby znowu do tego doszło, żeby Julia rozsypała się tutaj, w tej ubikacji.

– Już dobrze – powiedziałam. Odgarnęłam włosy z jej twarzy i odsunęłam je za uszy. – Wiem, że się boisz.

Pomyślałam o antyterrorystach z karabinami, helikopterami i psami. Też się bałam, i to od samego słuchania.

– Czy Darkest Plum zgodzi się nam pomóc, czy nie?

Nam. Zawsze myślałam o Julii i Leecie jako o parze.

– Zastanowię się – odparłam.

To ją chyba uspokoiło. Jej twarz znajdowała się tuż przy mojej; nasze oddechy się mieszały. Julia przysunęła się bliżej i przycisnęła wargi do moich ust; był to długi, łagodny pocałunek, po którym obie byłyśmy naznaczone błyszczikiem w odcieniu Darkest Plum.

– Wybacz – powiedziała – ale gdyby coś mi się stało, żałowałabym, że

tego nie zrobiłam.

Czułam, że na twarz wypływają mi rumieńce.

– Soft Rose – szepnęła Julia. – Odcienie rózu też znam.

Otworzyła drzwi kabiny.

– Przemyśl sobie to wszystko – powiedziała i już jej nie było.

Kiedy wyszłam z kawiarni, z przyjemnością powitałam podmuch nocnego powietrza, który schłodził moje policzki. Julia zawsze potrafiła mną wstrząsnąć, ale tym razem przeszła samą siebie. Leeta przebywała w ukryciu i potrzebowała mojej pomocy. Zastanawiałam się, czy Julia i jej siostry nie dały jej schronienia w swoim mieszkaniu, ale to byłoby chyba zbyt ryzykowne. Leeta tkwiła pewnie gdzieś daleko od Nowego Jorku.

Szłam w zamyśleniu ciemnymi ulicami, patrząc na swoje czarne buty, które uderzały o chodnik, przesłaniając mi wszystko inne. Na moich ustach pozostał jeszcze smak Julii. Wytarłam je, brudząc sobie dłoń odzieniem Darkest Plum. Nadal mogłam umyć ręce od niej i Leety. Nadal mogłam się z tego wyplątać, nie zrobiłam nic złego ani nieodwracalnego – jeszcze nie. Zgodziłam się napisać za Julię tę książkę, ale to przecież nie przestępstwo, w przeciwieństwie do załatwienia pieniędzy dla Leety, bo to już mogło zaprowadzić mnie do więzienia. Moje nazwisko trafiłoby na wszystkie nagłówki, na zawsze powiązane z Leetą. Myślałam, że chcę zostać banitką, ale teraz nie byłam tego taka pewna.

Pragnęłam omówić to wszystko z Saną, pomimo ryzyka związanego z wciągnięciem w sprawę osób postronnych. Ona i Verena były na kolacji z potencjalnymi darczyńcami domu pomocy dla dziewcząt, ale wysłałam jej esemesa z pytaniem, czy mogłaby spotkać się ze mną później w barze niedaleko Domu Kaliope. Nie chciałam rozmawiać o tym u nas z obawy przed awanturą. Natychmiast odpisała, że zjawi się za godzinę.

W barze było pełno studentów, ale nie miałam nic przeciwko hałasowi i zamieszaniu. Zamówiłam kieliszek wina i złapałam dobre miejsce, zwolnione właśnie przez jakieś dwie dziewczyny. Wcisnęłam się w wąską przestrzeń pomiędzy stolikami. Na podłodze pod moimi nogami leżał porzucony egzemplarz „New York Daily”. Na okładce było to samo zdjęcie Soledad w mundurze co we wszystkich mediach, a także zdjęcia Leety i Missy. CZY FACECI NAPRAWDĘ SĄ TACY ŻLI? JENNIFER MA CIĘŻKI OKRES, głosił nagłówek. Nie zamierzałam tego czytać, ale zachowałam artykuł dla Marlowe, na wypadek gdyby jeszcze go nie widziała.

Sącząc wino, rozmyślałam o Sanie i o tym, że na pewno będzie chciała mnie zniechęcić do pomagania Leecie. Może właśnie tego mi było trzeba – żeby ktoś podjął za mnie decyzję. Wiedziałam, że przerwienie tej odpowiedzialności na Sanę, tak jak Julia przerzuciła ją na mnie, byłoby nie

w porządku, ale obawiałam się, że sama nie udźwignę ciężaru.

W barze robiło się coraz tłoczniej, studenci wpadali na siebie, rozlewali drinki i deptali sobie po nogach. Znów popatrzyłam na gazetę i absurdalny nagłówek, kiedy nagle usłyszałam męski głos:

– Hej.

Podniosłam głowę znad kieliszka i zobaczyłam właściciela głosu. Przeciętnego białego faceta nieco po dwudziestce. W ręce miał butelkę piwa.

– Co tu robisz całkiem sama?

– Czekam na przyjaciółkę – odparłam, a tak naprawdę miałam na myśli: „Idź sobie, ten stolik należy do mnie”.

– Mogę poczekać razem z tobą? – Zanim zdążyłam odpowiedzieć, usiadł na krześle naprzeciwko mnie. – Nazywam się Mason. – Miał jędrne ciało i świeżą cerę charakterystyczną dla mężczyzn, którzy jeszcze do niedawna byli chłopcami; był jak kwiat, który dopiero co przepchnął się spod gleby. Nie pociągał mnie, ale miał w sobie urok młodości.

– Zaraz się tu zjawi – powiedziałam, ale wtedy mój telefon zawibrował i zaprzeczył moim słowom.

Wiadomość od Sany: „Kolacja się przedłuża, możemy pogadać w domu?”. Westchnęłam z irytacją.

– Nie przyjdzie? – domyślił się Mason, przykładając bursztynową butelkę z piwem do ust i pociągając łyk.

– Muszę już iść. Możesz zająć ten stolik.

– Nie odchodź. Nie dosłyszałem, jak masz na imię.

– Bo nie mówiłam.

Zebrałam swoje rzeczy. Już miałam odejść, kiedy nagle dwóch rosyjskich mężczyzn odsunęło się od baru i zobaczyłam stolik w kącie po drugiej stronie sali. Siedziały przy nim trzy kobiety i dwóch facetów. Patrzyli w naszym kierunku, na wpół podnosząc się z krzesel i wyężając wzrok. Jasnowłose i ciemnowłose głowy trzęsły się od śmiechu. Kiedy zauważyli, że patrzę, ich uśmiechnięte twarze naraz stały się poważne.

Spytałam Masona, czy to jego znajomi.

– Tak, ale nie mają nic przeciwko temu, żebym zostawił ich dla takiej ładnej dziewczyny jak ty.

Po raz drugi tego wieczoru się zarumieniłam (Soft Rose), ale nie dlatego, że mi pochlebił. Usiadłam z powrotem. Czekala mnie ważna decyzja, lecz nie mogłam przepuścić okazji.

– Powiedz, jak masz na imię – poprosił Mason.

– Nazywam się Jennifer. – Z okładki gazety wpatrywały się we mnie oczy Leety. Mason nie zareagował. – Jestem Jennifer – powtórzyłam, ale i teraz w jego oczach nie pojawił się ślad niepokoju.

„Jennifer to nasze córki, siostry, żony i matki”.

– Wydajesz się zestresowana – stwierdził, sącząc piwo. – Wyluzuj, kotku.

Nie wiedziałam, na czym polega jego gra, ale postanowiłam ją podjąć. Chciałam się przekonać, co zamierza. Zaczął luźną rozmowę – jakbyśmy znali się od dawna, jakbym sama nawiązała z nim flirt, jakby sądził, że jest nieodparcie fascynujący. Mówił o różnych rzeczach, o swoim zamiłowaniu do bejsbola i studiach prawniczych. Co chwilę na czoło opadał mu kosmyk włosów w kolorze orzeszków arachidowych i Mason musiał go odgarniać. Była to chyba niezbyt wygodna fryzura, ale domyślałam się, że pomagała przy podrywie – dzięki niej sprawiał wrażenie nieśmiałego i uroczonego.

– Więc co to za przyjaciółka, na którą czekasz? – spytał, kończąc piwo i odsuwając butelkę na środek stolika.

– Spławiła mnie. Pewnie kogoś poznała. Faceci lgną do niej jak pszczoły do miodu.

– Ja tam lgnąłbym do ciebie.

– Nie mówisz tego poważnie – odparłam kokieteryjnie.

Chciałam zachować pozory uprzejmości, ale w środku coraz bardziej gotowałam się z wściekłości. Tego wieczoru wyszłam z domu w brązowo-fioletowej sukience, pewna siebie i zadowolona ze swojego wyglądu, ale Mason i jego znajomi myśleli chyba, że mogą się zabawić moim kosztem. „I zawsze już tak będzie”, pomyślałam. Przez ostatnie miesiące tyle się we mnie zmieniło, ale świat dookoła pozostał taki sam. Plun na zawsze pozostanie celem kpin. Porzucenie nadziei na przemianę w Alicję oznaczało rezygnację z nadziei na to, że kiedykolwiek będę taka jak wszyscy.

– Mieszkam niedaleko stąd – powiedział Mason. – Współlokatorów dziś nie ma. Może poszlibyśmy do mnie i... no wiesz... pogadali? – Spuścił rękę pod stół i łagodnie dotknął mojego kolana, jakby usiłował coś zaszykalizować; może swoją nieszkodliwość, jak pies przewracający się na

grzbiet? Kiedy nie odpowiedziałam, przesunął palcem drugiej dłoni po moim ramieniu w miejscu, gdzie rękaw odsłaniał skórę. Nachylił się nad stołem i szepnął: – Podobasz mi się.

W kraju szalały krwiożercze kobiety, które mordowały, porywały i kastrowały, ale to nie zniechęciło go do jego obrzydliwego planu, na czymkolwiek on polegał. Mason miał chłopięcą twarz, jaką można by zobaczyć na oprawionym zdjęciu na biurku lekarza albo szefa firmy ubezpieczeniowej – niegroźny synalek, mdły jak babeczka waniliowa.

Nadal czekał na odpowiedź i zastanawiałam się, jak bardzo by się wysilił, żeby mnie przekonać. Nie spodziewał się z mojej strony oporu. Zakładał, że będę wdzięczna za jego względy, że rozkwitnę w blasku jego nieoczekiwanej żądz. Taka panna zrobi wszystko, co się jej każe. Spojrzał na mnie wyczekująco i przez chwilę udawałam, że jestem przeciętną dziewczyną. Tak to już jest, pomyślałam. Tak właśnie zachowują się ludzie. Chodzą do barów, nawiązują rozmowy z nieznanymi i wracają z nimi do domu na seks. Przez te wszystkie noce, kiedy zamykałam się w swoim mieszkaniu, oglądałam telewizję i jadłam posiłki z diety punktowej, to właśnie robili moi rówieśnicy.

– No chodź, mała – namawiał Mason.

Pukiel włosów znowu opadł mu na czoło. Sądząc po głosie i sposobie, w jaki wymówił słowo „mała”, zgadywałam, że nie jest z Nowego Jorku. Może z Virginii albo z jeszcze dalszego Południa. W każdym razie nie stąd. Tutaj nie hodowano takich okazów.

Dopiłam wino dwoma łykami.

– W porządku – powiedziałam. – Idę do łazienki. Możesz powiedzieć znajomym, że wychodzimy.

Wzięłam swoją torbę oraz gazetę i przepchnęłam się obok niego, kierując się w stronę schodków do toalety. Kilka osób popatrzyło za mną, więcej niż zazwyczaj. Czyżby wszyscy wiedzieli, co się tu dzieje? Niespodziewanie zaczęło mnie ogarniać uczucie, które kiedyś dobrze znałam, a którego nie doświadczyłam już od jakiegoś czasu: upokorzenie.

Nie musiałam skorzystać z ubikacji, ale potrzebowałam kilku chwil dla siebie. Kiedy wrócę na górę, Mason i jego znajomi powiedzą może, że to wszystko tylko żart, i mnie wyśmieją. Musiałam być na to gotowa. Ale były też inne możliwości. Może Mason będzie grał dalej, sądząc, że pójdę z nim do domu i zrobię mu loda. W końcu uważał mnie za desperatkę. A może pociągały go grube kobiety i maskował to takimi numerami, żeby kumple się z niego nie śmiali. Rubí mówiła, że podrywanie grubasek w jakichś

pokątnych celach jest dość powszechne. Nazywało się to „zaliczaniem pasztetów” i stanowiło swego rodzaju sport. Mason postanowił zagrać, ale nie dam mu zwyciężyć.

Po raz drugi tego wieczoru zamknęłam się w toalecie i z jakiegoś powodu wyobraziłam sobie Masona próbującego poderwać w barze Alicię, nie dla zgrywy, ale dlatego, że naprawdę mu się spodobała. Może jego zainteresowanie sprawiłoby jej przyjemność. Może wróciłaby z nim do domu i poszliby do łóżka. Nie zorientowałyby się, jaki jest naprawdę. Głupia Alicia.

Wyszłam z kabiny i stanęłam przed umywalkami. Nadal miałam przy sobie gazetę. Rozprostowałam ją i spojrzałam na Leetę na okładce. Jej oczy były utkwione we mnie, jak zawsze. Ona gdzieś tam była, myślała o mnie, potrzebowała mojej pomocy.

– Szukałam cię – powiedziałam, przesuwając ręce po drukowanym wizerunku.

To była moja chwila.

Wróciłam na górę i znalazłam Masona przy stoliku jego znajomych. Teraz już nikt się nie śmiał. Sana poradziłaby, żebym poszła do domu, argumentowałaby, że nie mogę stawić czoła wszystkim dupkom tego świata. Miała rację, ale i tak ruszyłam do boju. Mason zasługiwał na to, żeby zapłacić. Będę szybka i bezlitosna.

– Nie chcę nigdzie z tobą iść – oświadczyłam na oczach jego przyjaciół. – Jesteś brzydki.

Chwilę potrwało, zanim do niego dotarło, co powiedziałam.

– Co takiego?

– Jesteś kurewsko brzydki – powiedziałam. – Po prostu odpychający.

Znajomi Masona – trzy dziewczyny i dwaj faceci – popatrzyli po sobie. Tego nie było w planie.

– *Ja* jestem brzydki? – Mason usiłował się roześmiać, żeby zachować twarz. – *Ja* niby jestem kurewsko brzydki? Spojrzałaś kiedyś w lustro, baleronie? To ty jesteś ohydna. Żaden facet przy zdrowych zmysłach nie dotknąłby cię nawet palcem.

I skończyło się „kotku”. Ale ucieszyłam się, słysząc te słowa. Koniec z maskaradą.

– Ty dotknąłeś. I wyglądałeś, jakby całkiem ci się podobało.

– To był zakład.

Znowu się roześmiał, popatrując na swoich znajomych w nadziei na wsparcie, ale oni milczeli z kamiennymi twarzami, niepewni, jak zareagować. Sterta sadła przemówiła. Potrafiła mówić. Do tej pory zawsze siedziała cicho, przyjmowała ich szyderstwa i szpile, przemykała cichutko szczelinami życia. Ale teraz sterta sadła była wściekła.

O-o.

– Wiesz co, Mason, mówisz, że jestem ohydna, ale chyba oboje wiemy, co cię naprawdę kręci: porządny tłuścioch, taki jak ja. Po prostu wstydzisz się do tego przyznać przed kumplami.

Zanim zdążył odpowiedzieć, wyciągnęłam rękę i podważyłam ich stólik, tak że wszystkie butelki z piwem poleciały na podłogę. Zerwali się z krzeseł, żeby umknąć przed tryskającym płynem i tłukącym się bursztynowym szkłem.

– Głupia krowa – warknęła jedna z dziewczyn.

Odsunęli się pospiesznie od stołu, ale Mason poślizgnął się na mokrej podłodze i uderzył potylicą o ścianę. Leżał na plecach w kałuży piwa, oszołomiony, mrugając powoli. Przyjaciele nie przyszli mu z pomocą.

Postawiłam but na jego piersi tak, że nie mógł się ruszyć. Moje czarne glany. Moje kolorowe rajstopy. Dam radę.

– Naucz się, kurwa, dobrych manier! – wrzasnęłam.

– Hej, daj spokój – powiedział Mason. Wokół nas zbierał się tłum. – Przepraszam, okej? Jesteś ładna, Jennifer. Naprawdę tak myślę.

– Co takiego? – spytałam głośno, przekrzykując hałas baru. Chciałam, żeby to powtórzył.

– Myślę, że jesteś ładna.

Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu.

– Myślisz, że jestem *ładna*?

Ze wszystkich rzeczy, które mógł powiedzieć, ta była najbardziej nieoczekiwana. Z mojej przepony wyrwał się głęboki rozbawiony ryk. Był tak nagły, tak potężny, że bałam się, czy nie rozerwie mnie na strzępy.

– Powtórz to.

– Jesteś ładna, Jennifer. Naprawdę.

Dalej się śmiałam. Trwało to tak długo, że śmiech zdawał się rozciągać od wczesnego dzieciństwa aż do teraz, jak spadająca gwiazda z długim ogonem światła. Ogon owinął się wokół wszystkich dzieciaków, które dręczyły mnie, kiedy byłam dziewczynką, wszystkich chłopców, którzy nie zwracali na mnie uwagi, kiedy byłam nastolatką, wszystkich młodych mężczyzn, którzy odmawiali mi swoich względów, kiedy stałam się dorosła, wszystkich kobiet, które izolowały mnie i nękały aż do teraz, kiedy Mason powiedział, że jestem ładna. Wreszcie dostałam to, czego chciałam! Kiedy śmiech zrównał się z chwilą obecną, ogon światła wyslizgnął się z moich ust.

Cisza.

Mason myślał, że rzuci grubasce ochłap i że to wynagrodzi jej wszystko, co ją w życiu spotkało, a przede wszystkim to, co się wydarzyło dziś wieczorem. Słowa „jesteś ładna” miały być garncem złota na końcu tęczy, wygranym numerem na loterii, uzdrawiającą dłonią Chrystusa na głowie chorego. Masona nauczono wierzyć, że naprawdę ma taką moc. Dały mu ją kobiety takie jak ja.

Nachyliłam się i przyjrzałam mu się uważnie. Mason nie był już Masonem: był *nimi*. Kiedy tak patrzyłam na niego, na *nich*, całe moje postępowanie od najwcześniejszych lat życia stało się nagle zupełnie niezrozumiałe. Lata diety punktowej, Programu Odchudzającego Baptist i planowania operacji, długie godziny – z których uzbierałyby się lata – kiedy zaszywałam się w domu ze strachu przed wyjściem na zewnątrz, przed ludźmi, którzy będą się ze mnie śmiać, szydzić, odpychać mnie i gapić się na mnie w taki sam sposób jak człowiek, którego twarz miałam w tym momencie przed sobą – jedna z banalnych, przeciętnych, nienawistnych, pędzących za stadem twarzy masowej produkcji. W innym momencie, na przykład gdybym była sama w domu, popłakałabym się na tę myśl. Żałowałam, że nie mogę wrócić do początku i zacząć życia od nowa.

Zdjęłam nogę z piersi Masona. Nie chciałam się z nim bić. On nie miał znaczenia. Odwróciłam się, żeby wyjść, i zaczęłam się przepychać między gapiami. Nikt nie próbował mnie zatrzymać. Nie wezwano policji. Znajomi Masona się rozplnęli.

Kiedy wyszłam z baru, niebo było czyste i czarne. Gdzieś tam unosił się śmiech, który wyrwał się z mojej piersi – długa smuga światła stanowiąca teraz część wszechświata. Nie widziałam jej, ale wiedziałam, że gdzieś tam jest. Wystarczy, że spojrzę w niebo, a sobie o tym przypomnę.

Następnego dnia zjadłam na śniadanie jajko w koszulce, żytanego tosta z masłem, melona i wypiliśmy herbatę. Tym razem nie spędziłam całego poranka w kuchni, robiąc sterty omletów i wafli dla siebie i reszty. Wystarczył mi prosty posiłek.

Po jedzeniu zostałam przy stole, nie mogąc oderwać wzroku od grubych dzinsów Eulayli wiszących na czerwonej ścianie. Nadal nie zrealizowałam czeku na dwadzieścia tysięcy od Vereny. Nie odwołałam też operacji. Zadzwoiłam więc do gabinetu doktora Shearera, żeby ostatecznie potwierdzić, że rezygnuję. Rozłączywszy się, nie doznałam poczucia straty. Czułam się dumna.

Sana spytała, o czym chciałam porozmawiać poprzedniego wieczoru, ale odpowiedziałam, że mi się nudziło i pomyślałam, że fajnie byłoby pójść do baru. Chyba niczego nie podejrzewała. Postanowiłam nie mówić jej o prośbie Julii. Kobiety z Domu Kaliope, a zwłaszcza Sana, stanowiły dla mnie oparcie i dawały mi poczucie wspólnoty, ale tę decyzję musiałam podjąć samodzielnie. To nie byłoby fair, gdybym je w to wciągnęła. Leeta nigdy nie była częścią ich życia i nie rozumiały więzi, którą z nią odczuwałam. To był mój własny problem.

Kiedy tak rozmyślałam, co powinnam zrobić, uznałam, że pora wrócić na Swann Street. Minęły miesiące, od kiedy porzuciłam swoje mieszkanie na Brooklynie, i musiałam znowu się z nim zmierzyć. Po drodze wysłałam swoim dziewczynom jakieś pięćdziesiąt książek, bo wciąż napływały nowe zamówienia. Z poczty poszłam do banku i odebrałam dwadzieścia tysięcy.

Jadąc metrem na Brooklyn, zagłębiając się w ciemny tunel, wracając w swoje zaświaty, przygotowałam się na widok dawnego domu. Kiedy dotarłam do kamienicy, otworzyłam znajome drzwi i zanim weszłam na górę, przystanąłam przy ścianie ze skrzynkami pocztowymi w kolorze miedzi. Moja skrzynka była przepełniona i znalazłam w niej informację z urzędu pocztowego, że przestali doręczać przesyłki. Przejrzałam rachunki i ulotki; większość trafiła do kosza. Jeden list był z Austen Media, przysłano go jeszcze latem. Informował, że zostałam zwolniona za „rażące naruszenie przepisów”, czyli kasowanie maili do Kitty, i że nie mam już wstępu do wysokiej chromowej wieży. Właśnie miałam go wyrzucić, ale w ostatniej chwili stwierdziłam, że może raczej go oprawię.

Wsunęłam klucz w drzwi do mieszkania, a kiedy je otworzyłam,

zobaczyłam swój salon, biurko i kuchnię. Wyglądały dokładnie tak, jak je zostawiłam. Na widok dawnego domu poczułam lekkie szarpnięcie, jakby ktoś pociągnął za strunę gitary. Wspomnienia zawibrowały we mnie od stóp do głów. Włączyłam światło i z ulgą przekonałam się, że nie odcięto prądu. Na kuchennym blacie stał mój kubek z kawą, nadal do połowy pełny. Wszystko pokrywał kurz, szary pył, niczym manifestacja czasu – czasu, który upłynął, odkąd porzuciłam to życie.

W lodówce prawie nic nie było. Szafki świeciły pustkami, nie licząc pudełka krakersów i kilku puszek zupy. W zamrażarce miałam sterty zrobionych przez siebie przekąsek z diety punktowej, schludnie zapakowanych w folię i oznaczonych dwiema lub trzema gwiazdkami. Przypomniałam sobie uczucie pustki w żołądku i otepienie, a czasem wręcz paraliż, który mnie ogarniał, kiedy żywiłam się tym jedzeniem. W tamtych czasach poruszałam się wolno, o ile w ogóle.

W sypialni wyjęłam z garderoby ubrania Alicii, sukienki, które na mnie nie pasowały i nigdy nie będą pasować. Zadzwoiłam do Sany i spytałam, czy nie chciałaby trochę ciuchów dla dziewczyn ze swojego domu pomocy. Powiedziałam, że pewnie nie będą w ich guście, ale mogą się przydać na rozmowy o pracę i na rozprawy sądowe. Sana bardzo się ucieszyła, więc zapakowałam ubrania do dwóch czarnych walizek, które trzymałam pod łóżkiem, i zamówiłam kuriera, który miał je zawieźć do Domu Kaliope.

Rzeczy, które nosiłam na co dzień, leżały w stertach na podłodze albo tkwiły wciśnięte w komodzie. Wyrzuciłam je do kosza. Przez kilka następných dni spałam w swoim starym łóżku i codziennie po przebudzeniu dalej sortowałam rupiecie, przeglądałam książki i pamiątki, całe moje nowojorskie życie. Znalazłam puste buteleczki po Y..., a także sterty broszur Strażników Wagi i numery „Stokrotki”. Większość trafiła do śmieci. Egzemplarz *Przygód w Krainie Diet*, który dostałam od Leety, poszedł do kartonu z rzeczami, które zachowam na zawsze, razem z rodzinnymi zdjęciami i pamiątkami.

Przeglądając i pakując to wszystko, wyskakiwałam czasem do banku, żeby wybrać trochę gotówki. Zastanawiałam się, czy nie odwiedzić przy okazji kawiarni, ale Carmen wciąż była na macierzyńskim, a tylko za nią tam tęskniłam.

Przyszła ekipa od przeprowadzek i zabrała moje meble oraz kartony z rzeczami do schowka na Queens, gdzie chciałam je przechować, dopóki nie wyprowadzę się z Domu Kaliope. Mieszkanie było puste, nie licząc sypialni, w której pozostały rzeczy kuzyna Jeremy’ego. Zadzwoiłam do niego do

Kairu, żeby poinformować, że się wyprowadzam. zaproponowałam, że będę płacić czynsz, dopóki nie znajdzie nowego najemcy, ale powiedział, że nie trzeba. Dodał, że skoro nie chcę już tam mieszkać, to pewnie je sprzeda. Zrozumiałam, że gdyby nie ja, zrobiłby to już dawno temu, i poczułam wdzięczność, że przez tyle czasu mogłam mieszkać w ładnym miejscu, na które inaczej nie byłoby mnie stać. Dzięki temu moje problemy wydawały się łatwiejsze do zniesienia.

Wychodząc, rozejrzałam się po raz ostatni. Mieszkanie wyglądało na mniejsze niż w moich wspomnieniach – wszystko wydaje się mniejsze, kiedy to zostawiamy.

Następnego dnia obudziłam się w maślanożółtym świetle sypialni w Domu Kaliope i zdałam sobie sprawę, że nie jest to dzień jak każdy inny. Był dziesiąty października – data, na którą zaplanowano moją operację odchudzającą. Leżąc w łóżku, mimowolnie położyłam dłoń na swoim nagim brzuchu i przesunęłam po nim palcami – pomimo fałd i szczelin był miękki w dotyku. Ogarnęła mnie wdzięczność, że nie wyczuwam na nim jednej rzeczy: brutalnego nacięcia. Pod warstwami mojego ciała, wśród pozostałych narządów, krył się żołądek, cały i zdrowy, a nie zaszyty i zatrzaśnięty. Leeta zasługiwała na podziękowanie za to, że doprowadziła mnie do Vereny i pozostałych kobiet, że mogłam spędzić ten poranek w ciepłym i wygodnym łóżku, a nie pod ostrymi światłami i zamaskowanymi twarzami w sali operacyjnej.

Pieniądze, które wyjmowałam z konta, odkładałam na kupkę do dolnej szuflady komody, ale Leeta potrzebowała ich o wiele więcej. Wiedziałam, że Julia wkrótce się ze mną skontaktuje; w każdej chwili mogłam się spodziewać panicznego maila albo telefonu z pytaniem, czy pomogę sfinansować ucieczkę Leety. Tymczasem wolałam jednak o tym nie myśleć. Na razie pragnęłam uczyć to, jak daleko zaszłam.

Postanowiłam urządzić przyjęcie z masą jedzenia i napojów. Ostatnie tygodnie były trudne dla nas wszystkich – pozostałe kobiety miały swoją pracę, ja zmagalam się z własnymi problemami, do tego dochodziła kwestia Jennifer. Nadal używałyśmy tego określenia w stosunku do Soledad i ataków, których przyczyny nie były jeszcze jasne. Jennifer potrafiła sprawić, że góra wydawała się dołem, wprowadzała do głów zamęt, przez nią świat stanął w ogniu, a nadal przebywała na wolności.

Poszłam po zakupy spożywcze i alkohol. Po południu upiekłam trzywarstwowy tort w polewie czekoladowej i zrobiłam curry warzywne oraz ryż na główne danie, idealne na chłodny październikowy wieczór. Nie

mówiłam reszcie, że świętujemy. Nie chodziło mi o oficjalną uroczystość; zamierzałam pozwolić, by same się zorientowały, że coś jest na rzeczy.

Gdy curry i ryż bulgotały już na kuchence, wyjęłam ze swojej garderoby skradzioną bieliznę i zniosłam ją na dół w dwóch plastikowych torbach. Verena trzymała narzędzia ogrodnicze w metalowym pojemniku na maleńkim tylnym podwórku. Opróżniłam go. Wrzuciłam do środka węgiel, polałam płynem do zapalniczek i podpaliłam. Kiedy płomienie wystrzeliły ponad krawędź kosza, otworzyłam jedną z toreb, wyciągnęłam kilka par stringów i wypychanych staników, po czym wrzuciłam je w ogień, aż zabuzowało. Zawsze wiedziałam, że ta bielizna się do czegoś przyda – po prostu potrzebowałam czasu, żeby odkryć do czego.

Kiedy nadeszła pora kolacji, dołączyły do mnie Verena, Marlowe z małym Huckiem, Rubí oraz Sana. Zjadłyśmy w kuchni curry, a potem tort. Cieszyłam się, że nie potrzebuję już gigantycznych ilości jedzenia, żeby się nasycić. Uczylałam się słuchać swojego ciała, które dawało mi wskazówki, że jest głodne i na co ma ochotę, dzięki czemu wiedziałam, kiedy powinnam zjeść i co, i jak dużo. Rubí mówiła, że lata diety zniszczyły mój metabolizm i że trochę potrwa, zanim dojdę do siebie i nauczę się żyć w zgodzie ze swoim organizmem. Nigdy więcej nie zamierzałam się ograniczać ani uprawiać przed jedzeniem matematyki. Będę dawać swojemu ciału to, czego potrzebowało i czego pragnęło – nie więcej, ale i nie mniej.

Po kolacji przeniosłyśmy się z drinkami na zewnątrz, gdzie płonęło ognisko; kosz stał pośrodku wybetonowanej przestrzeni stanowiącej nasze podwórko i otoczonej kolorowymi jesiennymi drzewami. Dorzucałam do ognia, ale wszyscy chcieli się przyłączyć.

– Teraz ja – powiedziała Sana, wrzucając w płomienie liliowy peniuar, a potem parę pasiastych bokserek. Patrzyłyśmy, jak skwierczą.

– To bielizna ze Wzwodowic, prawda? – domyśliła się Marlowe.

Powiedziałam, że owszem, na co spytała, dlaczego mam tego aż dwie torby.

– Długa historia – rzekła Sana i zmieniła temat.

Kończyły nam się drinki, więc Rubí wróciła do kuchni, żeby zrobić kolejną porcję mojito. Wyniosła dzbanek na zewnątrz i uzupełniła nasze szklanki. Podwórko było maleńkie. Stłoczyłyśmy się razem, pijąc, wpatrując się w ogień i – naturalnie – rozmawiając o Jennifer. Zapanowała świąteczna atmosfera, o którą mi chodziło, ale nagle zobaczyłam przez okno kuchni, że dołączyła do nas Julia. Odkroiła kawałek tortu i zjadła go palcami.

Wymówiłam się i weszłam do środka, zamykając za sobą drzwi.

– Co ty tu robisz? – spytałam.

Ostatni raz widziałam ją w ubikacji tamtej kawiarni. Na sam jej widok wyobraziłam sobie swoje dłonie w kajdankach.

Julia obeszła stół, ładując sobie do ust ryż z curry.

– Podjęłaś już decyzję? – zapytała szeptem.

– Nie jestem pewna. Zresztą i tak potrzebuję więcej czasu. Nie mogę wyjąć naraz z konta za dużo gotówki. To by wzbudziło podejrzenia.

– Więc masz pieniądze? – spytała z histeryczną nadzieją.

Przytaknęłam i Julia przymknęła oczy.

– Dzięki Bogu – powiedziała. – Muszę je mieć do piątku. Przyjdę koło południa. Dłużej nie mogę czekać.

Piątek wypadł za dwa dni.

– Mówiłam ci, że jeszcze się nie zdecydowałam. Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o Leecie.

– Ćśśś – szepnęła Julia. – Na litość boską, nie wymawiaj tego imienia. – Wyrzwała na zewnątrz. Marlowe pomachała do niej przez szybę. Julia nie zadała sobie trudu, żeby odpowiedzieć. – Wspominałam już, że to kwestia życia i śmierci? Nie ściemniam. – Jej akrylowe tipsy wyglądały, jakby je obgryzała. – Nie masz pojęcia, co ja przeżywam.

– Bo nie chcesz mi powiedzieć.

Zignorowała tę uwagę i skupiła się na jedzeniu, w jej oczach pojawił się zwierzęcy błysk. Brakowało mi wrażliwej Julii z kawiarnianej łazienki, ale domyślałam się, że nieczęsto zdejmuje maskę. Nałożyła sobie na talerz dużą porcję, a potem przybrała pozory opanowania i otworzyła drzwi na podwórko.

– Postarajmy się zachowywać normalnie – rzuciła przez ramię.

Podeszła do kobiet przy ogniu, a ja ruszyłam za nią.

– Co to, impreza? – spytała, żeby zwrócić uwagę na swoje przybycie.

Stałam po przeciwnej stronie kosza, pomiędzy Rubí a Saną. Wszystkie popatrzyłyśmy na Julię, która wpakowała sobie do ust tyle jedzenia, że z trudem zdołała je pogryźć i połknąć.

– Skoro już wszystkie tu jesteśmy, to mogę powiedzieć, że rzuciłam pracę w Austen Media. Jutro mój ostatni dzień – oznajmiła.

– No, no! Koniec epoki – powiedziała Marlowe.

– Jakie masz plany? – zapytała Verena.

– Pojeżdżę trochę po świecie. W najbliższym czasie nieczęsto będziecie mnie widywać. – Julia popatrzyła na mnie ponad płomieniami. Czyżby ona również zamierzała uciec?

– Wybierasz się w podróż? – spytała z niedowierzaniem Verena. – A co z twoją tajną misją?

– Dłużej tak nie wytrzymam. Mam dość tej maskarady – prychnęła Julia, wpychając do ust kolejną porcję jedzenia. Drobinki ryżu wpadły jej za bluzkę. – Cały czas jestem tak cholernie głodna, nie macie pojęcia, jak to jest.

Kęs utknął jej w przełyku i zaczęła się krztusić. Złapała się ręką za gardło, kaszłąc głośno, i rzuciła talerzyk w krzaki. Rubí podała jej drinka i Julia wypijała go duszkiem.

– Przepraszam, jestem w okropnym stanie – powiedziała, kiedy doszła do siebie, z oczami załzawionymi od curry i kaszlu, a może też od płaczu.

Znowu spojrzała na mnie ponad pomarańczowymi jęzorami płomieni, które rzucały na nią piekielny blask.

Rubí sięgnęła do torby i wrzuciła do ognia kilka staników.

– Więc co to za okazja? – zapytała mnie Marlowe. – Niecodziennie mamy tu curry i palenie bielizny. Rozpieszczasz nas.

Podawała Huckowi parę różowych koronkowych majteczek bez krocza, które wrzucił do kosza, chichocząc z zachwyty.

– Na dzisiaj zaplanowana była moja operacja – oświadczyłam, pijąc z plastikowego kubeczka rum z miętą i ciesząc się poczuciem wspólnoty. – Chciałam to uczcić.

– Nie miałam pojęcia – zdziwiła się Verena.

Sana i Rubí objęły mnie i uściskały z obu stron.

– Chcę, żebyś wiedziała, że jej już nie ma – powiedziałam do Vereny. – Tej szczupłej wersji mnie, tej kobiety idealnej, mojego drugiego ja.

– Alicii?

– Nie, ją sobie zatrzymam. Mam na myśli tamtą idealną kobietę, moje

szczupłe ja. Ona zawsze była tylko ideą. Nie istniała naprawdę, więc nie potrzebuje imienia.

Alicia to ja. Alicia to ja.

Verena przesłała mi nad ogniskiem całusa.

– Virginia Woolf powiedziała kiedyś, że upiora znacznie trudniej uśmiercić niż rzeczywistość – stwierdziła.

Była to prawda, ale moje widmo wreszcie zniknęło. Wiedziałam, że moje życie nie będzie łatwe, ale chyba o tym właśnie mówiła Sana. Przeszłam na drugą stronę i już nigdy nie wrócę.

Ukryłam twarz na ramieniu przyjaciółki – chwila wytchnienia od gorących płomieni i własnych emocji. Kiedy znowu podniosłam głowę, zobaczyłam po drugiej stronie kosza Verenę, która trzymała w rękach oprawione grube dzinsy Eulayli. Walnęła ramą o krawędź kosza, tłukąc szybę. Uwolniła spodnie z oprawy i przycisnęła je do siebie.

– Vereno, co ty robisz? – spytała Marlowe.

Mówiła w imieniu nas wszystkich. Te dzinsy zawsze były przedmiotem sacrum, czymś nietykalnym.

– Plum mnie zainspirowała – rzekła Verena. – To właśnie powinnam zrobić.

Wyciągnęła legendarne spodnie przed siebie – spodnie, które wprawiły mnie jako nastolatkę w obsesję, spodnie, które stały się przyczyną miliona diet.

– Nowy Program Baptist naprawdę podziałał – powiedziałam, patrząc na kultowe dzinsy. – Jestem całkowicie odmieniona. Tak jak obiecałaś.

– Nowo narodzona – rzekła Verena.

– Żadnego liczenia kalorii, żadnego ważenia – zgodziłam się.

– Bez wysiłku nie ma efektów.

– Rezultaty nie są typowe.

– Będzie gorąco. – Verena cisnęła spodnie matki w płomień. – *Trach!* – krzyknęła, kiedy wpadły do ognia.

Kim jest Jennifer?

Soledad Ayala urodziła się w Meksyku w roku 1973. Kiedy miała osiem lat, jej rodzina przeniosta się na pięć miesięcy do Dakoty Południowej, a potem na sześć do Iowa. I tu, i tam dzieci naśmiewały się z niej z powodu nadwagi, obcego akcentu i dziwnego imienia: *Soledad*.

Soledad – stary grat!

Kiedy przeniosta się z rodziną do Wyoming i zaczęła chodzić do nowej szkoły, powiedziała nauczycielce, że nie nazywa się Soledad, tylko Jennifer. Wszystkie znane jej dziewczęta o tym imieniu były zupełnie inne niż ona. Miały włosy blond albo brązowe, jasną cerę i były ładne. Nie mówiły z akcentem. Wołano na nie Jenny lub Jenna i nikt się z tego nie naśmiewał. Soledad nie chciała, żeby się z niej wyśmiewano. Pragnęła być taka jak inni.

Przez kilka lat w każdy pierwszy dzień szkoły, kiedy nauczyciel wyczytywał z listy Soledad Ayalę, podnosiła rękę i mówiła:

- Wszyscy nazywają mnie Jennifer.

Przez całą podstawówkę znano ją więc jako Jennifer Ayalę. Nawet rodzice mówili na nią Jenny, ale Soledad w głębi serca wiedziała, że nie jest prawdziwą Jennifer; nie była jak amerykańskie dziewczyny, tylko udawała. Lubiła sobie wyobrazać, że jeśli przyjmie inne imię, to Soledad zniknie, ale kiedy spoglądała w lustro, ona wciąż tam była.

Gdy razem z rodziną przenieśli się do Kalifornii, rozpoczęła naukę w gimnazjum; jej opiekunka, panna Jimenez, powiedziała wtedy, że nie należy udawać kogoś, kim się nie jest.

- Twoje prawdziwe imię brzmi Soledad – oświadczyła. – I tak powinniśmy cię nazywać.

Soledad nie była uszczęśliwiona myślą, że ma zrezygnować z Jennifer, ale nie chciała rozczarować panny

Jimenez. Przewisko wyszło z użycia i zachowało się tylko we wspomnieniach z dzieciństwa, lecz zdarzało się, że matka nadal dla zabawy nazywała ją Jenny, kiedy rozmawiały o dawnych czasach.

- Kto to jest Jenny? - spytała Luz, kiedy była jeszcze mała i dopiero co się nauczyła, że jej mama ma na imię Soledad.

- To dziewczynka, którą kiedyś byłam - odparła Soledad, niezgodnie z prawdą.

W rzeczywistości nigdy nie była Jennifer. Tylko się pod nią podszywała.

Soledad miała mocne alibi na noc, kiedy zniknęli dwaj gwałciciele jej córki, Lamar Wilson i Chris Martinez. Policja uważała, że po prostu uciekli po wyjściu za kaucją, ale ponieważ ich sprawa zyskała duży rozgłos, konieczne było rzetelne dochodzenie, żeby wykluczyć inne możliwości. Zaczęli od Soledad, ale tamtej nocy pojawiła się ona na nagraniach monitoringu w kilku różnych miejscach w Santa Mariana, między innymi w centrum handlowym, gdzie spędziła kilka godzin, oglądając wystawy i jedząc kolację ze znajomymi z kościoła, oraz w supermarkecie, gdzie wpakowała do kosza zakupy spożywcze na cały tydzień, tylko dla siebie, bo wtedy była już sama. Przez wiele następných dni policja i mieszkańcy miasteczka widywali ją zajęta rzeczami, które nie wzbudzały najmniejszych podejrzeń. Policjanci byli przekonani, że ani ona, ani żaden inny członek jej rodziny nie planowali zemsty na Wilsonie i Martinezie - ojciec i mąż Soledad nie żyli, braci nie miała, a siostry, matka i pozostali krewni wrócili do Teksasu. Śledztwo skupiło się na innych podejrzanych.

Kilka tygodni później, kiedy obu gwałcicieli wyrzucono na pustynię wraz z resztą parszywej dwunastki, Soledad zgodziła się współpracować z FBI i przemówić na konferencji prasowej. Agenci federalni byli pod wrażeniem odwagi, jaką wykazała się pogrążona w żałobie matka, ale i tak wszczęli własne dochodzenie w jej sprawie, nie ufając w zdolności policji Santa Mariana. Szybko odkryli, że Leeta Albridge pracowała kiedyś jako wolontariuszka w poradni dla kobiet, gdzie Soledad pomagała ofiarom gwałtu. FBI znowu

zapukało do drzwi weteranki, żeby porozmawiać o tym fakcie, który nie mógł przecież być dziełem przypadku, lecz nikt nie otworzył. Sąsiadka powiedziała, że Soledad wyjechała do Mexico City, by zaopiekować się chorą ciotką.

Kiedy meksykańska policja próbowała ją odnaleźć, agenci FBI w Houston odwiedzili jej matkę w szpitalu – staruszka umierała na zapalenie płuc. W malignie powtarzała, że jej córka nie dopuściła się żadnego przestępstwa i że nie uciekała przed policją, tylko się zabiła.

- Miała broń – mówiła, opisując ostatnie dni przed pogrzebem Luz. – Była roztrzęsiona. Piła.

Siostry Soledad, które podczas przesłuchania również znajdowały się w szpitalnym pokoju, prosiły agentów, żeby dali matce spokój, ale ci odmówili.

- To dobra dziewczyna – powtarzała matka Soledad przez łyżę, po czym dodała: – Moja Jenny nie zrobiłaby nic złego.

W tym momencie siostry Soledad wstały, żądając zakończenia rozmowy, ale było za późno. Agenci usłyszeli, co powiedziała staruszka.

Kiedy odkryto jej związki z Leetą Albridge i kapitan Missy Tompkins, FBI zaczęło przesłuchiwać innych znajomych Soledad i jej towarzyszy z wojska. Przeszukali mieszkanie specjalistki Agnes Szydłowski i jej męża, którzy mieszkali na Manhattanie w dzielnicy Inwood. Kiedy pracowały w Afganistanie jako sanitariuszki, Agnes i Soledad ocaliły sobie nawzajem życie. Agenci zbierali odciski palców ze wszystkich powierzchni w mieszkaniu, podczas gdy Agnes piła kawę i paliła papierosy przy kuchennym stole.

- Kocham Soledad jak siostrę – powiedziała. – Ale tracicie czas. Nigdy mnie tu nie odwiedzała.

Jakiś czas później śledczy odkryli, że Agnes i jej mąż mieli kiedyś motocykl tej samej marki i modelu jak ten, który opisywali świadkowie w dniu zabójstwa Stelli Cross i jej męża na Times Square.

- Skradziono go kilka miesięcy temu – wyjaśniła Agnes i nie dodała już nic, dopóki nie znalazła sobie prawnika.

Po drugiej stronie Atlantyku szkocka policja na prośbę FBI wszczęła dochodzenie w sprawie kapitan Gwendolen Campbell z brytyjskiej armii. Podczas pierwszej misji Gwendolen w Afganistanie talibowie zestrzelili helikopter, którym leciała. Wszyscy jej towarzysze broni zginęli, ale Gwendolen pomimo obrażeń (oślepała na jedno oko i straciła kilka palców) przeżyła dzięki pomocy amerykańskich sanitariuszek. Były to Soledad i Agnes. Kapitan Campbell prawie codziennie rozmyślała o dwóch kobietach, które ocaliły jej życie. Kiedy usłyszała o śmierci córki Soledad, poczuła się tak, jakby chodziło o jej własną rodzinę. Poleciała z Glasgow, gdzie wtedy mieszkała, na pogrzeb do Kalifornii. Krewni i przyjaciele mówili, że po powrocie przestała się z nimi kontaktować, co nie było w jej stylu. Nikt nie mógł jej odnaleźć.

Śledczy przeszukali wszystkie miejsca w Anglii i Szkocji, które były z nią w jakikolwiek sposób powiązane. Ktoś pokierował ich na farmę w szkockich górach, niedaleko od wioski, gdzie kilka tygodni wcześniej znaleziono bratanka dyrektorki Empire Media. Błąkał się tam po wypuszczeniu przez porywaczy. Nie było żadnych bezpośrednich dowodów na to, że Gwendolen kiedykolwiek przebywała w domu na farmie, a chłopiec jej nie rozpoznawał, lecz w kuchni znaleziono nóż ze śladami krwi i kilkoma jasnymi włosami. Badania potwierdziły zgodność z DNA brata bliźniaka dyrektorki. Na lusterku w łazience znajdowała się napisana czerwoną szminką wiadomość: *Dla Jennifer. Niczego nie żałuję.*

Paszport Gwendolen zarejestrowano ostatnio na lotnisku w Buenos Aires. Od tamtej pory wszelki ślad po niej zaginął.

Soledad Ayala (alias: Jennifer Ayala, Jenny Ayala) trafiła na listę dziesięciu osób najbardziej poszukiwanych przez FBI. Była na niej jedyną kobietą, a za informacje prowadzące do jej schwytania oferowano nagrodę w wysokości stu tysięcy dolarów.

W wywiadzie dla audycji Noli i Nedry Cheryl Crane-Murphy oświadczyła:

- Zanim napuścimy na tę kobietę motłoch, chciałabym

przypomnieć, że Soledad Ayala zdobyła Srebrną Gwiazdę za odwagę w Afganistanie. *Z oczywistych względów* nie mogła pojechać do Białego Domu, żeby odebrać medal, ale mimo to zasługuje na nasz szacunek.

- Można by więc nazwać ją amerykańską bohaterką? - zapytała Nedra Feldstein-Delaney.

- Można - zgodziła się Nola Larson King.

W piątek zbudziła mnie muzyka: „...twoja matka leży w bagażniku twojego starego / nie, mała, już się nie obudzi / szkoda, że nie trzymała pyska stulonego...”.

Włożyłam banknoty do kilku białych kopert i schowałam je do papierowej torebki, którą mogłam wygodnie przekazać Julii, jeśli zdecyduję się dać jej te pieniądze. Kiedy zawijałam krawędź, zadzwonił telefon.

– Zmiana planów – powiedziała Julia prawie bez tchu. – Przyjedź do Kącika Kosmetycznego, natychmiast.

– A czemu ty nie możesz przyjechać tutaj?

Wolałam się z nią zmierzyć na moim terenie. Poza tym nie miałam już wstępu do Austen Tower.

– Wyjaśnię, jak się zobaczymy. Poproś o mnie w recepcji. Wymienili całą ochronę, więc cię nie rozpoznają. Podaj im fałszywe nazwisko. Spiesz się.

Szybko wzięłam prysznic i się ubrałam. Kiedy wiązałam sznurówki, usłyszałam dzwonek przy drzwiach.

– Alarm bombowy! – krzyknęła z dołu Marlowe.

Byłam gotowa do drogi. Złożyłam papierową torebkę w twardej prostokąt, który wsunęłam sobie za pasek jasnobezowej spódnicy, tak że czułam ją na brzuchu. Narzuciłam luźną kurtkę i udrapowałam na sobie szal, żeby zamaskować wybrzuszenie.

– Alarm bombowy! – wrzasnęła Sana, stukając trzykrotnie do moich drzwi.

Bomba była w tej chwili najmniejszym z moich zmartwień. Bardziej się bałam, że ktoś mnie po drodze okradnie.

Wyszłam za resztą, unikając kontaktu wzrokowego z policjantką, która nas eskortowała. Jeśli coś pójdzie nie tak, niewykluczone, że nie będę mogła już wrócić do Domu Kaliopie. Idąc w kierunku Szóstej Alei, obejrzałam się przez ramię na kamienicę; jej przeciętna brązowa fasada nie zdradzała bijącego wewnątrz czerwonego serca.

Pozostałe kobiety usiadły na ławkach, ale ja zatrzymałam taksówkę.

– A ty dokąd, Śliweczko? – zapytała Sana. – Alarmy bombowe to rozrywka grupowa.

– Ona nas porzuca – stwierdziła Verena.

– Ominą cię lody – dodała Marlowe.

Wsunęłam się na tylne siedzenie taksówki.

– Wcale was nie porzucam – powiedziałam, zamykając drzwi. – Mam kilka spraw do załatwienia, a potem wracam. Obiecuję.

Odjeżdżając, patrzyłam na nie przez tylną szybę: Verena i Rubí, Marlowe i Huck, Sana – ten sam gang co zawsze, moje przyjaciółki. Dla nich to był dzień jak co dzień.

Tłumy na Times Square zastygły, wpatrując się w twarz Soledad na telebimie, jakby oglądały jakieś niezwykle zjawisko astronomiczne. Było za wcześnie, żeby powiedzieć, czy Jennifer – typowa amerykańska dziewczyna, którą Soledad pragnęła się stać i która przerodziła się w coś innego – to nieopanowany pożar, po którym zostaną wyłącznie zgliszcza, czy też kontrolowany oczyszczający płomień. Przeciskając się pomiędzy ludźmi, poklepałam się po brzuchu i poczułam pod ubraniami pieniądze. Miałam przyspieszony puls. Dotarłam do Austen Tower i przeszłam przez wykrywacz metalu. Podałam ochroniarzowi nazwisko – zmyślane – i czekałam na Julię. Kiedy się pojawiła, zobaczyłam, że jej fasada już teraz zaczynała się kruszyć. Nad paskiem spodni przelewał się wałeczek tłuszczu. Traktowane prostownicą włosy zaczynały się puszyć i zwijać w loki, a makijaż się starł, pozostawiając tylko błyśki kontur rysów i twarz o wyglądzie porcelanowej lalki, która wyblakła na słońcu.

Julia nie odezwała się, dopóki nie wsiadaliśmy do windy.

– Dasz wiarę, że chcieli mi dziś urządzić imprezę pożegnalną? – prychnęła.

Na drzwiach do Kącika Kosmetycznego znajdowała się tabliczka z napisem: INWENTARYZACJA. NIE WCHODZIĆ! Kiedy weszliśmy do środka, Julia przekręciła zamek i wyłączyła skaner przepustek. Kącik Kosmetyczny znajdował się w stanie takiego samego chaosu jak ona. Na podłodze wały się setki szminek i tuszów do rzęs, były też potłuczone buteleczki perfum Kokotka, po których wszędzie zostały kałuże i odłamki szkła. W powietrzu unosił się smród, pot tysiąca kokotek, od którego aż trudno było oddychać.

– Ile masz ze sobą pieniędzy?

– Dwadzieścia tysięcy – odparłam, spoglądając na drzwi i marząc o tym, żeby je otworzyć i uciec.

– A co powiedziałaś Verenie? – Julia wpychała dokumenty z biurka do torby.

– Nic. To moje pieniądze.

Julia otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie. Jej wargi, pomalowane odcieniem Muted Rose, ułożyły się w półuśmiech. Kiwnęła głową.

– Przepraszam, że cię okłamywałam, ale nie chciałam cię w to mieszać, o ile nie zaszłaby taka konieczność. Kiedy poprosiła mnie o pomoc, nie mogłam odmówić. Rozumiesz, prawda?

– Inaczej by mnie tu nie było.

Julia próbowała okiełznać nieposłuszne włosy, przyglądając je rękami, ale nie zrobiło to żadnej różnicy; każdy spłaszczony pukiel natychmiast znowu się skręcał. Julia była poważna i pełna strachu. Nawet ze mną nie flirtowała. Na białej podłodze wokół niej widać było sińce rozdeptanych fioletowych i niebieskich cieni do oczu.

– Chodź ze mną – powiedziała.

Podążyłam za nią alejką z ustami, w lewo przy tuszach do rzęs, w prawo przy korektorach, aż na koniec uliczki z różami. Julia nie była na obcasach, miała na sobie proste brązowe buty. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby poruszała się tak szybko. Z trudem dotrzymywałam jej kroku.

Na końcu alejki znajdowała się sterta kartonów ustawiona pod białą pustą ścianą. Julia odsunęła je na bok, sapiąc i stękając. Na ścianie ukazał się kontur płyty gipsowo-kartonowej. Julia podważyła ją łomem, odsłaniając schowek. W środku paliło się żółte światło. Jego źródłem były dwie lampy na stalowej belce. Julia nachyliła się i weszła do środka. Skinęła na mnie ręką, ale moje kończyny były jak ociążałe. Nie mogłam się ruszyć.

– Chciałaś poznać prawdę – zachęciła Julia. – Znajdziesz ją tutaj.

Weszłam do kryjówki. W ciemnym kącie po mojej prawej stronie siedziała na śpiworze jakaś postać. Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że ubrana jest w szare dresy, ręce i nogi ma podkulone, a na jej szyi wiszą słuchawki. Ciemne włosy miała zgolone prawie na zero. Spojrzała na mnie, mrużąc oczy. Drobnie przestraszone stworzenie.

– Leeta?

Julia przekręciła jedną z lamp, żebym lepiej widziała. Twarz Leety była pozbawiona makijażu i blada. Bez długich włosów i kredki do oczu, bez

kolorowych rajstop i glanów dziewczyna wydawała się okrojona wersją siebie, niemal jakby była naga.

– Oto Plum.

– Wiem, kim jesteś, Louise B. – Jej głos był chrapliwy, jakby od dawna go nie używała.

Wysunęła się z kąta, w którym siedziała, do światła. Nie przypominała tamtej dominującej postaci z telebimów na Times Square, ale wreszcie zaczynałam rozpoznawać jej twarz – twarz, która tak długo mnie nawiedzała.

– To naprawdę ty.

Za moimi plecami Julia zamiatała betonową podłogę, usiłując pozbyć się z kryjówki wszelkich śladów Leety.

– No dalej – powiedziała, machając miotłą. – Ona nie gryzie.

Rozpięłam kurtkę i zsunęłam ją z siebie, nie wyjmując torebki z pieniędzmi zza paska spódnicy. Z trudem usiadłam na twardej posadzce, twarzą w twarz z Leetą.

– Twoje włosy są takie krótkie... – zaczęłam.

Odwróciła się niespokojnym ruchem, sięgnęła dłonią do pukli, których już nie było.

– Nie to spodziewałaś się zobaczyć. Robią na mnie obławę jak na zwierzę, więc się nim stałam.

Znowu wycofała się do kąta i naciągnęła na głowę szary kaptur bluzy. Twarz wyzierającą na mnie spod grubego materiału, teraz ocienioną, widziano rzekomo w różnych miejscach w kraju i na świecie, a w rzeczywistości przez cały ten czas Leeta ukrywała się pod pięćdziesięcioma dwoma piętrami medialnego imperium Stanleya Austena. Pomyślałam o barykadach wokół budynku i nie potrafiłam powściągnąć uśmiechu. Wróg był już w środku.

– Przyniosłaś pieniądze? – spytała.

Nadal wpatrywałam się w nią, prawie nie zauważając, że zadała mi pytanie. Spytała znowu:

– Pieniądze. Masz je ze sobą?

Sięgnęłam za pasek spódnicy i wyjęłam papierową torebkę, ale nie podałam jej Leecie. Julia wtoczyła do kryjówki dużą brązową skrzynię na kółkach.

– Macie pięć minut – powiedziała.

Leeta odbiła się nogami od podłogi i znowu wsunęła rękę pod kaptur, żeby dotknąć swoich włosów, po czym przeniosła dłoń do ust i zaczęła obgryzać paznokcie. Spojrzała na skrzynię.

– Chcę zobaczyć słońce. Choćby mieli mnie złapać albo zastrzelić, przynajmniej ten jeden ostatni raz posmakuję wolności. Nic nie smakuje tak jak wolność.

Psotna dziewczyna z kawiarni zniknęła. Leeta, od miesięcy ukrywająca się w czarnej jaskini, ścigana przez policję wyposażoną w broń, psy i helikoptery... Oto była prawda o wszystkim, co zaszło. Martwiłam się, co jej zrobią, jeśli ją znajdą. Wydawała się taka osamotniona, tu na dole, jakby wszyscy ją porzucili.

– Co się stało z Soledad? – Wypowiadając to imię w obecności kogoś, kto naprawdę znał Soledad Ayalę, kobietę, której ból i gniew po stracie córki płonęły jasno jak gwiazda, poczułam niemal elektryczny wstrząs.

– Wszystkie się rozpierzchły. Nie wiem, gdzie się ukrywają.

– Jak ją poznałaś?

Czytałam historie w mediach, ale nie podawano w nich szczegółów.

Leeta milczała, jakby chciała się zamknąć w swoim ciemnym kącie, ale wreszcie zaczęła opowiadać.

W jej koledżu wymagano, żeby każdy student brał udział w jakichś działaniach społecznych. Leeta zgłosiła się jako wolontariuszka do poradni dla kobiet; Soledad, która tam pracowała, szkoliła ją w udzielaniu wsparcia ofiarom gwałtów. Poza tego typu pomocą w poradni można też było dokonać aborcji i otrzymać środki antykoncepcyjne.

– Praca tam nie była łatwa – powiedziała Leeta. – W budynku zainstalowano kuloodporne szyby, a pod drzwiami stał uzbrojony strażnik. Ofiary gwałtów musiały mijać faceta z bronią, żeby z kimś porozmawiać. Pojebana sytuacja. Pracując tam, łatwo można było odnieść wrażenie, że jesteście same przeciwko całemu światu. A świat ma nas gdzieś. Czasem po pracy wychodziłyśmy z Soledad na drinka, żeby przetrwać jakoś te wszystkie straszne historie, które słyszałyśmy, i widok tyłu zapłakanych kobiet – opowiadała. Dodała też, że Soledad do tego wszystkiego przywykła, ale ona sobie nie radziła.

Dom Soledad w Santa Mariana znajdował się godzinę drogi od miasta;

Leeta jeździła tam czasem na grilla i oglądanie filmów. Tak właśnie poznała Luz.

– Soledad matkowała mi, kiedy tęskniłam za domem. Żenada, żeby dziewczyna w moim wieku potrzebowała mamusi, prawda? – Spojrzenie Leety, do tej pory czujne, teraz zmiękło. Zamrugła wolno. – Chcesz wiedzieć, co zrobiłam dla Luz i Soledad? Bo myślę, że powinnaś to usłyszeć.

– Powiedz jej – wtrąciła Julia, nie przerywając sprzątanania.

Nadal trzymałam torebkę z pieniędzmi i teraz odłożyłam ją na podłogę obok siebie. Wytarłam dłonie o kolana. Nie mogłam zapomnieć o swoich kolorowych rajstopach oraz glanach i zastanawiałam się, czy Leeta ma mnie za idiotkę.

Opowiedziała, jak po pogrzebie córki Soledad nalegała, żeby jej rodzina natychmiast wróciła do Teksasu. Kiedy została sama, zaprosiła Leetę do Santa Mariana i wyjawiała, że jej przyjaciółka Missy zamierza uprowadzić Wilsona i Martineza. Pozostałych gwałcicieli nie dadzą rady złapać, bo siedzieli w więzieniu, więc główni winowajcy muszą zapłacić za zbrodnię całej grupy.

– Zapytałam, po co chce ich porwać... Ten pomysł mnie zszokował, ale ona powiedziała tylko, że dostaną to, na co zasłużyli. To już nie była Soledad, którą znałam.

Leeta próbowała odwieść przyjaciółkę od tego pomysłu, bo takie przedsięwzięcie mogło się skończyć więzieniem, ale Soledad podjęła już decyzję.

Sama nie mogła się bezpośrednio zaangażować w porwanie, natychmiast skupiłaby na sobie wszystkie podejrzenia. Poprosiła więc Leetę, żeby poszła do baru, w którym bywali Wilson i Martinez, i wywabiła ich na pustą działkę, gdzie miała czekać Missy.

– Byłam przynętą w miniówie i blond peruce – powiedziała Leeta. – Chyba postradałam rozum. Nikomu z mojego otoczenia nigdy nie przytrafiło się nic równie strasznego jak to, co spotkało Luz. Nie mogłam przestać rozmyślać o niej i o tych wszystkich zapłakanych kobietach w poradni. Wydawało mi się, że to się nigdy nie skończy. Pomimo szoku, jakim był dla mnie plan Soledad, zaczęłam się zastanawiać, czy ona nie ma racji. Może trzeba było sięgnąć do źródła problemu.

Bez trudu wywabiła obu mężczyzn z baru. Chętnie poszli za nią do samochodu, podniecając się na myśl o seksie, a ona zawiozła ich szesnaście

kilometrów dalej, gdzie czekała Missy.

– Niedobrze mi było, kiedy siedziałam z nimi w samochodzie. Ci dranie zabili Luz, oni dwaj i cała reszta, unicestwiali ją kolejno kawałek po kawałku. Miałam ochotę zatrzymać auto i uciec z wrzaskiem w pole, ale nie mogłam tego zrobić, więc jechałam dalej i krzyczałam tylko w myślach. Obaj mówili coś do mnie, ale nie słyszałam nic poza tym krzykiem.

Kiedy dojechali na ciemną działkę na północ od miasta, Missy czekała już z czarną furgonetką.

– Zaczęli podejrzewać, że coś jest nie tak. To byli dranie, ale nie idioci.

Leeta powiedziała, że nie chcieli wysiąść z samochodu. Kiedy wreszcie to zrobili, Missy poraziła ich paralizatorem i związała. Leeta pomogła jej wrzucić ich na tył furgonetki, a potem Missy kazała jej odjechać jak najdalej od Santa Mariana.

Nie miałam pojęcia, co na to odpowiedzieć. Leeta wpatrywała się spod kaptura w otaczającą nas ciemność. Mogłam sobie tylko wyobrazać sceny, które widziała i zawsze już będzie widzieć przed oczami duszy. W mojej głowie pojawiały się parszywa dwunastka zrzucona na pustynię, ślimak na autostradzie Harbor, wszystkie inne ataki powiązane z Jennifer.

– Wiedziałaś, że to będzie początek czegoś większego?

Leeta odparła, że nie. Kilka dni po porwaniu zadzwoniła do Soledad z motelu na pustyni, gdzie się ukryła, i jeszcze raz zapytała, co się stanie z obydwojma mężczyznami.

– Powiedziała, że pozwoli im się trochę pokisić, że to nie oni pójdą na pierwszy strzał. Nie wiedziałam, co miała na myśli. Nie pytałam. Potem już nigdy z nią nie rozmawiałam.

Kiedy zaczęły się ataki Jennifer, z których pierwszy powiązany był z armią, Leeta zastanawiała się, czy Soledad i Missy mają z tym coś wspólnego. Próbowwała dodzwonić się do Soledad, ale odebrała kapitan Tompkins. Kontaktowały się telefonicznie i mailowo, lecz Missy nigdy się do niczego nie przyznała. Dopiero kiedy Wilson i Martinez zginęli wraz z resztą parszywej dwunastki, Leeta zyskała pewność.

– Missy martwiła się, że pójde na policję, więc chciała mnie mieć na oku. Nie zrobiłam tego, ale powiedziałam swojej współlokatorce, że wiem, kim jest Jennifer. Po prostu nie mogłam już tego w sobie dusić.

Leeta wiedziała, że to był błąd. Właśnie wtedy zaczęła się ukrywać.

– I jak sobie tu radziłaś? – spytałam, luzując kołnierzyk bluzki.

Wreszcie mogłam uzyskać odpowiedzi na wszystkie pytania, ale tak naprawdę chciałam tylko wydostać się z tej przytłaczającej kryjówki. Obie, i Leeta, i ja, miałyśmy za sobą pobyt pod ziemią – ona w Kąciku Kosmetycznym, ja w piwnicy Vereny. Nowy Jork był pełen takich ciemnych zakamarków.

– Za dnia wiedziałam, że za ścianą jest Julia, ale nocami... Czasem znowu słyszę w głowie te krzyki.

– Czemu nie oddasz się w ręce policji? Może wcale nie dostałabyś długiego wyroku. – Nie wiedziałam, co jej poradzić, ale to wydawało się rozsądne. Więzienie nie mogło być gorsze od tego miejsca.

– Nie uwierzyliby w ani jedno moje słowo. Teraz pragną krwi. Chcieliby, żebym zwróciła się przeciwko Soledad, a tego nigdy nie zrobię. Prawda jest taka, że się boję.

Niezależnie od tego, czy wybierze ucieczkę, czy policję, czekało ją życie w zamknięciu. Chciałam jej jakoś pomóc, powiedzieć, że wszystko się ułoży, ale to byłoby kłamstwo.

– Kończycie już? – spytała Julia.

Leeta podniosła się z trudem. Ja także.

– Jeśli nie chcesz mi dać tych pieniędzy, Louise B., to zrozumiem.

– Przecież ich potrzebujesz – powiedziała Julia.

– To jej wybór. Nie chcę jej namawiać do czegokolwiek, z czym będzie się czuła źle. Może sprowadzić na siebie kłopoty.

Wiedziałam, że to prawda, ale chciałam, żeby Leeta znowu zobaczyła słońce.

– Dostałam te pieniądze w pewnym celu, ale ten cel jest już nieaktualny. A ty mi pomogłaś. – Tak naprawdę chciałam powiedzieć: „Ty mnie ocaliłaś”.
– I teraz pora, żebym ja pomogła tobie.

Leeta wzięła ode mnie papierową torebkę i wsunęła ją za połę bluzy.

– Nie myliłam się co do ciebie. Nie jesteś taka jak oni. – Kiwnęła głową w kierunku pięćdziesięciu dwóch pięter, które się nad nami wznosiły.

– Nie, nie jestem taka jak oni.

Odsunęła kaptur, żebym mogła lepiej zobaczyć jej twarz. Chwyciła mnie

za ręce i ścisnęła je mocno.

– Te dni, kiedy cię szpiegowałam, to był najlepszy okres w moim życiu – powiedziała. – Często tu o tobie myślałam. Julia opowiadała mi, jak zmieniło się twoje życie, i to sprawiało mi radość. Cokolwiek się ze mną stanie, wiedz, że jestem po twojej stronie.

Patrzyła na mnie jeszcze przez kilka sekund, a potem się odsunęła, wkładając słuchawki i naciągając z powrotem kaptur. Rozległa się muzyka – dla mnie była stłumiona, ale w jej uszach musiała brzmieć ogłuszająco. Widziałam jej plecy, kontur jej postaci na tle otworu w ścianie i światła z Kącika Kosmetycznego. Od tak dawna żyła w mojej wyobraźni. W rzeczywistości jej nie znałam, ale istniałyśmy nawzajem w swoich wspomnieniach, każda z nas była dla drugiej tym, czego tamta potrzebowała.

Julia wyjęła z kryjówki obie lampy, tak że wpadało tu tylko światło z otworu w ścianie. Pomogłyśmy Leecie wejść do skrzyni. Kiedy znalazła się w środku, weszła do swojego śpiwora i podciągnęła go sobie pod pachy tak, że wyglądał jak sukienka bez rękawów. Obniżyła się i ułożyła na dnie skrzyni w pozycji płodowej, przysuwając twarz do jednego z otworów na powietrze. Julia i ja zaczęłyśmy wrzucać na nią kredki do brwi. Leeta nawet nie drgnęła. Wypełniłyśmy skrzynię po sam wierzch, tak żeby nic nie wskazywało na to, że ktoś się kryje na dnie. Julia umocowała wieko. Kiedy wytoczyłyśmy skrzynię z kryjówki, zamknęła otwór w ścianie i z powrotem zamaskowała to miejsce pudłami. Ruszyłyśmy alejką z różami w stronę wyjścia.

– Wolno mi spytać, dokąd ją zabierasz?

– Do Nowego Meksyku – powiedziała Julia. – Tam przekażę ją komuś innemu. Nie może tkwić w jednym miejscu.

Wjechałyśmy windą towarową na poziom parkingu i przepchnęłyśmy skrzynię do małej białej furgonetki dostawczej, którą wynajęła Julia. Obejrzałam się przez ramię. Byłam przerażona, miałam wrażenie, że wszyscy mnie widzą.

– Zachowuj się normalnie – szepnęła Julia. – Tu mogą być kamery.

Po bokach i w tylnej ścianie furgonetki nie było okien. Z wielkim wysiłkiem podźwignęłyśmy skrzynię i wsunęłyśmy ją na tył samochodu. Kiedy ją zabezpieczyłyśmy, Julia zamknęła drzwi. Chciałam powiedzieć coś w rodzaju „Uważaj na siebie” albo „Powodzenia”, ale żadne słowa nie były adekwatne do tej sytuacji.

– Napisz tę książkę – powiedziała Julia.

Obiecałam, że to zrobię. Kiedy usiadła za kierownicą i zatrzasnęła drzwi, położyłam dłoń na szybie, a ona zrobiła to samo od środka. To było nasze pożegnanie.

Kierując się znakami, poszłam z powrotem do lobby i wyszłam pośpiesznie w obawie, że wpadnę na Kitty albo na kogoś innego, kto mnie rozpozna. Kiedy znalazłam się na zewnątrz, miałam ochotę wyć, krzyczeć i bić pięściami w Austen Tower, ale nie mogłam tego zrobić. Ludzie by mnie zobaczyli. Gdziekolwiek bym poszła, wszędzie zwrócono by na mnie uwagę.

Po kryjówce wszystko na zewnątrz wydawało mi się piękne, nawet betonowe barykady i neonowe światła. Ruszyłam w kierunku Broadwayu. Gdzieś tam jechała ulicami biała furgonetka, ale jej nie zobaczyłam. Idąc, zdjęłam kurtkę i szal i zaczęłam je ciągnąć za sobą. Przepychałam się przez masy turystów, aż w końcu ruszyłam biegiem, szybciej niż kiedykolwiek w całym swoim życiu.

Leeta miała rację. Smak wolności był wspaniały. Poczułam w nogach nieoczekiwany przypływ sił i biegłam dalej. Pędziłam przed siebie, czując na twarzy wiatr i słońce, skakałam w wielki świat, który teraz wydawał się za mały, żeby mnie pomieścić.

Trach!

Podziękowania

Alice Tasman, jedna z kilku kobiet o tym imieniu, które przyniosły mi szczęście, była jedyną agentką literacką w całym Nowym Jorku, która odważyła się przyjąć tekst *Dietolandu*. Codziennie jestem jej za to wdzięczna. Wspaniałe było też wsparcie pozostałych pracowniczek Agencji Literackiej Jean V. Naggar, a także innych agentów i wydawców, którzy reprezentowali mnie za granicą. Nie jestem w stanie dostatecznie wyrazić swojej wdzięczności dla tych wspaniałych ludzi.

Lauren Wein, moja redaktorka (i wielbicielka excelowskich arkuszy, na których rozpisywałam plany książki), od pierwszej rozmowy telefonicznej dzieliła moją wizję tej powieści. Z głębi serca dziękuję jej za konieczną pomoc redakcyjną podczas tworzenia wizerunku Plum i spółki, przy jednoczesnym zachowaniu ich pierwotnego charakteru. Dziękuję także Ninie Barnett i Alison Kerr Miller za pomoc w udoskonaleniu manuskryptu, a także całemu zespołowi Houghton Mifflin Harcourt. Jestem tak wdzięczna za ich pracę, że mogłabym pęknąć!

Życzliwi i utalentowani pisarze, których poznałam na studiach magisterskich w Bennington College, pomimo upływu lat nie przestają mnie inspirować i zawsze będą stanowić moją literacką wspólnotę. W szczególności chciałabym podziękować Williamowi Vandergriftowi za jego przyjaźń oraz Alice Mattison – pierwszej z moich szczęśliwych Alice – która od początku dodawała mi otuchy i pomogła dobrać do końca.

Za cenne uwagi redaktorskie pragnę podziękować Susannie Jones, Michelle Walker oraz mojej francuskiej redaktorce Aurélien Masson.

Podczas lat spędzonych w Londynie, w równej mierze wspaniałych i traumatycznych, trzy kobiety parające się pisarstwem: Lindsay Catt, Theresa Lee oraz Carol McGrath, zapewniały mi przyjaźń i wsparcie, kiedy najbardziej tego potrzebowałam. Chciałabym też podziękować uczestnikom brytyjskich studiów nad otyłością, których idee i życzliwość wzbogaciły moje życie oraz pracę w stopniu, którego nie jestem w stanie wyrazić.

Callie Khouri posłużyła się terminem „okres przejściowy” w swoim cudownym scenariuszu do *Thelmy i Louise*, a ja bezwstydnie zaadaptowałam go do własnych celów w duchu siostrzeństwa i szerzenia świadomości.

Aforyzm Virginii Woolf: „Upiora znacznie trudniej uśmiercić niż rzeczywistość”, pochodzi z jej eseju *Praca zawodowa kobiet*¹¹.

Książka ta wiele zawdzięcza feministkom z drugiej fali, kobietom, które dramatycznie zmieniły świat. Nie ma tu miejsca, żeby wymienić wszystkie ważne dla mnie pisarki, gdyż zajęłoby to całe strony, lecz chciałabym wspomnieć przynajmniej o Sandrze Lee Bartky, której eseje całkowicie odmieniły mój sposób patrzenia na rzeczywistość, oraz o feministycznych powieściopisarkach lat siedemdziesiątych i wczesnych lat osiemdziesiątych, do których twórczości odwoływałam się, kiedy nachodziły mnie obawy, że stracę odwagę.

Wczesnym i ważnym źródłem inspiracji dla Dietolandu była powieść Podziemny krąg Chucka Palahniuka oraz jej filmowa adaptacja w reżyserii Davida Finchera. Chciałabym wierzyć, że Dietoland powstałby nawet bez tej początkowej iskry, która dała mi pomysł, ale nigdy się tego nie dowiem.

Wyrazy miłości dla mojej rodziny, a zwłaszcza dla rodziców, J² i nieżyjących już dziadków ze strony matki, a także dla wszystkich przyjaciół i mentorów, na których wyliczenie nie starczyłoby tu miejsca. Dziękuję również licznym życzliwym osobom – nie wszystkie poznałam osobiście – które obdarzały mnie słowami zachęty i dzieliły się wynikami swoich badań naukowych przez cały ten milion lat, jaki zajęło mi ukończenie tej książki.

Na koniec dziękuję Alicji Plum. Ona nigdy mnie nie porzuciła.

1 Po roku mama zaczęła odzyskiwać utraconą wagę. Ale ponieważ zainwestowała już wszystkie rodzinne oszczędności w Program Odchudzający Baptist, tata zaczął przewidywać katastrofę i zgodził się, że powinna jednak przejść operację żołądka. Było to jedyne rozwiązanie. Po operacji mama przestała trzymać stolec i musiała nosić pampersy (*Przygody w Krainie Diet*, rozdział 1: „Narodziny Vereny, narodziny imperium”, s. 27).

2 Notatka służbowa od pierwszego wiceprezesa [imię i nazwisko wykreślone] do Eulayli Baptist (24 października 1982): „Ludzie, którym tylko się wydaje, że są otyli, to dla nas ogromny rynek zbytu. Gruby, chudy... to pojęcia bez znaczenia, nie licząc skrajnych przypadków. Co to znaczy «gruby»? Co to znaczy «chudy»? Kogo to obchodzi?” (*Przygody w Krainie Diet*, Indeks notatek służbowych Programu Odchudzającego Baptist, s. 329).

3 Niektórzy baptyści twierdzili, że w następstwie diety nabawili się problemów z nerkami, ale nigdy nie udowodniono tego w sądzie. Mama groziła, że pozwie swoich oskarżycieli o zniesławienie, lecz tego nie zrobiła. Pod przysięgą nie mogłaby zaprzeczyć, że jej dieta powodowała u niektórych baptystów nieprzyjemny oddech oraz zatwardzenia i utratę włosów (*Przygody w Krainie Diet*, rozdział 2: „Program Baptist. Nie każdy się nawrócił”, s. 138).

4 Osobista asystentka mamy [imię i nazwisko usunięte] próbowała ją szantażować latem 1990 roku. Nagrała rozmowę telefoniczną, w której mama powiedziała jej, że posiłki Baptist „smakują jak gówno” i że nie ruszyłaby ich, nawet gdyby jej za to płacono (*Przygody w Krainie Diet*, rozdział 2: „Program Baptist. Nie każdy się nawrócił”, s. 141).

5 Notatka służbowa od pierwszego wiceprezesa [imię i nazwisko usunięte] do Eulayli Baptist (1 sierpnia 1980): „Eulaylo, dieta powodująca stałą powolną utratę wagi nie przyciągnie nowych klientów. Ile razy mam Ci to powtarzać? Ludzie pragną natychmiastowych efektów, a dieta dostarczająca 850 kalorii dziennie może im to zapewnić. Baptyści będą znacznie tracić na wadze podczas pierwszych kilku tygodni i uzależnią się od euforii, jaką wzbudzi świadomość graconych [sic] kilogramów. Kiedy zaś nie zdołają utrzymać tego tempa, będą obwiniać tylko siebie. Zaufaj mi. Przecież przepracowałem pięć lat w [nazwa usunięta], pamiętasz? Dlatego właśnie mnie zatrudniłaś!” (*Przygody w Krainie Diet*, Indeks notatek służbowych Programu Odchudzającego Baptist, s. 332).

6 Notatka służbowa od pierwszego wiceprezesa [imię i nazwisko usunięte] do [imię i nazwisko usunięte], kopia do Eulayli Baptist (3 lutego 1982): „Uważaj, [imię i nazwisko usunięte]. Nikt nas nie pozwie (nie licząc tej kobiety z Tucson)! 850 kalorii na dzień wystarcza, aby przeżyć. Nie zwracaj uwagi na statystyki Światowej Organizacji Zdrowia. Nie ma porównania między przymierającym głodem Afrykaninem a spasionym Amerykaninem. Poza tym w naszych materiałach piszemy, że dieta zapewnia 1200 kalorii dziennie, a to całkowicie bezpieczna ilość” (*Przygody w Krainie Diet*, Indeks notatek służbowych Programu Odchudzającego Baptist, s. 333).

7 Notatka służbowa od pierwszego wiceprezesa [imię i nazwisko usunięte] do Eulayli Baptist (12 listopada 1985): „Nie jestem w stanie przecenić wagi posługiwania się słownictwem z zakresu moralności w kontaktach z klientami i z mediami. Nazwa kojarząca się z baptystycznym odłamem chrześcijaństwa zwiększa jeszcze skuteczność tego zabiegu. Kiedy baptyści tracą na wadze, zachowują się «dobrze», kiedy zaś nie trzymają się planu – «niedobrze», tak jak w rozmowach typu: «Rosemary, czy byłaś w tym tygodniu niedobra?». Wszystkie kliniki powinny natychmiast wprowadzić ten sposób komunikacji” (*Przygody w Krainie Diet*, Indeks notatek służbowych Programu Odchudzającego Baptist, s. 337. N.B. Por. D. Montrose, *Amerykańska kultura odchudzania i chrześcijańskie korzenie jej narracji*, „Dziennik Badań nad Utratą Wagi” 1, nr 2 [1999], s. 124–146).

8 Notatka służbowa od pierwszego wiceprezesa [imię i nazwisko usunięte] do Eulayli Baptist (14 lutego 1998): „Ciągnąc temat z ostatniego spotkania, te tłuste feministyczne dziwki w Michigan dalej protestują pod naszą kliniką w Ann Arbor i wykrzykują te swoje slogany. «Kochaj swoje ciało» i inne podobne bzdury. Nie możemy dopuścić, żeby to się zaczęło szerzyć. Przeprowadzimy kontratak, posługując się żargonem zdrowotnym (klepnęłaś już nowe ulotki?). Te ich pierdoły o akceptowaniu siebie nie zdołają podważyć naszych statystyk zgonów. Może powinniśmy zatrudnić kilku lekarzy, żeby

skarmić temat mediom. Ten kardiolog z Miami świetnie by się do tego nadawał. Możesz zatwierdzić jego honorarium? (*Przygody w Krainie Diet*, Indeks notatek służbowych Programu Odchudzającego Baptist, s. 351. Por. A. Adamson, G. Hoyt i O. Rodgers, *Nie chcę być chuda – wybieram zdrowie! Strategia reklamowa Programu Odchudzającego Baptist i retoryka „epidemii otyłości”*, „Kwartalnik Badań nad Zaburzeniami Żywienia” 14, nr 7 [2004], s. 97–119).

⁹ Notatka służbowa od [nazwisko i imię usunięte] do pierwszego wiceprezesa [nazwisko i imię usunięte], kopia do Eulayli Baptist (1 marca 1990): „Dostałeś info od prawniczki? Mówi, że informacja «Rezultat nietypowy» na plakatach z Eulaylą musi być o wiele większą czcionką. Chryste, nie da się tego jakoś obejść? Nie chcemy, żeby ludzie to zauważyli” (*Przygody w Krainie Diet*, Indeks notatek służbowych Programu Odchudzającego Baptist, s. 357).

¹⁰ Światło zgasło (hiszp.). *Luz – światło, ale też imię żeńskie* (przyp. tłum.).

¹¹ Virginia Woolf, *Praca zawodowa kobiet*, [w:] *Eseje wybrane*, przeł. Magdalena Heydel, Kraków 2015 (przyp. tłum.).

Redaktor inicjujący: Magdalena Gołdanowska

Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Agnieszka Walulik

Redakcja: Maria Wirchanowska

Korekta: Małgorzata Kuśnierz, Agnieszka Gzylewska

Projekt okładki, grafika wykorzystana na I stronie okładki: © 2018 AMC Network Entertainment LLC.
All rights reserved

Skład i łamanie: www.pagegraph.pl

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48

tel. (22) 828 98 08

faks (22) 395 75 78

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-5971-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

virtualo